



*Maurice Druon*

**Królowie  
przekleci 5**



**Wilczyca z Francji**



**Księgozbiór DiGG**



**2010**

*Kły rozwścieczonej Wilczycy  
z Francji szarpią wnętrzości  
zranionego małżonka...*

*THOMAS GRAY*



## Prolog

**A** kary zapowiedziane przekleństwem wielkiego mistrza templariuszy, rzuconym ze szczytu stosu, spadały nadal na Francję. Los obalał królów jak pionki na szachownicy.

Po Filipie Pięknym rażonym śmiercią, po najstarszym jego synu Ludwiku X, zamordowanym po półtora roku, następny syn Filip V zapowiadał długie panowanie. Ledwie minęło pięć lat, z kolei umarł Filip V, nim osiągnął trzydziesty rok życia.

Zatrzymajmy się przez chwilę przy tych rządach, które wydają się wytchnieniem losu wobec dramatów i klęsk, jakie po nich nastąpiły. Bezbarwny okres - powie ten, kto roztargnionym gestem przerzuca karty historii, niewątpliwie dlatego, że nie podnosi znad strony ręki zabarwionej krwią. A jednakże... Spójrzmy, jaka jest osnowa dni wielkiego króla, gdy los jest dlań wrogi.

Można bowiem Filipa V Długiego zaliczyć do rzędu wielkich królów. Jeszcze jako młodzieniec, siłą i podstępem, sprawiedliwością i zbrodnią, pochwyił koronę wydaną na pastwę ambitnych rywali. Uwięzione konklawe, zdobyty atakiem pałac królewski, wykoncypowana ustawa sukcesyjna, bunt na prowincji uśmierzony po dziesięciodniowej kampanii, możny pan wtrącony do lochu, syn króla zabity w kołysce - przynajmniej wszyscy tak sądzili - oto kamienie milowe szybkiego marszu do tronu.

Gdy w styczniowy ranek 1317 roku wszystkie dzwony wstrząsały niebem i drugi syn Króla z Żelaza wyszedł z katedry w Reims, miał on słuszne racje myśleć, że zatriumfował i może podjąć wielką politykę, którą podziwiał u swego ojca. Musiała ugiąć się przed nim wichrzycielska rodzina, zaszachowani baronowie zdali się na jego łaskę. Parlament ulegał jego wpływom, a rozentuzjasmowane mieszczaństwo wiwatowało, iż znalazło mocnego księcia. Małżonka została oczyszczona z hańby, związanej z wieżą Nesle, następstwo tronu zapewniał mu świeżo narodzony syn; na koniec koronacja przyodziła go nietykalnym majestatem. Nic nie brakowało Filipowi V, by cieszył się względnym szczęściem królów, nawet mądrości w dążeniu do pokoju i wiedzy, jaka jest jego cena.

W trzy tygodnie później umarł mu syn. Był to jedyny męski potomek, a królowa Joanna, odtąd dotknięta bezpłodnością, nie obdarzyła go drugim.

W początkach lata głód pustoszył kraj, ścieląc miasta trupami.

Później wichura szaleństwa przeszła przez Francję.

Jaki ślepy i niejasny mistyczny poryw, jakie pierwotne marzenia o świętości i przygodzie, jaki nadmiar nędzy, jaki szal zniszczenia nagle pchnęły wiejskich chłopców i dziewczęta, pasących owce, woły i wieprze, chłopaków od warsztatów, dziewczyny od krosna, wszystkich między piętnastym a dwudziestym rokiem życia, by nagle opuścili rodziny i wsie tworząc wędrowne, bosonogie bandy bez pieniędzy i jadła? Mętna idea wyprawy krzyżowej posłużyła za powód do pochodu.

W istocie obłąd narodził się w szczątkach Zakonu. Pozostało wielu byłych templariuszy, których więzienie, procesy, zaparcie się wydarte rozpalonym żelazem, widok braci wrzucanych w płomień, doprowadziły do półszaleństwa. Żądza zemsty, tęsknota za utraconą władzą i posiadanie jakichś magicznych przepisów, których nauczyli się na Wschodzie, uczyniły z nich fanatyków, tym groźniejszych, iż kryli się pod skromnym habitem kłeryka lub kaftanem kołodzieja. Utworzywszy podziemne bractwo, słuchali rozkazów przekazywanych przez tajnego wielkiego mistrza, który zastąpił - spalonego.

Ci właśnie ludzie, zimą, nagle przeistoczyli się w wiejskich kaznodziej i podobni fleciście z nadreńskich legend pociągnęli za sobą młodzież Francji. Ku Ziemi Świętej - powiadali. Ale istotną ich wolą była zguba królestwa i ruina papieżstwa.

Papież zaś i król byli równie bezsilni wobec tych oszołomionych hord, które wędrowały drogami, wobec tych ludzkich rzek, wzbierających na każdym rozstaju, jakby ziemie Flandrii, Normandii, Bretanii, Poitou zostały zaczarowane.

Dziesięć tysięcy, dwadzieścia tysięcy, sto tysięcy... „pastuszków” wędrowało na tajemnicze spotkanie. Wykłęci księża, mnisi odszczepieńcy, rozbójnicy, złodzieje, ładacznicie i żebracy dołączali się do tych band. Krzyż nieśli na czele pochodów, gdzie dziewczęta i chłopcy oddawali się najgorszej rozpuście, najgorszemu wyuzdaniu. Sto tysięcy wędrowców w łachmanach wkraczało do miasta, by prosić o jałmużnę i rychło poczynało rabować miasto. Zbrodnia zaś, która pierwotnie towarzyszy kradzieży, wkrótce stała się ujściem dla zboczenia.

Przez cały rok „pastuszkowie” plądrowali Francję z pewną metodą w pozornym bezładzie: nie oszczędzali ani kościołów, ani klasztorów. Oszalały Paryż ujrzał, że rabusie zalewają ulice; z otwartego okna swego pałacu król Filip V przemawiał do nich, pragnąc ich uspokoić. Zażądali, aby król stanął na ich czele. Wzięli atakiem Chatelet, zatłukli prewota, obrabowali opactwo Saint-Germain-des-Pres. Potem nowy rozkaz równie tajemniczy, jak ten, co ich zwołał, pchnął hordy na drogi ku Południu. Paryżanie jeszcze drżeli, a one już zalały Orlean. Ziemia Święta była daleko, ofiarą ich szaleństwa padły Bourges, Limoges, Saintes, Perigord, Gaskonia, prowincje Bordelais i Agenais.

Papież Jan XXII, zaniepokojony widokiem fali zbliżającej się do Awinionu, zagroził klątwą rzekomym krzyżowcom. Potrzebowali ofiar; znaleźli Żydów. Wtedy miejska ludność przyklasnęła rzeziom, pobratała się z „pastuszkami”. Getta w Lectoure, Auvillar, Castelsarrasin, Albi, Auch, Tuluzie; tu sto piętnaście trupów, gdzie indziej sto pięćdziesiąt dwa... Nie było miasta w Langwedocji, które by nie miało prawa do

prześlągalnej rzezi. Żydzi z Verdun-sur-Garonne posłużyli się jako pociskami własnymi dziećmi, później wzajem się wyrznęli, aby nie wpaść w ręce szaleńców.

Wówczas papież dał rozkaz biskupom, a król seneszalom, aby osłaniali Żydów, bowiem ich handel był władcom nieodzowny. Hrabia de Foix, spiesząc na pomoc seneszalowi w Carcassonne, musiał stoczyć prawdziwą, regularną bitwę, w której „pastuszkowie” zepchnięci w bagna Aigues-Mortes marli tysiącami, zabijani, przekłuwani, pogrążani w błoto, topieni. Ziemia Francji piła własną krew, wchłaniała własną młodzież. Duchowieństwo i urzędnicy królewscy zjednoczyli się w pogoni za uratowanymi. Zamykano przed nimi bramy miast, odmawiano jadła i dachu nad głową, ścigano w przełęczach Cevennes; wszystkich, których ujęto, wieszano kupą na gałęziach po dwudziestu i trzydziestu. Bandy błąkały się jeszcze blisko dwa lata i rozplynęły się aż w Italii.

Francja była chora, całe jej ciało zaniemogło. Ledwie opadła gorączka „pastuszków”, pojawiła się gorączka trędowatych.

Czy byli winni ci nieszczęśnicy o gnijącym ciele, trupich twarzach, rękach zmienionych w kikuty, ci pariasi zamknięci w leprozoriach, osiedlach zarazy i smrodu, gdzie płodzili się między sobą, a mogli wyjść tylko z grzechotką w dłoni, czy byli oni winni zanieczyszczenia wody? Bo latem 1321 roku zostały zatrute w wielu miejscach źródła, studnie i wodotryski. A lud Francji w tym roku dyszał spragniony nad obfitymi rzekami lub pił z bezmierną trwogą, oczekując agonii po każdym łyku. Czy Zakon przyłożył rękę do osobliwych trucizn - sporządzonych z ludzkiej krwi, moczu, magicznych ziół, głów jadowitych węzów, odnóży rozgniecionych ropuch, przekłutych hostii i uwłosienia rozpusznic - które, jak zapewniano, były wrzucane do wody? Czy pchnął do buntu lud przeklęty, podszeptując mu wolę - jak zeznawali na mękach niektórzy trędowaci - by wyginęli wszyscy chrześcijanie albo jak i oni stali się trędowaci?

Sprawa wybuchła w Poitou, gdzie przebywał król Filip V, wkrótce ogarnęła cały kraj. Lud ze wsi i miast runął na leprozoria, by wykończyć chorych, którzy stali się nagle publicznym wrogiem. Oszczędzono wyłącznie ciężarne kobiety, lecz tylko aż do momentu odstawienia oseska od piersi. Po czym wrzucano je w płomienie. Królewscy sędziowie osłaniali wyrokami owe hekatombę, a rycerstwo użyczało swych zbrojnych.

Potem raz jeszcze zwrócono się przeciw Żydom, oskarżonym o zawiązanie rozgałęzionego, podejrzanego spisku - jak powiadano - za podszeptem mauretańskich królów Grenady i Tunisu. Rzekłoby się, że Francja usiłuje w olbrzymich, ludzkich ofiarach uciszyć swe cierpienie i trwożę.

W Akwitanii wiatr był przesycony straszliwym swądem stosów. W Chinon wszystkich z okręgu Żydów wrzucono do wielkiej, ognistej fosy; W Paryżu zostali spaleni na wyspie, która nosiła ich smutne imię, naprzeciw królewskiego zamku, tam gdzie Jakub de Molay wypowiedział swe brzemiennie w skutki przekleństwo.

Król zaś umarł. Umarł z gorączki i przeszywającego bólu wnętrza,

której to choroby nabawił się w Poitou, w swej lennei ziemi; umarł, wypiwszy wodę we własnym królestwie. Gasł pięć miesięcy w najgorszych cierpieniach, wychudzony jak szkielet.

Co rano w opactwie Longchamp - dokąd kazał się przenieść - kazał otwierać drzwi swej izby, by dopuścić aż do łoża wszystkich przechodniów i móc im powiedzieć: „Patrzcie, czym jest król Francji, wasz najwyższy suzeren, najbiedniejszy człowiek w całym królestwie, bo nie ma ani jednego wśród was, z którym nie chciałbym się zamienić losem. Moje dzieci, przyjrzyjcie się waszemu doczesnemu księciu i skierujcie myśl ku Bogu, widząc, jak mu się podoba igrać ze stworzeniami tego świata”.

W 1322 roku, nazajutrz po Trzech Królach, zwłoki jego spoczęły obok kości przodków w opactwie Saint-Denis i nikt go nie opłakiwał oprócz żony.

Jednakże był królem bardzo mądrym, dbałym o dobro publiczne. Ogłosił, że wszystkie dobra królewskie stanowią nierozłączną całość; ujedynolicoł pieniądze, wagi i miary, zreorganizował sądownictwo, by wydawało sprawiedliwsze wyroki, zabronił gromadzenia stanowisk publicznych w jednym ręku, a prałatom zasiadania w Parlamencie, obdarzył finanse odrębną administracją. Zawdzięcza się - również jemu dalszy postęp w wykupie niewolnych. Pragnął, aby niewola całkiem znikła w jego państwie, chciał rządzić ludźmi cieszącymi się „prawdziwą wolnością”, takimi, jak stworzyła ich natura. Unikał wojennych pokus, zniósł liczne załogi wewnątrz kraju, aby wzmocnić nadgraniczne warownie, zawsze wolał układy niż głupie wyprawy. Niewątpliwie było jeszcze za wcześnie, by lud uznał, że sprawiedliwość i pokój wymagają ciężkich ofiar pieniężnych. Pytano: „Na co poszły dochody, dziesięciny i annaty, i subwencje Lombardów oraz Żydów, skoro skąpiej rozdziela się jałmużnę, nie urządza wypraw, nie wznosi budowli? Gdzie się to wszystko rozplynęło?”

Możni baronowie, na razie ulegli, a niekiedy z powodu zamieszek na wsi gromadzący się ze strachu wokół monarchy, cierpliwie oczekiwali godziny odwetu i spokojnym okiem przyglądali się agonii młodego króla, którego nie miłowali.

Filip V Długi, jedyny człowiek wyprzedzający swą epokę, przeminął nie zrozumiany przez ogół.

Pozostawił tylko córki; „prawo mężczyzn”, które ogłosił na własny użytek, odsuwało je od tronu. Korona przypadła młodszemu bratu, Karolowi de la Marche; równie miernego rozumu, jak pięknej twarzy. Potężny hrabia de Valois, hrabia Robert d'Artois, wszyscy kuzyni Kapetyngów i feudalna reakcja ponownie widzieli się triumfatorami. Nareszcie znów można było mówić o wyprawie krzyżowej, mieszać się do intryg w Cesarstwie, spekulować na kursie pieniądza i przyglądać się z drwiną kłopotom w królestwie Anglii.

Tam król, lekkomyślny, zdradliwy, nieudolny, pod wpływem miłosnej pasji do swego faworyta walczy z baronami, z biskupami; on również zrasza ziemię swego królestwa krwią poddanych.

Tam księżniczka z Francji żyje jako upokorzona kobieta, jako wyszydzana królowa, drży o swe życie, spiskuje, by się uratować, i marzy

o zemście.

Zdaje się, że Izabela, córka Króla z Żelaza i siostra Karola IV Francuskiego, przeniosła na drugi brzeg kanału La Manche przekleństwo templariuszy...





## CZĘŚĆ PIERWSZA

# Znad Tamizy ku Garonnie



### I

## „Nie umkniesz z londyńskiej wieży”

**O**lbrzymi kruk, czarny i lśniący, potworny, prawie tak tłusty jak gęś, dreptał przed okienkiem. Niekiedy przystawał z opuszczonym skrzydłem, przymknawszy powiekę na okrągłym oku, udając drzemkę. Potem zmienacka wysuwał dziób i doskakiwał do oczu mężczyzny, błyszczących za okienną kratą. Te szare oczy barwy krzemienia jakby nęciły ptaka. Ale więzień był żwawszy i już cofnął twarz. Kruk przeto znów jął się przechadzać krótkim, ociężałym skokiem.

Z kolei mężczyzna wychylił za okienko rękę, piękną, dużą, długą i nerwową, powolutku ją wysuwał, aż znieruchomiła, upodobniwszy się do gałęzi leżącej na ziemi i czekała chwili, by capnąć kruka za szyję.

Ptak, mimo swych wymiarów, równie szybki uskoczył pokrakując ochryple.

- Uważaj, Edwardzie, uważaj - mruknął człowiek zza kraty - któregoś dnia zaduszę cię wreszcie.

Więzień bowiem nadał posepnemu krukowi imię swego wroga, króla Anglii.

Osiemnaście miesięcy trwała ta zabawa, osiemnaście miesięcy kruk godził w oczy więźnia, osiemnaście miesięcy więzień usiłował zadusić czarnego ptaka, osiemnaście miesięcy Roger Mortimer, ósmy baron na Wigmore, możny władca Marchii, Walii i eks-namiestnik króla w Irlandii był więziony w londyńskiej wieży wraz ze swym stryjem, Rogerem Mortimerem na Chirk, byłym Wielkim Sędzią Walii. Zwyczaj wymagał, aby tak dostojnym więźniom, przynależnym do najstarszej w królestwie szlachty, przydzielono przyzwoite pomieszczenie. Lecz król Edward II - gdy w styczniu 1322 roku, pokonawszy w bitwie pod Shrewsbury zbuntowanych baronów, wziął do niewoli obu Mortimerów - wyznaczył im tę wąską, niską ciemnicę z okienkiem tuż nad ziemią, a znajdującą się na prawo od Dzwonnicy w nowych budynkach, które właśnie ukończył wznosić. Zmuszony pod naciskiem dworu, biskupów, a nawet ludu zmienić na dożywotnie więzienie karę śmierci, na którą uprzednio skazał

Mortimerów, król spodziewał się, że ta niezdrowa cela, piwnica, gdzie czoło dotykało powały, spełni w szybkim czasie rolę kata.

Istotnie, trzydziestosześcioletni Roger Mortimer na Wigmore wytrzymał takie więzienie; natomiast osiemnaście miesięcy mgły, która wciskała się przez okienko, lub wody ściekającej po ścianach, lub gęstego nieruchomego zaduchu w głębi tej jamy w czasie upałów zdawało się dobijać starego lorda z Chirk. Tracił włosy, tracił zęby, z opuchniętymi nogami, rękoma wykręconymi przez reumatyzm, starszy z Mortimerów prawie nie opuszczał dębowej deski, służącej mu za łożo, podczas gdy jego bratanek przywierał do okienka, kierując wzrok ku światłu.

Drugie już lato spędzali w tym zamknięciu. Już od dwóch godzin słońce wzeszło było nad najświetniejszą twierdzą Anglii, sercem królestwa i symbolem potęgi jej władców, nad zbudowaną przez Wilhelma Zdobywcę Białą Wieżą osadzoną na fundamentach dawnego *castrum romanum*,<sup>\*</sup> nad olbrzymią czworokątną wieżą, lekką mimo kolosalnych wymiarów, nad wieżami w zębatym murze wzniesionym przez Ryszarda Lwie Serce, nad rezydencją króla, kaplicą Świętego Piotra, nad bramą Zdrajców. Dzień będzie upalny, nawet duszny jak wczoraj; zapowiadało to słońce różowiące głazy, a także mdły zapach mułu, płynący z rowów i pobliskiej Tamizy, której fale omywały wały nad fosami.<sup>\*\* 1</sup>

Kruk Edward dołączył się do pozostałych olbrzymich kruków tkwiących na trawniku o ponurej sławie, na Green, tam gdzie ustawiano szafot w dni wykonywania kary głównej; ptaki dziobały tu trawę wyrosłą na krwi szkockich patriotów, zbrodniarzy stanu, lub popadłych w niełaskę faworytów.

Green był przystrzygany; wymiatano brukowane drogi nie płosząc ptaków; nikt by nie śmiał tknąć tych bestii chronionych mglistym przesądem, a zamieszkałych tu od niepamiętnych czasów.

Wartownicy wychodzili z koszar, dopinali w pośpiechu pasy czy kamasze, wkładali żelazne kapelusze i gromadzili się na codzienny przemarsz, który tego ranka nabierał szczególnego znaczenia: 1 sierpnia był dniem świętego Piotra z Liens, patrona kaplicy, oraz dorocznym świętem twierdzy Tower.

W niskich drzwiach celi zgrzytnęły zamki. Dozorca-klucznik rozwarł drzwi, spojrzął do wnętrza i wpuścił balwierza. Człowiek ten miał małe oczy, nos długi, krągłe usta; przychodził raz w tygodniu, by golić Rogera Mortimera młodszego. W zimowych miesiącach zabieg ten był męką dla więźnia, bo konstabl Stefan Seagrave, komendant Tower,<sup>2</sup> postanowił:

- Jeśli lord Mortimer chce nadal być golony, będę mu przysyłał balwierza, ale nie jestem obowiązany dostarczać mu gorącej wody.

Lord Mortimer trzymał się dzielnie, po pierwsze by przeciwstawić się konstablowi, po drugie dlatego, że jego obrzydły wróg, król Edward, nosił ładną blond brodę, wreszcie i przede wszystkim ze względu na siebie - wiedział bowiem, że jeśli w tym ustąpi, to zacznie się pogrążyć stopniowo

---

\* warowny obóz rzymski.

\*\* Cyfry w tekście oznaczają odsyłacze do *Not historycznych* na końcu tomu, gdzie czytelnik znajdzie również *Noty biograficzne*. W nawiasach kwadratowych - przypisy tłumacza.



w fizyczny upadek. Miał przed oczami przykład stryja, który już całkiem o siebie nie dbał. Z zarośniętym podbródkiem, kosmykami wokół czaszki lord Chirk po osiemnastu miesiącach więzienia wyglądał jak anachoreta i wciąż uskarżał się na rozliczne dolegliwości, które go gnębiły.

- Tylko te bóle mego biednego ciała - mawiał - przypominają mi, że jeszcze żyję.

Przeto tydzień po tygodniu młody Mortimer przyjmował odwiedziny balwierzka Ogle'a nawet wtedy, gdy musiał łamać lód w misce, a brzytwa zostawiała mu na policzkach krwawe ślady. Otrzymał nagrodę, bo spostrzegł po kilku miesiącach, że Ogle może mu posłużyć za łącznika ze światem. Człowiek ów miał dziwną duszę; był chciwy a zdolny do przywiązania; cierpiał z powodu podrzędnej funkcji, niewspółmiernej jego zdaniem do zasług; spisek dawał mu sposobność do tajemnego odwetu i odzyskania godności we własnych oczach, bo uczestniczył w tajemnicach wielkiego feudała. Baron na Wigmore z pewnością był najszlachetniejszym człowiekiem - tak z rodu jak i charakteru - do którego kiedykolwiek się zbliżył. Zresztą więzień, który upiera się przy goleniu nawet w mróz, zasługuje na wielki podziw!

Dzięki balwierzowi Mortimer nawiązał łączność nie częstą, lecz regularną, ze swymi zwolennikami, zwłaszcza zaś z Adamem Orletonem, biskupem Herefordu; za pośrednictwem balwierzka dowiedział się też, że namiestnika Tower, Gerarda Alspaye'a, można pozyskać dla sprawy; wreszcie, wciąż przy pomocy balwierzka, powoli opracował plan ucieczki. Biskup zapewniał, że będzie wolny latem. A lato już nadeszło...

Od czasu do czasu dozorca spozierał przez judasza we drzwiach bez szczególnej podejrzliwości, po prostu przez zawodowy nawyk.

Więzień z drewnianą miską pod brodą - czy kiedykolwiek odzyska kowaną z cienkiego srebra miseczkę, którą się ongi posługiwał? - słuchał konwencjonalnych zdań, które wypowiadał doń balwierz bardzo głośno, by zmylić uwagę: słońce, lato, upał... Rzecz godna uwagi, zawsze jest piękna pogoda w dzień świętego Piotra...

Pochylając się niżej nad brzytwą, Ogle szepnął:

- *Be ready tonight, my lord.*\*

Mortimer nie drgnął. Tylko pod krzaczastymi brwiami jego oczy barwy krzemienia zwróciły się ku małym, czarnym ślepkom balwierzka. Ów potwierdził przymknięciem powiek.

- Alspaye?... - szepnął Mortimer.

- *He'll go with us*\*\* - odpowiedział balwierz przechodząc do golenia drugiego policzka.

- *The Bishop?*\*\*\* ... - jeszcze spytał więzień.

- *He'll be waiting for you outside, after dark*\*\*\*\* - rzekł balwierz i wnet bardzo głośno jął mówić o słońcu, szykującej się paradzie, grach, które nastąpią po południu...

Po ogoleniu Mortimer opłukał twarz i wytarł ręcznikiem, nawet nie

---

\* Bądźcie gotowi dziś wieczór, Jaśnie Panie.

\*\* Pójdzie z nami.

\*\*\* Biskup?

\*\*\*\* Będzie na was czekał na zewnątrz, gdy mrok zapadnie.

czując dotyku płótna.

Gdy balwierz Ogle odszedł wraz z klucznikiem, więzień oburącz ścisnął pierś i zaczerpnął głęboki łyk powietrza. Hamował się, by nie krzyknąć: „Bądźcie gotowi dziś wieczór”. Słowa te dźwięczały mu w uszach. Czy można się spodziewać, że to nastąpi dziś wieczór - nareszcie?

Zbliżył się do barłogu, gdzie drzemał towarzysz celi.

- Stryju - rzekł - to nastąpi dziś wieczór.

Stary lord na Chirk obrócił się z jękiem i podniósłszy na bratanka wypłowiałe oczy, lśniące w mroku celi zielonkawym światłem, odrzekł wymęczony:

- Z londyńskiej wieży nie umkniesz, mój chłopcze. Ani ty, ani nikt... Ani dziś wieczór, ani kiedykolwiek.

Młody Mortimer poruszył się rozdrażniony: Po co to uparte zaprzeczanie, odmowa ryzyka ze strony człowieka, który, w najgorszym razie, miał już tak mało dni do stracenia? Zacisnął wargi, by nie wybuchnąć. Obawiali się podsłuchu, mimo że jak cały dwór i szlachta rozmawiali po francusku, podczas gdy służba, żołnierze i pospólstwo mówiło po angielsku.

Mortimer powrócił do okienka i spojrzał w górę na paradę z zapierającym dech uczuciem, że może ją ogląda po raz ostatni.

Na wysokości jego oczu maszerowały tam i z powrotem żołnierskie kamasze, grube, skórzane trzewiki biły w bruk. I lord Mortimer na Wigmore nie mógł powstrzymać podziwu na widok precyzyjnych zwrotów łuczników, tych właśnie znakomitych, angielskich łuczników, najlepszych w Europie, którzy wypuszczali aż do tuzina strzał na minutę.

Pośrodku Green namiestnik Alspaye, sztywny jak kołek, wykrzykiwał w głos rozkazy i prezentował konstablowi załogę. Trudno zrozumieć, dlaczego zgodził się zdradzić ten wysoki młodzieniec, jasnowłosy i różowy, taki służbista, taki gorliwiec w musztrze. Musiały kierować nim inne pobudki, nie tylko urok pieniądza. Gerard Alspaye, namiestnik w londyńskiej wieży, pragnął, jak wielu oficerów, szeryfów, biskupów i feudałów, widzieć Anglię wolną od łotrowskich ministrów, którzy otaczali króla; młodość w nim parła do odegrania roli bohatera, a w dodatku nienawidził swego przełożonego konstabla Seagrave'a i nim gardził.

Konstabl, jednooki, z obwisłymi policzkami, pijus i niedbaluch, zawdzięczał swe wysokie stanowisko właśnie poparciu tych łotrowskich ministrów. Jawnie uprawiając obyczaje, jakie król Edward wiódł na dworze, ochoczo posługiwał się załogą jako swym haremem. Upodobania ciągnęły go raczej do wysokich blondynów, przeto życie namiestnika Alspaye'a wielce praktykującego pobożność i czystość stało się prawdziwym piekłem. Odparłszy ongiś tkliwe ataki konstabla, Alspaye musiał teraz znosić stałe prześladowania. Jednooki lubował się w okrucieństwach, nawet w tej chwili lustrując załogę doskwierał swemu zastępcy wulgarnymi kpinami za byle błahostkę, brak linii w szeregu, za plamkę rdzy na żelazie puginału, nieznaczne rozprucie w skórzanym kołczanie. Jego jedyne oko wypatrywało tylko uchybienia.

Mimo że był to dzień darowywania kar, konstabl natychmiast wydał rozkaz wychłostania trzech żołnierzy za zły stan rynsztunku. Sierżant

skoczył po różgi. Trzech ukaranych musiało spuścić pludry przed swymi towarzyszami stojącymi w szeregu. Konstabl wydawał się bardzo zadowolony z widowiska.

- Jeżeli załoga będzie nadal tak zaniedbana, następnym razem kara spadnie na was, Alspaye - powiedział.

Później cała załoga, prócz warty, udała się do kaplicy, by wysłuchać mszy i odśpiewać psalmy.

Fałszywe, szorstkie głosy docierały aż do więźnia, czuwającego za okienkiem. „Bądźcie gotowi dziś wieczór, Jaśnie Panie...” Były przedstawiciel króla w Irlandii bezustannie myślał, że może dziś wieczór będzie wolny. Cały dzień oczekiwania, nadziei i lęku. Lęku, żeby Ogle nie popełnił jakiegoś głupstwa w realizacji obmyślanego planu; lęku, żeby na Alspaye’a w ostatniej chwili nie naszło poczucie obowiązku... cały dzień przewidywania wszelkich możliwych przeszkód, wszelkich przypadkowych czynników, mogących udaremnić ucieczkę.

„Lepiej o tym nie myśleć - powiedział sobie - i wierzyć, że wszystko się uda. Zawsze wypadki zdarzają się inaczej, aniżeli przedtem się wyobrażało!” Lecz myśli wciąż mu nawracały do tych samych wątpliwości: „Wartownicy będą czuwać na ronce...”

Nagle odskoczył w tył. Kruk zbliżył się cichcem wzdłuż muru i tym razem mało nie dosięgnął oka więźnia.

- Och! Edwardzie, Edwardzie, teraz to już za wiele - wycedził Mortimer.  
- Dzisiaj jeden z nas będzie górą.

Załoga opuściła kaplicę i weszła do refektarza na tradycyjną wyzerkę.

Dozorca pojawił się na progu celi, a za nim strażnik z codziennym posiłkiem dla więźniów. Fasolowa polewka wyjątkowo była okraszona odrobiną baraniny.

- Postarajcie się powstać, stryju - rzekł Mortimer.

- I znów nas pozbawili mszy jak wyklętych! - westchnął stary lord nie ruszając się z wyrka.

Klucznik odszedł. Nikt nie odwiedzi więźniów aż do wieczora.

- Stryju, naprawdę nie chcecie mi towarzyszyć? - zapytał Mortimer.

- Towarzyszyć tobie, dokąd, mój chłopcze? - odparł lord na Chirk. - Powtarzam ci, nikt nie uciekł z Tower. Nikt tego nie dopiął. Ponadto, przeciw swemu królowi buntować się nie należy. Edward na pewno nie jest najlepszym królem, jakiego miała Anglia, a jego dwóch Despenserów bardzo zasługuje, aby zająć nasze miejsca. Ale króla nie wybiera się, jemu się służy. Nigdy nie powinienem był was słuchać, Tomasza Lancastera i ciebie, kiedy chwyciliście za broń. Bo Tomasza ścięli, a my, oto gdzie jesteśmy...

Nadeszła pora, gdy połknąwszy kilka łyków, zgadzał się przemawiać monotonnym i zmęczonym głosem, aby przeżuwać zresztą te same zdania, których bratanek wysłuchiwał już od osiemnastu miesięcy.

W sześćdziesięciosiedmioletnim Mortimerze Starszym nie pozostało śladu z pięknego mężczyzny ani dawnego wielkiego pana słynnego z legendarnych turniejów, jakie wydawał w zamku Kenilworth, a o których jeszcze mówiły trzy pokolenia. Na próżno bratanek usiłował wykrzesać iskrę w sercu wyczerpanego starca.

- Po pierwsze nie uniosą mnie nogi - dorzucił.

- Czemu nie próbujecie? Opuśćcie łoże. A zresztą powiedziałem wam, że was poniosę.

- Otóż to! Przeniesiesz mnie nad murem, a później przez wodę, przecież nie umiem pływać. Zaniesiesz moją głowę na szafot, a razem z nią i swoją własną. Bóg może działa, aby nas uwolnić, a ty wszystko zniszczysz tym szaleństwem, przy jakim się upierasz. Wciąż się to powtarza, w krwi Mortimerów tkwi bunt. Przypomnij sobie pierwszego Rogera z naszego rodu, syna biskupa i córki króla Herfasta. Pod murami swego zamku Mortemer-en-Bray<sup>3</sup> pobił on wojska króla Francji. A jednak tak dotkliwie obraził swego kuzyna Zdobywcę, że zabrano mu wszystkie włości i dobra...

Roger Mortimer na Wigmore usiadł na stołku, skrzyżował ramiona, zamknął oczy i odchylił się nieco w tył, by oprzeć się plecami o ścianę. Musiał znieść codzienne wywoływania przodków, wysłuchać Rogera Mortimera na Chirk, który po raz setny opowiadał, jak Ralf Brodac, syn pierwszego Rogera, wylądował w Anglii u boku diuka Wilhelma, jak otrzymał w lenno Wigmore i z jakich to powodów odtąd Mortimerowie władali czterema hrabstwami.

Z refektarza dochodziły pijackie piosenki, które żołnierze wyrzaskiwali pod koniec posiłku.

- Łaski, stryju - wykrzyknął Mortimer młodszy - pozostawcie na chwilę naszych pradziadów. Nie spieszo mi, jak wam, by ich spotkać. Tak, wiem, że pochodzimy od królów. Ale krew królewska niewiele znaczy w więzieniu. Czy uwolni nas miecz Herfasta Duńskiego? Gdzie są nasze włości, do czego nam potrzebne nasze dochody w tym lochu? A jeśli nawet powtórzycie mi imiona naszych prababek: Hedwigi, Melizandy, Matyldy Skapicy, Walcheliny z Ferres, Gladuzy z Braose, czy to jedyne kobiety, o których mam marzyć aż do ostatniego tchu?

Mortimer na Chirk zamilkł na chwilę oburzony, przypatrując się bezmyślnie obumarłej dłoni o niepomiernie długich i wyszczerbionych paznokciach. Później rzekł:

- Każdy, jak może, zabija czas w więzieniu, starzy minioną przeszłością, młodzi jutrem, którego nie zobaczą. Ty mi bajasz, że cała Anglia cię miłuje i pracuje dla ciebie, że biskup Orleton jest twoim wiernym przyjacielem, że sama królowa zabiega, by cię ocalić, i że zaraz odjedziesz do Francji, Akwitanii, Prowansji, nie wiadomo dokąd? I że na twej drodze dzwony będą biły na powitanie. Ale zobaczysz, dziś wieczorem nikt się nie pojawi.

Znużonym gestem przesunął palcami po powiekach, później obrócił się do ściany.

Mortimer młodszy wrócił do okienka, wsunął rękę między kraty i położył ją jak martwą na ziemi.

„Stryj teraz podrzemie do wieczora - pomyślał. - A później zdecyduje się w ostatniej chwili. Istotnie, nie pójdzie z nim tak łatwo; czy nie udaremni nam ucieczki?... Ach! Oto Edward.”

Ptak zatrzymał się w pobliżu bezwładnej ręki i ocierał o nóżkę czarny, gruby dziób.

„Jeżeli go zaduszę, ucieczka się uda... Jeżeli chybię, nie zbiegnę.”

To już nie była zabawa, lecz zakład z losem. Chcąc wypełnić czas oczekiwania, zagłuszyć niepokój, więzień musiał wynajdywać sobie wróżby i śledził olbrzymiego ptaka okiem łowcy. Lecz ów odskoczył jakby przeczuwając niebezpieczeństwo.

Żołnierze z wesołymi twarzami wyszli z refektarza. Małymi grupkami rozeszli się po podwórzu, aby zabawiać się w gry, ścigać i mocować jak było świątecznym zwyczajem. W ciągu dwóch godzin, obnażeni do pasa, będą się pocili w słońcu, współzawodnicząc w sile, by położyć jeden drugiego na ziemi lub rzucać maczugą w drewniany kołek.

Rozległo się wołanie konstabla:

- Nagroda króla! Kto wygra? Jeden szyling!<sup>4</sup>

Później, o zmierzchu, ludzie poszli myć się do studni i, bardziej hałaśliwi niż rano, omawiali swe sukcesy i przegrane, wrócili do refektarza na ponowne raczenie się jadłem i napojem. Kto się nie upił w dzień świętego Piotra z Liens, zasługiwał na pogardę towarzyszy! Mrok zstępował na podwórze, błękitny mrok letniego wieczoru, zapach mułu znad fos i rzeki stawał się przenikliwszy.

Nagle wściekle, ochryple, przeciągłe kraknięcie, jeden z tych zwierzęcych okrzyków, jakie przykrym uczuciem napełniają ludzi, rozdarło powietrze przed okienkiem.

- Co tam? - z głębi celi spytał stary lord z Chirk.

- Chybiłem go - odparł bratanek. - Zamiast za szyję chwyciłem za skrzydło.

Trzymał w palcach kilka czarnych piór i ze smutkiem oglądał je w szarawym zmierzchu. Kruk znikł, by już nie powrócić.

„Dziecinne błżeństwo nadawać temu takie znaczenie - rozmyślał Mortimer młodszy. - Jazda, pora się zbliża.” Lecz dręczyło go złe przecucie.

Z ponurych myśli wyrwała go osobliwa cisza, jaka od kilku chwil zapanowała w Tower. Żaden szmer nie dochodził już z refektarza. Zamilkły głosy pijaków; ustał brzęk tac i kubków. Słyszać było tylko szczekanie gdzieś w ogrodach i dalekie wołanie marynarza na Tamizie... Czy zwietrzono spisek Alspaye'a, a ta cisza w twierdzy czy nie wynika z osłupienia, jakie następuje po wykryciu tak wielkiej zdrady?

Z czołem przylepionym do okiennej kraty, powstrzymując oddech, więzień śledził mrok i najcichsze szmery. Łucznik zataczając się przeszedł przez podwórze, później zwymiotował pod murem, legł na ziemię i już się nie ruszył. Mortimer dostrzegał nieruchomą postać na trawie. Wzeszły już na niebie pierwsze gwiazdy. Noc zapowiadała się jasna.

Jeszcze dwóch żołnierzy trzymając się za brzuchy wyszło z refektarza i padło u stóp drzewa. To nie jest zwykłe pijaństwo, które tak ścina ludzi jakby powalonych kijem.

Mortimer z Wigmore po omacku poszukał w kącie celi butów i je wciągnął; łatwo weszły, bo nogi schudły.

- Co robisz, Rogerze? - spytał Mortimer z Chirk.

- Szykuję się, stryju, chwila nadchodzi. Zdaje się, że nasz przyjaciel Alspaye wszystko dobrze urządził; rzekłbyś, że cała twierdza wymarła.

- To prawda, nie przynieśli nam drugiego posiłku - zauważył stary lord z

odcieniem niepokoju.

Roger Mortimer wpychał koszulę w pludry, zapinał pas na bojowej szacie. Odzież jego była zniszczona, zmięta, bo od osiemnastu miesięcy odmawiano mu nowej i nosił strój do bitwy, jaki zachował po zdjęciu pogiętej zbroi, gdy hełm zranił mu dolną wargę.

- Jeśli ci się uda, pozostanę sam i cała zemsta spadnie na mnie - dodał lord z Chirk.

Było sporo egoizmu w próżnym uporze starca, by odwieść bratanka od ucieczki.

- Słuchajcie, stryju, już idą. Tym razem wstawajcie.

Kroki zadźwięczały na kamiennych flizach, zbliżały się do drzwi. Odezwał się głos:

- Milordzie!

- To ty, Alspaye?

- Tak, Milordzie, ale nie mam klucza. Wasz dozorca spił się, zgubił cały pęk kluczy; w tym stanie, w jakim jest, nic nie można zeń wydobyć. Szukałem wszędzie.

Z wyrka, gdzie spoczywał lord z Chirk rozległ się chichot.

Mortimer młodszy zawiedziony zaklął. Czy Alspaye skłamał, zląkszy się w ostatniej chwili? Lecz dlaczego w takim razie przyszedł? Czy też to głupi przypadek, ten właśnie pech, który przez cały dzień więzień usiłował sobie wyobrazić, wydarzył się w tej oto postaci?

- Wszystko gotowe, Milordzie, zapewniam was - ciągnął dalej Alspaye. - Proszek od biskupa, zmieszany z winem, działał cuda. Mieli już dobrze w czubach i nic nie zauważyli. Teraz wszyscy leżą spici jak bele. Sznury przygotowane, barka na was czeka, ale nie mam klucza.

- Jaki czas nam pozostaje?

- Straże nie powinny się zaniepokoić przed dobrą pół godziną. One też biesiadowały przed służbą.

- Kto ci towarzyszy?

- Ogle.

- Poślij go po maczugę, klin, lewar i wysadźcie kamienie.

- Idę z nim i zaraz wracam.

Obaj mężczyźni poszli. Roger Mortimer mierzył czas uderzeniami serca. I to z powodu zagubionego klucza!... Wystarczy, żeby wartownik pod jakim bądź pozorem opuścił wartę, a wszystko przepadnie... Nawet stary lord milczał i z głębi ciemnicy dochodził jego utrudzony oddech.

Niebawem smuga światła przesaczyła się pod drzwiami. Alspaye wrócił z balwierzem, który niósł świecę i narzędzia. Uderzyli w kamienny mur, zasuwkowy zamek tkwił w nim na dwa cale. Usiłowali stłumić uderzenia; ale i tak mieli wrażenie, że echo się roznosi po całej twierdzy Tower. Odpryski kamienia padały na ziemię. Wreszcie kamień runął i drzwi się otworzyły.

- Spieszcie się, Milordzie - rzekł Alspaye.

Jego różowa twarz, oświetlona świecą, była pokryta potem, a ręce drżały.

Roger Mortimer na Wigmore podszedł do stryja i pochylił się nad nim.

- Nie, sam idź, mój chłopcze - rzekł Mortimer z Chirk - trzeba, żebyś

uciekł. Niech Bóg cię strzeże. I nie miej mi za złe mej starości.

Przyciągnął bratanka za rękaw, nakreślił mu kciukiem na czole znak krzyża.

- Pomścij nas, Rogerze - jeszcze szepnął.

I Roger Mortimer na Wigmore schylając się wyszedł z celi.

- Którędy idziemy? - spytał.

- Przez kuchnie - odpowiedział Alspaye.

Namiestnik, balwierz i więzień wstąpili na kilka schodów, przeszli przez korytarz, minęli kilka ciemnych izb.

- Czy masz broń, Alspaye? - nagle szepnął Mortimer.

- Mam mizerykordię.

- Tam stoi człowiek.

Jakaś postać stała przy ścianie i Mortimer dostrzegł ją pierwszy. Balwierz osłonił dłonią wąty płomyk świecy; namiestnik wydobył sztylet; szli bardzo powoli.

Mężczyzna w mroku nie ruszał się. Ramiona i ręce przytulił do muru, nogi rozstawił i stał jakby z trudem.

- To Seagrave - rzekł namiestnik.

Jednooki konstabl, pojawiający się, że dosypano jemu i załodze czegoś do wina, zdołał tu dotrzeć i walczył z nieprzewycięzalnym zamroczeniem. Widział, że więzień ucieka; widział, że namiestnik go zdradza, lecz z ust mu się nie wydobywał żaden dźwięk, członki odmawiały posłuszeństwa, a w jedynym oku, pod ociężałą powieką, można było wyczytać przedśmiertną trwożę. Namiestnik uderzył go pięścią prosto w twarz; głowa stuknęła o kamień, a ciało się osunęło.

Trzej mężczyźni minęli drzwi wielkiego refektarza, gdzie kopciły pochodnie. Cała załoga była uśpiona. Wpół leżąc na stołach, zwaleni na ławy, nawet rozciągnięci na gołej ziemi, łucznicy w dziwacznych pozach chrapali z rozwartymi gębami, jakby jakiś czarodziej pograżył ich w stuletni sen. Taki sam widok w kuchniach oświetlonych żarem czerwieniejącym pod kotłami, gdzie zawisł ciężki odór smażenia. Markietani również pociągnęli wina z Akwitanii, do którego balwierz Ogle wsypał narkotyk; z brzuchem do góry, rozrzuconymi rękami, jedni leżeli koło podpór, ci przy workach, tamci między konwiami. Jedyne ruszał się kot, obżarty surowym mięsem, i ostrożną łapką stapał po stołach.

- Tędy, Milordzie - rzekł namiestnik, wiodąc więźnia ku komórcie, której używano jako latryny i zlewu do pomyj.

W tej komórcie znajdowało się okienko, jedyny otwór, przez który człowiek mógł się prześliznąć.<sup>5</sup>

Ogle przyniósł sznurową drabinę, którą schował był w skrzyni i przysunął stół. Drabinę umocowali do listwy okiennej; namiestnik przesunął się pierwszy, później Roger Mortimer, później balwierz. Wkrótce wszyscy trzej, czepiając się drabiny, zsuwali się wzdłuż muru o wysokości trzydziestu stóp nad wodą migocącą w fosach. Księżyc jeszcze nie wzeszedł.

„Istotnie, stryj nigdy by nie zdołał uciec w ten sposób” - pomyślał Mortimer.

Obok niego poruszyła się czarna kula, szeleszcząc piórami. Był to wielki

kruk, zamieszkały w strzelnicy i zbudzony ze snu. Mortimer instynktownie wyciągnął rękę, zanurzył ją w ciepłych piórach, odnalazł szyję ptaka, który wydał długi, bolesny, prawie ludzki okrzyk, zbieg ścisnął go ze wszystkich sił, przekręcając rękę aż wyczuł pod palcami chrzęst kości. Ptak z pluskiem spadł do wody.

- *Who goes there?*\* - natychmiast zakrzyknął wartownik i hełm wychylił się znad blanków u szczytu dzwonnicy.

Trzej zbiegowie, przyczepieni do sznurowej drabiny, przywarli do muru.

„Po com to zrobił - myślał Mortimer - co za licho mnie skusiło? I tak dość ryzyka, po co jeszcze dokładać?”

Ale wartownik, uspokojony ciszą, podjął obchód i usłyszeli odgłos kroków cichnący w mroku.

Nadal się opuszczali. O tej porze roku woda w fosie była niegłęboka. Trzej mężczyźni z wolna zanurzyli się po ramiona i poszli wzdłuż podmurówki warowni. Opierając się ręką o kamienny rzymski wał, obeszlili Dzwonnicę, a później starając się iść jak najciszej, przecięli fosę. Pagórek był mulisty i oślizgły. Zbiegowie wczołgali się na brzuchach, wzajem sobie pomagając, po czym pochyleni pobiegli aż na brzeg rzeki. Tu czekała na nich barka ukryta w zaroślach. Dwaj wiosłarze stali przy wiosłach; w tyle łodzi siedział mężczyzna owinięty wielką, ciemną opończą; kaptur z nausznikami okrywał mu głowę. Trzykrotnie cicho zagwizdał. Zbiegowie wskoczyli do barki.

- Milordzie Mortimerze - wyciągając dłonie rzekł mężczyzna w opończy.

- Przewielebny Biskupie - czyniąc ten sam gest odparł zbieg.

Palce jego dotknęły wypukłego kamienia w pierścieniu i pochylił doń usta.

- *Go ahead, quickly!*\*\* - rozkazał wiosłarzom prałat.

I wiosła zanurzyły się w wodę.

Adam Orleton, wbrew woli króla mianowany przez papieża biskupem w diecezji Hereford, wódz opozycyjnego skrzydła duchowieństwa, wyciągnął z więzienia najznakomitszego w królestwie feudała. Orleton bowiem wszystko zorganizował, wszystko przygotował, zwiódł Alspaye'a zapewniając go, że zdobędzie zarazem i majątek, i raj, dostarczył narkotyku, który pograżył w otepieniu całą londyńską wieżę.

- Czy wszystko dobrze poszło, Alspaye? - spytał.

- Jak najlepiej, Przewielebny - odparł namiestnik. - Ile czasu będą spali?

- Niewątpliwie dwie pełne doby... - Mam tutaj to, co wam przyrzekłem - rzekł biskup, pokazując ciężki trzos, który ukrywał pod opończą. - Dla was także, Milordzie, mam na niezbędne wydatki, przynajmniej na kilka tygodni.

W tejże chwili usłyszeli okrzyk wartownika.

- *Sound the alarm!*\*\*\*

Ale barka już daleko wypłynęła na rzekę, a okrzyki całej warty nie zdołałyby obudzić Tower.

---

\* Kto idzie?

\*\* Ruszać, szybko!

\*\*\* Dzwonić na alarm!



- Zawdzięczam wam wszystko, a przede wszystkim życie - rzekł do biskupa Mortimer.

- Poczekajcie, aż będziecie we Francji - odparł - a dopiero wówczas złożycie mi podziękowanie. Konie nas czekają na tamtym brzegu, w Bermondsey. Statek wynajęty koło Dover gotów podnieść kotwicę.

- Jedźcie ze mną?

- Nie, Milordzie, nie mam żadnego powodu uciekać. Gdy wsadzę was na okręt, wrócę do mojej diecezji.

- Czy nie boicie się o siebie, po tym coście uczynili?

- Jestem sługą Kościoła - ze szczyptą ironii odparł biskup - król mnie nienawidzi, lecz tknąć się nie waży.

Ten prałat, który gawędził na środku Tamizy głosem równie spokojnym, jakby znajdował się w swym pałacu biskupim, posiadał niebywałą odwagę i Mortimer szczerze go podziwiał.

Wioślarze siedzieli w środku barki, Alspaye i balwierz umieścili się przy dziobie.

- A królowa? - spytał Mortimer - Czyście ją ostatnio spotkali? Czy wciąż ją tak samo dręczą?

- Królowa chwilowo bawi w Yorkshire, podróżując wraz z królem, co zresztą bardzo nam ułatwiło przedsięwzięcie. Wasza małżonka...

Biskup lekko zaakcentował ostatnie słowo.

- ...wasza małżonka przed paru dniami przesłała mi wiadomości.

Mortimer uczył, że się czerwieni i dziękował ciemnościom, że kryły jego zmieszanie. Niepokoił się o królową, zanim nawet zapytał o rodzinę i własną małżonkę. Czyż w ciągu osiemnastu miesięcy więzienia nie myślał tylko o królowej Izabeli?

- Królowa pragnie dla was wszelakiego dobra - podjął biskup. - Ona właśnie dostarczyła ze swej szkatuły - nędznej szkatuły, jaką raczyli jej pozostawić nasi zacni przyjaciele Despenserowie - to, co wam przekazuję, abyście mieli za co żyć we Francji. Resztę zaś, koszty związane z Alspayem, balwierzem, końmi, statkiem, który was oczekuje, pokryła moja diecezja.

Położył rękę na ramieniu zbiega.

- Ależ jesteście przemoczeni! - dorzucił.

- Ba! - rzekł Mortimer - powiew wolności szybko mnie osuszy.

Podniósł się, zdjął szatę, koszulę i stał w środku barki z obnażonym torse. Miał piękne, krzepkie ciało, silne ramiona, długie i muskularne grzbiet. Schudł podczas niewoli, lecz nie zmniejszyło się wrażenie siły, jaką promieniował. Księżyc wychylił się, oświetlał go złotawym światłem i uwypuklał zarys piersi.

- Łaskawy dla kochanków, zgubny dla zbiegów - rzekł biskup, wskazując księżyc. - Pora była w sam raz.

Roger Mortimer czuł, jak nocny powiew, przesycony zapachem trawy i wody, głaszcze mu pierś, wślizguje między mokre włosy. Tamiza, płaska i czarna, uciekała wzdłuż barki, a wiosła unosiły złote kropelki. Zbliżał się przeciwny brzeg. Dostojny baron odwrócił się, by spojrzeć po raz ostatni na Wieżę, wysoką, potężną, opartą na fortyfikacjach, murach, wałach. „Nie uciekniesz z Tower...” Był pierwszym od wieków więźniem, który zdołał

zbiec; oceniał wagę swego czynu i wyzwanie, jakie rzucił monarszej potędze.

Z tyłu, na tle nocy, rysowało się uśpione miasto. Przy brzegu, po obu stronach rzeki, aż po most strzeżony przez wysokie wieże, wolno kołysała się gęstwina masztów na okrętach Hanzы Londyńskiej, Hanzы Teutońskiej, paryskiej kupieckiej Hanzы Rzecznej, na okrętach z całej Europy. Przywoziły one sukna z Brugii, miedź, smołę, noże, wino z Saintonge i Akwitanii, suszoną rybę, ładowały zaś dla Flandrii, Rouen, Bordeaux, Lizbony zboże, skórę, cynę, sery, a przede wszystkim wełnę, najlepszą na świecie wełnę z angielskich owiec. Po kształtach i złoceniach można było rozpoznać wielkie galery weneckie.

Ale Roger Mortimer z Wigmore już myślał o Francji. Najpierw pojedzie do swego kuzyna Jana de Fiennes i poprosi go o azyl w Artois. Wyprężył szeroko ramiona ruchem człowieka wolnego.

A biskup Orleton, który żałował, że się nie urodził ani pięknym, ani wielkim panem, patrzył z pewną zazdrością na te szorstkie, wijące się włosy, dumny podbródek, rzeźbiony tors, na to krzepkie ciało gotowe skoczyć na siodło, by uwieźć na wygnanie losy Anglii.





## II

### Urażona królowa

Czerwony kwadrat aksamitu, na którym królowa Izabela opierała wąskie stopy, wytarty był po osnowę; szerniały w czterech rogach złote żółędzie; wystrzępiły się haftowane lilie Francji i lwy Anglii. Po co zmieniać poduszkę, zamawiać inną, skoro nowa wnet się przesunie pod haftowane perłami trzewiki Hugona Despensera, kochanka króla! Królowa spoglądała na starą poduszkę, która poniewierała się na posadzkach wszystkich królewskich zamków, kilka miesięcy w Dorset, kilka w Norfolk, zimą w Warwick, a tego lata w Yorkshire, nie zagrzewając miejsca dłużej ponad trzy dni. Przed niespełna tygodniem, 1 sierpnia, dwór bawił w Cowick; wczoraj zatrzymał się w Eserick; dziś raczej obozuje niż gości w opactwie Kirkham; pojutrze wyjedzie do Lockton, do Pickering. Znów wepchnie się do skrzyń kilka zakurzonych kobierczyków, powyginaną zastawę, wymięte suknie, które stanowiły podróżną wyprawę królowej Izabeli; rozłoży się na części łoże z zasłonami, aby je gdzie indziej złożyć, łoże tak zniszczone ciąglą przewózką, iż groziło zawaleniem; sypiała na nim królowa niekiedy przyzywając swą damę dworu lady Joannę Mortimer, a niekiedy najstarszego syna, księcia Edwarda, a to z obawy, żeby jej nie zamordowano, gdy będzie sama. Despenserowie nie ważą się jednak zasztyletować jej na oczach księcia następcy tronu... I nadal przejażdżka po królestwie, po zielonych wsiach i pobyt w posepnych zamkach.

Edward II chciał, aby go poznali najskromniejsi wasale, wyobrażał sobie, że zaszczyca ich zatrzymując się u nich i kilku przyjaznymi słowami zdobywa ich wierność w walce ze Szkotami lub stronnictwem walijskim. Zaprawdę zyskałby, gdyby się rzadziej pokazywał: towarzyszył mu pewien rozgardiasz; niedbałość, z jaką mówił o sprawach państwowych, myśląc, że taka winna być obojętna postawa monarsza, bardzo urażała panów, opatów i notabli, którzy przychodzili przedłożyć mu miejscowe sprawy; poufałość, jaką okazywał swemu wszechwładnemu szambelanowi, gładząc mu rękę w czasie obrad albo mszy, jego piskliwy śmiech, hojne dary, jakimi niespodziewanie cieszył się skryba lub olśniony chłopak stajenny, potwierdzały gorszące plotki, które krążyły nawet po głębokiej prowincji, gdzie mężowie jak zawsze zdradzali żony - prawda - ale z kobietami, to zaś, co poszeptywano przed jego przyjazdem, głośno mówiono po wyjeździe. Wystarczało, aby pojawił się w blasku swej korony ten piękny mężczyzna o jasnej brodzie, lecz zniewieściałej duszy, a w proch rozpadał się splendor monarszego majestatu. Chciwi dworzanie, którzy go otaczali, dokonywali reszty.

Zbędna, bezsilna królowa asystowała przy tej poniżającej wędrówce. Targały nią sprzeczne uczucia; z jednej strony jej prawdziwie królewską naturę, nacechowaną atawizmem Kapetyngów, drażniło, oburzało, przepełniało cierpieniem to ciągłe deptanie autorytetu królewskiego, lecz

jednocześnie skrzywdzona, urażona, zagrożona małżonka cieszyła się skrycie z każdego nowego wroga, jakiego król sobie zdobywał. Nie pojmowała, jak mogła ongiś kochać lub usiłować kochać człowieka aż tak godnego pogardy, a który traktował ją w tak ohydny sposób. Dlaczego ją, wyszydzaną królową, zmuszano do uczestniczenia w tych podróżach po całym królestwie? Czy król i jego faworyt sądzą, że jej obecność kogokolwiek oszuka i nada ich związkowi niewinne pozory? A może chcieli mieć ją pod swą strażą? O ileż wolałaby pozostać w Londynie lub Windsorze, a nawet w którymś z tych zamków - jakimi pozornie ją obdarzono - aby oczekiwać zmiany losu albo po prostu starości! Bardzo żałowała zwłaszcza, że Tomasz Lancaster i Roger Mortimer z Wigmore, ci wielcy baronowie, prawdziwi mężczyźni, nie doprowadzili rebelii do zwycięskiego końca...

Podniosła prześliczne, błękitne oczy na hrabiego de Bouville, posła francuskiego dworu i rzekła półgłosem:

- Od miesiąca przyglądacie się memu życiu, panie Hugonie. Nawet was wcale nie proszę, abyście opowiedzieli o mej nędzy memu bratu czy stryjowi Valois. Oto czterech królów zmieniło się na francuskim tronie: mój ojciec, król Filip, który dla dobra korony wydał mnie za męża...

- Niech w Bogu spoczywa jego dusza, o Pani, niech w Bogu spoczywa! - z przekonaniem, lecz nie podnosząc głosu, rzekł gruby Bouville. - Nie ma na świecie człowieka, którego bym bardziej miłował lub mu służył z większą radością.

- ...później brat mój Ludwik, który niedługo zasiadał na tronie, potem brat Filip, niewiele mieliśmy ze sobą wspólnego, lecz nie brak mu było mądrości...

Twarz Bouville'a nieco sposepniała, jak zawsze, gdy mówiono przy nim o królu Filipie Długim.

- ...wreszcie obecnie panujący, brat mój Karol - ciągnęła dalej królowa. - Wszyscy wiedzieli o mym stanie i nic nie mogli lub nie chcieli zrobić. Anglia o tyle interesuje królów Francji, o ile chodzi o Akwitanie. Francuska księżniczka na tronie angielskim, będąc jednocześnie diuszesa Akwitanii, jest dla nich rękojmią pokoju. Jeśli zaś w Gujennie panuje spokój, mało ich obchodzi, że za morzem ich córka czy siostra ginie w opuszczeniu i ze wstydu. Powiecie, nie powiecie, wszystko jedno. Ale miłe były mi dni, któreście przy mnie spędzili, bo mogłam rozmawiać z przyjacielem. A sami widzicie, jak mało ich mam. Właściwie nie mam żadnego prócz mej drogiej lady Joanny, która z wielkim oddaniem dzieli mą niedolę.

Aby podkreślić ostatnie słowa, królowa zwróciła się ku siedzącej przy niej damie dworu, Joannie Mortimer, stryjecznej wnuczce słynnego senesza de Joinville, wysokiej trzydziestosiedmioletniej kobiecie o regularnych rysach, szczerej twarzy i gładkich dłoniach.

- Miłościwa Pani - odpowiedziała lady Joanna - więcej czynicie, aby podtrzymać moją odwagę, niż ja, by dodać wam otuchy. Wielce zaś narażacie się, zachowując mnie przy sobie, odkąd małżonek mój przebywa w lochu.

Troje rozmówców nadal rozmawiało półgłosem, bo szeptał, wymiana słów

na uboczu stały się niezbędnym nawykiem na tym dworze, gdzie nigdy nie bywało się samym, a królową otaczała niechęć.

W danej chwili w kącie komnaty trzy pokojowe haftowały narzutę przeznaczoną dla lady Eleonory Despenser, żony faworyta, grającej w szachy, przy otwartym oknie, z księciem następcą tronu: Nieco dalej, drugi syn królowej, który przed trzema tygodniami ukończył siedem lat, sporządzał sobie łuk z leszczynowej witki, a dwie córeczki, pięcioletnia Izabela i dwuletnia Joanna bawiły się lalkami ze szmatek.

Przesuwając figury po szachownicy z kości słoniowej lady Despenser wciąż śledziła królową i usiłowała podsłuchać jej słowa. Owa kobieta miała czoło gładkie, lecz zadziwiająco wąskie, blisko osadzone i palące oczy, ironiczną, wysuniętą dolną wargę, nie była właściwie szpetna, lecz cechowała ją brzydota wynikająca z nikczemnej duszy. Pochodziła z rodu Clare i przeszła dość osobliwe koleje losu, gdyż była szwagierką poprzedniego kochanka króla, rycerza Gavestona, którego, przed jedenastu laty, w 1312 roku, zabili zbuntowani baronowie, a później została wydana za obecnego kochanka. Sprawiało jej chorobliwą rozkosz wysługiwanie się męskim miłośnikom, aby zaspokoić żądzę pieniędzy oraz ambicję władzy. Ponadto była głupia. Przegra partię szachów wyłącznie dla przyjemności zawołania wyzywającym głosem:

- Szach królowej... szach królowej!

Edward, książę następcą tronu, jedenastoletni chłopaczek o podłużnej, subtelnej twarzy, raczej skryty niż nieśmiały, który niemal zawsze miał spuszczone oczy, korzystał z najdrobniejszych pomysłów partnerki i starał się ją zwyciężyć.

Przez wąskie, okrągłe sklepienie okna, sierpniowy powiew rzucał kłęby gorącego kurzu, lecz gdy za chwilę słońce zajdzie, wilgotny chłód znów zagości w grubych, posepnych murach starego opactwa Kirkham.

Gwar licznych głosów dochodził z wielkiego kapitułarza, gdzie król przewodniczył swej wędrownej Radzie.

- Miłościwa Pani - ciągnął dalej hrabia de Bouville - chętnie poświęciłbym resztę dni mego życia, gdyby się mogły na cokolwiek wam przydać. Zapewniam was, że z radością bym to uczynił. Cóż mi bowiem pozostało na tym padole, odkąd owdowiałem, jeśli nie oddawać me siły służbie dla potomków króla, który był moim dobroczyńcą? A czuję się najbliżej niego, będąc przy was, Miłościwa Pani. Macie jego hart ducha i sposób mówienia, kiedy starał się, by go zrozumiano, i całą jego niezniszczalną urodę. Kiedy zmarł w czterdziestym szóstym roku życia, wyglądał nie więcej nad trzydziestkę. Wy również taką będziecie. Kto by powiedział, że macie tych czworo dzieci...

Uśmiech rozjaśnił rysy królowej. Otoczonej uporczywą nienawiścią błogo było widzieć tak wierne oddanie, stale upokarzanej w niewieścich uczuciach, miło było słyszeć pochwałę swej urody, choćby ów komplement wypowiadał siwiejący mężczyzna o spojrzeniu starego wiernego psa.

- Mam już trzydzieści jeden lat - rzekła - z tych piętnaście przeżyłam w warunkach, jakie widzicie. Może tego nie zauważa się na twarzy, ale na duszy zarysowały się bruzdy. Ja także, Bouville, chętnie bym was zatrzymała przy sobie, gdyby to było możliwe.

- Niestety, Miłościwa Pani! Widzę, że moja misja kończy się i to bez wielkiego powodzenia. Król Edward już dwukrotnie dał mi do zrozumienia udając zdziwienie, że jeszcze tu pozostaję, skoro wydał Lombarda Parlamentowi króla Francji.

Oficjalnym bowiem powodem poselstwa Bouville'a było żądanie ekstradycji niejakiego Tomasza Henry, członka potężnej kompanii Scalich z Florencji. Bankier ów wydzierżawił część francuskich dóbr koronnych, uzyskiwał znaczne dochody, lecz nigdy do Skarbu należności nie wpłacił, a w końcu uciekł do Anglii. Sprawa była na pewno poważna, lecz bardzo dobrze można ją było załatwić listownie lub wysyłając rajcę prowadzącego śledztwo, a nie żądać podróży od byłego wielkiego szambelana, który zasiadał w ścisłej Radzie. W istocie Bouville miał polecenie nawiązać inne, trudniejsze rokowania.

Dostojny Pan Karol de Valois, stryj króla Francji i królowej Izabeli, w ubiegłym roku wbił sobie do głowy, aby wydać za mąż jedną ze swych najmłodszych córek, Marię, za księcia Edwarda, następcę tronu angielskiego. Dostojny Pan de Valois - któż o tym w Europie mógł nie wiedzieć? - był ojcem siedmiu córek, a przyszłość ich była dlań przyczyną poważnych trosk. Siedem córek pochodziło z trzech różnych małżeństw, bo w swym burzliwym życiu Dostojny Pan Karol miał nieszczęście dwukrotnie owdowieć.

Należało posiadać bystry rozum, aby nie zagubić się w tej gmatwaninie potomków i na przykład orientować się, kiedy mówiono o Pani Joannie de Valois, czy chodzi o hrabinę de Hainaut czy też o hrabinę de Beaumont, która od pięciu lat była żoną Dostojnego Pana Roberta d'Artois. Obie bowiem córki, by ułatwić sprawę, miały to samo imię. Z drugiego zaś łoża, Katarzyna, dziedziczka urojonego tronu w Konstantynopolu, poślubiła w osobie Filipa z Tarentu, księcia Achai, starszego brata pierwszej żony swego ojca. Prawdziwa łamigłówka.

Obecnie zaś Dostojny Pan Karol proponował swemu ciotecznemu wnukowi z Anglii pierworodną z trzeciego małżeństwa.

Na początku roku Dostojny Pan de Valois wysłał w poselstwie hrabiego Henryka de Sully, Raula Sevain de Jouy i Roberta Bertranda zwanego „rycerzem Zielonego Lwa”. Posłowie, chcąc wkupić się w łaski króla Edwarda II, towarzyszyli mu w wyprawie na Szkotów; lecz oto podczas bitwy pod Blackmore Anglicy uciekli, dopuszczając, by posłowie francuscy wpadli w ręce wroga. Trzeba było prowadzić negocjacje, zapłacić okup i kiedy zaś po tylu przykrych przygodach zostali wreszcie uwolnieni, Edward odpowiedział im wymijająco i zwłóczył z załatwieniem sprawy mówiąc, że małżeństwo jego syna nie może być postanowione tak szybko, że zagadnienie jest zbyt wielkiej wagi, by mógł sam rozstrzygać, nie zasięgając rady Parlamentu; że Parlament zbierze się zresztą w czerwcu, by propozycję rozważyć. Chciał połączyć tę sprawę z hołdem, który musiał złożyć królowi Francji jako diuk Akwitanii... Po czym zwołanemu Parlamentowi nawet nie przedłożył owej sprawy.<sup>6</sup>

Przeto Dostojny Pan de Valois, zniecierpliwiony, skorzystał z pierwszej sposobności, by wysłać hrabiego de Bouville, którego przywiązanie do rodu Kapetyngów nie ulegało wątpliwości, a choć nie był on geniuszem,

posiadał sporo doświadczenia w podobnych misjach. Bouville bowiem ongiś i już wtedy wedle instrukcji hrabiego de Valois prowadził negocjacje w sprawie drugiego małżeństwa Ludwika X z Klemencją Węgierską; a po śmierci Kłótlwego był opiekunem łona tejże królowej. Lecz o tym okresie niezbyt lubił opowiadać. Pełnił także różne misje w Stolicy Apostolskiej w Awinionie; pamięć jego była bezbłędna we wszystkich sprawach, związanych z pokrewieństwem rodów, z niesłychanie skomplikowaną przeplatanką związków małżeńskich na dworach królewskich. Zaczynając Bouville był bardzo rozczarowany, iż tym razem powraca z pustymi rękoma.

- Dostojny Pan de Valois - rzekł - wpadnie w wielki gniew, gdyż prosił już Ojca Świętego o dyspensę na to małżeństwo...

- Robiłam, co mogłam, Bouville - powiedziała królowa - musieliście osądzić, jaką wagę przywiązuje się do moich słów... Lecz odczuwam mniej żalu niż wy; nie życzę żadnej krewnej księżniczce, aby doświadczyła tego, czego ja tutaj zaznaję.

- Miłościwa Pani - zniżając jeszcze bardziej głos odparł Bouville - czy macie wątpliwości co do waszego syna? Zdaje się, że raczej wdał się w was niż w swego ojca, dzięki Bogu!... Przypominam sobie was w tym samym wieku, w pałacowym ogrodzie na wyspie Cité czy też w Fontainebleau...

Przerwano mu. Otworzyły się drzwi przed królem Anglii. Wszedł spiesznym krokiem, z głową w tył odrzuconą i nerwowym gestem gładząc jasną brodę, co było oznaką rozdrażnienia. Za nim szli zwykli jego doradcy, to znaczy: obaj Despenserowie, ojciec i syn, kanclerz Baldock, hrabia Arundel i biskup Exeteru. Obaj przyrodni bracia króla, hrabiowie Kentu i Norfolk, młodzieńcy w połowie krwi francuskiej, ponieważ ich matka była rodzoną siostrą Filipa Pięknego - szli w orszaku, jakby wbrew woli; także i Henryk Leicester, mąż niski i barczysty, o wyłupiastych, jasnych oczach, przewany Krzywoszykiem z powodu zniekształconego karku i ramion, na skutek czego głowa leżała zupełnie w poprzek, co nastęrczało poważnych kłopotów płatnerzom, którzy mu robili zbroje. W odrzwiach cisnęło się jeszcze kilku duchownych i miejscowych dostojników.

- Znacie już nowinę, Miłościwa Pani? - wykrzyknął król Edward, zwracając się do królowej. - Na pewno was ucieszy. Wasz Mortimer wymknął się z Tower.

Lady Despenser podskoczyła przy szachownicy i wydała oburzony okrzyk, jakby ucieczka barona na Wigmore była dla niej osobistą obrazą.

Królowa Izabela nie zmieniła ani postawy, ani wyrazu; jedynie powieki zatrzepotały nad jej pięknymi, błękitnymi oczami, a ręka poszukała ukradkiem w fałdach sukni dłoni lady Mortimer, jakby chcąc jej dodać odwagi i natchnąć spokojem. Gruby Bouville powstał i stanął na uboczu, czując się zbyteczny w sprawie, która tyczyła wyłącznie korony angielskiej.

- Mortimer nie jest „mój”, Miłościwy Panie - odparła królowa. - Sądzę, że lord na Wigmore jest bardziej waszym poddanym niż moim, a ja nie odpowiadam za czyny waszych baronów. Trzymaliście go w ciemnicy,

usiłował uciec, rzecz zwyczajna.

- Ach! Wyznajecie więc szczerze, że go pochwalacie. Ależ okażcie waszą radość, Miłościwa Pani! W czasach, gdy Mortimer raczył bywać na moim dworze, za nim tylko wodziłyście oczami, wciąż wychwalałyście jego zasługi, a zdrady wobec mnie składałyście na karb jego szlachetnej duszy.

- Ależ czy to nie wy sami, Miłościwy Panie małżonku, skłanialiście mnie, bym go miłowała w owym czasie, gdy zamiast was i to z narażeniem własnego życia zdobywał dla was królestwo Irlandii... które, jak się zdaje, z wielkim trudem zachowujecie, gdy go zabrakło. Czy to była zdrada?<sup>7</sup>

Zbity z tropu tym atakiem, Edward rzucił żonie niechętnie spojrzenie nie wiedząc, co odpowiedzieć.

- A więc teraz pędzi wasz przyjaciel, pędzi i na pewno do waszego kraju!

Rozprawiając król chodził po komnacie, aby wyładować bezsilne podniecenie. Klejnoty, przyczepione do szat, podrygiwały przy każdym kroku. Obecni wodzili głowami w prawo i lewo; jak przy grze w piłkę, śledząc jego bieganinę. Z pewnością pięknym mężczyzną był król Edward, muskularnym, zwawym, gibkim; ciało wyćwiczone w zapasach i grach opierało się tuszy zbliżającej się czterdziestki; zbudowany jak atleta. Gdy się jednak uważniej przyjrzało, uderzał brak zmarszczek na czole, jakby troska o władzę nie mogła się na nim zapisać, pod oczami poczęły się tworzyć worki, nozdrza miały miękki zarys, podbródek zaś pod lekką, utrefioną brodą był nazbyt wydłużony, nie był to podbródek energiczny, władczy ani naprawdę zmysłowy, lecz po prostu za duży, zbyt wydłużony. O wiele więcej woli kryło się w małym podbródku królowej niż w tej jajowatej szczęce, której słabości nie mogła przesłonić jedwabista broda. Rękę miał miękką, wodził nią po twarzy, bez powodu wymachiwał w powietrzu i znów targał perłę naszytą na haftowanej szacie. Głos - który w jego mniemaniu był władczy - sprawiał tylko wrażenie braku opanowania. Grzbiet, chociaż szeroki, był brzydko wygięty, jakby kręgosłup nie był dość mocny. Edward nie wybaczył żonie, że pewnego razu doradziła mu, aby nie wystawiał na pokaz pleców, jeśli chce wzbudzać szacunek wśród baronów. Kolana miał o czystym rysunku, nogi piękne; były one tym, co posiadał najładniejszego ów mężczyzna, nie stworzony na swe stanowisko, na głowę którego spadła korona, jakby przez pomyłkę losu.

- Czy nie mam dość kłopotów, dość trosk? - ciągnął dalej. - Szkoci bez ustanku zagrażają granicom, najeżdżają moje królestwo; kiedy zaś ścieram się z nimi w bitwie, moje wojska uciekają. W jaki sposób mógłbym ich zwyciężyć, skoro biskupi porozumiewają się i pertraktują z nimi bez mojej zgody, kiedy tyłu mam zdrajców wśród wasali, a baronowie zwołują przeciw mnie oddziały, upierając się, iż dzierżą rzekomo swe włości prawem miecza, chociaż już od dawna, przed dwudziestu pięciu laty - zapomina się o tym - inaczej sprawę osądził i załatwił król Edward, mój ojciec! Lecz widziano pod Shrewsbury, widziano pod Boroughbridge, co kosztuje przeciwko mnie rebelia, nieprawdaż, Leicester?

Henryk Leicester kiwnął głową, pochyloną na ramię. Niezbyt to uprzejmy sposób przypominać mu o śmierci jego brata Tomasza



Lancastera, świętego przed szesnastu miesiącami, w tym samym czasie, gdy zostało powieszonych dwudziestu innych wysokich baronów.

- W istocie widziano, Miłościwy Panie małżonku, że możecie wygrywać bitwy jedynie z waszymi własnymi baronami - rzekła Izabela.

Król Edward znów spojrział na nią wściekłym wzrokiem. „Co za odwaga - myślał Bouville - co za odwagę posiada ta szlachetna królowa.”

- I wcale nie jest słuszne - ciągnęła dalej - mówić, że powstali przeciw wam z powodu prawa miecza. Czy nie raczej z powodu praw do hrabstwa Gloucester, które przekazaliście panu Hugonowi?

Obaj Despenserowie zbliżyli się ku sobie, jakby zamierzali wspólnie stawić czoło. Lady Despenser młodsza podniosła się znad szachownicy; była córką zmarłego hrabiego Gloucesteru. Król Edward II tupnął. Królowa w końcu zbyt go drażniła, otwierając usta tylko po to, by mu wypominać omyłki i błędy w rządach.<sup>8</sup>

- Przekazuję moje lenna komu chcę, Miłościwa Pani, przekazuję temu, kto mnie kocha i mi służy - krzyknął Edward, kładąc rękę na ramieniu Hugona Młodszego. - Na kimże innym mógłbym się oprzeć? Gdzież są moi sojusznicy? Wasz brat we Francji, Miłościwa Pani, powinien by zachowywać się jak mój własny, ponieważ, mimo wszystko, w tej nadziei skłoniono mnie, bym was poślubił, a jaką mi on służy pomocą? Wzywa mnie, żebym złożył hołd z tytułu Akwitanii, oto cała jego pomoc. I gdzie przysłała mi to wezwanie? Do Gujenny? Gdzie tam! Tutaj każe mi je doręczyć, w moim królestwie, jakby gardził wszystkimi feudalnymi obyczajami albo chciał mnie obrazić. Czy każdy by nie rzekł, że się uważa za suzerena Anglii? Przede wszystkim złożyłem ten hołd, aż za wiele razy jeździłem, by go składać. Po raz pierwszy waszemu ojcu, kiedy o mało nie upiekłem się podczas pożaru w Maubuisson, a później jeszcze, przed trzema laty, waszemu bratu Filipowi, gdy pojechałem do Amiens. Jeśli tak często będą wymierali królowie w waszej rodzinie, Miłościwa Pani, będę musiał na stałe zamieszkać na kontynencie!

Wielmoże, biskupi i notable z Yorkshire, spojrzeli po sobie, wcale nie przestraszeni, ale przygnębieni tym bezsilnym gniewem, który odbiegał od swego celu i ujawniał im kłopoty w królestwie i jednocześnie charakter króla. Czy taki był monarcha, który żądał subsydiów dla swego Skarbu, i któremu byli winni bezwzględne posłuszeństwo łącznie z narażaniem życia, gdy wzywał ich na swoje wojny? Lord Mortimer na pewno miał słuszne racje, aby się buntować.

Nawet zauszynicy wydawali się nie w sosie, mimo że znali ten nawyk - który znajdował swój wyraz nawet w korespondencji - opowiadania o wszystkich w królestwie kłopotach, gdy spotkał go nowy zawód.

Kancelarz Baldock machinalnie pocierał grdykę, w tym miejscu, gdzie kończy się szata archidiakona. Biskup Exeteru, Lord Skarbnik, starannie obgryzał paznokcie przy kciuku i podpatrywał sąsiadów posepnym okiem. Jedynie młody Hugo Despenser, nadmiernie utrefiony, wypiękniony, obłany pachnidłami okazywał swe zadowolenie. Ręka króla spoczęła mu na ramieniu dowodząc wszystkim jego znaczenia i władzy.

Miał krótki nos, wygiętą w łuk wargę i podnosił w górę podbródek, jak koń, który grzebie nogą; pochwalał każdą wypowiedź Edwarda

nieznacznym chrząknięciem, a twarz jego zdawała się mówić: „Tym razem czara się przepełniła. Postanowienia podejmiemy srogie”. Był chudy, o długim tułowiu, dość wąskiej klatce piersiowej i miał brzydką cerę, skłoną do wyprysków.

- Panie de Bouville - rzekł niespodzianie król Edward zwracając się do posła - odpowiecie Dostojnemu Panu de Valois, że proponowane przez nich małżeństwo, a którego zaszczyt w pełni doceniamy, stanowczo nie zostanie zawarte. Mamy inne plany dla następcy tronu. W ten sposób skończymy z pożałowania godnym obyczajem, który wymaga, aby królowie Anglii brali małżonki z Francji, co im nigdy nie wychodzi na dobre.

Gruby Bouville zbladł spotkawszy się z obelgą i pokłonił. Skierował ku królowej zrozpaczone spojrzenie i wyszedł.

Pierwszy i zupełnie nieprzewidziany skutek ucieczki Rogera Mortimera: król Anglii zrywa tradycyjne sojusze. Chciał tym pociągnięciem zranić królową, lecz jednocześnie zranił swych braci przyrodnych, Norfolk i Kenta, których matka była Francuzką. Młodzieńcy spojrzeli na swego kuzyna, Krzywoszyjka, który podniósł ramię ruchem obojętnej rezygnacji. Król bez namysłu zrywał na zawsze z potężnym hrabią de Valois, a który, jak wszyscy wiedzieli, rządził Francją w imieniu swego bratanka, Karola Pięknego.

Młody książę Edward wciąż nieruchomo i w milczeniu siedząc przy oknie, obserwował matkę, osądzał ojca. Przecie chodziło przede wszystkim o jego małżeństwo, a on ani słówka nie miał do powiedzenia. Lecz gdyby go spytano czy woli swoją krew angielską czy francuską, wybrałby krew z Francji.

Troje najmłodszych dzieci przestało się bawić; królowa skinęła na pokojowe, by je zabrały.

Później, bardzo spokojnie, utkwivszy wzrok w oczach króla, odpowiedziała:

- Jeśli małżonek nienawidzi małżonki, rzeczą jest zwykłą, że wini ją za wszystko.

Edward nie zwykł bezpośrednio odpowiadać.

- Cała moja załoga Tower pijana na umór - krzyknął - namiestnik ulotnił się wraz ze zdrajcą, a konstabl śmiertelnie chory z powodu narkotyku, którym go napojono! Chyba że zdrajca udaje chorego, żeby uniknąć zasłużonej kary! Do niego bowiem należało czuwać, żeby więzień nie zbiegł; słyszycie, Winchester?

Hugo Despenser ojciec, od roku hrabia Winchester, odpowiedzialny za nominację konstabla Seagrave'a, zgiął się pod naporem tej burzy. Grzbiet miał wąski i chudy, przygarbiony częściowo z natury, częściowo na skutek długiej służby dworaka. Wrogowie przewalali go „łasicą”. W zmarszczkach na twarzy i pod zaczerwienionymi powiekami zdały się gnieździć chciwość, zawiść, podłość, miłość własna, dwulicowość oraz wszelkie rozkosze, jakich dostarczają owe wady. Jednakże nie brakowało mu odwagi, lecz uczuć ludzkich doznawał jedynie wobec syna i nielicznych przyjaciół, do których właśnie należał Seagrave.

- Miłościwy Panie - powiedział opanowanym głosem - jestem pewien, że Seagrave w niczym nie zawinił...

- Zawinił niedbalstwem, lenistwem; zawinił, że dał się oszukać; zawinił, że nie odgadł spisku, który knuli mu pod nosem; zawinił brakiem szczęścia może... Nie wybaczam braku szczęścia. Będzie ukarany, mimo że należy do waszych protegowanych, Winchester; nikt nie powie, że ważę na nierównych szalach, a moją łaską obdarzam wyłącznie waszych ludzi. Miejsce w więzieniu lorda na Wigmore zajmie Seagrave. Tym sposobem jego następcy będą pilniej czuwali pełniąc straż. Oto mój synu, jak się rządzi! - dorzucił, stając przed następcą tronu.

Chłopaczek podniósł nań oczy i zaraz je spuścił.

Hugo Młodszy, świadom jak sprowadzać gniew króla na określone tory, odrzucił w tył głowę i powiedział, spoglądając na belkowany sufit:

- Inny zdrajca kpi z was najbardziej, drogi Sire, ten biskup Orleton; własnoręcznie wszystko przygotował i zdaje się tak mało was obawiać, że nawet nie zadał sobie trudu, by uciec czy się ukryć.

Edward spojrzął na Hugona Młodszego z wdzięcznością i uwielbieniem. Jak może nie wzruszać zarys tego profilu, piękna postawa, jaką przybierał Hugo, kiedy przemawiał, ów głos donośny, szlachetnie modulowany, a następnie ten sposób tkliwy a zarazem pełen szacunku, jakim zwykł wypowiadać „Drogi Sire”, z francuska, jak ongiś miły Gaveston, którego zamordowali baronowie i biskupi... Lecz teraz Edward jest człowiekiem dojrzałym, świadomym ludzkiej złośliwości i wie, że nie wygrywa się kapitulując. Nie rozdziela go z Hugonem, a wszyscy, co chcieliby się sprzeciwiać, będą kolejno ukarani, bezlitośnie...

- Oznajmiam wam, Lordowie, że biskup Orleton zostanie pozwany przed Parlament i tam osądzony, i skazany.

Edward skrzyżował ramiona i zaczął na efekt swych słów. Archidiakon-kanclerz i biskup-skarbnik mimo że byli najzawziętymi wrogami Orletona - drgnęli połączeni solidarnością sług Kościoła.

Henryk Krzywoszyjek, człowiek mądry i zrównoważony, dbały o interesy królestwa, nie mógł się powstrzymać, by nie przywołać króla do rozsądku i spokojnie zauważył, że biskup może być pozwany tylko przed sąd kościelny, złożony z równych mu godnością.

- Każda rzecz winna mieć swój początek, Leicester. Święta Ewangelia, o ile wiem, nie uczy spiskowania przeciw królowi. Ponieważ Orleton zapomina, co winien Cezarowi, Cezar mu o tym przypomni. Jeszcze jedna łaska, którą zawdzięczam waszej rodzinie, Miłościwa Pani - ciągnął król, zwracając się do Izabeli - ponieważ brat wasz, Filip Piąty, kazał mianować swojemu francuskiemu papieżowi, i to wbrew mojej woli, tego Adama Orletona biskupem Herefordu. Zgoda! Będzie pierwszym prałatem skazanym przez sąd królewski, a kara będzie przykładna.

- Orleton ongiś nie był wam wrogi, kuzynie - nalegał Krzywoszyjek - i nie miałby żadnych racji, aby żywić nieprzyjazne uczucia, gdybyście wy się nie sprzeciwili albo jeśliby się nie sprzeciwiano w łonie waszej Rady, aby Ojciec Święty dał mu mitrę. To człowiek wielkiej wiedzy i mocnego ducha. Może akurat teraz, kiedy zawinił, moglibyście go łącznie zjednać dobrotliwością niż procesem, który na domiar wszystkich waszych kłopotów podsyci wrogie uczucia wśród duchownych.

- Dobrotliwość, łagodność! Za każdym razem, gdy kpią ze mnie, gdy

mnie prowokują, gdy mnie zdradzają, tylko te słowa macie na ustach, Leicester! Doradzano mi i wielki błąd popełniłem, słuchając rad, gdy mnie błagano o ułaskawienie Wigmore'a! Wyznajcie, że gdybym postąpił z nim, jak z waszym bratem, ten buntownik dzisiaj nie pędziłby po drogach.

Krzywoszyjek wzruszył grubym ramieniem i ze znużoną miną przymknął oczy. Jaki drażniący, rzekomo królewski nawyk miał Edward, nazywając swych krewnych lub głównych doradców imionami ich hrabstw i zwracając się do ciotecznego brata z okrzykiem „Leicester” zamiast powiedzieć po prostu „mój kuzynie”, jak to wszyscy zwykli czynić w rodzinach królewskich i jak czyniła to królowa. I ten gruby nietakt przypominać przy każdej okazji o śmierci Tomasza Lancastera, jakby przyczyniała mu ona sławy! Dziwny człowiek i zły król, wyobraża on sobie, że ścinając swych bliskich krewnych nie ściągnie na siebie niechęci rodziny, wierzy, że wystarczy uścisk, aby usunąć żalobę, żąda przywiązania nawet od tych, których zranił, i chce znaleźć wszędzie wierność, kiedy sam jest wcieleniem chwiejnego okrucieństwa.

- Niewątpliwie macie słuszość, Miłościwy Panie - rzekł Krzywoszyjek - a ponieważ panujecie już od szesnastu lat, to już wiecie, jak kierować sprawami. Pozwijcie więc waszego biskupa przed Parlament. Nie stawiam przeszkód.

I wycedził, by usłyszał go tylko młody hrabia Norfolku:

- Moja głowa leży w poprzek, to prawda, ale pilnie baczę, aby pozostała na swoim miejscu.

- Przyznacie mi, że to kpiny ze mnie - ciągnął Edward, wymachując w powietrzu ręką - zbiec, przebijając mury wieży, które ja sam zbudowałem, żeby nikt nie uszedł.

- Może, Miłościwy Panie małżonku - rzekła królowa - kiedy ją budowaliście, bardziej interesowała was gładkość murarzy niż trwałość kamienia.

Nagła cisza zapanowała wśród zebranych. Sztych był brutalny i nieoczekiwany. Wszyscy wstrzymali oddech i patrzyli, jedni z szacunkiem, inni z nienawiścią, na tę dość wiotką kobietę, wyprostowaną na krześle, samotną, a która tak dzielnie stawiała czoło. Rozchyliwszy wargi odsłoniła w półotwartych ustach drobne, gęsto osadzone zęby - małe, krwiożercze ząbki, bardzo ostre. Izabela była wyraźnie zadowolona z ciosu, jaki zadała.

Młody Hugo spłonął szkarłatem, Hugo ojciec udał, że nic nie usłyszał.

Edward na pewno się zemści, lecz w jaki sposób? Zwlekał z ripostą. Królowa patrzyła na kropelki potu, perlące się na czole męża. Nic nie budzi większej odrazy w kobiecie niż pot mężczyzny, którego przestała kochać.

- Kent - wrzasnął król - mianowałem was strażnikiem Pięciu Portów i gubernatorem Dover. Czego pilnujecie w tej chwili? Dlaczego nie jesteście na wybrzeżu, którym macie rządzić, a gdzie nasz zdrajca na pewno szuka statku?

- Sire, mój bracie - odpowiedział młody hrabia Kentu, oszołomiony - przecie daliście mi rozkaz, abym wam towarzyszył w podróży...

- A teraz daję wam inny, macie wrócić do waszego hrabstwa, przetrząsnąć grody i wsie w poszukiwaniu zbiega i osobiście czuwać, żeby przeszukano wszystkie statki w portach.

- Wsadzić szpiegów na pokład wszystkich statków i ująć Mortimera żywego czy umarłego, gdyby tam wsiadł - rzekł Hugo młody.

- Słuszna rada, Gloucester - pochwalił Edward - wy zaś, Stapledon...

Biskup Exeteru wyjął kciuk z ust i szepnął:

- Miłościwy Panie...

- Z największym pośpiechem wróćcie do Londynu; pójdziecie do Tower pod pozorem kontroli Skarbcza, obejmiecie dowództwo i nadzór nad twierdzą, dopóki nie zostanie mianowany nowy konstabl. Baldock wypisze wam obu upoważnienia, które zmuszą wszystkich do posłuchu.

Henryk Krzywoszyjek, utkwiwszy wzrok w okno, z uchem przyłożonym do ramienia zdawał się marzyć. Rachował... Rachował, że od uciezki Mortimera minęło sześć dni, że trzeba co najmniej ośmiu, aby rozkazy weszły w życie, że jeśli Mortimer nie jest szaleńcem, co oczywiście nie wchodziło w rachubę, już od dawna opuścił królestwo.<sup>9</sup> Gratulował sobie, że się solidaryzował z większością biskupów i wielmożów, którzy pod Boroughbridge zdołali uratować życie barona na Wigmore. Bo teraz, gdy ów uciekł, opozycja przeciw Despenserom może uzyskać wodza, którego jej zabrakło po śmierci Tomasza Lancastera, wodza odznaczającego się większą energią, sprytem i siłą niż Tomasz...

Król Edward wygiął grzbiet; obrócił się na pięcie i stanął na wprost żony.

- Właśnie tak! Miłościwa Pani, uważam, że wy ponosicie odpowiedzialność. Przede wszystkim puśćcie tę rękę, którą wciąż ściskacie, odkąd tu wszedłem! Puśćcie rękę lady Joanny! - zakrzyknął Edward, tupiąc w kamienną podłogę. - Dostarczacie gwarancji zdrajcy, z taką ostentacją zatrzymując przy sobie jego małżonkę. Ci, co pomagali Mortimerowi w ucieczce, słusznie myśleli, że mają zgodę królowej... Poza tym nie ucieka się bez pieniędzy; za zdradę się płaci, mury przewierca złotem. Od królowej do damy dworu, od damy dworu do biskupa, od biskupa do buntownika droga łatwa. Będę musiał dokładniej kontrolować waszą szkatułę.

- Panie małżonku, sędzę, że moja szkatuła jest dostatecznie dobrze kontrolowana - rzekła Izabela wskazując lady Despenser.

Hugo Młodszy na pozór przestał się interesować rozmową. Gniew króla jak zwykle obrócił się przeciw królowej i Hugo doświadczył uczucia triumfu. Wziął leżącą w pobliżu książkę, którą lady Mortimer czytała królowej, zanim wszedł hrabia de Bouville. Był to zbiór opowieści Marii z Francji, jedwabna zakładka zaznaczała te oto strofy:

*W Burgundii czy Andegawenii,  
Czy Lotaryngii, czy w Gaskonii  
Naonczas znaleźć się nie dało  
Rycerza z cnotą tak wspaniałą.  
Nie widziało słońce damy ni dziewicy  
Dostojnej rodem i nadobnej licem,  
Która by nie pragnęła jego miłowania...*<sup>10</sup>

„Francja, wciąż Francja... Czytają jedynie o tym, co wiąże się z ich

krajem - rozważał Hugo. - I kim jest w ich wyobraźni ów rycerz ich marzeń? Na pewno Mortimer...”

- Miłościwy Panie, nie czuwał nad rozdawaniem jałmużny - rzekła Eleonora Despenser. Faworyt spojrział na nią z uśmiechem. Pogratiuje swej żonie za tę uwagę.

- Widzę więc, że będę musiała wyrzec się także jałmużny - powiedziała Izabela. - Wkrótce zostanę pozbawiona wszystkich cech królowej, nawet miłosierdzia.

- A także w imię miłości, którą do mnie żywicie, a wszyscy oglądają - ciągnął dalej Edward - trzeba wam będzie rozstać się z lady Mortimer, bo nikt w królestwie odtąd nie pojmie, dlaczego pozostaje ona nadal u waszego boku.

Tym razem królowa zbladła i poruszyła się na krześle. Wielkie, gładkie ręce lady Joanny zdrżały.

- Nie można uważać małżonki, Edwardzie, za współodpowiedzialną za czyny małżonka. Jestem niezłym przykładem. Racście wierzyć, że lady Mortimer ma równie mało wspólnego z winami swego męża, jak ja sama z waszymi grzechami, o ile zdarzy się wam je popełnić.

Lecz tym razem atak nie osiągnął celu.

- Lady Joanna uda się do zamku Wigmore, który odtąd będzie pod nadzorem brata mego Kenta, i pozostanie tam dopóty, dopóki nie postanowię, co mi się spodoba uczynić z dobrami zdrajcy, i nie chcę, aby jego imię wypowiedano w mojej obecności... przed wyrokiem śmierci. Sądzę, lady Joanno, że wolicie raczej odejść dobrowolnie niż pod przymusem.

- Widzę więc - rzekła Izabela - że pragniecie, abym została całkowicie osamotniona.

- Jakże możecie mówić o samotności, Miłościwa Pani - rzekł pięknie modulowanym głosem Hugo Młodszy. - Czyż będąc wiernymi przyjaciółmi króla nie jesteśmy również i waszymi? A pani Eleonora, oddana mi małżonka, czy stale wam nie towarzyszy? Piękną książkę posiadacie - dorzucił, wskazując tomik - i pięknie iluminowaną, czy raczyście mi ją pożyczyć?

- Ależ oczywiście, oczywiście, królowa wam ją pożycza! - rzekł król. - Nieprawdaż, Pani, że sprawicie nam przyjemność, pożyczając tę księgę naszemu przyjacielowi, hrabiemu Gloucester?

- Ależ chętnie, Miłościwy Panie małżonku, bardzo chętnie. A wiem, co znaczy pożyczyć naszemu przyjacielowi Despenserowi. Przed dziesięć laty pożyczyłam mu również perły i widzę, że wciąż je nosi na szyi.

Nie składała broni, lecz serce biło jej gwałtownie w piersi. Odtąd będzie samotnie znosić codzienne ciosy. Lecz jeśli pewnego dnia zdoła się pomścić, nie zapomni o niczym.

Hugo Młodszy położył książkę na skrzyni i dał porozumiewawczy znak żonie. *Opowieści Marii z Francji* dołączają się do złotej agrafy zdobnej w lwy z cennych kamieni, trzech koron złotych, czterech koron wysadzanych rubinami i szmaragdami, do stu dwudziestu srebrnych łyżek, trzydziestu wielkich tac, dziesięciu złotych pucharów, do kobierców na ściany całej komnaty ze złotogłowiu tłoczonego w romby, do wozu na sześć koni,

srebrnych mis, rzędów, ozdób do kaplicy, wszystkich ofiarowanych przez ojca lub krewnych przepięknych darów, które złożyły się na jej wiano i przeszły do rąk kochanków Edwarda, najpierw Gavestona, później Despensera. Nawet wspaniały z tureckiego sukna płaszcz, w jaki była przyodziana w dzień swego ślubu, został jej odebrany!

- Szybko, Milordzie - rzekł król klaszcząc w dłonie - spieszcie wykonać moje rozkazy i niech każdy pilnuje swych obowiązków.

Był to zwykły zwrot, jeszcze jedna formułka, jego zdaniem królewska, a którą zwykł zaznaczać koniec narady. Wyszedł, za nim zaś jego orszak; komnata opustoszała.

Zmierzch zstępował powoli do krużganka opactwa Kirkham, a wraz ze zmierzchem świeższy powiew wtargnął przez okna. Królowa Izabela i lady Mortimer nie śmiały wypowiedzieć słowa ze strachu, że się rozplaczą. Czy kiedykolwiek znów się spotkają i jaki los był im sądzony?

Młodziutki książę Edward przymknąwszy oczy, stanął w milczeniu za matką, jakby chcąc zastąpić przyjaciółkę, gwałtem jej odebraną...

Lady Despenser podeszła, by wziąć książkę, która spodobała się mężowi, piękną książkę w aksamitnej oprawie ozdobionej cennymi kamieniami. Już od dawna to dziełko wzbudzało w niej chciwość. Gdy po nie sięgnęła, młodziutki książę Edward położył rękę na tomiku.

- O nie! podła niewiasto - rzekł - wszystkiego nie zabierzecie!

Królowa odsunęła rękę księcia, wzięła książkę i podała nieprzyjaciółce. Później obróciła się do syna z przelotnym uśmiechem, który ponownie odsłonił jej drobne, drapieżne ząbki. Jedenastoletni chłopak jeszcze nie mógł służyć wielką pomocą, ale w każdym razie był to następca tronu.





### III

## U messer Tolomeia zjawia się nowy klient

W gabinecie na pierwszym piętrze stary Spinello Tolomei uchylił skraj gobelinu i przesunawszy drewnianą okienniczkę odsłonił sekretny otwór, przez który mógł obserwować pracowników na parterze. Ten wynalazek florencki, prawdziwy „judasz” skryty w belkowaniu drewnianej ściany, pozwalał messer Tolomeiowi widzieć wszystko, co się działo, i słyszeć, co się mówiło w jego banku i sklepie. W tej chwili zauważył oznaki zamieszania. Nad ladami płomyki trzydziobowych lamp chygotały, urzędnicy zaś przestali przesuwając miedziane żetony na szachownicach, które im służyły jako liczydła. Łokieć do mierzenia tkaniny upadł z hałasem; na stołach, gdzie wymieniano pieniądze, chwiały się szale u wag, mimo że nikt ich nie dotknął. Praktykanci obrócili się ku drzwiom, a szefowie z ręką na sercu już gięli się w ukłonach.

Messer Tolomei uśmiechnął się, pojął z zamieszania, że wkracza hrabia d'Artois. Po chwili zresztą zobaczył przez „judasza” olbrzymi kaptur z czerwonym aksamitnym ogonem; czerwone rękawice, czerwone buciska, przy których brzęczały ostrogi, szkarłatny płaszcz rozwiewał się na plecach olbrzyma. Jedynie Dostojny Pan Robert d'Artois zwykł był tak hałaśliwie wkraczać, samym swym pojawieniem się wprawiając w drżenie personel, podszczypywać piersi mieszczanek, podczas gdy ich mężowie nie śmieli drgnąć i tylko on potrafił jakby wstrząsać ścianami własnym oddechem.

Stary bankier tym wszystkim niezbyt się wzruszał. Zbyt dawno znał Roberta d'Artois. Zbyt często go obserwował; a patrząc z góry rozróżniał, ile było przesady, aktorstwa, chęci popisania się w ruchach olbrzyma. Ponieważ natura obdarzyła go wyjątkowo potężnym cielskiem, Wielmożny Pan d'Artois udawał ludożercę. W rzeczywistości był to chytrus, szczwana sztuka. Zresztą messer Tolomei prowadził rachunki Roberta...

O wiele więcej zainteresował się bankier towarzyszem hrabiego d'Artois; był to pan od stóp do głów przyodziany w czerń, o śmiałych ruchach, lecz minie powściągliwej, obojętnej, wyniosłej.

Obaj goście przystanęli przed ladą z bronią i rzędami, zaś Dostojny Pan d'Artois wodził olbrzymią, czerwoną rękawicą po sztyletach, mizerykordiach, po wzorach rękojeści mieczy, przesuwając kapy końskie, ostrogi, wygięte wędzidła, uzdy wycinane, ząbkowane, haftowane. Sprzedawca z dobrą godzinę popracuje, zanim wszystko ułoży na ladzie. Robert wybrał parę tolekańskich ostróg o długich kolcach; bodziec był wysoki, zakrzywiony w tył, aby chronić ścięgno Achillesa, gdy stopa mocniej przycisnie bok konia; rozsądny wynalazek i na pewno przydatny na turnieju. Kabłąk ostrogi ozdobiły kwiaty i wstęgi z dewizą „Zwyciężyć”, okrągłymi literami wyryte na złoconej stali.

- Ofiarowuję wam w upominku, Milordzie - rzekł olbrzym do feudała w czerni. - Musicie tylko wybrać damę, aby przypięła je wam do stóp.



Chybko to nastąpi, francuskie damy natychmiast ogarnia afekt do przybyszów z daleka... Możecie się tu zaopatrzyć we wszystko, czego dusza zapagnie - ciągnął wskazując galerię. - Przyjaciel mój, Tolomei, mistrz lichwiarzy, a lis w handlu, wszystko wam dostarczy. Czegokolwiek zażądałem, nic go nie zaskoczyło. Chcecie ornatu dla kapelana? Ma ich trzydzieści do wyboru!... Pierścień dla ukochanej? Ma kufry pełne kamieni... Pragniecie skropić pachnidłami dziewczkę, nim weźmiecie ją do łoża? Da wam piżmo wprost ze wschodnich bazarów... Relikwii szukacie? Ma ich trzy pełne szafy... A w dodatku sprzedaje złoto, żeby to wszystko zakupić... Ma monety ze stemplami z całej Europy, widzicie tam ich kursy wypisane na tych tabliczkach. Handluje cyframi, oto, co przede wszystkim ma na sprzedaż: należności za dzierżawę, procenty od pożyczek, dochody z lenn... Za tymi wszystkimi drzwiczkami siedzą rachmistrze, jedni dodają, inni odejmują. Co byśmy robili bez tego człowieka? Bogaci się on na naszym braku zdolności do rachunków... Chodźmy do niego.

Niebawem kręte, drewniane schody zatrzeszczały pod ciężarem Roberta d'Artois. Messer Tolomei zasunął okienniczkę „judasza” i opuścił gobelin.

Obaj panowie weszli do ciemnej komnaty; ozdabiały ją przepyszne, ciężkie meble, wielkie srebrne przedmioty; zawieszona na ścianach arras tłumiała wszelkie odgłosy; zalatywał zapach wosku, kadzidła, smakowitych korzeni i leczniczych ziół. Wśród wypełniającego izbę bogactwa zgęściły się aromaty całego życia.

Bankier podszedł. Robert d'Artois nie widział go od wielu tygodni - prawie trzy miesiące musiał towarzyszyć kuzynowi, królowi Francji, najpierw do Normandii w końcu sierpnia, potem przez całą jesień po Andegawenii - a teraz zauważył, że sieneńczyk posunął się. Białe włosy przerzedziły się i luźniej opadały na kołnierz; czas pozostawił ślady na jego twarzy; policzki były poznaczone jakby kurzymi łapkami, zwiotczałe policzki zwisały po obu stronach podbródka, pierś jeszcze bardziej zapadła, a brzuch jeszcze bardziej wystawał; szczyrbili się krótko przycięte paznokcie. Lewe oko, słynne lewe oko messer Tolomeia, zawsze w trzech czwartych przymknięte, nadawało twarzy wyraz żywy i filuterny; lecz drugie oko, to otwarte, miało spojrzenie nieco roztargnione, nieobecne, zmęczone, człowieka steranego i mniej o wygląd zewnętrzny dbałego aniżeli o dolegliwość i znużenie, tkwiące we własnym starym ciele bliskim zgonu.

- Przyjacielu Tolomei - wykrzyknął Robert d'Artois rzucając na stół rękawice jak krwawy ochłap - przyjacielu Tolomei, przyprowadzam wam nowy, szczęśliwy los.

Bankier wskazał gościom krzesła.

- Ileż będzie on mnie kosztował, Dostojny Panie? - odparł.

- No, no, bankierze - rzekł Robert d'Artois - czy kiedykolwiek namawiałem was do złej lokaty?

- Nigdy, Dostojny Panie, przyznaję, że nigdy. Terminy niekiedy cokolwiek się odwlekały, ale w końcu, ponieważ Bóg obdarzył mnie dosyć długim życiem, mogłem zebrać owoce zaufania, jakim mnie zaszczyliciliście. Lecz wyobraźcie sobie, Dostojny Panie, gdybym umarł był, jak tylu innych, w pięćdziesiątym roku życia? Ho, ho! Dzięki wam

umarłbym zrujnowany!

Koncept rozbawił Roberta; uśmiech na szerokiej twarzy odsłonił zęby krótkie, mocne, lecz brudne.

- Czy kiedykolwiek przegraliście ze mną? - odparł. - Przypomnijcie sobie, jak ongiś pomogłem wam wygrać Dostojnego Pana de Valois przeciw Enguerrandowi de Marigny! A patrzcie, kim jest dzisiaj Karol de Valois i w jaki sposób Marigny zakończył swoje podłe życie. Czy nie zwróciłem wam w całości tego, coście wyłożyli na moją wojnę w Artois? Jestem wam wdzięczny, bankierze, tak, jestem wam wdzięczny, zawsze mnie podtrzymywaliście i to w najgorszej nędzy, bo byłem kiedyś omotany długami - ciągnął, zwracając się do pana w czerni - nie miałem wcale ziemi, poza hrabstwem Beaumont-le-Roger, Skarb nie wypłacał mi żadnych dochodów, a kuzyn mój, Filip Długi - niech Bóg zachowa jego duszę w którymś z piekieł - przytknął mnie w Chatelet. Ten zaś bankier, którego tutaj widzicie, Milordzie, ten lichwiarz, mistrz łotrzyków, najgorszych łotrzyków, jakich kiedykolwiek wydała Lombardia, ten człowiek, który wziąłby w zastaw dziecko nawet w łonie matki, nigdy mnie nie opuścił! Dlatego, dopóki będzie żył, a żyć będzie długo...

Messer Tolomei ułożył palce w znak widel i dotknął drewnianego stołu.

- Tak, tak, lichwiarzu Szatana, żyć będziecie jeszcze długo... Zapewniam was... Zaiste dlatego ten człowiek zawsze będzie moim przyjacielem, słowo Roberta d'Artois. I miał słuszość, bo doczekał się, że jestem dzisiaj zięciem hrabiego de Valois, zasiadam w Radzie Królewskiej i nareszcie mi wpływają dochody z mego hrabstwa. Messer Tolomei, pan, który przed wami zasiada, to lord Mortimer, baron na Wigmore.

- Pierwszego sierpnia zbiegł z wieży londyńskiej - rzekł bankier pochylając głowę. - Wielki zaszczyt, Milordzie, wielki to zaszczyt.

- Co takiego? - zawołał d'Artois. - Już wiecie?

- Dostojny Panie - odrzekł Tolomei - baron na Wigmore jest zbyt znamienitą osobistością, abyśmy o wszystkim nie wiedzieli. Wiem nawet, Milordzie, że gdy król Edward rozkazał szeryfom na wybrzeżu szukać was i aresztować, wyście już byli na statku poza zasięgiem angielskiej sprawiedliwości. Wiem, że gdy kazał szperać na wszystkich okrętach jadących do Irlandii i ująć wszystkich kurierów nadjeżdżających z Francji, waszym przyjaciołom w Londynie i w całej Anglii było wiadome, że przybyliście zdrowo i cało do Pikardii, do waszego kuzyna Jana de Fiennes. Wiem wreszcie, że kiedy król Edward rozkazał panu de Fiennes wydać was, grożąc mu konfiskatą jego dóbr za kanałem La Manche, pan ów, wielki zwolennik i poplecznik Dostojnego Pana Roberta, natychmiast skierował was do niego. Nie powiedziałbym, że was oczekiwał, Milordzie, ale się was spodziewał; bo Dostojny Pan d'Artois jest mi wierny, jak wam oświadczył, i nigdy nie omieszka pomyśleć o mnie, jeśli jego przyjaciel znajdzie się w biedzie.

Roger Mortimer słuchał uważnie słów bankiera.

- Widzę, messer - odparł - że Lombardowie mają świetny wywiad na angielskim dworze.

- Do waszych usług, Milordzie. Dobrze wiecie, że król Edward jest wielce zadłużony w naszych kompaniach. Kiedy się posiada wierzycelność,

należy nad nią czuwać. A wasz król od dłuższego czasu nie honoruje własnej pieczęci, przynajmniej w stosunku do nas. Odpowiedział za pośrednictwem skarbnika, Wielebnego biskupa Exeteru, że nędzne wpływy z opłat, wielkie wydatki na wojnę i wyprawy na baronów nie zezwalają mu dokonywać większych wpłat. A przecież już podatki, które obciążają nasze towary w samym tylko porcie londyńskim, wystarczyłyby mu, aby długi anulować.

Pachołek przyniósł hypokras i osmażane w cukrze migdały, które zawsze kazał podawać najznamienitszym gościom; Tolomei nalał aromatyzowanego wina do srebrnych pucharków, ale sobie ledwo na dno.

- Skarb we Francji, zdaje się, jest obecnie w lepszym stanie niż w Anglii - dodał. - Czy już wiadomo, Dostojny Panie Robercie, jaki mniej więcej będzie bilans za ten rok?

- Jeśli w najbliższym miesiącu nie zdarzy się niespodziewana klęska, zaraza, głód, małżeństwo lub pogrzeb któregoś z naszych królewskich krewniaków, dochody przekroczą wydatki o dwanaście tysięcy liwrow według cyfr, jakie dzisiaj rano przedłożył Radzie pan Miles de Noyers, przełożony Izby Rachunkowej. Dwanaście tysięcy liwrow dochodu. Za czasów Filipów, Czwartego i Piątego... niech Bóg zamknie ich listę... nie miewało się tak pełnego Skarbcu.

- Jak zdołaliście, Dostojny Panie, doprowadzić w Skarbie do nadwyżki dochodów? - zapytał Mortimer. - Czy dlatego, że nie ma wojny?

- Z jednej strony, że nie ma wojny, a jednocześnie wojna, wojna, którą się szykuje i nie prowadzi. Dokładniej mówiąc: wyprawa krzyżowa. Muszę rzec, że mój kuzyn i teść, Karol de Valois, umie jak nikt wykorzystać wyprawę krzyżową! Nie sądzicie, żebym go miał za złego chrześcijanina! Oczywiście z całego serca pragnie uwolnić Armenię od Turków, jak również pragnie znów restaurować cesarstwo Konstantynopola, którego tylko koronę ongiś nosił, nie mogąc zasiąść na tronie. Lecz w końcu wyprawy krzyżowej nie przygotowuje się z dnia na dzień! Trzeba uzbroić statki, trzeba wykuć broń; przede wszystkim trzeba znaleźć krzyżowców, prowadzić układy w Hiszpanii, w Niemczech... A pierwszy krok to uzyskać u papieża zgodę na dziesięcinę od duchowieństwa. Mój drogi teść uzyskał tę dziesięcinę, a teraz papież wyrównuje nasze braki w Skarbcu.

- Ejże! Dostojny Panie, wielce mnie zaciekawiacie - rzekł Tolomei. - Bo jestem bankierem papieża... w jednej czwartej z Bardimi, ale i ta ćwiartka to już sporo! I gdyby papież nazbyt zubożał...

D'Artois, który pociągnął dobry łyk hypokrasu, parsknął w srebrny pucharek i dał znak, że się krztusi.

- Zubożec! Przenajświętszy Ojciec - połknąwszy wykrzyknął. - Ależ on opływa w setki tysięcy florenów. Ten człowiek jeszcze by was pouczył, Spinello, jakim byłby wielkim bankierem, gdyby nie wstąpił do stanu duchownego! Bo znalazł Skarbiec papieski bardziej pusty niż moja kieszeń przed sześciu laty...

- Wiem, wiem - mruknął Tolomei.

- Widzicie, proboszcze to najlepsi poborcy podatków, jakich kiedykolwiek Bóg stworzył na ziemi, i to właśnie pojął Dostojny Pan de Valois. Zamiast wyciskać opłaty przez znieawidzonych poborców,

kwestują proboszcze i zbiera się dziesięcinę. Powojujemy na wyprawie krzyżowej, powojujemy... może kiedyś. Do tego czasu papież nam płaci strzygąc swoje owieczki.

Tolomei delikatnie pocierał prawą nogę, od pewnego czasu odczuwał w tej właśnie nodze chłód, a także poboлеваła go, gdy chodził.

- Rzekliście, Dostojny Panie, że dziś rano zebrała się Rada. Czy wydano jakieś ważne zarządzenia?

- Och! Jak zazwyczaj. Rozważano ceny świec i zabroniono dokładać łoju do wosku, a także mieszać stare konfitury ze świeżymi. Przy sprzedaży towarów w opakowaniu nakazano potrać wagę worków i nie wliczać jej do ceny; podjęto to zarządzenie, by przypodobać się pospólstwu i pokazać mu, że się o nie troszczy.

Tolomei, uważnie słuchając, przyglądał się obu gościom. Wydali mu się bardzo młodzi; ile miał Robert d'Artois? Trzydzieści pięć, trzydzieści sześć lat... Anglik również na więcej nie wyglądał. Wszyscy ludzie poniżej sześćdziesiątki zdawali mu się zadziwiająco młodzi! Ilu jeszcze dzieł mogą dokonać, ilu wzruszeń doznać, ile bitew stoczyć, ile nadziei urzeczywistnić, a ileż ujrzą ranków, których on już nie zobaczy!... Ileż razy ci obaj mężczyźni obudzą się i odetchną porannym, świeżym powietrzem, kiedy on sam będzie w ziemi.

Jakiego pokroju człowiekiem jest lord Mortimer? Wszystko w nim podobało się staremu sieneńczykowi: pięknie rzeźbiona twarz o gęstych brwiach, równa linia powiek, przykrywających oczy barwy szarego kamienia, a potem ciemna odzież, sposób krzyżowania ramion, wyniosła, milcząca pewność siebie człowieka, który był u szczytu władzy, a teraz pragnie zachować pełną godność na wygnaniu; nawet ten odruch, z jakim Mortimer zwykł przesuwac palec po białej blizence na wardze. Tolomeia naszała chęć, by ten możny pan znów był szczęśliwy! Od pewnego czasu nawiedzała go ochota, by myśleć o bliźnich.

- Czy zarządzenie dotyczące wywozu monety będzie niebawem ogłoszone, Dostojny Panie? - zapytał.

Robert zawahał się z odpowiedzią.

- Chyba że nie powiedziano wam o tym? - dorzucił Tolomei.

- Ależ oczywiście, oczywiście, że mi wiadomo. Dobrze wiecie, iż nic się nie dzieje, póki król, a zwłaszcza Dostojny Pan de Valois nie zasięgnie mojej rady. Za dwa dni pod zarządzeniem przyłoży się pieczęć; nie wolno będzie nikomu wywozić złotej i srebrnej monety z francuskim stemplem menniczym; pielgrzymi tylko będą mogli zaopatrzyć się w kilka drobnych turneńskich.

Bankier udał, że przywiązuje tyleż wagi do zarządzenia, ile do ceny świec lub mieszanki z konfitur. Ale już pomyślał: „Więc tylko obcą monetę będzie wolno wywozić z królestwa, przeto wzrosną w cenie... Jakąż pomocą służą nam w naszym zawodzie gaduły i jak pyszałki dają nam za darmo, co mogliby bardzo drogo sprzedać!”

- A więc, Milordzie - podjął zwracając się do Mortimera - czy zamierzacie osiedlić się we Francji? Czego spodziewacie się po mnie?

Na to odpowiedział Robert:

- Tego co potrzeba wielkiemu panu, aby utrzymać swój stan. Przecież

macie doświadczenie, Tolomei!

Bankier potrząsnął dzwoneczkiem. Zażądał od wchodzącego pacholka swej wielkiej księgi i dorzucił:

- Jeśli messer Boccaccio jeszcze nie wyszedł, powiedz mu, żeby zechciał na mnie zaczekać.

Przyniesiono księgę, wielkie tomisko oprawne w czarną patynowaną skórę; ruchome klamry spinały welinowe karty. Można było do woli je podpinać. Ten system pozwalał Tolomeiowi łączyć rachunki ważnych klientów i układać je w porządku alfabetycznym i nie szukać za każdym razem rozsianych dokumentów. Bankier położył tom na kolanach i otworzył z niejaką ceremonią.

- Znajdziecie się w dobrym towarzystwie, Milordzie - powiedział. - Patrzcie: każdemu panu wedle jego stanu. Moją księgę rozpoczyna hrabia d'Artois... Macie wiele kart, Dostojny Panie - z uśmiechem dorzucił do Roberta - A potem hrabia de Bar, hrabia de Boulogne, Dostojny Pan de Bourbon... Miłościwa Pani królowa Klemencja...

Bankier z respektem pochylił głowę.

- Ach! dużo nam ona trosk przysporzyła po śmierci króla Ludwika Dziesiątego, rzekłoby się, iż żałoba pobudziła w niej rozrzutność, sam Przenajświętszy Ojciec osobiście do niej pisał nawołując do pomiarkowania i musiała złożyć u mnie swe klejnoty jako kaucję za długi. Teraz mieszka w Temple, zamek ten dostała w zamian za rezydencję Vincennes, otrzymuje rentę wdowią i jakby się uspokoiła.

Przerzucał nadal szeleszczące w ręku karty. Bardzo zręcznie pokazywał nazwiska, a przedramieniem zasłaniał cyfry. Był tylko na połę niedyskretny.

„Teraz ja się zabawiam w pyszałka - myślał. - Ale trzeba podbić cenę usług, jakie się świadczy, i dowieść, że nie olśniewa mnie ten nowy pożyczkobiorca.”

Doprawdy całe jego życie zawarte było w tej księdze i chętnie korzystał z każdej okazji, by przeglądać karty. Każde nazwisko, każdy rachunek nasuwał tyle wspomnień, przypominał tyle intryg i powierzonych sekretów, tyle próśb do niego kierowanych, którymi mierzył swą władzę! Każda cyfra żywo przypominała jakąś wizytę, list - chytry targ lub odruch sympatii, albo surowość wobec niedbałego dłużnika... Minęło prawie pięćdziesiąt lat, odkąd Spinello Tolomei, przybywszy ze Sieny, zaczął handlować na jarmarkach w Szampanii, potem osiedlił się tutaj przy ulicy Lombardów i założył bank.<sup>11</sup>

Jeszcze jedna strona i następna, która zahaczyła o wyszczerbione paznokcie. Czarna krecha przekreślała nazwiska.

- Patrzcie, oto messer Dante Alighieri, poeta... na drobną sumkę, kiedy przybył do Paryża, aby odwiedzić królową Klemencję po jej owdowieniu. Był wielkim przyjacielem króla Karola Węgierskiego, ojca Miłościwej Pani Klemencji. Przypominam sobie messer Dantego właśnie na tym fotelu, gdzie wy zasiadacie, Milordzie. Niełaskawy człowiek. Był synem maklera, a przez całą godzinę wygadywał pogardliwie o tym zawodzie. Lecz miał prawo być złośliwcem i upijać się z dziewczętami w podejrzanych miejscach; co to kogo obchodzi! Wyśpiewał naszą mowę jak

nikt przed nim. A jak Piekło odmalował! Drży się na samą myśl, że tak mogłoby być. Czy wiecie, że w Rawennie, gdzie messer Dante przeżył swe ostatnie lata, ludzie bojaźliwie ustępowali mu z drogi, bo naprawdę sądzili, że był czarodziejem i zstąpił do otchłani. Już dwa lata jak umarł. Ale nawet i teraz bardzo wielu nie wierzy w jego śmierć i zapewnia, że powróci... Nie lubił bankowości, to prawda, ani Dostojnego Pana de Valois, który go wygnał z Florencji.

Przez cały czas, gdy mówił o Dantem, Tolomei przyciskał do drewnianego fotela palce ułożone w znak wideł.

- Oto tutaj was umieszczę, Milordzie - podjął, zaznaczając kartę w grubej księdze. - Po Dostojnym Panu de Marigny, ale bądźcie spokojni, nie po wisielcu, o którym mówił przed chwilą Dostojny Pan d'Artois. Nigdy! Po jego najmłodszym bracie, biskupie Beauvais... Od dziś macie u mnie otwarte konto na siedem tysięcy liwrów. Możecie zeń czerpać do woli i uważać mój skromny dom za własny. Tkaniny, zbroje, klejnoty, wszelakie potrzebne wam towary znajdziecie na moich ladach i możecie je kupować na kredyt.

Wykonywał swój zawód machinalnie; pożyczzał ludziom, by mieli za co kupić to, co sprzedawał.

- A wasz proces przeciw stryjnie, Dostojny Panie? Czy nie zamierzacie go teraz wznowić, gdy posiadacie takie wpływy? - spytał Roberta d'Artois.

- Zrobi się, zrobi, lecz w swoim czasie - powstając odparł olbrzym. - Nic nie nagli, spostrzegłem, że zbyt ni pośpiech szkodzi. Czekam, aż droga stryjna się zestarzeje, niech się stera w drobnych procesach z wasalami, niech co dzień swoimi szykanami pozyskuje nowych wrogów, odnowi swoje zamki, z którymi trochę źle się obszedłem podczas moich odwiedzin na jej ziemiach, które przecież są moje. Zaczyna pojmować, ile ją kosztuje przetrzymywanie moich dóbr! Musiała pożyczyć Dostojnemu Panu de Valois pięćdziesiąt tysięcy liwrów i nigdy ich nie zobaczy, bo stanowią wiano mojej małżonki; z tych pieniędzy was spłaciłem. Widzicie, że nie jest tak szkodliwa, jak powiadają, ta setna łajdaczka. Strzegę się tylko, żeby za często jej nie widywać, bo tak bardzo mnie kocha, że mogłaby mi dogodzić jakimś deserem, po którym niemało ludzi umarło w jej otoczeniu... Ale odzyskam moje hrabstwo, bankierze, będę je miał, bądźcie pewni, a wtedy, przyrzekam wam, zostaniecie moim skarbnikiem.

Messer Tolomei, towarzysząc gościom, zszedł ostrożnie po schodach i odprowadził ich aż do drzwi, na ulicę Lombardów. Gdy Roger Mortimer zapytał, na jaki procent pożyczca mu pieniądze, bankier gestem uchylił pytanie.

- Wyrządźcie mi tylko łaskę, aby zejść do mnie - powiedział - kiedy będziecie załatwiać sprawy w banku. Na pewno poucycie mnie o wielu rzeczach, Milordzie.

Uśmiech towarzyszył tym słowom, a lewa powieka nieco się uniosła.

Listopadowy ziąb przenikał z ulicy i starzec zadrżał. Zamknawszy drzwi Tolomei wnet okrążył lady i wszedł do izdebki, gdzie siedział signor Boccaccio, wspólnik Bardich.

- Przyjacielu Boccaccio - rzekł - kupuj od dziś i jutra wszystkie monety angielskie, holenderskie, hiszpańskie, włoskie floreny, dublony,<sup>12</sup> dukaty,

jednym słowem wszystkie monety cudzoziemskie; oferuj o jednego lub dwa denary więcej za sztukę. Za kilka dni podskoczą w cenie o jedną czwartą. Wszyscy podróżni będą zmuszeni zaopatrywać się u nas, ponieważ nie wolno będzie wywozić złota francuskiego. Proponuję zysk po połowie.<sup>13</sup>

Tolomei wiedział, ile można na miejscu mniej więcej zagarnąć obcego złota; dodając doń to, co miał w skrzyniach, obliczył, że operacja da mu w zysku od piętnastu do dwudziestu tysięcy liwrów. Pożyczył siedem tysięcy; był pewien, że zarobi co najmniej dwakroć tyle, a z tego dochodu udzielać będzie nowych pożyczek. Rutyna!

Gdy Boccaccio gratulował mu sprytu i w wąskich ustach mełł komplementy, iż nie na próżno kompanie lombardzkie w Paryżu wybrały messer Spinella Tolomei swym generalnym kapitanem, ów odpowiedział:

- Och! Nie moja w tym zasługa, po przeszło pięćdziesięciu latach praktyki to samo przez się przychodzi. Gdybym naprawdę był sprytny, wiesz, co bym zrobił? Odkupiłbym od ciebie wszystkie twoje rezerwy florenów, a zysk zatrzymałbym dla siebie. Ale, zaprawdę, po cóż mi to? Zobaczysz, Boccaccio, jeszcze jesteś młody...

Ów miał jednakże siwe nitki na skroniach.

- ...przychodzi czas, kiedy pracuje się już wyłącznie dla siebie, a wtedy ma się uczucie, że to praca na darmo. Brak mi mojego siostrzeńca. Jednakże sprawa jego teraz przycichła, jestem pewien, że niczym by nie ryzykował, gdyby wrócił. Ale ten diabeł Guccio odmawia, upiera się, myślę, że przez swoją dumę. Wieczorami wielki ten dom, gdy pracownicy odejdą, a pachółkowie śpią - wydaje mi się bardzo pusty. I oto niekiedy zaczynam żałować Sieny.

- Twój siostrzeniec powinien by zrobić to samo, co ja zrobiłem, gdy miałem taką samą historyjkę z pewną paryską damą. Porwałem syna i zawiozłem go do Italii.

Messer Tolomei kiwał głową i myślał, że smutne jest domowe ognisko pozbawione dzieci. Syn Guccia w tych dniach skończy już siedem lat, a Tolomei nigdy go nie widział. Sprzeciwiała się matka...

Bankier pocierał prawą nogę, ocięzając i zziębniętą, w której czuł mrowienie. W ten sposób śmierć łapie was za nogi przez całe lata... Zaraz, zanim położy się do łóżka, każe przynieść gar z gorącą wodą, by zanurzyć w nim nogę.





## IV

### Rzekoma wyprawa krzyżowa

- **D**ostojny Panie Mortimerze, wielce mi będą potrzebni rycerze, tacy jak wy, mężni i waleczni, aby zasilić szeregi mojej wyprawy krzyżowej - oświadczył Karol de Valois. - Pomyślicie, że jestem zbyt dumny, mówiąc: „moja wyprawa krzyżowa”, kiedy w istocie to jest wyprawa Boga, Pana Naszego; lecz winienem wam wyjawić, i każdy mi to przyzna, że jeśli dojdzie do skutku ów wielki zamysł, największy i najchwalebniejszy, jakiego mogą się domagać chrześcijańskie narody, stanie się to dlatego, że go wykonam własnymi rękoma. Przeto, Dostojny Panie Mortimerze, wprost was zapytuję i ze szczerego serca, które niebawem poznacie: azali staniecie w moich szeregach?

Roger Mortimer wyprostował się na krześle; twarz mu zastygła, a powieki przesłoniły do połowy oczy barwy szarego kamienia. Czy proponuje mu się dowództwo nad dwudziestu pancernymi jak byle kasztelanowi z prowincji albo przygodnemu żołnierzowi, którego tu zagnał niepomyślny los? Taka propozycja to jałmużna!

Po raz pierwszy hrabia de Valois przyjmował u siebie Mortimera. Hrabia aż dotąd wciąż był zajęty sprawami Rady, przyjmowaniem zagranicznych posłów lub objeżdżał królestwo. Mortimer nareszcie zobaczył człowieka, który rządził Francją, a i dziś jeszcze wprowadził na urząd kanclerski Jana de Cherchemont,<sup>14</sup> jednego ze swych protegowanych. Mortimer znalazł się w sytuacji, jakiej na pewno mógłby pozazdrościć więzień skazany na dożywocie, ale nie wielmoża na wygnaniu, który prosi nic nie dając, a wszystkiego się spodziewa.

Spotkanie nastąpiło w pałacu króla Sycylii; Karol de Valois otrzymał rezydencję w ślubnym darze od pierwszego teścia Karola Kulawego z Neapolu. W wielkiej sali, przeznaczonej na audiencje, około dwunastu osób, giermków, dworzan i sekretarzy rozmawiało szeptem często spoglądając na swego pana, który na tronie pod baldachimem udzielał posłuchania jak prawdziwy monarcha. Dostojny Pan de Valois odziany był w okazałą domową szatę z niebieskiego aksamitu haftowanego w literę „V” i kwiaty lilii, rozchylona z przodu ukazywała futrzane podbicie. Rękę miał przeładowane pierścieniami; osobista pieczęć, ryta w drogim kamieniu zwisała u pasa na złotym łańcuszku, głowę zaś miał okrytą czapką w rodzaju beretu, otoczoną cyzelowaną złotą obręczą - jakby domową koroną. Za nim stał oparty o tron najstarszy jego syn Filip de Valois, dobrze zbudowany chwata o wielkim nosie, a za nim Robert d'Artois rozsiadł się na taborecie i wyciągnął w stronę kominka olbrzymie buciska z czerwonej skóry.

- Dostojny Panie - powoli mówił Mortimer - jeśli pomoc człowieka, pierwszego w Marchiach Walijskich, który władał królestwem Irlandii i dowodził w kilkunastu bitwach, na cokolwiek może być wam przydatna,



chętnie służę pomocą w obronie chrześcijaństwa i krwią tą odtąd dysponujcie.

Valois pojął, że dumny jest człowiek, który mówi o swych lennach w Marchiach, jakby nimi dziś jeszcze władał. Należy oszczędzać jego ambicji, jeśli chce się feudała wykorzystać.

- Dopiąłem, panie baronie - odparł - że staną pod sztandarami króla Francji, to jest moimi - zostało bowiem już uzgodnione, że bratanek mój będzie rządził nadal królestwem, gdy ja obejmę dowództwo nad krucjatą - staną, powiadam, pierwsi książęta panujący w Europie; mój krewniak Jan Luksemburski, król Czech, szwagier Robert na Neapolu i Sycylii, a także mój kuzyn Alfons Hiszpański; jednocześnie, na żądanie papieża, poprą nas swymi galerami republiki: wenecka i genueńska. Nie będziecie więc w byle jakiej kompanii, ja zaś będę baczył, aby was szanowano z czią należną panu wysokiego rodu. Francja, skąd pochodzą wasi przodkowie, potrafi lepiej ocenić wasze zasługi, niż zdaje się to czynić Anglia...

Mortimer w milczeniu pochylił głowę. Obietnica niewiele była warta, trzeba będzie czuwać, by nie pozostała czym przyrzeczeniem.

- Bo w ciągu przeszło pięćdziesięciu lat - podjął Dostojny Pan de Valois - nic nie działo w Europie dla chwały Boga; dokładnie, odkąd dziad mój Ludwik Święty uzyskał Raj, a oddał życie. Niewierni, zachęteni naszą bezczynnością, podnieśli głowy, wszędzie uważają się za władców, pustoszą wybrzeża, rabują statki, utrudniają handel, a sama ich obecność znieważa Ziemię Świętą. A my, cośmy uczynili? Rok po roku wycofujemy się ze wszystkich naszych posiadłości, ze wszystkich naszych posterunków, opuszczamy zbudowane przez nas twierdze, poniechaliśmy zdobytych przez nas świętych praw. Ale czasy się zmieniły. Na początku roku posłowie z Małej Armenii<sup>15</sup> przybyli prosić nas o pomoc przeciw Turkom. Wdzięcznym memu bratankowi, królowi Karolowi Czwartemu, że pojął całą wagę ich wystąpienia i że poparł bieg sprawy, który nadałem, i to tak dalece, iż nawet przywłaszcza sobie pierwotny pomysł! Ale w końcu dobrze, że w to wierzy. Tak więc niebawem, zebrawszy nasze wojska, ruszymy i zaatakujemy barbarzyńców na dalekich wybrzeżach.

Robert d'Artois, po raz setny słysząc to przemówienie, potakiwał głową z przejętą miną i bawił się w duchu zapalem, jaki okazywał teść, rozwijając piękne projekty. Bo Robert znał podszewkę sprawy, wiedział, że istotnie powstał zamiar napaści na Turków, lecz po drodze poszturchując cokolwiek chrześcijan; bo Andronik Paleolog, władca Bizancjum, nie był, jak wiadomo, wyznawcą Mahometa. Niewątpliwie jego kościół nie był całkowicie prawowierny i kreślono tam znak krzyża na opak; był to jednakże znak krzyża! Dostojny Pan de Valois zaś wciąż żywił myśl przywrócenia w Konstantynopolu, na własny użytek, słynnego cesarstwa, obejmującego nie tylko ziemie bizantyjskie, lecz i Cypr, Rodos, Armenię i wszystkie dawne królestwa Courtenayów i Luzynianów. Gdy zaś tam przybędzie na czele wszystkich chorągwi hrabia Karol, jak można przypuszczać, niewiele będzie znaczył Andronik Paleolog. Dostojny Pan de Valois snuł w myślach marzenia Cezara...

Należy zresztą zaznaczyć, że dość często wykorzystywał manewr, który na tym polegał, iż żądał jak najwięcej, by uzyskać cośkolwiek. Próbował

przeto wymienić dowództwo nad krucjatą i pretensje do tronu w Konstantynopolu na skromne królestwo Arles nad Rodanem, pod warunkiem przyłączenia doń okręgu Vienne. Wszczęte w początku roku negocjacje z Janem Luksemburskim zostały przerwane na skutek sprzeciwu hrabiego Sabaudii, a zwłaszcza króla Neapolu, który wcale nie życzył sobie ujrzeć wicrzycielskiego krewniaka osiadłego w niezawisłym królestwie w sąsiedztwie swoich prowansalskich posiadłości. Wówczas Dostojny Pan de Valois z tym większym zapalem oddał się świętej wyprawie. Było sądzone, aby szukał monarszej korony - która się mu wymknęła w Hiszpanii, Niemczech, a nawet w Arles - na drugim krańcu świata.

- Oczywiście, wszystkie przeszkody jeszcze nie zostały przezwyciężone - ciągnął dalej Dostojny Pan de Valois. - Jeszcze spieramy się z Ojcem Świętym co do ilości rycerzy i należnego im żołdu. Chcemy ośmiu tysięcy rycerzy i trzydziestu tysięcy pieszych, chcemy, by każdy baron otrzymał dwadzieścia soldów dziennie, każdy rycerz - dziesięć, giermkowie - po siedem soldów i sześć denarów, a po dwa soldy - piechurzy. Papież Jan chce zmniejszyć ilość mego wojska do czterech tysięcy rycerzy i piętnastu tysięcy piechoty; obiecuje jednakże dwanaście uzbrojonych galer. Upoważnił nas do pobrania dziesięciny, lecz krzywi się na milion dwieście tysięcy liwrów rocznie w ciągu pięciu lat, jakie trwać będzie krucjata, a zwłaszcza na czterysta tysięcy liwrów, niezbędnych królowi Francji na dodatkowe koszty.

„W tym trzysta tysięcy już przeznaczonych dla zacnego Karola de Valois osobiście - myślał Robert. - Za tę cenę warto dowodzić wyprawą krzyżową! Byłbym głupi, gdybym mu przeszkadzał, z tego i mnie powinno kapnąć!”<sup>16</sup>

- Ach! gdybym zamiast zmarłego bratanka był w Lyonie podczas ostatniego konklawe - wykrzyknął Valois - nie obmawiając naszego Przenajświętszego Ojca, wybrałbym kardynała, który głębiej by pojmował interesy chrześcijaństwa i nie miał takiego węża w kieszeni.

- Zławszcza, odkąd powiesiliśmy w Montfaucon w maju jego siostrzeńca - zauważył Robert d'Artois.

Mortimer obrócił się na krzesło i zdumiony spojrzał na Roberta d'Artois pytając:

- Siostrzeńca papieża? Jakiego siostrzeńca?

- Jak to, mój kuzynie, nie wiecie? - odparł Robert d'Artois korzystając ze sposobności, by powstać, trudno mu było bowiem długo siedzieć nieruchomo, i popchnął butem palące się w kominku polana.

Mortimer przestał dlań być „Milordem”, a stał się „moim kuzynem” z powodu powinowactwa, jakiego się doszukali przez Fiennes'ów; wkrótce zostanie „Rogerem” bez żadnych ceregieli.

- A nie, istotnie, skąd byście wiedzieli - podjął Robert. - Z łaski waszego przyjaciela Edwarda siedzieliście w ciemnicy... Chodzi o barona gaskońskiego Jordana de l'Isle, za którego Ojciec Święty wydał swoją siostrzenicę, a ów dopuścił się kilku drobnych przestępstw, jak: kradzieży, zabójstw, gwałtów na damach i dziewczicach, a ponadto trochę się połajdaczył z młodziankami. Otaczał się złodziejami, a jego siepacze oraz

inni ludzie podłej konduity grabili duchownych i świeckich na jego rachunek. Ponieważ papież go chronił, darowano mu te grzeszki pod warunkiem poprawy. Jordan nic lepszego nie miał do roboty, by okazać skruchę, jak schwytać królewskiego sierżanta, który mu wręczył napomnienie, i kazać go wbić... Na co? Na kij z kwiatem lilii, który nosił ów sierżant.

Robert d'Artois wybuchnął śmiechem, zdradzając tym wrodzoną sympatię do wszelkiej kanalii.

- Prawdę rzekłszy, nie wiadomo, co było większą zbrodnią, czy zabić królewskiego oficera, czy wsadzić kwiat lilii w tyłek sierżanta. Pan Jordan zawisł na szubienicy w Montfaucon, gdzie możecie go jeszcze zobaczyć, jeśli przypadkiem będziecie tam przechodzić. Kruki zostawiły mu trochę ciała. Odtąd mamy oziębłe stosunki z Awinionem.

I Robert ryknął śmiechem rozwarłszy gębę na ścieżaj i zatknawszy kciuki za pas; wesołość jego była tak szczera i zaraźliwa, że sam Roger Mortimer jął się śmiać. Śmiał się także Valois i syn jego Filip...

Wspólny śmiech wzajem ich zbliżył. Mortimer poczuł się nagle przyjęty do kręgu Valois i nieco się odprężył. Z sympatią patrzył na twarz Dostojnego Pana de Valois, rumiane oblicze żarłoka, którego pozbawia ruchu sprawowanie władzy. Mortimer nie widział Valois od czasu przelotnych spotkań, najpierw w Anglii na weselu królowej Izabeli, a następnie po raz drugi w 1313 roku, gdy towarzyszył monarszej parze angielskiej do Paryża jadącej złożyć pierwszy hołd. To wszystko zda się odbyło wczoraj, a już stało się odległe. Dziesięć lat! Dostojny Pan de Valois był wówczas jeszcze młodym człowiekiem, a teraz stał się okazałym, potężnym tuszem dostojnikiem... Dalej! Nie trzeba tracić cennego czasu i lekceważyć okazji do przygody. Mimo wszystko, ta krucjata jęła pociągać Rogera Mortimera.

- Kiedy więc, Dostojny Panie, statki podniosą kotwice? - zapytał.

- Myślę, że za półtora roku - odparł Valois. - Wyślę trzecie poselstwo do Awinionu, aby ostatecznie uzgodnić z papieżem sprawę funduszy, wydania bulli odpustowych i rozkazu walki.

- A będzie to piękna kawalkada, Dostojny Panie Mortimerze, gdzie trzeba się będzie wykazać męstwem, a modnisie będą musieli inaczej sobie poczynać niż na zapasach - dorzucił Filip de Valois, który dotychczas milczał, a twarz mu się lekko zaróżowiła.

Najstarszy syn Karola de Valois już wyobrażał sobie wydęte żagle na galerach; lądowanie na dalekich wybrzeżach, chorągwie, pancerze, uderzenie ciężkich francuskich koni, atakujących Niewiernych, Półksiężyc, zdeptany pod kopytami rumaków, mauretańskie dziewczęta ujęte w głębi pałaców, piękne nagie niewolnice, idące w łańcuchach... I nic nie przeszkodzi Filipowi de Valois zaspokoić swe żądze na tych tłustych klempach. Już mu się rozdzymały wielkie nozdrza. Pozostanie bowiem we Francji Joanna Kulawa, jego małżonka, która wybuchiała wściekłą zazdrością, ledwie spojrzał na piersi innej kobiety. Ach! Nie miała łatwego charakteru siostra Małgorzaty Burgundzkiej! Można kochać swoją żonę, a równocześnie gorącość krwi skłania do pożądania innych kobiet: Trzeba by co najmniej wyprawy krzyżowej, by wielki Filip śmiał zdradzić Kulawą.

Mortimer lekko wyprostował się i obciągnął czarną szatę. Chciał wrócić do ważnego dlań tematu, a nie była to kruczjata.

- Dostojny Panie - rzekł do Karola de Valois. - Możecie mnie uważać za idącego w waszych szeregach. Lecz przyszedłem także prosić Was...

Słowo padło. Były Wielki Sędzia Irlandii wypowiedział ten wyraz, bez którego żaden petent nic nie uzyska, a żaden człowiek wpływowy nie udzieli poparcia. Żebrać, prosić, błagać... Nie potrzebował zresztą mówić dalej.

- Wiem, wiem - przerwał mu Karol de Valois - zięć mój, Robert, wszystko mi wyjaśnił. Chcecie, żebym się wstawił w waszej sprawie do króla Edwarda. Więc, mój wierny przyjacielu...

Ponieważ „prosił”, od razu został przyjacielem.

- Więc nic z tego, bo nie zdałoby się na nic... Chyba tylko ściągnąłbym na siebie jakąś nową obelgę. Znacie odpowiedź, jakiej udzielił mi wasz król Edward za pośrednictwem Bouville'a? Tak, na pewno ją znacie... Wówczas, gdy już prosiłem Ojca Świętego o dyspensę na to małżeństwo! Za kogo on mnie ma? Czy teraz mam prosić, by oddał wam wasze dobra, zwrócił tytuły i wypędził swoich bezecnych Despenserów?

- A tym samym zwrócił królowej Izabeli...

- Moja biedna bratanica! - zawołał Valois. - Wiem, wierny przyjacielu, o wszystkim wiem! Czy sądzicie, że mogę lub czy może król Francji skłonić króla Edwarda do zmiany obyczajów i ministrów? Chyba dobrze wiecie, że gdy wysłał biskupa Rochesteru z żądaniem wydania was, myśmy odmówili, odmówiliśmy biskupowi nawet posłuchania! Pierwszy afront, który w zamian za jego obelgę wyrządza Edwardowi. Złączyły nas, was i mnie, Dostojny Panie Mortimerze, zniewagi wspólnie nam wyrządzone. A jeśli któremuś z nas zdarzy się sposobność do zemsty, daję wam słowo, drogi panie, że się wspólnie pomścimy.

Mortimer, nic nie ujawniając, odczuł, że ogarnia go rozpacz. Rozmowa, po której Robert d'Artois obiecywał cuda... „Jeśli teść mój, Karol, was polubi, a na pewno to uczyni, możecie być pewni triumfu...” Rozmowa zdawała się zakończona. A co z niej wynikło? Powietrze. Mglista obietnica dowództwa za półtora roku w kraju Turków. Roger Mortimer już zamyślał opuścić Paryż, udać się do papieża; a jeśli i tam nic nie uzyska, pojechać wówczas do cesarza Niemiec... Ach! Gorzkie są rozczarowania uchodźcy. Przepowiedział mu je stryj Chirk.

Wówczas, w przykłej ciszy, która nastąpiła, Robert d'Artois powiedział:

- A dlaczego byśmy nie mieli stworzyć tej sposobności do pomsty, Karolu?

Jedyny na dworze nazywał po imieniu hrabiego de Valois, nie zmieniwszy zwyczajów, od czasu gdy byli tylko kuzynami; również jego wzrost, siła i fanfaronada nadawały jemu tylko przysługujące prawa.

- Robert ma rację - rzekł Filip de Valois. - Można na przykład wezwać króla Edwarda na wyprawę krzyżową i tam...

Niewyraźnym ruchem dokończył myśl. Miał z pewnością bujną fantazję wielki Filip! Widział przejście brodu lub jeszcze lepiej spotkanie z oddziałem Niewiernych w głębi pustyni. Pozwoli się Edwardowi zaatakować, a później z zimną krwią pozostawi w rękach Turków... oto

piękna zemsta!

- Nigdy - wykrzyknął Karol de Valois - przenigdy Edward nie dołączy swoich chorągwi do moich. Przede wszystkim czy nawet można mówić o nim jako o królu chrześcijańskim? Maurowie właśnie mają podobne obyczaje!

Mimo tego oburzenia, Mortimera ogarnął niepokój. Zbyt dobrze wiedział, co są warte słowa książąt i jak wczorajsi wrogowie nazajutrz mogą się pojednać choćby na pozór, jeśli mają w tym swój interes. A gdyby Dostojny Pan de Valois zechciał zaprosić Edwarda, aby wzmocnić krucjatę, a Edward się zgodził...

- Choćbyście to zrobili, Dostojny Panie - rzekł Mortimer - mało jest danych, aby król Edward przyjął wasze zaproszenie; lubi on walkę wręcz, lecz nie znosi posługiwania się bronią; zapewniam was, że nie on zwyciężył mnie pod Shrewsbury. Edward poda powód - i nie bez słusznej racji - że niebezpieczeństwa, na które narażają go Szkoci...

- Lecz ja bardzo chcę Szkotów w mojej krucjacie! - rzekł Valois.

Robert d'Artois kilkakrotnie uderzał kułakiem w kułak. Krucjata była mu całkiem obojętna, a prawdę rzekłszy, nie miał na nią żadnej ochoty. Przede wszystkim, na morzu wymiotował. Na lądzie, czego dusza zapragnie, ale nic na wodzie; niemowle tam było odeń silniejsze. A potem, myślał przede wszystkim o odebraniu swego hrabstwa Artois, zaś pięcioletnia wyprawa na koniec świata wcale nie posunie naprzód jego spraw. Tron w Konstantynopolu nie był jego dziedzictwem i wcale mu nie przypadało do gustu zostać pewnego dnia rządcą jakiejś gołej wyspy na zatraczonych wodach. Nie interesował go handel korzeniami ani porywanie kobiet Turkom; Paryż obfitował w hurysy za pięćdziesiąt soldów i jeszcze tańsze mieszcanki, a pani de Beaumont, jego żona, córka tu obecnego Dostojnego Pana de Valois, przymykała oboje oczu na wszystkie wyskoki. Zwłaszcza zależało Robertowi na odwleczeniu, możliwie najdalej, daty wyprawy; udając, że do niej zachęca, pracował nad zwłoką. Miał w głowie własny pomysł i nie na darmo przyprowadził do teścia Rogera Mortimera.

- Rozważam, Karolu - rzekł - czy rozsądnie na długo pozostawiać królestwo Francji ogołocone z mężczyzn, pozbawione rycerstwa i waszego dowództwa, na łasce króla Anglii, który wyraźnie pokazuje, że nie pragnie dla nas dobra.

- Zamki będą zaopatrzone, Robercie, pozostawimy tam wystarczająco załóg - odparł Valois.

- Lecz bez szlachty, bez większości rycerstwa i bez was, powtarzam, bez naszego wielkiego wodza, kto obroni królestwo w czasie naszej nieobecności? Konetabl wkrótce skończy siedemdziesiąt pięć lat i to cud, że jeszcze trzyma się na siodle. Nasz król Karol? Jeżeli Edward niezbyt lubi bitwy, jak powiada nam lord Mortimer, nasz miły kuzyn jeszcze mniej się na tym rozumie. Zresztą, na czym się on zna, chyba na paradowaniu przed ludem, wyświeżony i uśmiechnięty? Byłoby szaleństwem pozostawić wolne pole niczemnościom Edwarda, wprawdzie nie osłabiwszy go klęską.

- Więc pomóżmy Szkotom - zaproponował Filip de Valois. - Wylądujemy na ich wybrzeżach i wspomóżmy w walce. Co do mnie, jestem gotów.

Robert d'Artois pochylił się, żeby nie pokazać, co myśli. Ładna sprawa,

gdyby Filip objął dowództwo w Szkocji! Spadkobierca rodu Valois dowiedział swych talentów w Italii, gdzie go wysłano, by wspomógł papieskiego legata walczącego z Viscontimi z Mediolanu. Filip dumnie przybył wraz ze swymi chorągwiami, a Galeazzo Visconti tak go wykiwał i omotał, że Filip, przekonany, że wygrał, ustąpił we wszystkim i wrócił nie stoczywszy nawet potyczki.

Roger Mortimer ze swej strony wydawał się nieco urażony propozycją Filipa de Valois. Bo choć był przeciwnikiem króla Edwarda, jednak Anglia była jego ojczyzną!

- Na razie Szkoci są dość spokojni - rzekł - i zdaje się postanowili respektować traktat narzucony nam w ubiegłym roku.

- A zresztą Szkocja, Szkocja... - dodał Robert - trzeba przepłynąć morze! Zachowajmy nasze statki na wyprawę krzyżową. Mamy chyba lepszy teren, żeby wyzwać tego łajdaka Edwarda. Nie złożył hołdu z tytułu Akwitanii. Jeśli go zmusimy, żeby przybył bronić własnych praw w swym księstwie we Francji i przy tej sposobności rozbijemy, wszyscy będziemy pomszczeni, a ponadto będzie siedział cicho podczas naszej nieobecności.

Valois obracał pierścionki i rozważał. Raz jeszcze Robert okazał się roztropnym doradcą. Przedstawił on plan jeszcze mglisty, lecz Valois już przewidywał dalszy rozwój wypadków. Przede wszystkim Akwitania nie była dlań ziemią nieznaną; odbył tam kampanię, pierwszą wielką, zwycięską kampanię w 1294 roku.

- Byłaby to na pewno dobra zaprawa dla naszego rycerstwa, które nie walczyło naprawdę już od dawna, a także okazja, by wypróbować tę nową artylerię z prochem, jakiej Włosi poczynają używać - powiedział. - Nasz stary przyjaciel Tolomei ofiarowuje się nam ją dostarczyć. Oczywiście, król Francji może położyć rękę na księstwie Akwitanii z powodu odmowy hołdu...

Namyślał się chwilę.

- Lecz nie wyniknie z tego na pewno zbrojny konflikt - wyciągnął wniosek. - Jak zwykle nastąpią układy; zajmą się sprawą parlamenty i poselstwa. A później z kwaśną miną hołd zostanie złożony. To nie jest dobry powód.

Robert d'Artois usiadł i oparł łokcie na kolanach, a podbródek na pięściach.

- Można znaleźć skuteczniejszy powód niż odmowa hołdu - powiedział. - Nie muszę was pouczać, kuzynie Mortimerze, o wszystkich kłopotach, kręactwach i walkach, które zrodziła Akwitania, odkąd diuszesa Eleonora, ozdobiwszy potężnymi rogami czoło swego pierwszego małżonka a naszego króla Ludwika Siódmego, wniosła we wianie swawolne ciało jak i księstwo Akwitanii swemu drugiemu mężowi, a waszemu królowi Henrykowi Drugiemu Angielskiemu. Nie zamierzam również przypominać traktatu, za pomocą którego król Ludwik Święty chciał położyć kres wojnie stuletniej,<sup>17</sup> wbiwszy sobie do głowy, że trzeba sprawiedliwie załatwiać wszystkie sprawy. Traktat z 1259 roku to gniazdo, w którym kotka by nie odnalazła własnych kociąt. Sam seneszał de Joinville, stryjeczny dziadek waszej małżonki, kuzynie Mortimerze, powszechnie znany ze swego przywiązania do świętego króla, odradzał mu, by kiedykolwiek go

podpisywał. Nie, przyznajmy szczerze, że ten traktat to była bzdura! Od śmierci Ludwika Świętego wciąż tylko spory, debaty, traktaty zawierane, traktaty zrywane, hołdy składane, ale z zastrzeżeniem, rozprawy przed parlamentami, skarżący się odprawiani z kwitkiem, skarżący się skazywani i znowu przesłuchania sądowe. Ale kiedy wasz brat Filip Piękny, Karolu - spytał Robert zwracając się do Valois - wysyłał was do Akwitanii, gdzieście w tak piękny sposób zaprowadzili ład, jaki podano powód waszej misji?

- Wielkie zamieszki w Bayonne, gdzie doszło do rękoczynów między francuskimi i angielskimi marynarzami i krew popłynęła.

- A widzicie! - wykrzyknął Robert - musimy wymyślić powód do nowych zamieszek w Bayonne. Trzeba działać w jakimś miejscu, gdzie by ludzie obu królów dobrze się potłukli i troszkę się pozabijali. Sądzę, że znam takie miejsce.

Skierował olbrzymi wskazujący palec na rozmówców i nawiązał:

- W traktacie paryskim, potwierdzonym paktem pokojowym z roku 1303, przejrzanym w Perigueux w roku 1311, został zarezerwowany status pewnych dóbr, zwanych uprzywilejowanymi, a które, mimo że znajdują się w Akwitanii, są nadal bezpośrednio zależne od króla Francji. Do tychże zaś dóbr należą w Akwitanii zawisłe od nich lenna. I nigdy nie rozstrzygnięto i nie wyjaśniono czy owe lenna zależą bezpośrednio od króla Francji, czy też diuka Akwitanii. Rozumiecie?

- Pojmuję - odparł Dostojny Pan de Valois.

Syn jego Filip nie zrozumiał. Otwierał szeroko niebieskie oczy i jego wysiłek, by cokolwiek pojąć, był tak widoczny, że ojciec mu wyjaśnił:

- Ależ tak, synu. Wyobraź sobie, że daję ci w lennie cały ten pałac. Ale zastrzegam do własnego użytku i władania tę oto salę, gdzie teraz przebywamy. Otóż do tej sali należy pokój przejściowy, łączący się z nią tymi drzwiami. Pod czyją jurysdykcją znajduje się ten pokój przejściowy i kto winien go zaopatrzyć w sprzęty i pilnować sprzątanía? Cały sęk - dorzucił Valois, zwracając się do Roberta - znaleźć lenno dość ważne, gdzie wszczęta działalność zmusiłaby Edwarda do podjęcia wyzwania.

- Macie lenno - odparł olbrzym - nadające się do tego w sam raz, a mianowicie ziemie Saint-Sardos, przynależne do opactwa Sarlat w diecezji Perigueux. Już tę sytuację rozpatrywano, gdy Filip Piękny przyjmował jako lennika opata z Sarlat, zawarty pakt czynił króla Francji współwładcą tych dóbr. Wtedy Edward I odwołał się do parlamentu w Paryżu, lecz nic nie rozstrzygnięto.<sup>18</sup> Niechże w lennie Saint-Sardos król Francji, współwładca Sarlat, umieści swoją załogę i przystąpi do budowy troszkę groźniejszej warowni, co wtedy zrobi król Anglii, diuk Akwitanii? Wyda rozkaz swemu seneszalowi, żeby się sprzeciwił i wysłał tam swoją załogę. Niechże przy pierwszym spotkaniu dwóch żołnierzy sponiewiera się królewskiego dowódcę albo tylko obrazi...

Robert rozłożył ręce, jakby wniosek sam się nasuwał. A Dostojny Pan de Valois w błękitnych, haftowanych złotem aksamitach powstał z tronu. Już się widział w siodle na czele chorągwi; odjeżdżał do Gujeny, gdzie już przed trzydziestu laty zatriumfowały pod jego wodzą zastępy króla Francji!

- Zaprawdę, podziwiam was, bracie - zawołał Filip de Valois - wy taki

światny rycerz, znacie się na procedurze jak jaki duchowny.

- Ba, bracie, niewielka w tym moja zasługa. Nie z zamiłowania szperałem we francuskich obyczajach i wyrokach Parlamentu, ale z powodu mego procesu o hrabstwo Artois. Ponieważ zaś aż do dzisiaj nie przydało mi się to na nic, niech przynajmniej posłuży moim przyjaciołom!

- dokończył Robert d'Artois, kłaniając się Rogerowi Mortimerowi, jakby wielka, wymyślona przezeń intryga miała za jedyny powód i cel przypodobanie się uchodźcy.

- Wasza obecność będzie nam wielce pomocna, panie baronie - podkreślił Karol de Valois - bo łączy nas wspólna sprawa i nie omieszkamy prosić was o radę ściśle współpracując w tym przedsięwzięciu... oby Bóg nad nim czuwał! Może niezadługo ruszymy razem na Akwitanię.

Mortimer zbity z tropu czuł się wykołowany. Nie rzekł nic; nie podszeptał niczego; jego obecność była dla innych jedynie sposobnością do skryształizowania żywionych w duchu pragnień. A teraz wzywano go na wojnę z własnym krajem nie pozostawiając żadnego wyboru.

Przeto, jeśli Bóg zezwoli, Francuzi, przy uczestnictwie angielskiego feudała, będą wojować we Francji z francuskimi poddanymi króla Anglii, wykorzystując w tym celu subsydia udzielone przez papieża na wyzwolenie Armenii spod jarzma Turków.







## V

### Oczekiwanie

Upłynęły ostatnie tygodnie jesieni i cała zima i jeszcze wiosna i początek lata. Lord Mortimer widział, jak przemijają w Paryżu cztery pory roku, błoto gromadzi się w wąskich ulicach, później śnieg bieli łąki Saint-Germain, później otwierają się pąki na drzewach nad Sekwaną i słońce ozłaca kwadratową wieżę Luwru, okrągłą wieżę Nesle, smukłą strzałę Sainte-Chapelle.

Uchodźca czeka. To jego rola i rzekłoby się, że niemal działalność. Czeką, aż minie zły los; czeka, aż ludzie w kraju, dokąd uciekł, załatwią własne sprawy. Minęły pierwsze chwile po przybyciu, gdy każdy chciał nim zawładnąć jak zwierzęciem na pokaz, wkrótce jego obecność jęła nużyć. Wciąż zdawał się być wcieleniem niemego wyrzutu. Lecz trudno nim się zajmować o każdej porze, jest petentem, powinien mieć cierpliwość, okiełznać się mimo wszystko!

Roger Mortimer przeto czekał, jak czekał w Pikardii u swego kuzyna Jana de Fiennes, aż dwór królewski wróci do Paryża, jak czekał, aż Dostojny Pan de Valois znajdzie chwilę czasu wśród swych rozlicznych zajęć... Oczekiwał teraz wojny z Gujenną, która jedynie mogła odmienić jego los.

Och! Dostojny Pan de Valois nie zwłóczył z wydaniem rozkazów. Oficerowie króla Francji, zgodnie z radą Roberta, przystąpili do zakładania fundamentów pod twierdzę w Saint-Sardos, na spornych lennach przynależnych do dóbr Sarlat; lecz nie wznosi się twierdzy z dnia na dzień ani nawet w ciągu trzech miesięcy, zaś poddani króla Anglii nie zdawali się - przynajmniej początkowo - nadmiernie tym przejmować. Nie wydarzył się żaden incydent.

Roger Mortimer korzystał z wolnego czasu, by przechadzać się po stolicy - którą przelotnie tylko widział podczas krótkiej podróży - aby poznać wielki lud francuski, o którym wiedział tak mało... Co za potężny, liczny naród i jak odmienny od angielskiego! Zdawałoby się, że się mało różnią po obu brzegach morza, ponieważ szlachta w obu krajach wywodziła się ze wspólnego pnia; lecz przyjrząwszy się bliżej, jakaż różnorodność! Cała ludność królestwa Anglii, ze swymi dwoma milionami dusz, nie osiągała jednej dziesiątej poddanych króla Francji. Należało szacować liczbę Francuzów na dwadzieścia dwa miliony. Sam Paryż liczył trzysta tysięcy dusz, Londyn zaś miał ich tylko czterdzieści tysięcy.<sup>19</sup> A jaki gwar na ulicach, jaki ruch w handlu i w rzemiośle, jakie obroty! Wystarczy, aby się przekonać, przejść się po moście Change lub wzdłuż nabrzeża Złotników i posłuchać stuku młoteczków kujących złoto w głębi sklepików; przeciąć, zatykając nos, dzielnicę Wielkiej Rzeźni za Chatelet, gdzie pracują flaczarze i oprawcy; pójść ulicą Saint-Denis, gdzie osiedlili się kramarze, pomacać tkaniny w wielkich halach Sukienników... Na

spokojniejszej ulicy Lombardów, którą lord Mortimer teraz dobrze poznał, załatwiano wielkie interesy.

Niemal trzysta pięćdziesiąt korporacji i cechów kierowało życiem tych rzemiosł; każde miało własne prawa, zwyczaje i święta, a praktycznie w ciągu roku nie było ani jednego dnia, w którym po wysłuchaniu mszy i obradach w ratuszu nie zebraliby się na uczenie mistrzowie i czeladnicy, raz kapelusznicy, to znów świecarze, kiedy indziej garbarze...

Na wzgórzu Świętej Genowefy cały tłum duchownych, doktorów w biretach wiódł dysputy po łacinie, a echo ich sporów na temat apologetyki lub zasad Arystotelesa zapładniało inne rozprawy w całym chrześcijańskim świecie.

Wielcy baronowie, wysocy pałacy i wielu cudzoziemskich królów posiadało w mieście siedziby, gdzie utrzymywali rodzaj dworu. Szlachta odwiedzała ulice na wyspie Cite, Galerię Kramarzy w pałacu królewskim, rezydencje Valois, Nawarry, Artois, diuków Burgundii, hrabiów Sabaudii. Każdy z tych pałaców był jakby siedzibą reprezentacji wielkich lenn; koncentrowały się tutaj interesy każdej prowincji. Miasto zaś nieustannie rosło, spychało przedmieścia na ogrody i pola, poza mury obronne Filipa Augusta, które jeły niknąć zatopione w powodzi nowych budowli.

Gdy wyjechało się poza Paryż, widać było, jak bogata jest wieś. Zwyczajni wieprzarze lub wolarze często posiadali na własność winnicę lub uprawne pole. Kobiety, zatrudnione przy robotach rolnych lub w jakimś rzemiośle, nigdy nie pracowały w sobotę po południu, a jednak otrzymywały zapłatę; wszędzie zresztą praca kończyła się w sobotę wraz z trzecim dzwonkiem na nieszpory. Nikt nie pracował w święta kościelne, jak i święta cechowe. A jednak ludzie się uskarżali. Jaki był główny powód ich ubolewań? Oczywiście opłaty, podatki, jak zawsze i wszędzie, ale także i to, że stale ponad nimi był ktoś, od kogo byli zależni. Mieli poczucie, że nigdy nie władają prawdziwie ani sobą, ani owocem własnej pracy. Mimo zarządzeń Filipa V, zresztą niedokładnie wykonywanych, pozostało we Francji stosunkowo o wiele więcej niewolnych niż w Anglii, gdzie większość chłopów była wolna, choć obowiązywało ich stawiennictwo w pełnym rynsztunku do armii, lecz mieli oni prawo głośno wypowiadać się na królewskich zgromadzeniach. Łatwiej przeto pojąć, że ludność angielska wymagała od swych monarchów przywilejów.

Natomiast szlachta francuska nie dzieliła się na stronnictwa jak angielska, oczywiście byli dozgonni wrogowie w sprawach tyczących interesów osobistych, tacy jak Robert d'Artois i jego stryjna Mahaut; tworzyły się tu klany, koterie, lecz cała szlachta stawała murem, gdy chodziło o sprawy ogólne lub obronę królestwa. Idea wspólnoty narodowej była tu wyraźniej ukształtowana i znacznie silniejsza.

Jedynym i prawdziwym podobieństwem obu krajów tkwiło właściwie w owym okresie w osobach ich królów. W Londynie jak i w Paryżu korony przypadły w udziale ludziom słabym, nie odczuwającym prawdziwej troski o dobro publiczne, a bez tego książę jest tylko księciem z nazwy.

Mortimer został przedstawiony królowi Francji i spotkał się z nim kilkakrotnie, nie mógł sobie wyrobić zbyt pochlebnego mniemania o tym dwudziestodwuletnim mężczyźnie, którego panowie zwali Karolem

Pięknym, zaś lud Karolem Pięknisiem, lecz jego szlachetna powierzchowność nie kryła nawet dwóch uncji rozumu.

- Czy znaleźliście wygodne mieszkanie, panie Mortimerze? Czy wasza małżonka jest z wami? Ach! Jak wam musi cnić się bez niej! Ile urodziła wam dzieci?

Były to prawie jedyne pytania króla zadane tułaczowi; i zapomniawszy, między dwoma spotkaniami, o udzielonej odpowiedzi, za każdym razem pytał ponownie: „Czy wasza małżonka jest z wami? Ile z nią macie dzieci?” Zainteresowania jego zdawały się tyczyć wyłącznie spraw domowych i małżeńskich. Nieszczęśliwy związek z Blanką Burgundzką, po którym zachował uraz, został unieważniony, a on sam w tej sprawie nie ukazał się w najlepszym świetle. Ożeniono go natychmiast z Marią Luksemburską, młodą siostrą króla Czech, z którym Dostojny Pan de Valois chciał właśnie w tym czasie porozumieć się w sprawie królestwa Arles. Teraz zaś Maria Luksemburska była w ciąży i Karol Piękny otaczał ją głupawymi względami.

Nieudolność króla wcale nie przeszkadzała Francji zajmować się sprawami całego świata. Rada rządziła w imieniu króla, zaś Dostojny Pan de Valois w imieniu Rady. Udzielano porad papieżowi; kilku jeźdźców, którzy pobierali osiem liwrów i kilka denarów za podróż - prawdziwy majątek - mieli za jedyny obowiązek przewozić listy do Awinionu. Tudzież inni do Neapolu, Aragonii, Niemiec. Wielce bowiem czuwano nad sprawami niemieckimi, bo Karol de Valois i kum jego Jan Luksemburski doszli do zgody, że należy wykląć cesarza Ludwika Bawarskiego, by korona cesarska została ofiarowana - komuż to? Ależ Dostojnemu Panu de Valois we własnej osobie, nie poniechał on bowiem starych marzeń. Za każdym razem, gdy wakował tron Świętego Cesarstwa, Dostojny Pan de Valois wystawiał swą kandydaturę. O ileż większym dostojenstwem będzie się cieszyła krucjata, jeśli wódz jej zostanie wybrany cesarzem!

Ale należało również mieć oko na Flandrię, ową Flandrię, która przyczyniała stałych trosk koronie - czy wtedy gdy ludność buntowała się przeciw hrabiemu, ponieważ ów był wierny królowi Francji, czy też gdy hrabia sam buntował się przeciw królowi chcąc zadowolić ludność. A na szarym końcu zajmowano się Anglią i Roger Mortimer był wzywany do Valois za każdym razem, gdy omawiano te sprawy.

Mortimer wynajął dom koło rezydencji Roberta d'Artois na ulicy Saint-Germain-des-Pres, naprzeciw pałacu Nawarry. Towarzyszący mu od ucieczki z Tower Gerard Alspaye zarządzał domem. Balwierz Ogle sprawował funkcje pokojowca; do siedziby napływali coraz to nowi uchodźcy zmuszeni do ucieczki na skutek nienawiści Despenserów. Przede wszystkim przybył Jan Maltravers, angielski wielmoża ze stronnictwa Mortimera, jak i on, potomek współtowarzysza Wilhelma Zdobywcy. Ów Maltravers miał twarz długą i ponurą, proste, długie włosy i olbrzymie zęby; przypominał konia. Nie był miłym kompanem i ludzie wzdrygali się słysząc jego urywany, rżący śmiech bez żadnego widomego powodu. Ale na wygnaniu nie wybiera się przyjaciół; narzuca ich wspólna niedola. Za pośrednictwem Maltraversa Mortimer dowiedział się, że jego żona została przewieziona do zamku Skipton w hrabstwie Yorku, mając za świętę jedną

damę, giermka, praczkę, pachółka i pazia, otrzymywała na utrzymanie własne i służby trzynaście szylingów i cztery denary tygodniowo; prawie więzienie...

Los zaś królowej Izabeli z dnia na dzień stawał się cięższy. Despenserowie obdzierali ją, grabili, upokarzając z cierpliwością wyrafinowaną w swym okrucieństwie. „Pozostało mi tylko własne życie - kazała powiedzieć Mortimerowi - i bardzo się lękam, że szykują się, by mi je odebrać. Ponaglijcie mego brata, aby mnie bronił.”

Ale król Francji... „Czy wasza małżonka przebywa z wami? Czy macie z nią synów?”... - zdawał się na sąd Dostojnego Pana de Valois, który z kolei wszystko uzależniał od wyników przedsięwzięcia w Akwitanii. A jeśli Despenserowie w międzyczasie zamordują królową?

- Nie ważą się - odpowiadał Valois.

Mortimer poszedł zasięgnąć nowych wiadomości u bankiera Tolomei, który przysyłał jego listy za kanał La Manche. Lombardowie mieli lepszą sieć pocztową niż dwór, a ich wysłańcy zreczniej ukrywali pisma. Przetwo wymiana listów między Mortimerem a biskupem Orletonem była prawie regularna.

Biskup drogo zapłacił za zorganizowanie ucieczki Mortimera; ale był odważny i stawiał czoło królowi. Nigdy jeszcze nie pozwano przed sąd świecki pierwszego prałata Anglii, odmówił więc odpowiedzi swym oskarżycielom, poparty zresztą przez wszystkich w królestwie arcybiskupów, którzy widzieli się zagrożeni w swych przywilejach. Edward prowadził nadal proces, kazał skazać Orletona i skonfiskować jego dobra. Edward również napisał do papieża z żądaniem odebrania mu jako buntownikowi mitry; pałaca potrzeba nakazywała, aby Dostojny Pan de Valois wstawił się u Jana XXII, żeby zapobiec takiej karze, której wynikiem byłoby złożenie na szafocie głowy Orletona.

Sytuacja Henryka Krzywoszyjka była skomplikowana. W marcu Edward nadał mu tytuł hrabiego Lancastera, zwrócił mu godności i dobra jego świętego brata, między innymi wielki zamek Kenilworth. Po czym, dowiedziawszy się o liście do Orletona dodającym mu odwagi i pełnym słów przyjaźni, Edward natychmiast oskarżył Krzywoszyjka o zdradę główną.

Podczas każdej wizyty Mortimera Tolomei nie zaniedbywał powtarzać zbiegowi:

- Ponieważ tak często widujecie Dostojnych Panów de Valois i d'Artois i jesteście ich wielkim przyjacielem, proszę was, przypomnijcie im o tych paszczach z prochem, wypróbowanych już w Italii, a które bardzo mogą się przydać przy obleganiu miast. Mój bratanek ze Sieny i Bardi z Florencji mogą się zająć dostawą; są to działa łatwiejsze do ustawienia niż wielkie, wahadłowe katapulty i czynią więcej szkód. Dostojny Pan de Valois winien w nie zaopatrzyć swych krzyżowców...

Początkowo kobiety dość się interesowały Mortimerem, surowym cudzoziemcem o pięknym torsie, zagryzającym białą bliznę na wardze i strojnym w jednolitą czerń. Wielekroć kazały mu opowiadać o swej ucieczce; a gdy mówił, na pięknych piersiach unosiły się przezroczyście batysty. Głos jego niski, szorstki i niemal ochrypy nieoczekiwanie

akcentujący niektóre słowa wzruszał puste serduszka. Wielokrotnie Robert d'Artois chciał pchnąć angielskiego barona w ramiona, które tylko pragnęły się otworzyć, podobnie jak ofiarowywał się dostarczyć mu kilku swawolnic, aby się zabawił w dwójkę lub trójkę i oderwał od trosk. Lecz Mortimer nie uległ żadnej pokusie, aż zadawano sobie pytanie, skąd u niego tak wielka cnotliwość, czy aby nie podziela upodobań swego króla.

Nie wyobrażano sobie prawdy, a mianowicie, że ów mężczyzna, ten sam, który uzależniał swe ocalenie od śmierci kruka, teraz uzależniał zwrot losu od zachowania czystości. Przyobiegał sobie, że nie tknie żadnej kobiety, zanim nie odzyska ojczyzny, tytułów i władzy. Ślub rycerski, jaki mógłby złożyć Lancelot, ramadis, któryś z towarzyszy króla Artura. Ale po tylu miesiącach Roger musiał wyznać, że złożył ślub nieco lekkomyślnie; to go zasepiało...

Wreszcie z Akwitanii nadeszły pomyślne wieści. Seneszał króla Anglii, pan Basset\* - człowiek przybierający marsowe miny, nazwisko jego bowiem pobudzało do śmiechu - jał się niepokoić budową twierdzy w Saint-Sardos. Dostrzegł w tym przywłaszczenie praw swego władcy i obrazę własnej osoby. Zebrał kilka zastępów żołnierzy i zniecał wkroczył do Saint-Sardos, splądrował gródek, wziął do niewoli dowódców, którzy nadzorowali budowę i powiesił ich na słupach uwiecznionych kwiatem lilii, symbolizujących zwierzchnictwo króla Francji. Pan Ralph Basset nie był osamotniony na wyprawie, użyczyło mu pomocy kilku okolicznych panów.

Gdy Robert d'Artois o tym się dowiedział, wnet poszedł do Mortimera i zaciągnął go do Karola de Valois. Dostojny Pan d'Artois tryskał radością i dumą; śmiał się głośniejsz niż zwykle i rozdawał przyjacielskie klapsy domownikom, ciskając nimi jak piłką o ściany. Nareszcie sposobność i to zrodzona z jego pomysłowego mózgu!

Wnet rozpatrzono sprawę na ścisłej Radzie; udzielono zgodnie z obyczajem nagany, a winnych łupieży w Saint-Sardos zawezwano przed parlament w Tuluzie. Czy się stawia, czy uznają swą winę, czy okażą posłuszeństwo? Tego się obawiano.

Na szczęście, jeden z nich i jedyński, Rajmund Bernard de Montpezat odmówił stawiennictwa. To wystarczyło. Wydano wyrok zaoczny i wysłano ze skromnym zastępem Jana de Roye - mistrza kuszników, następcę Piotra Hektora de Galard - aby aresztował pana de Montpezat, zajął jego dobra i nadzorował rozbiórkę zamku feudała. Tymczasem właśnie pan de Montpezat zwyciężył. Wziął do niewoli Jana de Roye i żądał zań okupu. Król Edward nie miał nic wspólnego z tym incydentem, lecz siłą rzeczy sytuacja jego pogorszyła się, a Robert d'Artois skakał z radości. Bo wielki mistrz kuszników nie jest byle kim, kogo można aresztować nie wywołując poważnych następstw!

Ponowne upomnienie - a towarzyszyła mu groźba konfiskaty księstwa - wysłano tym razem już bezpośrednio do króla Anglii. W początkach kwietnia zjawił się w Paryżu przyrodni brat króla Edwarda, hrabia Kentu, a wraz z nim arcybiskup Dublina; w celu załatwienia sporu zaproponowali Karolowi IV, by po prostu zrzekł się hołdu. Spotkawszy przy tej

---

\* basset - jamnik.

sposobności Kenta, Mortimer - łączyły ich nadal poprawne stosunki mimo skomplikowanej sytuacji - dowiódł mu, że zabiegi te są całkowicie zbędne. Młody hrabia Kentu był zresztą sam o tym przekonany i z przykrością pełnił tę misję. Wyjechał uwożąc odmowę króla Francji, którą przekazał mu Karol de Valois w pogardliwy sposób. Zdawało się, że wojna wymyślona przez Roberta d'Artois lada chwila wybuchnie.

Lecz oto w tymże czasie nowa królowa, Maria Luksemburska, zmarła nagle w Issoudun, rodząc przedwcześnie dziecko niezdolne do życia.

Nie wypadało wypowiadać wojny podczas żałoby, zwłaszcza że król Karol był naprawdę przygnębiony i prawie niezdolny przewodniczyć Radzie. Los go stanowczo prześladował w małżeńskim pożyciu. Wpierw rogiacz, następnie wdowiec... Valois musiał odrzucić wszystkie zabiegi i zakrzętnąć się, by wynaleźć królowi trzecią małżonkę, ów bowiem stał się drażliwy, cierpki i wszystkim wypominał brak następcy tronu w królestwie.

Lord Mortimer musiał czekać, aż i ta sprawa zostanie załatwiona...

Dostojny Pan de Valois chętnie zaproponowałby na żonę jedną ze swych najmłodszych córek, gdyby wiek ich odpowiadał; niestety nawet najstarsza, którą ongiś swatał z angielskim następcą tronu, nie miała nawet dwunastu lat. A Karol Piękny nie był skłonny cierpliwie czekać.

Pozostała jeszcze jedna stryjeczna siostra, córka już nieżyjącego Dostojnego Pana Ludwika d'Evreux i siostrzenica Roberta d'Artois. Owa Joanna d'Evreux nie olśniewała urodą, lecz była dobrze zbudowana, a zwłaszcza miała wiek odpowiedni na matkę. Dostojny Pan de Valois miast nawiązywać za granicami królestwa długie i uciążliwe pertraktacje, skłonił cały dwór, by zachęcił Karola do tego związku. W trzy miesiące po śmierci Marii Luksemburskiej poproszono papieża o nową dispensę.

Ślub odbył się 5 lipca. Cztery dni przedtem Karol postanowił skonfiskować Akwitanie i Ponthieu za bunt i niezłożenie hołdu. Papież Jan XXII - poczytując za swój obowiązek wkraczać, ilekroć wybuchał konflikt między dwoma monarchami - napisał do króla Edwarda namawiając go, by przybył złożyć hołd i usunął choć jeden ze spornych punktów. Ale francuskie wojska już były gotowe i gromadziły się w Orleanie, podczas gdy w portach flota szykowała się do ataku na angielskie wybrzeża.

Jednocześnie król Anglii nakazał częściowy pobór w Akwitanii i pan Ralph Basset zwoływał swe chorągwie; hrabia Kentu wrócił do Francji, lecz tym razem przez Ocean, aby sprawować namiestnictwo w księstwie, powierzone mu przez przyrodniego brata.

Czy ruszą wreszcie? Nie, bo Dostojny Pan de Valois musiał jeszcze pędzić do Bar-sur-Aube na konferencję z Leopoldem Habsburgiem w sprawie elekcji w Świętym Cesarstwie i zawrzeć pakt, w którym Habsburg przyrzekał nie wystawiać swej kandydatury w zamian za ustalone już teraz odszkodowanie, pensje i dochody, gdyby Valois wybrano cesarzem. Roger Mortimer nadal czekał...

Wreszcie 1 sierpnia, gdy rycerze w dokuczliwym upale skwarzyli się w swych pancerzach jak w garach, Karol de Valois, wspaniały, ciężki, w hełmie uwieńczonym kitą i w haftowanej złotem szacie na zbroi, kazał się wsadzić na siodło. Towarzyszył mu młodszy syn, hrabia d'Alençon, bratanek Filip d'Evreux, świeżo upieczony szwagier króla, konetabl

Gaucher de Chatillon, Lord Mortimer z Wigmore, a wreszcie Robert d'Artois, który na koniu dopasowanym do swego wzrostu, mógł nadzorować całą armię.

Czy Dostojny Pan de Valois był wesół, szczęśliwy lub chociaż zadowolony jadąc na tę wyprawę, swą drugą na Gujennę, upragnioną wyprawę, na którą postanowił wyruszyć i prawie wywołał? Bynajmniej. Był w kwaśnym humorze, ponieważ Karol IV odmówił mu podpisania nominacji na generalnego namiestnika króla w Akwitanii. Jeśli ktokolwiek miał prawo do tego tytułu, czy nie był nim właśnie Karol de Valois? Jak on wygląda, skoro hrabia Kentu, ten młokos, niemowlak, otrzymał, właśnie on, namiestnictwo od króla Edwarda!

Król Karol Piękny, niezdolny decydować o czymkolwiek, miał takowe nagłe i dziwaczne upory, odmawiając najoczywistszych rzeczy, o jakie go proszono. Tego dnia Karol de Valois gromko pomstował i nie ukrywał przed kompanami nędznego mniemania, jakie miał o swym bratanku i monarsze. Zaprawdę, czy warto tyle trudu, by rządzić królestwem w imieniu tego gąsiątka, tego koronowanego głuptasa?

Stary konetabl Gaucher de Chatillon - który nominalnie dowodził wojskami, ponieważ Valois nie miał oficjalnego pełnomocnictwa - mrużył pod staromodnym hełmem żółwie powieki. Był głuchawy, ale w siedemdziesiątym czwartym roku życia jeszcze nieźle prezentował się w siodle.

Lord Mortimer zakupił uzbrojenie u Tolomeia. Pod uchyloną w hełmie przyłbicą błyszczały jego oczy o twardym połysku tejże barwy co nowa stal. Ponieważ z winy swego króla szedł przeciw własnej ojczyźnie, włożył czarną aksamitną szatę bojową na znak żałoby. Pamiętna dlań pozostanie owa data odjazdu: 1 sierpnia 1324 roku, dzień świętego Piotra z Liens i dokładnie rocznica ucieczki z Tower.





## VI

### Ogniste paszcze

Alarm zaskoczył Edmunda, młodego hrabiego Kentu, gdy wyciągnął się na kamiennych płytach zamkowej komnaty, próżno szukając ochłody. Był w półubrany i leżał tutaj w płóciennych pludrach, z nagim torsem, rozrzuconymi ramionami, nieruchomy, powalony kanikują w prowincji Bordeaux. Przy nim dyszał jego ulubiony chart.

Pies pierwszy usłyszał dzwon alarmowy. Wzniósł się na przednich łapach, wyciągnął pysk, położył po sobie drżące uszy. Młody hrabia Kentu otrząsnął się z drzemki, przeciągnął się i nagle pojął, że ten przeraźliwy hałas wydają wszystkie dzwony bijące naraz z pełnym rozmachem w twierdzy La Reole. W jednej chwili skoczył na równe nogi, chwycił lekką, batystową koszulę, którą rzucił był na krzesło, wciągnął ją z pośpiechem.

Już do drzwi zbliżały się kroki. Wszedł seneszał, pan Ralph Basset, a za nim kilku panów z okolicy: sire de Bergerac, baronowie de Boudos i de Mauvezin oraz sire de Montpezat, z powodu którego wybuchła wojna, jak przynajmniej on mniemał, by dodać sobie splendoru.

Seneszał Basset naprawdę był malutki; młody hrabia Kentu dziwił się za każdym razem, gdy go zobaczył. Przy tym był on krąglutki jak beczułka i wciąż bliski wybuchu gniewem, od którego nabrzmiewała mu szyja i oczy wyłaziły na wierzch.

Chart nie lubił seneszala i warczał, gdy go tylko ujrzał.

- Panie seneszalu, czy to pożar, czy Francuzi? - zapytał hrabia Kentu.

- Francuzi, Francuzi, Dostojny Panie! - zawołał niemal zgorzony pytaniem seneszał. - Chodźcie prędzej, już ich widać.

Hrabia Kentu pochylił się nad cynowym zwierciadłem, by przyglądzić na uszach jasne loki, i poszedł za seneszalem. W białej, rozchylonej na piersi koszuli, namarszczonej wokół pasa, bez ostróg przy butach, z gołą głową, wśród baronów odzianych w żelazne kolczugi, sprawiał dziwne wrażenie uosobienia nieustraszonego męstwa, wdzięku, a także braku powagi.

Gdy wychodził z baszty, zaskoczył go straszliwy hałas i olśniło jaskrawe, sierpniowe słońce. Pies jął wyć.

Weszli na szczyt Tomasy, potężnej okrągłej wieży, zbudowanej przez Ryszarda Lwie Serce. Czego on nie zbudował, ów praszczur? Fortyfikacje wokół londyńskiej wieży, Zamek Gaillard w Normandii, twierdzę La Reole...

Garonna, szeroka i migotliwa, płynęła u stóp niemal prostopadłego wzgórza, a nurt jej zakreślał meandry na szerokiej, żyznej równinie, gdzie wzrok gubił się aż po dalekie błękitne pasmo gór w krainie Agen.

- Nic nie dostrzegam - rzekł hrabia Kentu, spodziewając się zobaczyć francuskie przednie straże u podnóża twierdzy.

- Ależ tak, Dostojny Panie - odpowiedziano mu krzyżąc, by zagłuszyć



huk alarmowego dzwonu. - Wzdłuż i w górę rzeki, w stronę Sainte-Bazille!

Mrużąc oczy i przykładając rękę do czoła, hrabia Kentu nareszcie dojrzał skrzącą się wstęgę wzdłuż biegu rzeki. Powiedziano mu, że to odbłask słońca na pancerzach i kapach końskich.

Huk dzwonów wciąż wstrząsał powietrzem! Chyba dzwonnicy zrywali sobie ramiona. Na ulicach miasta, zwłaszcza koło ratusza, mrowiła się ruchliwa ludność. Jak malutcy wydawali się ludzie oglądani z blanków cytadeli! Mrówki. Na drogach wiodących ku miastu tłoczyli się przestraszeni chłopci, ci ciągnęli krowy, tamci popędzali kozy, owi bodli woły w zaprzęgach. Biegiem opuszczano pola; wkrótce przybędą mieszkańcy okolicznych gródków z manatkami na grzbiecie lub na wózkach. Jak kto będzie mógł, rozmieszczą się wszyscy w mieście, i tak już przeludnionym wojskiem i rycerzami z Gujenny.

- Będziemy mogli dokładniej zliczyć Francuzów dopiero za dwie godziny, nie staną pod murami przed nocą - rzekł seneszał.

- Ach! nędzna pora na wojnę - rzekł ze złością pan de Bergerac, który przed kilku dniami musiał uciekać z Sainte-Foy-la-Grande wobec zbliżania się Francuzów.

- Dlaczego niedobra pora? - spytał hrabia Kentu wskazując na czyste niebo i rozciągającą się przed nimi piękną wieś.

Zapewne, panował upał, ale czy to nie lepsze niż deszcz i błoto? Gdybyż mieszkańcy Akwitanii doświadczyli na sobie wojen w Szkocji, strzegliby się skarg.

- Dlatego, że mamy miesiąc winobrania, Dostojny Panie - wyjaśnił pan de Montpezat - a chłopci będą jęczeć widząc tratowane zbiory i przeciwstawiać nam złą wolę. Hrabia de Valois wiedział, co robi; już w roku 1294 postąpił w tenże sposób, wszystko pustosząc, by co prędzej znużyć kraj.

Diuk Kentu wzruszył ramionami. Prowincja Bordeaux nie była zbyt uboga w baryłki, a - wojna czy nie wojna - będzie piło się nadal młode wino. Nad szczytem Tomasy krążył nieoczekiwany wietrzyk, który wnikał pod rozchyloną koszulę młodego księcia i przyjemnie głaskał mu ciało. Jak sam fakt istnienia dostarcza niekiedy cudownego uczucia!

Wsparłszy łokcie o ciepłe kamienne blanki, hrabia Kentu puścił wodze marzeniom. W dwudziestym trzecim roku życia był namiestnikiem króla na całe księstwo, innymi słowy, posiadał wszystkie królewskie przywileje i uosabiał samego króla. Był tym, kto mówi: „Ja chcę!” i rozkaz spełniano. Mógł rozkazać: „Powiesić!”... Nie zamierzał zresztą tego mówić, lecz mógł to uczynić. A poza tym, przede wszystkim był z dala od Anglii, z dala od dworu Westminster, z dala od urojeń, gniewów, podejrzeń swego przyrodniego brata Edwarda II, z dala od Despenserów. Tutaj nareszcie był zdany na siebie samego, był własnym panem i panem wszystkiego, co go otaczało. Szła mu na spotkanie armia, którą zaatakuje i zwycięży, o tym nie wątpił. Astrolog przepowiedział mu, że między dwudziestym czwartym a dwudziestym szóstym rokiem życia dokona swych największych czynów, które go wsławią... Nagle urzeczywistniały się dziecięce marzenia. Wielka równina, pancerni, monarsza władza... Nie, jako żywo, od urodzenia nie

czuł się w życiu szczęśliwszy. W głowie mu się trochę kręciło od upojenia, które jedynie zawdzięczał sobie samemu i wietrzykowi, który głaskał mu pierś, i temu szerokiemu horyzontowi...

- Wasze rozkazy, Jaśnie Panie? - spytał pan Basset, który jął się niecierpliwie.

Hrabia Kentu obrócił się i z odcieniem wyniosłego zdziwienia spojrział na niskiego seneszała.

- Moje rozkazy? - powtórzył. - Ależ każcie zagrać w surmy,<sup>20</sup> panie seneszału, i każcie waszym zastępom wsiąść na koń. Wyjedziemy naprzeciw i zaatakujemy.

- Ale czym, Dostojny Panie?

- Ależ, na Boga, naszym wojskiem, Basset!

- Dostojny Panie, mamy tutaj zaledwie dwustu pancernych, a wychodzi nam na spotkanie przeszło półtora tysiąca, wedle liczb, które posiadamy. Nieprawdaż, panie de Bergerac?

Sire Reginald de Pons de Bergerac potwierdził skinieniem głowy. Przykrótce seneszał bardziej niż zwykle miał zaczerwienioną i nabrzmiąłą szyję; istotnie był zaniepokojony i bliski wybuchu wobec tak beztraskiej lekkomyślności.

- A o posiłkach, żadnych wieści? - spytał hrabia Kentu.

- Żadnych, Dostojny Panie! Wciąż cisza! Król, wasz brat, wybaczenie moje słowa, aż nazbyt pozwala nam upadać na duchu.

Od czterech tygodni oczekiwano owych słynnych posiłków z Anglii. A konetabl Bordeaux, który posiadał wojska, wymawiał się, by nie ruszyć, specjalnym rozkazem od króla Edwarda, że wymarsz ma nastąpić dopiero, gdy przybędą posiłki. Młody hrabia Kentu nie był tak wszechwładny, jak się wydawało...

Wskutek tego oczekiwania i braku ludzi - należałoby jeszcze rozważyć, czy zapowiedziane posiłki wsiadły na statki - pozwolono Dostojnemu Panu de Valois przechadzać się po całym kraju od Agen do Marmande i od Bergerac do Duras niby po publicznym parku. Teraz zaś Valois wraz ze swą potężną stalową wstęgą był tutaj, w zasięgu wzroku i nadal nic nie można było robić.

- Czy takie jest i wasze zdanie, Montpezat? - spytał hrabia Kentu.

- Niestety, Dostojny Panie, och! Niestety - odparł baron Montpezat, przygryzając czarny wąs.

- A wy, Bergerac? - jeszcze zapytał Kent.

- Płaczę z wściekłości - rzekł Pons de Bergerac ze śpiewnym akcentem, jakim mówili wszyscy miejscowi panowie.

Edmund Kent zaniechał pytania barona de Boudos i barona de Fargues de Mauvezin; nie mówili oni ani po francusku, ani po angielsku, jedynie po gaskońsku, i Kent nie pojmował ani słowa z ich przemówień. Wyraz ich twarzy zresztą starczał za odpowiedź.

- Każcie więc zamknąć bramy, panie seneszału, i przygotujmy się do oblężenia. Później zaś, gdy przybędą posiłki, zajdą one tyły Francuzom i może tak będzie lepiej - rzekł sobie na pociechę hrabia Kentu.

Podrapał końcem palców łeb charta, a później znów oparł łokcie o ciepły kamień, by obserwować dolinę. Stare przekadło mówi: „Kto dzierży La

Reole, dzierży Gujennę”. Wytrzyma się tyle czasu, ile będzie trzeba.

Pochód zbyt szybki prawie tyleż wyczerpuje zastępy, ile odwrót. Nie spotykając oporu, który zezwoliłby się zatrzymać choć na jeden dzień i zaczerpnąć oddechu, francuska armia szła, szła bez ustanku od przeszło trzech tygodni, dokładnie od dwudziestu pięciu dni. Ponad milę rozciągało się olbrzymie wojsko: chorągwie, pancerni, ciury, łucznicy, tabor, kuźnie, kuchnie, a za nimi kupcy i właściciele burdelów. Konie ocierały sobie kłęby, nie minął kwadrans, by któryś nie stracił podkowy. Wielu rycerzy musiało wyrzec się noszenia zbroi, które przy tym upale kaleczyły i powodowały owrzodzenie stawów. Piechota wlokła ciężkie, podkute trzewiki. Ponadto piękne, czarne śliwki z Agen, które wydawały się dojrzałe na drzewach, gwałtownie czyściły spragnionych żołnierzy i maruderów; widziało się, jak co chwila opuszczają szeregi, by spuścić pludry przy drodze.

Konetabl Gaucher de Chatillon ile mógł, tyle podrzemywał na koniu. Zaprawiło go prawie pięćdziesiąt lat wojennego rzemiosła i osiem wojen czy kampanii.

- Pośpię krzynekę - oznajmiał swym dwóm giermkom.

Ci, dostosowując chód konia, jechali po obu bokach konetabla, żeby być tuż przy nim, w razie gdyby ześliznął się na bok; i stary wódz, oparłszy krzyże o łęk, chrapał pod hełmem.

Robert d’Artois pocił się, lecz nie chudł, i na dwadzieścia kroków wokół zalatywało zapachem dziczyzny. Zaprzyjaźnił się z jednym z Anglików towarzyszących Mortimerowi, długim, podobnym do konia, baronem Maltravensem, i nawet mu zaproponował, aby jechał w jego chorągwi, ów bowiem był świetnym graczem, zawsze skłonny na postojach do wytrząsania kości z kubka.

Gniew nie opuszczał Karola de Valois. Jadąc w towarzystwie swego syna d’Alençon, bratanka d’Evreux, dwóch marszałków, Mateusza de Trye i Jana des Barres, oraz kuzyna Alfonsa Hiszpańskiego pomstował na wszystko: na nieznośny klimat, duchotę w nocy i skwar w dzień, na muchy, za tłuste jadło. Wino, które mu podawano, było chłopskim cienkuszem. A przecie znajdowali się w kraju słynnych wytrawnych. Gdzie ludzie, u licha, pochowali swoje zacne baryłki? Jaja mu nie smakowały, mleko było kwaśne. Niekiedy Dostojny Pan de Valois budził się z mdłościami, a od kilku dni odczuwał w piersi podstępny, niepokojący ból. Piechota nie posuwała się naprzód, a tak samo wielkie paszcze do prochu, dostarczone przez Włochów; drewniane płozy zdawały się kleić do drogi. Ach! gdybyż to można było wojować tylko z jazdą!...

- Zdaje się, że jestem skazany na słońce - mówił Valois. - Taka sama była moja pierwsza kampania, kiedy miałem piętnaście lat, kuzynie Alfonsie, w palącym skwarze, w waszej łysej Aragonii, gdzie przez chwilę królowałem wbrew woli waszego dziada.

Zwracał się do Alfonsa Hiszpańskiego, następcy tronu w Aragonii, bezlitośnie mu wypominając spory, które dzieliły ich rody. Mógł sobie na to pozwolić, bo Alfons był bardzo dobroduszny, gotów zgodzić się na wszystko, by każdego zadowolić, gotów jechać na wyprawę krzyżową,

ponieważ go o to proszono, i walczyć z Anglikami, by się zaprawić do krucjaty.

- Ach! Zdobycie Gerony! - ciągnął dalej Valois. - Zawsze będę o nim pamiętał. Co za war! Kardynał de Cholet, nie mając pod ręką korony na moją koronację, włożył mi na głowę własny kapelusz. Dusłem się pod wielkim, czerwonym filcem. Tak, miałem piętnaście lat... Szlachetny mój ojciec Filip Śmiały zmarł w Perpignan z gorączki, której się tam nabawił...

Spochmurniał wspominając ojca. Rozmyślał, że ów zmarł w czterdziestym roku życia. Starszy brat, Filip Piękny, skonał w czterdziestym szóstym, zaś przyrodni brat, Ludwik d'Evreux, w czterdziestym trzecim. On sam w marcu skończył pięćdziesiąt cztery lata. Pokazał, że jest najżywoźniejszym w rodzinie. Ale ile czasu daruje mu jeszcze Opatrzność?

- A Kampania, a Romania, a Toskania, a inne kraje, gdzie panował upał - mówił dalej. - Przejść całą Italię, podczas kanikuły, od Neapolu aż do Sieny i Florencji, żeby wypędzić stamtąd gibelinów, jak to zrobiłem przed... pozwólcie mi policzyć... 1301 rok, przed dwudziestu trzema laty!... A nawet tutaj w Gujennie, w roku 94, też było lato! Wciąż lato!

- Zauważcie, Karolu, jeszcze gorszy upał będzie podczas krucjaty - ironicznie rzucił Robert d'Artois. - Czy widzicie nas cwałujących na Sudan Egipski? A tam zdaje się nędznie jest z winoroślą. Będziemy lizać piaski.

- Och! Krucjata, krucjata... - odparł wielce rozdrażniony i zmęczony Valois. - Czy to nawet wiadomo, czy ruszy krucjata, ze wszystkimi tymi kłodami, które mi się rzuca pod nogi? Pięknie poświęcać życie w służbie królestw i Kościoła, ale ostatecznie człek się czuje znużony wciąż terając siły dla niewdzięczników.

Niewdzięcznikiem był papież Jan XXII, uchylając się od przyznania subsydiów, jakby naprawdę zamierzał zniechęcić do wyprawy; a zwłaszcza był nim Karol IV, który nie tylko zwlekał z przysłaniem nominacji na namiestnika, aż stawało się to obraźliwe, ale ponadto wystawił własną kandydaturę do tronu cesarskiego. Papież zaś oczywiście udzielił oficjalnego poparcia tej kandydaturze. Tym sposobem cała piękna intryga uknuta przez Valois wspólnie z Leopoldem Habsburgiem waliła się w gruzy. Uważano za głupca Miłościwego Karola Pięknego, i był nim istotnie, lecz niezłe potrafił zadawać podstępne ciosy... Valois otrzymał wiadomość tegoż dwudziestego piątego sierpnia. Zaiste paskudny to dzień świętego Ludwika.

Był w złym humorze i tak zajęty spędzaniem much z twarzy, że zapomniał patrzeć na okolicę. Zobaczył La Reole, gdy się przed nią znaleźli o cztery lub pięć strzałów z kuszy.

La Reole, zbudowana na skalnej ostrodze pod kręgiem zielonym wzgórz, górowała nad Garonną. Rysowała się na tle blednącego nieba, opasana szanćami z mocnego kamienia barwy ochry, ozłoconymi zachodzącym słońcem, dumna ze swych dzwonnicy, zamkowych wież, wysokich zrębów ratusza o ażurowej dzwonnicy, skupionych dachów krytych czerwonym łupkiem; przypominała miniatury, które przedstawiały Jerozolimę w księgach z godzinkami. Zaiste, ładne miasto. Poza tym wzniesiona na wzgórzach była idealnym placem boju; hrabia Kentu nie był głupcem,

wybierając ją, by się tu zamknąć. Nielatwo będzie zdobyć tę warownię.

Armia zatrzymała się czekając na rozkazy. Ale Dostojny Pan de Valois ich nie wydawał. Dąsał się. Niech konetabl, niech marszałkowie powezmą decyzje, jakie będą uważali za właściwe. On nie jest namiestnikiem króla, nie zamierza ponosić żadnej odpowiedzialności.

- Chodźcie, Alfonsie, pójdziemy się ochłodzić - rzekł do kuzyna z Hiszpanii.

Konetabl kręcił głową w hełmie, by dosłyszeć, co mówią dowódcy chorągwi. Wysłał na zwiad hrabiego de Boulogne. Boulogne wrócił po godzinie, okrążywszy miasto od strony wzgórz. Wszystkie bramy zamknięte, załoga nie daje znaku, że zamierza wyjść. Postanowiono rozbić tutaj obóz i chorągwie rozmieściły się po trosze, jak chciały. Winorośl owijała się pędami wokół drzew i wysokich tyczek, tworzyła przyjemne zakątki w kształcie altan. Wojsko było zmordowane i zasnęło o jasnym zmierzchu wraz z pojawieniem się pierwszych gwiazd.

Młody hrabia Kentu nie oparł się ryzykownej pokusie. Po bezsennej nocy - podczas której zabawiał się z giermkami grą w kości zwaną „trémereł”,<sup>21</sup> by zabić czas oczekiwania - wezwał senesza Basseta, kazał mu uzbroić konnicę i przed świtem, bez pobudki, przez niską bramę wypadł z miasta.

Francuzi chrapali w winnicach, obudzili się dopiero, gdy zaskoczył ich cwał gaskońskich rycerzy. Podnieśli zdziwione twarze i wnet opuścili widząc kopyta szarżujących koni tuż nad głowami. Edmund Kent i jego kompani hasali do woli wśród zaspanych oddziałów; cięli mieczem, uderzali najeżoną kolcami buławą, walili ciężkimi okutymi ołowiem cepami po gołych nogach, po żebrach nie chronionych ni kolczugą, ni zbroją. Rozległ się trzask kości i wrzask poszedł po obozie francuskim. Zwały się namioty kilku wielmożów. Wkrótce jednak przez odgłosy potyczki przebił się donośny okrzyk: „Do mnie, Chatillon!” We wschodzącym słońcu załopotała chorągiew konetabla: na tarczy herbowej uwieńczonej smokiem, podtrzymywanej przez dwa złote lwy, trzy niebiesko-białe szachownice ze złotym pasem na czerwonym polu w godle. Był to stary Gaucher, obóz swój roztropnie rozłożył na uboczu, a teraz biegł na pomoc wraz ze swymi wasalami. Z prawa i lewa odpowiedziały mu okrzyki: „Naprzód, Artois!” „Do mnie, Valois!” Rycerze wpółubrani, jedni na koniach, inni pieszo, runęli na przeciwnika.

Obóz był zbyt wielki, zbyt rozrzucony, a francuscy rycerze zbyt liczni, by hrabia Kentu mógł nadal siać spustoszenie. Gaskończycy już dostrzegli tworzący się przed nimi kleszczowy manewr. Kent ledwie miał czas zawrócić konia i wrócić cwałem do La Reole gdzie znikł w bramie; po czym złożył wszystkim gratulacje, zdjął zbroję i poszedł spać ocaliwszy honor.

We francuskim obozie panowało zamieszanie, rozlegały się jęki rannych. Wśród prawie sześćdziesięciu trupów znaleźli się: marszałek Jan des Barres i dowódca przedniej straży hrabia de Boulogne. Ubolewano, że tak niespodziany i głupi koniec spotkał tych dwóch panów, śmiałych wojowników. Ledwie się zbudzili, zabici!

Ale waleczność Kenta wzbudziła szacunek. Sam Karol de Valois, który jeszcze wczoraj oświadczał, że jednym kęsem połknąłby w szrankach tego młokosa, przybrał przejętą, prawie dumną minę i powiedział:

- Ejże! Panowie, nie zapominajcie, że to mój siostrzeniec.

I po oddaniu wspaniałych ostatnich honorów marszałkowi des Barres, nagle, niepamiętny urażonej miłości własnej, swych dolegliwości i kanikuły, począł się szykować do oblężenia miasta. Wykazał w tym tyleż energii co znajomości rzeczy, bo choć odznaczał się wielką chępliwością, był znamienitym wodzem.

Odcięto wszystkie drogi wiodące do La Reole, daleko wysunięte posterunki nadzorowały okolicę. W pobliżu murów rozpoczęto roboty ziemne - kopano rowy i sypano wały, by osłonić łuczników. W najbardziej dogodnych miejscach przystąpiono do budowy platform, by ustawić paszcze z prochem. Jednocześnie wznoszono rusztowania dla kuszników. Dostojny Pan de Valois był na każdym placu budowy, lustrował, rozkazywał, popędzał do pracy. W tyle, w półkolu wzgórz, rycerze rozbili okrągłe namioty, na ich szczycie powiewały chorągwie. Namiot Karola de Valois, umieszczony tak, by górował nad obozem i oblężonym miastem, wydawał się prawdziwym zamkiem z haftowanego płótna.

Trzydziestego sierpnia Valois nareszcie otrzymał swą tak oczekiwaną nominację. Humor mu się całkowicie odmienił i zdawał się już nie mieć żadnych wątpliwości, że wojna jest jakby wygrana.

Po dwóch dniach pozostały przy życiu marszałek Mateusz de Trye, Piotr de Cugnieres i Alfons Hiszpański, poprzedzani przez grzmiące surmy z białą chorągwią parlamentariuszy, podeszli do stóp murów La Reole i z rozkazu potężnego i wielce możnego pana Karola, hrabiego de Valois, namiestnika króla Francji w Gaskonii i Akwitanii, wezwali hrabiego Kentu, aby się poddał i przekazał w ich ręce księstwo, na skutek niedochowania wiary i odmowy hołdu.

Na co seneszał Basset, wzniosłszy się na palce, aby ukazać się zza blanków, odpowiedział - z rozkazu wielce możnego i potężnego pana Edmunda, hrabiego Kentu, namiestnika króla Anglii w Akwitanii i Gaskonii - że hrabia wezwania przyjąć nie może oraz nie opuści miasta ani też nie przekaze księstwa, chyba że zostanie usunięty siłą.

Po ogłoszeniu, jak przystało, oblężenia obie strony wróciły do swych zajęć.

Dostojny Pan de Valois zatrudnił kopaczy, pożyczonych mu przez biskupa Metz. Kopacze ci mieli przebić podziemne korytarze aż pod mury La Reole, później umieścić tam baryłki z prochem i podłożyć ogień. Inżynier (inżynier) Hugo, poddany diuka Lotaryngii, obiecywał cuda po tej operacji. Obronny mur roztworzy się jak kwiat na wiosnę.

Ale oblężeni zaalarmowani głuchymi uderzeniami rozstawili na trasie rontu zbiorniki napełnione wodą. I dostrzegając, gdzie woda się marszczy, wiedzieli, że Francuzi w tym miejscu żłobią podkop. Oni również to samo uczynili, pracując w nocy, podczas gdy lotaryńscy kopacze pracowali w dzień. Pewnego ranka oba korytarze zetknęły się pod ziemią; przy świetle ogarków nastąpiła straszliwa rzeź, po czym pozostali przy życiu wyszli okryci potem, ciemnym kurzem i krwią; z oszalałym spojrzeniem, jakby

powracali z piekieł.

Wówczas platformy stały już gotowe i Dostojny Pan de Valois postanowił użyć ognistych paszcz.

Były to potężne rury z masywnego brązu, opasane żelazem, spoczywały na drewnianych łożyskach bez kół. Aż dziesięć koni musiało ciągnąć każdy z tych potworów, a dwudziestu ludzi potrzeba było do obsługi, aby je ustawić, wycelować, naładować. Wokół zbudowano rodzaj skrzyni z grubych dyli, aby chronić obsługę, gdyby machina rozleciała się od wybuchu.

Działa te pochodziły z Pizy. Włoska obsługa zwała je bombardami z powodu huk, jaki czyniły.

Wszyscy wielmoże i dowódcy chorągwi zebrali się, by zobaczyć, jak działają bombardy. Konetabl Gaucher wzruszał ramionami i ze zrzędliwą miną oświadczał, iż nie wierzy w niszczycielską moc tych machin. Po co wciąż zawierzać „nowinkom”, skoro można użyć przednich balist, katapult i beluard, które od wieków zdawały egzamin? Czy on, Chatillon potrzebował lombardzkich odlewników, aby zmusić do uległości zdobywane przez się miasta? Wojny wygrywano hartem ducha i siłą ramienia, a nie uciekając się do alchemicznych proszków, które aż nazbyt zalatują diabelską siarką.

Przy każdej z machin obsługa rozpała piecyk, gdzie czerwienił się żelazny pręt. Później wielkimi łyżkami z klepanego żelaza wsypała do paszczy proch i ładowała każdą bombardę, najpierw pakułą z kłaków, następnie kamiennym pociskiem wagi blisko stu funtów. Trochę prochu włożono w otwór nad nasadą armaty połączony wąskim wylotem z ładunkiem wewnątrz lufy.

Poproszono wszystkich obecnych, by cofnęli się o pięćdziesiąt kroków. Obsługa położyła się na ziemi, osłoniwszy rękoma uszy; jeden tylko puszkarz stał przy każdej bombardzie, aby zaczerwienionym w ogniu długim, żelaznym prętem zapalić proch, po czym wnet padł na ziemię i przyłgnął do skrzyni przy łożysku.

Trysnęły czerwone płomienie i ziemia zadrżała. Grzmot przetoczył się nad doliną Garonny i usłyszano go od Marmonde aż po Langon.

Wokół dział poczerniało powietrze, tyły dział siłą odrzutu zaryły się w zruszonej ziemi, konetabl kaszłał, pluł i przeklinał. Gdy kurz nieco opadł, zobaczono, że jeden z pocisków padł u Francuzów; w mieście jeden dach zdaje się został rozpruty.

- Wiele hałasu a szkód mało - powiedział konetabl. - Użylibyśmy starych balist na kamienie i proce, a wszystkie pociski dotarłyby do celu i człek nie musiałby się tak krztusić.

W obrębie zaś La Reole nikt nie pojął na razie, dlaczego dach adwokata Delpucha, notariusza - nagle spadł na ziemię wielkim potokiem dachówek. Nikt również nie pojął, dlaczego z bezchmurnego nieba padł grom, który dotarł po chwili do uszu. Później adwokat Delpuch wypadł z wrzaskiem z domu, bo wielki kamienny pocisk wpadł mu do kuchni.

Wtedy ludność pobiegła na wały i stwierdziła, że we francuskim obozie nie było żadnej z potężnych machin, których zazwyczaj używano przy oblężeniu. Po drugiej salwie pojęła, że huk i pociski wydobywają się z

długich rur, spoczywających na wzgórzu, nad którym wznosił się pióropusz dymu. Wszystkich ogarnął lęk, a kobiety skryły się do kościołów, aby błagać o opiekę przed tym wynalazkiem szatana.

W wojnie na Zachodzie pierwszy armatni strzał został oddany.<sup>22</sup>

Rankiem 22 września sześciu rajców La Reole, panowie Ramon de Labison, Jan de Miral, Imbert Esclau, bracia Doat i Barsan de Pins, notariusz Elias de Malenat oraz kilku towarzyszących im mieszczan poprosiło hrabiego Kentu o przyjęcie. Rajcy długo ubolewali przed namiestnikiem króla Anglii, a ton ich przemówień odbiegał daleko od uległości i szacunku. Miasto jest pozbawione żywności, jada i dachów. W cysternach przeziera dno, ze strychów wymiata się gruz, ludność nie jest już w stanie znieść tego gradu pocisków, które padają co kwadrans od przeszło trzech tygodni. W szpitalu pełno chorych i rannych. W kościelnych kryptach składa się zwłoki zabitych na ulicy i dzieci zmiażdżonych we własnych łóżkach. W kościele Świętego Piotra dzwony zapadły się z hałasem, jakby następował koniec świata, a to wyraźnie świadczy, że Bóg nie popiera sprawy angielskiej. Poza tym należy pilnie przystąpić do winobrania, przynajmniej w winnicach nie zniszczonych jeszcze przez Francuzów, nie można dopuścić, by zbiórgnił na szczepach. Ludność za namową właścicieli i kupców szykuje się do buntu, a nawet walki z żołnierzami seneszala, jeśli zajdzie potrzeba, by uzyskać poddanie się miasta.

Podczas przemówień rajców w powietrzu zagwizdał pocisk i usłyszano, że rozpada się zrąb murów. Chart hrabiego Kentu począł wyć. Jego pan wyczerpanym do cna ruchem zmusił go do milczenia.

Już od kilku dni Edmund Kentu wiedział, że się będzie musiał poddać. Bez żadnego rozsądnego powodu upierał się przy stawianiu oporu. Przygnębione oblężeniem, nędzne zastępy nie były w stanie wytrzymać ataku. Kusić się o ponowny wypad na przeciwnika obecnie mocno obwarowanego, byłoby czystym szaleństwem. I oto mieszkańcy La Reole grozili buntem.

Kent zwrócił się do seneszala Basseta:

- Czy jeszcze wierzycie w posiłki z Bordeaux, panie Ralphie? - zapytał.

Seneszal już w nic nie wierzył. U skraju sił, nie wahał się oskarżać króla Edwarda i jego Despenserów, że opuścili obrońców La Reole, co wyraźnie trąciło zdradą.

Panowie de Bergerac, de Budos i de Montpezat nie mieli weselszych min. Nikt nie pragnął umierać za króla, który okazywał tak mało troski o swych najlepszych poddanych. Wierność była aż nazbyt nędźnie wynagradzana.

- Czy macie białą chorągiew, panie seneszalu? - zapytał hrabia Kentu. - A więc wywieście ją na szczycie zamku.

Po kilku minutach bombardy zamilkły, a w obozie francuskim zaległa wielka zdziwiona cisza, która wita od dawna oczekiwane zdarzenia. Parlamentariusze wyszli z La Reole; zaprowadzono ich do marszałka de Trye, a ten im podał ogólne warunki kapitulacji. Twierdza oczywiście podda się; ale hrabia Kentu winien również podpisać i ogłosić przekazanie



całego księstwa w ręce namiestnika króla Francji. Oszczędzi się grabieży tudzież brania do niewoli jeńców, jedynie żąda się zakładników oraz odszkodowania wojennego, które się później ustali. Poza tym hrabia de Valois zaprasza hrabiego Kentu na obiad.

Przygotowano uroczystą ucztę w płóciennym, haftowanym w lilie Francji namiocie, gdzie prawie od miesiąca mieszkał Dostojny Pan Karol. Hrabia Kentu przybył w swej najwspanialszej zbroi, lecz był blady i pod maską godności usiłował skryć swe upokorzenie i rozpacz. Towarzyszył mu seneszal Basset wraz z kilku gaskońskimi feudałami.

Obaj królewscy namiestnicy, zwycięzca i zwyciężony, rozmawiali z pewną oziębłością, tytułowali się jednakże „Dostojnym Panem Siostrzeńcem” i „Dostojnym Panem Wujem”, jak ludzie, między którymi wojna nie zrywa więzów pokrewieństwa.

Dostojny Pan de Valois usadowił hrabiego Kentu przy stole naprzeciw siebie. Gaskońscy rycerze jęli się obżerać, jako że od długich tygodni nie mieli po temu sposobności.

Biesiadnicy zmuszali się do uprzejmości i komplementowania przeciwników za waleczność. Gratulowano hrabiemu Kentu pełnego rycerskiej ochoty wypadu, który kosztował Francję życie marszałka. Kent odpowiedział podkreślając swe wielkie uznanie dla wuja za przygotowanie oblężenia oraz użycie ognistych dział.

- Czy słyszycie, panie konetablu, a i wy wszyscy Dostojni Panowie - zawołał Valois - co oświadczył mój szlachetny siostrzeniec... gdyby nie nasze bombardy, miasto mogłoby się trzymać jeszcze cztery miesiące! Zakonotujcie to sobie!

Kent i Mortimer wzajem się obserwowali ponad zastawą półmisek, pucharów i dzbanów.

Po uczcie główni dowódcy zamknęli się, by spisać akt zawieszenia broni o wielu paragrafach. Prawdę rzekłszy, Kent był gotów na wszystko się zgodzić, za wyjątkiem niektórych formuł, zaprzeczających słusznych praw królowi Anglii, oraz wpisania na czele listy zakładników panów Basseta i Montpezata. Los ich bowiem był aż nazbyt pewny, ponieważ to oni pojмали i powiesili dowódców króla Francji. Valois zaś żądał wydania seneszala oraz wielmoży odpowiedzialnego za bunt w Saint-Sardos.

Lord Mortimer uczestniczył w rokowaniach. Podsunął, że chciałby z hrabią Kentu odbyć rozmowę na osobności. Sprzeciwił się konetabl Gaucher; nie leży w zwyczaju, aby uchodźca z wrogiego obozu debatował nad warunkami zawieszenia broni. Ale Robert d'Artois i Karol de Valois ufali Mortimerowi. Obaj Anglicy odeszli więc w kąć namiotu.

- Czy macie wielką chęć, Milordzie, wracać tak szybko do Anglii?... - zapytał Mortimer.

Kent milczał.

- Aby narażać się królowi Edwardowi, waszemu bratu, wszak dostatecznie znacie jego niesprawiedliwość i wiecie, że będzie czynił wyrzuty za klęskę, którą przygotowali wam Despenserowie? Bo zdradzono was, Milordzie, musicie być tego świadomi. Wiemy, że przyobiecane wam posiłki nigdy nie opuściły Anglii. A rozkaz wydany seneszalowi Bordeaux, by nie spieszyl wam z pomocą, póki nie nadejdą te posiłki, czy to nie

zdrada? Nie dziwcie się, że jestem tak dobrze poinformowany; zawdzięczam to lombardzkim bankierom... Ale czy nie rozważyliście powodu tak podstępnego lekceważenia was? Czy nie widzicie jego celu?

Kent wciąż milczał i pochyliwszy głowę wpatrywał się we własne palce.

- Jako zwycięzca zagrażalibyście Despenserom, Milordzie - podjął Mortimer - zyskalibyście zbyt wielki autorytet w królestwie. O wiele bardziej woleli narazić was na utratę dobrej sławy, choćby za cenę Akwitanii, o którą mało się troszczą ci ludzie, jedynie baczni, aby kraść baronie w Marchiach, jedną po drugiej. Czy rozumiecie, że musiałem przez całe trzy lata w obronie Anglii buntować się przeciw królowi czy też w obronie króla występować przeciw niemu samemu? Kto wam zapewni, że wnet po powrocie nie oskarżą was o przestępstwo i nie wtrącą do lochu? Jesteście jeszcze bardzo młodzi, Milordzie, i wcale nie wiecie, do czego są zdolni ci nikczemnicy.

Kent odsunął za ucho jasne pukle i wreszcie odparł:

- Zaczynam, Milordzie, uczyć się tego własnym kosztem.

- Czy budziłoby w was niechęć zaproponować siebie jako pierwszego zakładnika, oczywiście pod gwarancją, że traktować was będą jako księcia? Teraz, gdy Akwitania jest stracona, i jak obawiam się, już na zawsze, musimy ocalić samo królestwo i właśnie tutaj możemy najskuteczniej nad tym pracować.

Młodzieniec spojrział ze zdziwieniem na Mortimera.

- Jeszcze przed dwoma godzinami - wyrzekł - byłem namiestnikiem króla, mego brata, a już skłaniacie mnie do buntu?

- Tylko na pozór tak się wydaje, Milordzie, tylko na pozór!... O wielkich przemianach decyduje się w krótkim czasie.

- Ile mi go użyczacie?

- Zbędne, Milordzie, ponieważ już powzięliście postanowienie.

Roger Mortimer osiągnął niemały sukces, gdy młody hrabia Edmund Kent po powrocie do stołu konferencyjnego oświadczył, że podaje siebie jako pierwszego zakładnika.

Mortimer pochylił się nad jego ramieniem i powiedział:

- A teraz musimy pracować nad ocaleniem waszej bratowej i kuzynki, królowej. Zasługuje, byśmy ją miłowali, i może nam być wielce pomocna.





## CZĘŚĆ DRUGA

# Izabela w krainie miłości



### I

## Stół papieża Jana

Kościół Świętego Agrykolasa przebudowany w całości. Powiększona i odnowiona katedra papieska, kościoły Braci Mniejszych, Braci Kaznodziejów i Augustianów. Szpitalnicy od świętego Jana Jerozolimskiego zbudowali wspólną komandorię. Opodal placu Change wznosiła się nowa kaplica pod wezwaniem świętego Antoniego. Zakładano fundamenty pod przyszły kościół Świętego Dezyderiusza.

Od tygodnia hrabia de Bouville krążył po Awinionie, nie poznawał go, nie mógł doszukać się pozostawionych tu wspomnień. Każda przechadzka, każdy krok były dlań niespodzianką i budziły zachwyt. Jak w ciągu ośmiu lat miasto mogło tak całkowicie zmienić swe oblicze?

Nie tylko bowiem wyrosły z ziemi nowe świątynie lub też wystroili się w nowe fasady i ukazywały na wsze strony strzały, łuki, rozety i kamienny biały azur lekko ozłocony zimowym słońcem, gdzie nucił wiatr znad Rodanu.

Wszędzie wznosiły się książęce pałace, rezydencje prałatów, budynki miejskie, siedziby wzbogaconych mieszczan, domy kompanii lombardzkich, składy, sklepy, wszędzie rozlegał się wytrwały, nieustanny, podobny do deszczu stuk młotków kamieniarzy - owe miliony drobnych uderzeń metalu o kruchą skałę, dzięki którym wyrastają stolice. Wszędzie gęsty tłum, czynny, żwawy, skrzący kroczył po gruzie, trocinach i wapiennym pyłe. Widok możnych stąpających w haftowanych pantoflach pobielonych prochem z budowy - to oznaka lat tłustych.

Zaiste, Hugo de Bouville niczego nie poznawał. Mistral miotał mu w oczy pył z wznoszonych gmachów, a jednocześnie przynosił nieustanny zachwyt. Wszystkie domy handlowe, co do jednego pyszniące się tytułem dostawców papieża lub eminencji ze Świętego Kolegium, obfitowały w najwspanialsze towary, najgrubsze aksamity, jedwabie, złotogłów i ciężką pasmanterię. Liturgiczne klejnoty, krzyże napierśne, pastorały, pierścienie, kielichy, monstrancje, pateny, a także półmiski, łyżki, kubki, puchary, z

wyrytymi herbami papieża i kardynałów piętrzyły się na półkach srebrników: sienneńczyka Tauro, kupca Corboli i mistrza Cachette.

Sprowadzono malarzy, by zdobili wszystkie te nawy, sklepienia, wirydarze, sale przyjęć; trzech Piotrów, Piotr du Puy, Piotr de Carmelere i Piotr Gaudrac, wspomagani przez licznych uczniów, rozpościerali złoto, lazur, karmin i kreślili znaki zodiaku wokół scen z obu Testamentów. Sprowadzono też rzeźbiarzy; mistrz Macciolo ze Spoleto wycinał w dębie i orzechu wizerunki świętych, a następnie je malował lub powlekał złotem. Niskim pokłonem witano na ulicach męża, który wprawdzie nie był kardynałem, lecz towarzyszyła mu niemniej liczna świta adeptów i pacholków niosących przyrządy miernicze i wielkie zwoje pergaminu; mężem owym był pan Wilhelm de Coucouron, przełożony wszystkich papieskich architektów, którzy od roku 1317 przebudowywali Awinion za bajeczną sumę pięciu tysięcy florenów w złocie.

W duchownej tej metropolii kobiety stroiły się piękniej niż gdziekolwiek indziej na świecie. Widok ich zachwycił oczy, gdy wychodziły z nabożeństwa, szły ulicami, biegały po kramach, roześmiane i drżące, mimo futrzanych płaszczy, skupiały wokół siebie na środku ulicy galantów, obcesowych panków i szczwanych kleryków. Niektóre nawet bardzo śmiało szły pod ramię z jakimś kanonikiem lub biskupem; obie szaty zamiatając biały pył sunęły wielce zgodnym krokiem.

Kościelny skarbiec powodował rozkwit wszelakiej ludzkiej działalności. Trzeba było budować nowe burdele i powiększyć dzielnicę swawolnic, ponieważ wszyscy zakonnicy, mniszkwie, klerycy, diakoni i subdiakoni, którzy nawiedzali Awinion, z natury rzeczy nie byli święci. Konsulowie kazali obwieścić na tablicach surowe zarządzenia:

„Zabrania się publicznym kobietom i rajfurkom przebywać na zacnych ulicach, stroić się jak uczciwym kobietom, przykrywać się publicznie welonem i dotykać ręką w kramach chleba i owoców pod karą, że będą musiały zakupić towary, które pomacały. Zameżne kurtyzany będą wyświecone z miasta i przekaże się je pod sąd, jeśli tutaj powrócą.”

Ale mimo tych zarządzeń kurtyzany stroiły się w najpiękniejsze tkaniny, kupowały najpyszniejsze owoce, zaczepiały mężczyzn na zacnych ulicach i bez trudu wychodziły za mąż, tak bowiem były bogate i poszukiwane. Pewne siebie spoglądały na kobiety zwane uczciwymi, które również lepiej się nie prowadziły, różniąc się tym jedynie, że los je obdarzył kochankami z wyższej hierarchii.

Nie tylko zmienił się Awinion, ale i cała okolica. Po drugiej stronie mostu Świętego Benezeta na wybrzeżu koło Villeneuve siostrzeniec papieża, kardynał Arnold de Via, wybudował olbrzymią kolegiatę; a wieżę Filipa Pięknego już zwano „starą wieżą”, ponieważ miała trzydzieści lat. Ale czy to wszystko by istniało, gdyby Filip Piękny nie zmusił papieża do pobytu w Awinionie?<sup>23</sup> W Bedarrides, Chateauneuf i Noves wyrastały nowe kościoły, nowe zamki.

Bouville odczuwał osobistą dumę. Nie tylko dlatego, że przez długie lata piastował przy Filipie Pięknym urząd wielkiego szambelana i czuł się związany z całą działalnością króla, lecz także i dlatego, iż uważał się po trosze odpowiedzialny za obecny pontyfikat.

Czy to nie on, Bouville, przed dziesięciu laty zaproponował pierwszy kardynałowi Dueze, aby został kandydatem francuskiego dworu i to po uciążliwej gonitwie za kardynałami rozproszonymi między Carpentras a Orange? Posłowie chętnie uważają się za jedynych autorów swych misji, pod warunkiem, że się one udadzą. Bouville przeto idąc na ucztę - którą papież Jan XXII wydawał na jego cześć - wysuwał naprzód brzuch, pewny, że wypina pierś, potrzasał białymi włosami na futrzanym kołnierzu i tubalnym głosem przemawiał do swych giermków na ulicach Awinionu.

W każdym razie jedna sprawa wydawała się w pełni załatwiona: Stolica Apostolska nie powróci do Italii. Skończyły się złudzenia żywione za poprzedniego pontyfikatu. Rzymscy patrycjusze mogą się burzyć przeciw Janowi XXII i - jeśli nie wróci on do Wiecznego Miasta - grozić mu schizmą wybierając nowego papieża, który zajmie prawdziwy tron Świętego Piotra.<sup>24</sup> Były mieszczanin z Cahors potrafił dać odpowiedź rzymskim książętom, obdarzając ich tylko czterema kapeluszami na szesnaście przyznanych od początku swego pontyfikatu. Wszystkie pozostałe czerwone kapelusze przypadły Francuzom.

- Widzicie, panie hrabio - powiedział papież Jan Bouville'owi przed kilku dniami, podczas pierwszej audiencji, przemawiając owym tchnieniem głosu, jakim rządził jako głowa chrześcijaństwa - widzicie, panie hrabio, należy rządzić wspólnie z przyjaciółmi, a wbrew przeciwnikom. Książęta, którzy tracą czas i siły, by pozyskać wrogów, budzą niezadowolenie wśród prawdziwych popleczników, zdobywają zaś tylko fałszywych przyjaciół, zawsze gotowych do zdrady.

Wystarczyło spojrzeć na zamek, który papież właśnie wybudował na miejscu dawnego biskupstwa, aby przekonać się o tym, że zamierzał on osiedlić się na stałe we Francji; zamek górował nad miastem, broniony przez blanki, wieże i machikuły.<sup>25</sup> Wnętrze dzieliło się na przestronne wirydarze, sale przyjęć i apartamenty przepysznie ozdobione pod lazurem sufitów jak niebo usianym gwiazdami.<sup>26</sup> Przy pierwszych drzwiach stało dwóch odźwiernych, dwóch - przy następnych, pięciu - przy trzecich, a jeszcze czternastu odźwiernych przy dalszych drzwiach. Czterdziestu gońców i sześćdziesięciu trzech zbrojnych sierzantów słuchało rozkazów marszałka pałacu.

„Wszystko to nie wygląda na tymczasową rezydencję” - rozważał Bouville idąc za marszałkiem, który osobiście go oczekiwał u progu pałacowych drzwi, a teraz wiódł przez sale.

W wielkiej biesiadnej auli o ścianach obitych jedwabiem wystarczyło Bouville'owi usłyszeć nazwiska dostojników - którzy zajmowali miejsca przy długim stole skrzącym się złotą i srebrną zastawą - aby przekonać się, kogo papież wybrał do pomocy w rządach.

Kardynał-arcybiskup Awinionu, Arnold de Via, był rodzonym siostrzeńcem papieża. Kardynał-kanclerz rzymskiego Kościoła, czyli pierwszy minister świata chrześcijańskiego, Gaucelin Dueze, mężczyzna dość barczysty i krzepki, pewny swej purpury, był synem rodzonego brata papieża, Piotra Dueze, nobilitowanego ongiś przez Filipa V. Również siostrzeńcem papieża był kardynał Rajmund le Roux. Następny siostrzeniec Piotr de Vicy miał pieczę nad papieskim dworem i szkatułą; podlegało mu

dwóch stolników, czterech szafarzy, koniuszowie, mistrze kowalscy, sześciu pokojowców, trzydziestu kapelanów, szesnastu spowiedników dla przejezdnych pielgrzymów, dzwonnicy, sprzątacze, nosiwody, praczki, papiescy medycy-aptekarze i balwierze.

Wśród zasiadających przy stole „siostrzeńców” na pewno nie był najmniej znaczny kardynał Bertrand du Pouget, objazdowy legat na Italię; szeptano o nim... lecz któż tutaj nie szeptał?... że jest nieprawym synem Jakuba Dueze z onych czasów, gdy ów przekroczywszy czterdziestkę jeszcze przebywał w rodzinnym Quercy!

Wszyscy krewniacy papieża Jana, z synami ciotecznymi i stryjecznymi braci włącznie, rezydowali w jego pałacu i dzielili z nim posiłki, dwóch zamieszkiwało nawet sekretne półpiętro pod salą jadalną. Wszyscy byli zatrudnieni, ten wśród setki rycerzy ze szlacheckich rodów, ów jako rozdawca jałmużny, tamten jako przełożony izby apostolskiej, której podlegały beneficja kościelne, annaty, dziesięciny, subsydia, zapomogi, prawo wyzucia z dóbr i opłaty składane Świętemu Penitencjariom. Przeszło czterysta osób tworzyło ten dwór, którego roczne wydatki przekraczały cztery tysiące florenów.

Przed ośmiu laty, gdy konklawe w Lyonie wyniosło na tron Piotrowy wyczerpanego, o przezroczyściej cerze starca, po którym oczekiwano, a nawet się spodziewano, że w następnym tygodniu odda ducha, Skarb papieski świecił pustką. W ciągu ośmiu lat tenże drobny staruszek, który sunął jak piórko unoszone wiatrem, tak świetnie zarządzał finansami Kościoła, tak dotkliwie opodatkował cudzołożników, sodomitów, kazirodców, złodziei, zbrodniarzy, niegodnych księży i biskupów winnych gwałtów, sprzedawał tak drogo opactwa, tak rzetelnie kazał kontrolować kościelne dochody i lustrować dobra, iż zapewnił sobie największe w świecie dochody i posiadał środki na przebudowę całego miasta. Mógł szczerze żywić własną rodzinę i rządzić za jej pośrednictwem. Nie skąpił ani wsparcia ubogim, ani darów bogatym, ofiarowując swym gościom klejnoty i złote poświęcone medale, w które go zaopatrywał nadworny dostawca, Żyd Boncoeur.

Raczej wtulony w fotel z olbrzymim oparciem niż w nim zasiadając, złożywszy stopy na dwóch grubych poduszkach ze złocistego jedwabiu, papież Jan prezydował za długim stołem, który przypominał zarazem konsystorz i obiad rodzinny. Bouville posadzony po jego prawicy patrzył nań olśniony. Jakże Ojciec Święty się zmienił od czasu swej elekcji. I to nie z wyglądu: czas jakby nie miał władzy nad ujętą w futrzaną czapkę, pomarszczoną, ruchliwą twarzą, szczupłą i wyostrzoną, o małych mysich oczkach bez brwi i rzęs, ustach niesłychanie wąskich z górną wargą zawiniętą pod bezzębne dziąsło. Jan XXII dźwigał swe osiemdziesiąt lat o wiele lżej niż inni pięćdziesiątkę - dowodem jego ręce o skórze ledwo zwiędłej i stawami które się całkiem swobodnie zginały. Ale o jego zmianie świadczyły: postawa, ton głosu, wypowiedzi. Człowiek ten, który kardynalski kapeluszał zawdzięczał sfałszowaniu pisma, zaś tiarę dwu latom podstępnych knowań i wyborczym przekupstwom, zakończonym miesięczną symulacją nieuleczalnej choroby, jakby otrzymał nową duszę dzięki najwyższemu wikariatowi. Osiągnąwszy szczyt ludzkich ambicji,

wyzwolony z wszelkich osobistych pragnień, całą potęgę mózgu, wszystkie swe siły, co zawiodły go na ten szczyt, obrócił w sposób całkiem bezosobowy na rzecz dobra Kościoła, jak je pojmował. A jaką rozwijał działalność! Iluż obecnie się kajało spośród tych, co sądzili, że rychło się on usunie i pozwoli rządzić kurią w swoim imieniu! Jan XXII zatruwał im życie. Zaprawdę wielki zwierzchnik Kościoła.

Wszystkim się zajmował, rozstrzygał wszystko. Ubiegłego marca nie zawahał się wykląć Ludwika Bawarskiego, cesarza Niemiec, jednocześnie detronizując go i umożliwiając sukcesję Świętego Cesarstwa, o co tak zabiegali król Francji i Karol de Valois. Jako najwyższy pasterz wkraczał w spory między chrześcijańskimi książętami i nawoływał ich do zachowania pokoju. Obecnie rozważał konflikt w Akwitanii i w audiencjach udzielonych Bouville'owi ustalił już sposób działania.

Zamierza prosić monarchów Francji oraz Anglii, by przedłużyli podpisane przez hrabiego Kentu w La Reole zawieszenie broni, którego termin wygaszał w bieżącym grudniu. Dostojny Pan de Valois nie posłuży się czterystu wojownikami i tysiącem nowych kuszników przysyłanych mu w ostatnich dniach do Bergerac przez Karola IV. Ale papież kategorycznie zażąda od króla Edwarda złożenia hołdu, i to w jak najkrótszym czasie. Obaj monarchowie winni uwolnić trzymany w niewoli gaskońskich panów i nie obciążać ich konsekwencjami za przystąpienie do wrogiego obozu. Wreszcie papież napisze do królowej Izabeli zaklinając ją, by użyła wszystkich swych sił i doprowadziła do zgody między małżonkiem a bratem. Papież Jan, podobnie jak Bouville, nie lędził się co do wpływów, jakie posiadała nieszczęsna królowa. Ale sam list osobisty Ojca Świętego nie omieszka jej przywrócić trochę autorytetu i zmusi jej wrogów do powstrzymania się od dalszego nad nią znęcania. Następnie Jan XXII doradzi, aby kontynuując misję pojednawczą udała się do Paryża i przewodniczyła przy układaniu traktatu, który z księstwa Akwitanii pozostawi Anglii tylko wąski pas wybrzeża z Bordeaux, Saintes, Dax i Bajonną. Tym sposobem polityczne plany hrabiego de Valois, machinacje Roberta d'Artois, sekretne pragnienia lorda Mortimera uzyskają od Ojca Świętego znaczną pomoc.

Wypełniwszy z powodzeniem pierwszą część misji Bouville mógł zajadać z apetytem potrawkę z węgorza, wyborną, wonną, zawieszoną, która wypełniała jego srebrną miseczkę.

- Węgorze pochodzą ze stawu Martigues - zwrócił uwagę Bouville'a papież Jan. - Czy wam smakują?

Zażywny Bouville, mając pełne usta, mógł tylko odpowiedzieć zachwyconym spojrzeniem.

Papieska kuchnia była wyśmienita i nawet piątkowe potrawy stanowiły wyjątkową ucztę. Świeże tuńczyki, dorsze z Norwegii, minogi i jesiotry przyrządzone na różny sposób i skropione wielu sosami, sunęły procesją na skrzących się półmiskach. Wino z Arbois jak złoto spływało do srebrnych czarek. Serom towarzyszyły wytrawne z Burgundii, Lot lub znad Rodanu.

Sam zaś Ojciec Święty zadowolił się pogryzieniem w bezzębnych działkach łyżki pasztetu ze szczupaka i wysączeniem kubka mleka. Wbił sobie do głowy, że papież winien jadać tylko białe pokarmy.

Bouville miał do załatwienia drugą sprawę i niemniej delikatną, poleconą mu przez Dostojnego Pana de, Valois. Poseł winien okreśną drogą podchodzić do drażliwych zagadnień. Bouville przeto uważał, że postępuje subtelnie mówiąc:

- Przenajświętszy Ojczy, francuski dwór z wielką uwagą śledził koncylium w Valladolid, które przed dwoma laty debatowało pod przewodnictwem waszego legata i nakazało duchownym opuścić swe konkubiny...

- ...pod groźbą, że jeśli tego nie uczynią - nawiązał swym szybkim stłumionym szeptem papież Jan - po dwóch miesiącach zostaną pozbawieni jednej trzeciej dochodów z beneficjów, po następnych dwóch miesiącach znów jednej trzeciej, a jeszcze po dwóch całości wpływów. Zaprawdę, panie hrabio, grzeszny jest człowiek, nawet będąc kapłanem, i dobrze wiemy, że nie zdołamy wyplenić wszystkich grzechów. Ale przynajmniej ci, co się będą przy nich upierali, napełnią nasze skrzynie, a te nam służą do czynienia dobra. Wielu także zechce uniknąć rozgłosu publicznego.

- Z tego wynika, że biskupi nie będą asystować przy chrzcie i ślubie swych nieprawych dzieci, jak zwykli to czynić?

Rzekłszy to, Bouville nagle poczerwieniał. Czy zrzęcznie było mówić o nieprawych dzieciach w obecności kardynała du Pouget? Nietakt. Lecz nikt na to jakby nie zwrócił uwagi. Bouville więc pośpiesznie mówił dalej:

- Ale dlaczego, Przenajświętszy Ojczy, surowsza kara została wyznaczona księżom, których konkubiny nie są chrześcijankami?

- Powód bardzo prosty, panie hrabio - odparł papież Jan. - Dekret godzi właśnie w Hiszpanię, zamieszkałą przez wielką ilość Maurów... gdzie nasz duchowny łatwo dobiera sobie towarzyszkę, której nic nie wadzi uprawiać nierząd z „tonsuratem”.

Obrócił się nieco w swym wielkim fotelu i leciutki uśmieszek przemknął mu po wąskich wargach. Dostrzegł, jaki kierunek poseł króla Francji zamierza nadać rozmowie. A teraz czekał zarazem baczny i rozbawiony, zanim pan de Bouville przełknie kęs, by dodać sobie odwagi, i przybierze rzekomo swobodną minę, aby powiedzieć:

- Z pewnością koncylium, Przenajświętszy Ojczy, wydało na pewno mądre edykty i wielce nam się one przysłużą podczas wyprawy krzyżowej. Bo wojskom naszym będzie towarzyszyło wielu duchownych i jałmużników, pójdą oni w głąb kraju Maurów i byłoby niedobrze, gdyby dawali zły przykład...

Po czym Bouville odetchnął głęboko; padło słowo: wyprawa krzyżowa.

Papież Jan zmrużył powieki i splótł palce.

- Byłoby równie niedobrze - odparł rozważnie - gdyby rozpusta jęła się szerzyć wśród chrześcijańskich narodów, podczas gdy ich wojska będą działać za morzem. Zawsze bowiem stwierdzano, panie hrabio, że gdy armie walczą daleko i zabrało się ludom najdzielniejszych wojowników, w królestwach krzewią się różnego rodzaju grzechy, jakby z oddalającą się mocą uchodził zarazem szacunek należny przykazaniom Bożym. Wojny następczą wielu okazji do grzechu... Czy Dostojny Pan de Valois nadal upiera się przy tej krucjacie, którą zamierza uczcić nasz pontyfikat?

- A tak, Przenajświętszy Ojczy, posłowie z Małej Armenii...



- Wiem, wiem - rzekł papież Jan splatając i rozplatając chude palce. - Ja sam wysłałem tych posłów do Szlachetnego Pana de Valois.

- Dociera do nas ze wszech stron, że Maurowie na wybrzeżach...

- Wiem. Raporty dochodzą do mnie w tym samym czasie co do Szlachetnego Pana de Valois.

Przy długim stole zamilkły prywatne rozmowy. Przybyły w poselstwie wraz z Bouville'em biskup Piotr de Mortemart, o którym mówiono, że niebawem zostanie kardynałem, nadstawiał ucha i czynili to wszyscy siostrzeńcy i kuzynowie, prałaci czy dygnitarze. Łyżki ślizgały się po talerzach niby po aksamicie. Trudno było uchwycić osobliwy, wyraźny, lecz bezdźwięczny szept, wydobywający się z ust papieża. Trzeba było mieć wielką wprawę, by go dosłyszeć z dalszego miejsca.

- Dostojny Pan de Valois, którego miłuję wielce ojcowską miłością, skłonił nas do przyznania mu dziesięciny; lecz aż dotąd używał tej dziesięciny wyłącznie na sekwestr Akwitanii i podtrzymywanie swej kandydatury do cesarskiego tronu. Są to wielce szlachetne przedsięwzięcia, lecz nie można ich nazwać krucjatą. Nie jestem pewien, czy w przyszłym roku znów przyznam tę dziesięcinę, a tym bardziej, panie hrabio, czy udzielię dodatkowych subsydiów, których się ode mnie żąda na wyprawę.

Bouville dotkliwie odczuł cios. Jeśli tylko taką odpowiedź ma zawieźć do Paryża, Karol de Valois wpadnie w szalony gniew.

- Przenajświętszy Ojcze - odparł zdobywając się na oziębłość - hrabia de Valois jak i król Karol mniemali, że jesteście czuli na chwałę, jaką chrześcijaństwo może osiągnąć...

- Chwała chrześcijaństwa, drogi synu, to zachować pokój - uciał papież lekko uderzając Bouville'a po rękę.

- Czyż to zamach na pokój w chrześcijaństwie pragnąć nawrócenia Niewiernych na prawdziwą wiarę i zwalczyć u nich herezję?

- Herezja! herezja! - szeptem odparł papież Jan. - Najpierw zajmijmy się wyplenieniem tej, co krzewi się wśród naszych narodów i nie troszczmy się tak, by wyciskać wrzody na twarzy sąsiada, gdy trąd narusza nasze oblicze. Herezja to moja troska i sądzę, że nieźle znam się na jej ściganiu. Moje trybunały działają i potrzebna mi pomoc wszystkich duchownych i wszystkich chrześcijańskich książy, by ją tropić. Gdy rycerstwo ruszy z Europy na Wschód, szatan uzyska wolne pole we Francji, Hiszpanii i Italii. Odkąd to siedzą cicho katarowie, albigensi i braciszkwowie?<sup>27</sup> Po cóż to podzieliłem w Langwedocji na szesnaście nowych biskupstw wielką diecezję Tuluzy, będącą ich kryjówką? A czy przed niewiele laty herezja nie wiodła waszych pastuszków, których bandy dotarły aż pod nasze mury? O nie, w ciągu jednego pokolenia nie wyrwie się z korzeniami takiego zła. Trzeba poczekać na prawnuków, aby z nim skończyć.

Wszyscy obecni prałaci mogli zaświadczyć, z jaką surowością Jan XXII ścigał herezję. O ile istniały zalecenia, aby okazywać pobłażliwość - stosując opłaty pieniężne - wobec zwykłych ludzkich grzeszków, o tyle stosy wysoko płonęły grożąc grzechom przeciw Duchowi Świętemu. Chętnie powtarzano słowa Bernarda Słodkiego, franciszkanina, który postanowił walczyć z dominikańską inkwizycją i ważył się wygłaszać kazania nawet w Awinionie. „Święty Piotr i święty Paweł - mawiał - nawet

oni nie mogliby się obronić przed zarzutem herezji, gdyby wrócili na ten świat i byli ścigani przez oskarżycieli”. Słodki został skazany na dożywotnie zamknięcie.

Ale jednocześnie Ojciec Święty rozpowszechniał pewne osobliwe idee zrodzone w jego bystrym umyśle, wygłaszane z wyżyn ambony papieskiej nie omieszkały wywołać wielkiego poruszenia wśród doktorów na wydziałach teologii. Tak oto wypowiedział się przeciw Niepokalanemu Poczęciu Dziewicy Marii, które oczywiście nie stanowiło dogmatu, lecz zasadę powszechnie przyjętą. Dopuszczał co najwyżej, że Pan oczyścił Dziewicę przed jej narodzeniem, ale w jakiej chwili - oświadczył - trudno dokładnie określić. Jan XXII również nie wierzył w istnienie uszczęśliwiającej Wizji, a w każdym razie nie przed Sądem Ostatecznym, tym samym zaprzeczając, że jakakolwiek dusza przebywa w Raju, a zatem i w Piekło.

Dla wielu teologów owe wypowiedzi załatywały siarką. Przy tym stole zasiadł również znamienity cysters o nazwisku Jakub Fournier, były opat z Fontfroide, zwany „białym kardynałem”; używał on wszystkich zasobów swej wiedzy apologetycznej, aby poprzeć i uzasadnić śmiało tezy Ojca Świętego.<sup>28</sup>

Ów mówił dalej:

- Raczcie, panie hrabio, nie kłopotać się tak bardzo o herezję Maurów. Każmy strzec naszych wybrzeży przed ich statkami, ale pozostawmy Maurów sądowi Pana Wszechwładnego, który ich stworzył i niewątpliwie żywił wobec nich jakieś zamiary. Kto może stwierdzić, co się stanie z duszami, których nie tknęła jeszcze łaska objawienia?

- Myślę, że pójdą do piekła - rzekł naiwnie Bouville.

- Piekło! Piekło! - wzruszając ramionami szepnął wąty papież. - Nie mówcie, o czym nie wiecie. I nie opowiadajcie mi... jesteśmy zbyt starymi przyjaciółmi, panie de Bouville... że dla zbawienia Niewiernych Dostojny Pan de Valois żąda z mego skarbu miliona dwustu tysięcy liwrów subsydiów. Hrabia de Valois, o ile wiem, nie pragnie zresztą już tak bardzo swej krucjaty.

- Prawdę mówiąc, Przenajświętszy Ojciec - nieco wahając się rzekł Bouville - ...nie jestem tak poinformowany jak wy, jednakże wydaje mi się...

„Och! Nędzny poseł! - pomyślał papież Jan. - Ależ dawno przekonałbym siebie, gdybym był na jego miejscu, że Valois już zwołał chorągwie i nie ustąpiłbym mniej niż za trzysta tysięcy liwrów.”

Zaczekał, aż Bouville dostatecznie się zapłacze.

- Powiecie Dostojnemu Panu de Valois - oświadczył wreszcie - że wyrzekamy się krucjaty; a ponieważ wiem, że Dostojny Pan jest synem wielce szanującym postanowienia Świętego Kościoła, pewien jestem, że będzie powolny.

Bouville czuł się bardzo nieszczęśliwy: Oczywiście wszyscy byli gotowi poniechać planu krucjaty, ale tak, w dwóch zdaniach, bez żadnego sprzeciwu.

- Nie wątpię, Przenajświętszy Ojciec - odpowiedział Bouville - że Dostojny Pan de Valois będzie wam posłuszny, lecz prócz własnego

autorytetu zaangażował wielkie sumy.

- Ile trzeba Dostojnemu Panu de Valois, aby zbytnio nie ucierpiał jego osobisty autorytet?

- Przenajświętszy Ojczy, nie wiem - czerwieniejąc wyrzekł Bouville. - Dostojny Pan de Valois nie upoważnił mnie do odpowiedzi na takie pytanie.

- Ależ tak. Ależ tak! Znam go dostatecznie, żeby wiedzieć, iż to przewidział. Ile?

- Bardzo wiele już wypłacił rycerzom we własnych lennach na rynsztunek chorągwi.

- Ile?

- Zajął się tą nową artylerią z prochem...

- Ile, Bouville?

- Poczył wielkie zamówienia na różnorakie uzbrojenie...

- Nie jestem wojownikiem i nie pytam was o cenę kusz. Pytam tylko, za jaką sumę Dostojny Pan de Valois będzie się czuł wygodzony.

Uśmiechał się przypiekając rozmówcę na różnie. A i sam Bouville nie mógł powstrzymać uśmiechu, widząc jak jego niezdarne fortele pękają niby bańka mydlana. Śmiało, trzeba wymówić cyfrę! Zniżył głos do szeptu papieża i wybąkał:

- Sto tysięcy liwrów...

Jan XXII kiwnął głową i rzekł:

- Zwyczajne żądanie hrabiego Karola. Zdaje się, że ongiś Florenczycy musieli mu nawet więcej zapłacić, aby się uwolnić od opieki, jaką ich obdarzył. Sieneńczyków mniej kosztowała zgoda na opuszczenie przezeń miasta. Przy innej okazji król Andegaweńczyk wykrwawił się podobną sumą, dziękując mu za nieproszoną pomoc! Taki finansowy sposób, jak każdy inny... Wiedźcie, Bouville, wasz Valois to wielki oszust! Jazda, zawieźcie mu dobrą nowinę... Damy mu jego sto tysięcy liwrów i nasze apostolskie błogosławieństwo!

Ogólnie biorąc czuł się zadowolony, że wybrnął takim kosztem. A i Bouville był rad; wypełnił misję. Naprawdę było mu przykro targować się z najwyższym pasterzem jak z byle handlarzem lombardzkim. Lecz Ojciec Święty miewał takie odruchy, nie wynikały one może nawet z hojności, ale ze zwykłego oszacowania ceny, jaką winien płacić za swą władzę.

- Czy pamiętacie, panie hrabio - ciągnął dalej papież - że w swoim czasie przynieśliście mi tu właśnie pięć tysięcy liwrów od hrabiego de Valois, aby zapewnić wybór francuskiego kandydata? Zaiste, pieniądz umieszczony na dobry procent!

Wspomnienia zawsze roztkliwiały Bouville'a. Znów widział zamgloną, wiejską łąkę na północ od Awinionu, tę łąkę w Pontet, i osobliwą rozmowę, jaką obaj odbyli przysiadłszy na murku.

- Tak, pamiętam, Ojczy Święty - rzekł. - Wiecie, że gdy zobaczyłem was zbliżającego się, nigdy uprzednio nie spotkawszy, pomyślałem, że mnie oszukano, że nie jesteście kardynałem, a młodziutkim klerykiem, którego prałat przebrał, by wysłać zamiast siebie.

Komplement wywołał uśmiech na ustach papieża Jana. On również sobie przypominał.

- A ten młody Sieneńczyk, Guccio Baglioni, który pracował w banku i wam wtedy towarzyszył, co się z nim stało? - zapytał. - Przysłaliście mi go potem do Lyonu, gdzie bardzo mi się przydał podczas zamurowanego konklawe. Zrobiłem go moim dworzanim. Wyobrażałem sobie, że się pojawi. Na pewno on jedyny oddał mi ongiś przysługę i nie przyszedł żebrać o łaskę lub stanowisko!

- Nie wiem, Przenajświętszy Ojcze, nie wiem. Odjechał do rodzinnej Italii. Ja też nie miałem o nim żadnych wiadomości.

Bouville zmieszał się udzielając odpowiedzi, a to zmieszanie nie uszło uwagi papieża.

- Miał, o ile sobie dobrze przypominam, jakąś przykrą sprawę o ślub, czy rzekomy ślub z dziewczyną ze szlacheckiego rodu, która zaszła z nim w ciążę. Bracia go ścigali. Czy tak było?

Ach! Ojciec Święty posiadał straszliwą pamięć!

- Naprawdę, dziwię się - nalegał - że ten Baglioni, protegowany przez was, protegowany przeze mnie, handlujący pieniędzem, nie skorzystał ze sposobności, aby dorobić się fortuny. Czy to jego dziecko urodziło się? Czy wyżyło?

- Tak, tak, urodziło się - spiesznie rzekł Bouville - żyje gdzieś na wsi, przy matce.

Okazywał coraz większe zmieszanie.

- Powiedziano mi, któż mi to mówił?... - ciągnął dalej papież - że ta panna czy pani była mamką małego króla pogrobowca, który narodził się Pani Klemencji Węgierskiej podczas regencji hrabiego de Poitiers. Czy tak było?

- Tak, tak, Przenajświętszy Ojcze, myślę, że to ona...

W pobrużdżonej twarzy papieża drgnęło tysiące zmarszczek.

- Jak to, wy myślicie? Czy nie byliście opiekunem łona Miłościwej Pani Klemencji? Czy nie byliście tuż przy niej, gdy spotkało ją nieszczęście utraty syna? Czy nie powinniście wiedzieć, kim była ta mamka?

Bouville uczył, że oblewa go purpura. Winien był mieć się na baczności, gdy Ojciec Święty wymówił nazwisko Guccia Baglioniego, oraz rozważyć, jaka intencja kryje się za tym wspomnieniem. Fortel był cokolwiek zręczniejszy niż jego własne chytrostki, gdy omawiał koncylium w Valladolid, aby zakończyć na finansach hrabiego de Valois. A poza tym Ojciec Święty na pewno miał wiadomości o Gucciu, ponieważ jego bankierzy Bardi współpracowali z Tolomejami ze Sieny.

Małe szare oczy papieża nie opuszczały oczu Bouville'a, pytania zaś padały nadal:

- Czy na procesie wytoczonym Pani Mahaut d'Artois wy nie musieliście świadczyć? Ile prawdy było w całej tej sprawie, drogi panie hrabio?

- Och! Przenajświętszy Ojcze, nic takiego, czego by sąd nie wyjaśnił. Złośliwostki, plotki, z których Pani Mahaut chciała się oczyścić.

Zbliżał się koniec posiłku, giermkowie podawali dzbany i misy, lali wodę na palce biesiadników. Zbliżyli się dwaj rycerze i odsunęli fotel Ojca Świętego.

- Panie hrabio - rzekł papież - byłem bardzo rad was widzieć, ze względu na mój podeszły wiek nie wiem, czy taka radość będzie mi raz jeszcze

dana...

Bouville powstał i swobodniej odetchnął. Zdawało się, że nadeszła chwila pożegnania, która położy kres temu przesłuchaniu.

- ...Przeto przed waszym wyjazdem - podjął papież - pragnę wyświadczyć wam największą łaskę, jaką mogę obdarzyć chrześcijanina... Wysłucham osobiście waszej spowiedzi. Towarzyszcie mi do mojej komnaty.





## II

### Pokuta spada na Ojca Świętego

- Grzechy cielesne? Oczywiście, jesteście mężczyzną... Grzech łakomstwa? Wystarczy na was spojrzeć, jesteście mocno zażywni... Grzech pychy? Jesteście wielkim panem... Wysoki stan zmusza was jednak do wzorowego spełniania praktyk religijnych, przeto za te wszystkie grzechy wspólne ludzkiej naturze, o które się obwiniacie, otrzymujecie odpuszczenie za każdym razem, gdy przystępujecie do Stołu Pańskiego.

Zaiste osobliwa spowiedź! Pierwszy wikariusz Kościoła rzymskiego naraz wszystko sam wypowiadał - i pytania, i odpowiedzi. Stłumiony jego głos przygłuszały od czasu do czasu wrzaski ptaków, papież bowiem hodował w swej komnacie papugę na łańcuszku polatującą w wielkiej klatce, papużki, kanarki i owe małe czerwone ptaszki z dalekich wysp, zwane kardynałami.

Hiszpańskie dywany przykrywały znaczną część posadzki wyłożonej malowanymi kwadratowymi płytkami. Ściany i fotele były obciążone zieloną materią, a zasłony u łoża i w oknach uszyto również z zielonego lnu. Na tym leśnym tle żywe ptaki odcinały się jaskrawymi plamami niby kwiaty.<sup>29</sup> Kąt komnaty stanowił łazienkę z marmurową wanną. W przyległej do pokoju garderobie białe płaszcze, kapy w barwie granatów i liturgiczne ozdoby były umieszczone na licznych wieszakach.

Gruby Bouville zaraz po wejściu chciał uklęknąć; lecz Ojciec Święty całkiem zwyczajnie posadził go na zielonym fotelu. Zaiste, nie można traktować penitenta z większymi względami. Były szambelan Filipa Pięknego był zarazem oszołomiony i pokrzepiony, bo on, wielki dygnitarz, naprawdę lękał się spowiadać przed najwyższym kapłanem ze wszystkich brudów życia, z całej mętnej szlaki, brzydkich pożądań, podłych postępów, owego mułu, który osadza się w duszy z biegiem dni i lat. A grzechy te Ojciec Święty uważał jakby za błahe albo przynajmniej wchodzące w zakres kompetencji najzwyczajszego księdza. Jednakże Bouville wstając od stołu, nie zauważył spojrzeń, jakie wymienili kardynałowie: Gaucelin Dueze, du Pouget i „biały kardynał”. Ci dobrze znali zwykły fortel papieża Jana: po uczcie spowiedź, która mu służyła, by móc naprawdę sam na sam porozmawiać z ważnym gościem; to zaś pozwalało mu na wyjaśnienie sobie wielu tajemnic Stanu. Któż mógłby się oprzeć tej niespodziewanej łasce, równie pochlebnej jak przerażającej? Wszystko się łączyło, by zmiękczyć sumienie: zaskoczenie, nabożny lęk i ocieżalność po uczcie.

- Główną sprawą dla każdego człowieka - podjął papież - to należycie wypełniać obowiązki wynikające ze stanu, który Bóg nam wyznaczył na tym świecie i w tej dziedzinie grzechy będą najsurowiej policzone. Byliście, synu, szambelanem króla, a za trzech następnych powierzano wam sprawy najwyższej wagi. Czy zawsze pilnie wypełnialiście te

obowiązki?

- Myślę, mój ojczy, Przenajświętszy Ojczy, chciałem powiedzieć, że wywiązywałem się z zadań gorliwie, na miarę mych sił, jako wierny sługa moich suzerenów...

Nagle zamilkł, uprzytamniając sobie, że nie po to tutaj się znalazł, by wygłaszać własne pochwały. Poprawił się i zmienił ton:

- Winienem się oskarżyć, że nie powiodło mi się w pewnych powierzonych mi sprawach, które mogłem być lepiej załatwić... Oto, Przenajświętszy Ojczy, nie zawsze miałem dość lotny umysł i niekiedy za późno dostrzegalem błędy, które popełniłem.

- Powolność umysłu nie jest grzechem. Każdemu z nas to może się przydarzyć i właśnie ona jest przeciwieństwem ducha chytrłości. Lecz w waszych misjach lub w ich następstwie, czy nie popełniliście ciężkich grzechów, jak fałszywe świadectwo... zabójstwo...

Zaprzeczając Bouville potrząsnął w obie strony głową.

Ale małe, szare oczy bez brwi i rzęs, żywo błyszczące i świetliste w pomarszczonej twarzy, uparcie wpatrywały się weń nadal.

- Czy jesteście zupełnie pewni? Oto sposobność, drogi synu, aby całkowicie oczyścić waszą duszę! Nigdy nie złożyliście fałszywego świadectwa? - zapytał papież.

Bouville znów poczuł się nieswojo. Co oznaczało to naleganie? Papuga na drażku wydała ochryply okrzyk i Bouville drgnął.

- Pewna rzecz, prawdę rzekłszy, Przenajświętszy Ojczy, obciąża mi duszę, lecz nie wiem, czy naprawdę jest ona grzechem ani jakim grzechem ją nazwać. Osobiście nie popełniłem zabójstwa, zapewniam was, ale raz nie zdołałem mu zapobiec. Następnie zaś musiałem złożyć fałszywe świadectwo, lecz nie mogłem inaczej postąpić.

- Opowiedzcie mi to, panie hrabio - rzekł papież.

Z kolei on się poprawił:

- Wyznajcie mi tę tajemnicę, która wam tak ciąży, drogi synu!

- Zaiste mi ciąży - rzekł Bouville - a jeszcze bardziej od śmierci mej zacnej małżonki, Małgorzaty, z którą ją dzieliłem. Często sobie powtarzam, że gdybym umarł nikomu jej nie zawierzywszy...

Nagle łzy mu napłynęły do oczu.

- Jak mogłem wcześniej nie pomyśleć, Przenajświętszy Ojczy, aby jej wam nie powierzyć... Mówiłem już, umysł mam często powolny... Stało się to po śmierci króla Ludwika Dziesiątego, najstarszego syna mego władcy, Filipa Pięknego...

Bouville spojrział na papieża i już odczuł jakby ulgę. Nareszcie mógł złożyć z duszy ten ciężar, który dźwigał przez osiem lat. Na pewno najgorsza chwila w jego życiu, a wyrzuty doskwierały mu nieustannie. Dlaczego wcześniej nie przybył wyznać wszystko papieżowi!

Bouville teraz mówił swobodnie. Opowiadał, jak po śmierci Ludwika Kłótliwego, będąc mianowany opiekunem łona królowej Klemencji, on, Bouville, lękał się, by hrabina Mahaut d'Artois nie podjęła zbrodniczego zamachu na królową wraz z dzieckiem naonczas w jej łonie. W tym czasie Dostojny Pan Filip de Poitiers, brat zmarłego króla, walczył o regencję z hrabią de Valois i diukiem Burgundii.

Na to wspomnienie papież Jan XXII na chwilę wzniósł oczy ku malowanym belkom sufitu i zamyślony wyraz przemknął mu po wąskiej twarzy. Znów ujrzał poranek 1316 roku, gdy on sam, będąc w Lyonie, poszedł do Filipa de Poitiers, by oznajmić mu o śmierci brata, Ludwika X, dowiedziawszy się tej nowiny od małego Lombarda Guccia Baglioni...

Bouville przeto lękał się zbrodniczego zamachu ze strony hrabiny d'Artois, nowej zbrodni, bo wiele mówiono, że to ona była sprawczynią zgonu Ludwika Kłótliwego, zadawszy mu truciznę. Miała wszelkie powody, by go nienawidzić, bo odebrał jej hrabstwo. Ale po śmierci Ludwika miała też wszelkie słuszne powody pragnąć, by wstąpił na tron zięć jej, hrabia de Poitiers. Jediną przeszkodą było dziecko w łonie królowej, i oto urodziło się i okazało chłopcem.

- Nieszczęsna królowa Klemencja - wyrzekł papież.

Wybrana matką chrzestną Mahaut d'Artois winna była pokazać baronom malutkiego nowego króla podczas ceremonii prezentacji. Bouville był pewien, a wraz z nim i pani de Bouville, że straszliwa Mahaut zamierza dopuścić się zbrodni i nie zawaha się jej dokonać w czasie prezentacji, która była dla niej jedyną sposobnością, aby mieć w ramionach dzieciątko. Bouville i jego żona postanowili na ten czas skryć królewskie dziecko i zamiast niego podać w ramiona Mahaut synka mamki, tylko o parę dni odeń starszego. Pod uroczystym strojem nikt nie zdoła spostrzec zamiany, ponieważ nikt jeszcze nie widział dziecka królowej Klemencji, nawet i ona ogarnięta wielką gorączką i niemal w agonii.

- A później, Przenajświętszy Ojcze - rzekł Bouville - dziecko podane przeze mnie hrabinie Mahaut, a które przed godziną czuło się doskonale, istotnie zmarło na oczach wszystkich baronów. Właśnie tę małą, niewinną istotkę wydałem na śmierć. A zbrodnia dokonana się tak nagle i tak mną wstrząsnęła, że nie pomyślałem, by natychmiast zawołać: „To dziecko nie jest królem”. A potem było już za późno. Jak wyjaśnić...

Papież, nieco w przód pochylony, splótłszy na szacie dłonie, nie tracił z opowiadania ani słowa.

- Więc tamto dziecko, mały król, co się z nim stało, Bouville? Coście z nim zrobili?

- Żyje, Przenajświętszy Ojcze, istnieje. Moja zmarła żona i ja powierzyliśmy go mamce. Och! Z wielkim trudem. Bo, jak się domyślacie, nieszczęsna znienawidziła nas i jęczała z bólu. Prośbą i groźbami zmusiliśmy ją do przysięgi na Ewangelię, że zachowa przy sobie małego króla jako własne dziecko i nigdy nic nie ujawni komukolwiek bądź, nawet na spowiedzi.

- Och! och!... - westchnął Ojciec Święty.

- Tak więc mały król Jan, jednym słowem prawdziwy król Francji, wychowuje się teraz na zamku w Ile-de-France, nie wiedząc, kim jest, i nikt o tym nie wie, prócz tej kobiety, która uchodzi za jego matkę... i mnie samego.

- A ta kobieta?...

- Jest nią Maria de Cressay, żona młodego Lombarda, Guccia Baglioni.

Teraz wszystko wyjaśniło się papieżowi.

- A Baglioni, czy on nie wie o niczym?



- O niczym, jestem tego pewien, Przenajświętszy Ojcze. Bo dama de Cressay, aby dochować przysięgi, odmówiła spotkania się z nim, tak jak jej nakazaliśmy. Chłopak natychmiast wyjechał do Italii. Myśli, że synek żyje. Niekiedy pyta o niego w listach do wuja, bankiera Tolomei...

- Ależ dlaczego, Bouville, dlaczego nie ujawniliście hrabiny Mahaut, skoro mieliście dowód zbrodni, i to jakże łatwy do przedstawienia?... Gdy myślę - dorzucił papież Jan - że w tymże czasie przysłała do mnie swego kanclerza, abym poparł jej sprawę w sporze z bratankiem Robertem...

Papież nagle pomyślał, że Robert d'Artois, ten hałaśliwy olbrzym, siewca waśni, niewątpliwie zbrodniarz - bo zdawało się pewne, że przyłożył się do morderstwa Małgorzaty Burgundzkiej w Zamku Gaillard - ten straszliwy baron może, zważywszy wszystko, był więcej wart niż jego okrutna stryjna i, gdy walczył z nią, prawdopodobnie nie wszystkie winy leżały po jego stronie. Wilczy świat te monarsze dwory! I w każdym królestwie działa się to samo - czy po to, żeby rządzić tym światem drapiezców, uspokajać ich i prowadzić, Bóg go natchnął, słabego mieszczanina z Cahors, dążeniem do tiary, którą teraz nosi. A ciąży ona niekiedy...

- Zmilczałem, Przenajświętszy Ojcze - podjął Bouville - przede wszystkim za radą mej zmarłej małżonki. Ponieważ przeoczyłem odpowiednią chwilę, by pognać morderczynię, małżonka słusznie mi wyjaśniła, że gdybyśmy ujawnili prawdę, Mahaut zawzięłaby się na małego króla, a także i na nas. Należało pozostawić ją w wierze, iż zbrodnia się udała. Tak więc dziecko mamki pochowano między królami w opactwie Saint-Denis.

Papież rozważał.

- Przeto w następnym roku w procesie wytoczonym hrabinie Mahaut oskarżenia były uzasadnione? - zapytał.

- Oczywiście, oczywiście że tak! Dostojny Pan Robert zdołał schwytać trucicielkę, czarownicę, niejaką Izabelę de Feriennes; dostarczyła ona truciznę dwórcę hrabiny Mahaut, a ta otruła wpierw króla Ludwika, a potem dziecko okazane baronom. Izabelę de Feriennes wraz z synem Janem sprowadzono do Paryża dla złożenia zeznań. Domyślcie się, jak to się przydało Dostojnemu Panu Robertowi! Spisano zeznania i wyraźnie z nich wynikało, że byli dostawcami hrabiny, bo już przedtem dostarczyli jej filtr miłosny, którym się przechwalała, iż za jego pomocą pogodziła córkę Joannę z zięciem, hrabią de Poitiers...

- Magia! Czary! Mogliście upiec hrabinę na stosie - wyszeptał papież.

- Nie w onej chwili, Przenajświętszy Ojcze, nie w onej chwili. Bo hrabia de Poitiers został królem, i wielce osłaniał Panią Mahaut, nawet tak bardzo, że w głębi duszy żywię przekonanie, że działał z nią do spółki, przynajmniej w drugiej zbrodni.

Drobna twarz papieża jeszcze bardziej się skurczyła pod futrzaną czapką. Jan XXII bardzo miłował króla Filipa V, zawdzięczał mu tiarę, i zawsze w pełni z nim się zgadzał we wszystkich sprawach tyczących rządów. Zmartwiły go ostatnie słowa Bouville'a.

- Na jedno i drugie spadła kara Boża - podjął Bouville - ponieważ oboje w tymże roku stracili po jedynym swym męskim potomku. Na oczach

hrabiny zmarł siedemnastoletni syn jedynek. A młody król Filip stracił swojego, który mu się narodził ledwie przed kilku miesiącami, i nie doczekał się już następnego... Ale hrabina potrafiła się bronić przeciw wytoczonemu jej oskarżeniu. Powołała się na błędy w procedurze podjętej przez Parlament, na niski stan oskarżycieli, przedstawiła, że jako par Francji może być sądzona tylko przez Izbę Baronów. Jednakże - mówiła pragnąc triumfu swej niewinności, błaga zięcia... była to piękna scena jawnego fałszu... aby śledztwo toczyło się nadal i dało jej możliwość zniszczenia wrogów. Ponownie przesłuchano czarownicę Feriennes i jej syna, ale już po badaniu. Niepiękną wyglądali z krwią zakrzepłą na całym ciele. Całkiem odwołali poprzednie zeznania, uznając je za kłamliwe, i stwierdzili, że je złożyli pod wpływem pochlebstw, próśb, obietnic, a także gróźb ze strony osób, których nazwiska, wedle protokołu pisarzy, należy na razie zataić. Później król Filip Długi, sam sądził i kazał stawić się wszystkim bliskim, krewnym i wszystkim domownikom zmarłego brata, hrabiom de Valois i d'Evreux, Dostojnemu Panu de Bourbon i Dostojnemu Panu de Chatillon, konetablowi, Panu de Beaumont, marszałkowi dworu, a nawet samej królowej Klemencji i pytał ich pod przysięgą, czy wiedzieli lub sądzili, że król Ludwik i syn jego Jan zmarli w inny sposób, a nie śmiercią naturalną. Ponieważ nie można było przedstawić żadnego dowodu, a posiedzenie sądu było jawne i hrabina Mahaut siedziała obok króla, wszyscy oświadczyli, chociaż wielu wbrew własnemu przekonaniu, że oba zgony były wydarzeniem naturalnym.

- Ale wy osobiście, czy byliście wezwani do stawiennictwa?

Gruby Bouville spuścił głowę.

- Złożyłem fałszywe świadectwo, Przenajświętszy Ojczy - rzekł. - Ale cóż mogłem uczynić, skoro cały dwór, parowie, stryjowie króla, najwierniejsze sługi, nawet królowa-wdowa, stwierdzili pod przysięgą niewinność Pani Mahaut. Mnie by wówczas oskarżono o kłamstwo i plotki i posłano na szubienicę w Montfaucon.

Miał minę tak nieszczęśliwą, tak przygnębiającą i smutną, że nagle na jego tłustej i mięsistej twarzy jakby zamajaczył obraz chłopczyka, jakim był przed pięćdziesięciu laty. Wzbudził w papieżu litość.

- Uspokójcie się, Bouville - rzekł pochylając się i kładąc mu rękę na ramieniu. - Nie wyrzucajcie sobie, żeście źle postąpili, Bóg was postawił przed problemem nieco dla was za ciężkim. Tajemnicę waszą ja biorę na siebie. Przyszłość pokaże, czyście dobrze postąpili! Chcieliście ocalić życie, powierzone wam na skutek piastowanego przez was stanowiska, i je ocaliliście. Ileż innych byście narazili, gdybyście powiedzieli!

- Ach! Przenajświętszy Ojczy, tak, uspokoilem się! - rzekł były szambelan. - Ale mały, ukryty król, co się z nim stanie? Co trzeba z nim zrobić?

- Poczekajcie nic nie zmieniając. Pomyślę o tym i dam wam znać. Idźcie w pokój, Bouville... Zaś Dostojny Pan de Valois ma swoje sto tysięcy liwrów, lecz ani florena więcej. Niech mi da spokój ze swoją krucjatą i pogodzi się z Anglią.

Bouville przyklęknął, z rozczuleniem podniósł do ust rękę papieża, powstał i wycofując się tyłem doszedł do drzwi, bo audiencja wydawała się

zakończona.

Papież przywołał go gestem.

- Synu mój, a rozgrzeszenie? Czy go już nie pragniecie?

Po chwili papież Jan pozostał sam, przebiegał gabinet drobnym, posuwistym kroczkiem. Wiatr znad Rodanu prześlizgiwał się pod drzwiami i jęczał w pięknym, nowym pałacu. W klatce świergotały papużki. Głównie w piecyku dogasały.

Jan XXII rozważał trudny problem, jaki miał rozstrzygnąć, a tyczący i sumienia, i Państwa. Prawdziwy dziedzic francuskiej korony był nieznanym dzieckiem, ukrytym na wiejskim folwarku. Jedynie dwie osoby, lub teraz raczej trzy, o tym wiedziały. Strach zmuszał dwie poprzednie do milczenia. Co należy zrobić, jakie stanowisko zająć, jeśli od narodzenia dziecka już dwóch królów zmieniło się na tronie, dwóch królów uroczyście ukoronowanych, namaszczonych świętymi olejami? Ujawnić sprawę i pogрузić Francję w straszliwy zamęt dynastyczny? Znow posiew wojny!

Inne jeszcze uczucie skłaniało papieża do zachowania milczenia, a uczucie to było związane z pamięcią Filipa Długiego. Tak, Jan XXII bardzo miłował tego młodzieńca i wspomagał go na wszelki możliwy sposób. Był to nawet jedyny monarcha, którego kiedykolwiek podziwiał i wobec którego zachował wdzięczność. Zaćmić jego pamięć oznaczało dla Jana XXII zaćmić również i siebie; bo gdyby nie Filip Długi, to czy on zostałby kiedykolwiek papieżem? A oto Filip okazał się zbrodniarzem, a co najmniej współnikiem zbrodniarki... Ale czy właśnie papież Jan, czy Jakub Dueze, miał pierwszy rzucić kamieniem, on, co swą purpurę i tiarę zawdzięczał tak wielkim matactwom? Ale jeśli i on został zmuszony dopuścić do popełnienia zbrodni, aby wybrano go papieżem... „Panie, Panie, dzięki, żeś mi oszczędził podobnej pokusy. Ale czy to mnie miała być powierzona piecza nad Twoim dziełem?... A jeśli mamka zacznie mówić, co się stanie? Czy można zawierzyć językowi niewiasty? Byłoby dobrze, Panie, gdybyś mnie czasem raczył oświecić! Bouville'a rozgrzeszyłem, lecz ja sam muszę odprawić pokutę!” Osunął się na zieloną poduszkę klęcznika i długo tam trwał ściskając chudymi rękoma małe, pomarszczone czoło.





### III

## Droga do Paryża

Jakże radośnie pod kopytami koni dźwięczała ziemia francuska! Jakąż wesołą melodią skrzypiał żwir i powietrze, które nappełniało pierś, rześkie poranne powietrze, przesnute słońcem, jak cudownie pachniało, jaki śliczny posiadało aromat! Pąki rozwierały się i zielone listeczki, delikatne i stulone, wychylały się aż na środek drogi, aby pogłaskać czoła podróżnych. Trawa na pagórkach i łąkach Ile-de-France była niewątpliwie mniej soczysta i obfita niż w Anglii, lecz dla królowej Izabeli była ta trawa zwiastunką wolności i nadziei.

Grzywa białej klaczy falowała w rytm biegu. Kilka sążni za nią sunęła lektyka unoszona przez dwa muły. Królowa zbyt szczęśliwa i zbyt niecierpliwa, by tkwić zamknięta w tej huśtawce, wołała dosiąść klaczy, mało brakowało, a cwałowałyby po pastwiskach!

Boulogne, gdzie przed piętnastu laty brała ślub, Montreuil Abbeville, Beauvais - oto postoje w podróży. Ostatnią noc spędziła w Maubuisson koło Pontoise, w zamku królewskim, gdzie po raz ostatni widziała swego ojca, Filipa Pięknego. Podróż była jakby pielgrzymką przez własną przeszłość. Zdawało się jej, że cofa się w poprzednie okresy życia, aby dotrzeć do jego początku. Ale czy piętnaście nieszczęśliwych lat można wymazać z pamięci?

- Brat wasz, Karol, na pewno wziąłby ją z powrotem - mówił jadąc obok niej Robert d'Artois - i narzucił nam jako królową, tak wciąż jej żałował i tak okazywał mało chęci, by wybrać nową małżonkę.

O kim mówił Robert? Ach tak! O Blance Burgundzkiej. Mówił o niej z powodu Maubuisson, gdzie przed chwilą poczet złożony z Henryka de Sully, Jana de Roy, hrabiego Kentu, lorda Mortimera, tegoż Roberta d'Artois i całego orszaku możnych panów przybył powitać podróżniczkę. Izabela doświadczała wielkiej radości czując się znów traktowana jako królowa.

- Myślę, że Karol naprawdę doznawał potajemnej rozkoszy, głaszcząc rogi, które mu przyprawiła - ciągnął dalej Robert. - Na nieszczęście, a raczej na szczęście, rok przedtem, nim Karol został królem, słodka Blanka zaszła w ciążę w swoim więzieniu i to z dozorcą!

Olbrzym jechał po lewej, słonecznej stronie, a siedząc na ogromnym, dereszowatym perszeronie rzucał cień na królową. Izabela popędziła klacz usiłując pozostać w blasku. Robert bez przerwy gadał; rozentuzjasmowany spotkaniem usiłował od pierwszych mil nawiązać nić pokrewieństwa i dawnej przyjaźni.

Izabela nie widziała go od jedenastu lat; mało się zmienił. Głos miał ten sam, a także otaczał go ten sam zapach żarłoka, przepadającego za dziczyzną, spocone ruchem ciało wydzielalo tę woń, którą wiatr roznosił w podmuchach. Ręce miał porośnięte rudym włosiem aż po paznokcie,

spojrzenie złośliwe nawet wówczas, gdy sądził, że spogląda z sympatią; brzuch wystawał mu nad pasem, jakby połknął dzwon. Lecz dufność w mowie i ruchach była mniej udana i stała się jego nieodłączną cechą; bruzda okalająca usta wryła się głębiej w tłuszcz.

- A Mahaut, setna łajdaczka ta moja stryjna, musiała w końcu pogodzić się z unieważnieniem małżeństwa córki. Och! Nie bez szamotania się i skarg przed biskupami! Ale w końcu została pognębiona. Brat wasz Karol tym razem się zaciął. Bo nie wybaczył hecy z dozorcą i ciężą. A kiedy ten słabeusz uprze się, nie ruszysz go z miejsca! Podczas procesu unieważniania zadano świadkom setki pytań. Wygrzebano z prochów dyspensę udzieloną przez Klemensa V, która zezwalała Karolowi na poślubienie jednej z krewnych, ale bez wymienienia nazwiska, kto zaś w naszych rodach żeni się z kim innym aniżeli z kuzynką czy siostrzenicą? Wtedy Przewielebny Jan de Marigny bardzo sprytnie przedstawił przeszkodę duchowego pokrewieństwa. Mahaut była chrzestną matką Karola. Oczywiście zapewniała, że nic podobnego, że tylko asystowała przy chrzcie jako kuma.<sup>30</sup> Wtedy stawili się wszyscy; baronowie, pokojowcy, słudzy, księża, śpiewacy, mieszczanie z Creil, gdzie chrzest się odbywał... i wszyscy zgodnie stwierdzili, że właśnie ona trzymała dziecko, a potem podała je Karolowi de Valois, i nie można było się pomylić, ponieważ była najwyższą w kaplicy kobietą i przerastała wszystkich o głowę. Widzicie, co za wierutna łgarka!

Izabela zmuszała się, by słuchać, lecz, w istocie wczuwała się tylko w siebie i niezwykły dotyk, jaki przed chwilą ją wzruszył. Jak te męskie włosy wydały się osobliwe pod palcami!

Królowa podniosła oczy na Rogera Mortimera, który ruchem władczym i naturalnym zajął miejsce po jej prawej stronie, jakby był jej opiekunem i przybocznym rycerzem. Patrzyła na gęste pukle wysuwające się spod czarnego kaptura. Niesłychane, jak te włosy były jedwabiste w dotyku.

Stało się to przypadkowo w pierwszej chwili spotkania. Izabela była zaskoczona widząc Mortimera obok hrabiego Kentu. Oto we Francji buntownik, zbieg, banita Mortimer jechał strzemię w strzemię z bratem króla Anglii i jakby nad nim górował.

Mortimer zaś, zeskoczywszy z konia, rzucił się ku królowej, by ucałować kraj jej sukni; lecz klacz poruszyła się i usta Mortimera przylgnęły do kolana Izabeli. Odruchowo położyła rękę na odsłoniętej głowie odnalezionego przyjaciela. A teraz, gdy kłusowali drogą prążkowaną cieniem gałęzi, dotyk jedwabistych włosów trwał nadal jakby uwięziony w aksamitnej rękawiczce.

- Ale najważniejszy powód unieważnienia związku, prócz tego, że nowożeńcy nie mieli wieku kanonicznego do spółkowania, opierał się na tym, że gdy żeniono Karola, brakowało mu rozeznania, by mógł wyszukać sobie żonę, a także i woli, by przedstawić swoją wybranekę. Był bowiem niezdolny, ograniczony i niedorozwinięty, przeto umowa ślubna nie miała żadnej wartości. *Inhabilis, simplex et imbecillus!*... I wszyscy, począwszy od waszego stryja Valois aż po ostatnią pokojówkę zgodnie stwierdzili pod przysięgą, że takim był w istocie, a najlepszym dowodem było, że zmarła królowa, jego matka, uważała go za takiego głuptasa, że przezwiała

gąsiątkiem! Wybaczcie, kuzynko, że mówię w ten sposób o waszym bracie, ale w końcu takiego króla właśnie mamy. Miły zresztą kompan i urodziwej twarzy, lecz niezbyt bystry. Pojmujecie, że trzeba za niego rządzić. Nie oczekujcie odeń pomocy.

Na lewo od Izabeli toczył się nie milnący potok słów Roberta i unosił jego zwierzęcy zapach. Na prawo królowa czuła spojrzenie Rogera Mortimera spoczywające na niej uporczywie i niepokojąco. Od czasu do czasu unosiła wzrok ku tym oczom barwy krzemienia, twarzy o pięknie rzeźbionych rysach z podbródkiem przedzielonym głęboką bruzdą. Dziwiła się nie przypominając sobie białej blizny pod dolną wargą.

- Czy wciąż jesteście tak czysta; piękna kuzynko? - niespodzianie spytał Robert d'Artois.

Królowa Izabela zarumieniła się i ukradkiem spojrziała na Rogera Mortimera, jakby pytanie w niewytłumaczalny sposób stawiało ją przed nim w stan oskarżenia.

- Byłam zmuszona - odpowiedziała.

- Czy przypominacie sobie nasze spotkanie w Londynie?

Jeszcze mocniej spłonęła pąsem. Po co jej to przypomina? i co pomyśli Mortimer? Chwila zapomnienia się w czasie pożegnania... nawet nie pocałunek, tylko czoło oparte o męską pierś w poszukiwaniu opieki... Czy po jedenastu latach Robert jeszcze o tym pamięta? Pochlebilo jej to, lecz wcale nie wzruszyło. Czy wziął za wyraz pożądania to, co było wyłącznie chwilowym zmieszaniem? Może istotnie tego dnia, lecz wyłącznie tego dnia, gdyby nie była królową, a on tak się nie spieszył, by wyjechać i skompromitować córę Burgundii.

- Jeśli by wam w końcu przyszło na myśl zmienić obyczaje... - rubasznym tonem nalegał Robert. - Myśląc o was zawsze miałem poczucie nie odebranej wiarygodności...

Urwał spotkawszy wzrok Mortimera, wzrok mężczyzny gotowego wyciągnąć miecz z pochwy, gdyby jeszcze choć słówko usłyszał. Królowa dostrzegła to starcie i, aby dodać sobie rezonu, pogłaskała białą grzywę klaczy. Drogi Mortimer! Ile w nim rycerstwa, szlachetności! I jak rozkosznie oddychać francuskim powietrzem, a ta droga, jaka jest piękna w blaskach i cieniach!

Na tłustych policzkach Roberta d'Artois zarysował się ironiczny półuśmiech. Nie ma co marzyć o wiarygodności wedle wyrażenia, jakiego użył i uważał za subtelne. Już był pewien, że lord Mortimer kocha królową Izabelę, a Izabela kocha Mortimera.

„No; niechże się zabawi nasza cna kuzynka - pomyślał - z tym templariuszem.”





## IV

### Król Karol

Prawie kwadrans należało jechać przez miasto, by od bram dotrzeć do pałacu na wyspie Cite. Łzy napłynęły do oczu królowej Izabeli, gdy zsiadła z konia na podwrocu tej rezydencji, którą ongiś budował jej ojciec, a dziś już pokryła lekka patyna czasu.

Gdy u szczytu paradnych schodów otwarły się drzwi, Izabela nie mogła powstrzymać się od oczekiwania, że ujrzy władcze, lodowate, monarsze oblicze Filipa Pięknego. Ileż to razy tak się wpatrywała w ojca, gdy u szczytu schodów gotował się, by zejść do swego miasta.

Młody człowiek, który pojawił się w krótkiej szacie i białych obcisłych pludrach na czele orszaku szambelanów, przypominał trochę wzrostem i rysami wielkiego, zmarłego monarchę, ale jego osoba nie promieniowała ani siłą, ani majestatem. Była zaledwie bladą kopią, jakby gipsową maską zdjętą z posagu. A jednakże... ponieważ cień Króla z Żelaza stał za tą bezduszną postacią i ponieważ uosabiał królestwo Francji, Izabela chciała trzy czy cztery razy przyklęknąć, a za każdym razem brat powstrzymywał ją ręką i mówił:

- Witajcie, słodka siostrze, witajcie.

Zmusiwszy do powstania i wciąż trzymając za rękę, zaprowadził ją do komnaty dość obszernej, gdzie zwykł przebywać, i pytał o szczegóły podróży. Czy dowódca Boulogne aby ją gościł uprzejmie?

Troszczył się czy szambelani czuwają należycie nad bagażem i polecił, aby nie dopuszczono do wywrócenia kufrów.

- Bo tkaniny się pogniotą - wyjaśnił. - Podczas ostatniego objazdu Langwedocji sam widziałem, jak poniszczyła się moja odzież.

Czy kłopotał się o takie drobiazdzki, by ukryć wzruszenie, zmieszanie?

Gdy usiedli, Karol Piękny zapytał:

- Jak się wam powodzi, droga siostrze?

- Nieciekawie, bracie - odparła.

- Jaki jest cel waszej podróży?

Twarz Izabeli przybrała wyraz przykrego zaskoczenia. Czyżby brat o niczym nie wiedział? Robert d'Artois, który wszedł razem ze znaczniejszymi panami z eskorty, spojrzał na nią, jakby chciał powiedzieć: „A nie mówiłem?”

- Bracie, przyjechałam, by uzgodnić z wami traktat, który oba nasze królestwa winny zawrzeć, jeśli chcą przestać wzajem sobie szkodzić.

Karol Piękny chwilę milczał. Zdawał się rozważać. W istocie nie myślał o niczym określonym. Podobnie jak podczas audiencji udzielonych Mortimerowi, podobnie jak w rozmowie z każdym, zadawał pytania i nie zwracał uwagi na odpowiedzi.

- Traktat... - wreszcie wyrzekł. - Dobrze, jestem gotów przyjąć hołd waszego małżonka, Edwarda. Omówicie to ze stryjem Karolem, dałem mu

wszelkie po temu pełnomocnictwa. Czy morze wam nie dokuczyło? Czy wiecie, że nigdy nim nie płynąłem? Co się odczuwa na rozkołysanej wodzie?

Należało odczekać, aż wypowie kilka podobnych banałów, aby móc mu przedstawić biskupa Norwiche, który miał prowadzić rokowania, oraz lorda Cromwella, dowódcę eskorty. Uprzejmie każdego powitał, lecz wyraźnie nikim się nie interesował.

Karol IV na pewno nie był o wiele głupszy niż tysiące jego rówieśników w królestwie, którzy krzywo orali pola, łamali czółenka przy warsztatach tkackich albo rozsypywali w kramikach groch i łój, myląc się w rachunkach. Na nieszczęście był królem mając ku temu nazbyt mało zdolności.

- Przybyłam, bracie - rzekła Izabela - aby także prosić Was o pomoc i oddać się pod Waszą opiekę, bo odebrano mi wszystkie moje dobra, a ostatnio hrabstwo Kornwalii zapisane mi w umowie ślubnej.

- Wyżalicie się przed stryjem Karolem, on dobrze doradzi, a ja, siostrze, zatwierdzą wszystko, co postanowi dla waszego dobra. Zawiodę was do waszych komnat.

Karol IV opuścił zebranych, by pokazać siostrze przygotowane dla niej pokoje, amfiladę pięciu komnat z osobnymi schodami.

- Boczne wejście dla waszej obsługi - uważał za właściwe wyjaśnić.

Zwrócił również uwagę na nowe umeblowanie, arras na ścianach. Troszczył się o wszystko jak dobra gospodyni, pomacał tkaninę na kołdrze, prosił siostrę, by nie wahała się żądać, ile jej trzeba gorących cegieł do ogrzania łóżka. Nie można było okazać więcej troski ani więcej uprzejmości.

- Sprawę pomieszczeń dla waszej świty omówi lord Mortimer z moimi szambelanami. Pragnę, by wszyscy byli należycie traktowani.

Bez szczególnej intencji wypowiedział nazwisko Mortimera, po prostu dlatego, że powtarzano przy nim to imię, ilekroć omawiano sprawy angielskie. Wydawało mu się więc całkiem naturalne, że lord Mortimer zajmie się dworem królowej Anglii. Na pewno zapomniał, że król Edward żądał głowy zbiega.

Nadal kręcił się po apartamencie; wygładził fałdę na zasłonie, sprawdził zasuwę w wewnętrznych okiennicach. A później nagle przystanął, ręce założył na plecach, i pochyliwszy nieco głowę rzekł:

- Nie poszczęściło się nam w małżeństwie, moja siostrze. Myślałam, że Bóg okaże się dla mnie łaskawszy i będę szczęśliwszy z Marią Luksemburską aniżeli z Blanką.

Rzucił okiem na Izabelę, a ona wyczytała, że zachował do niej mglistą urazę za rozgłoszenie złego prowadzenia się jego pierwszej małżonki.

- ...a później śmierć zabrała mi Marię jednocześnie z dziećmi, którego mi szykowała. Teraz zaś skłoniono mnie, bym poślubił naszą kuzynkę d'Evreux, którą za chwilę zobaczycie; miła żona i myślę, że bardzo mnie kocha. Ale pobraliśmy się w ubiegłym lipcu, a oto marzec i żadnych nie ma oznak, aby była w ciąży. Wypada mi opowiedzieć wam o sprawach, o jakich mogę rozmawiać tylko z siostrą... wyście miały jednak czworo dzieci z tym niecnym małżonkiem, który nie lubi waszej płci. Ja



zaś z mymi trzema żonami... Jednakże zapewniam was, że moją powinność małżeńską wypełniam wcale często i z należyłą przyjemnością. No więc, moja siostrze? Czy wierzycie w to przekleństwo, o którym mówi lud, że ciąży nad naszym rodem?

Izabela patrzyła nań przygnębiona. Nagle stał się wzruszający z tymi wątpliwościami, które mu dręczyły duszę i zapewne stanowiły nieustanną troskę. Ale najskromniejszy ogrodnik nie wypowiadałby się inaczej, jęcząc nad swym nędznym losem i bezpłodnością żony. Czego pragnął ten biedny król? Następcy tronu czy dziecka przy domowym ognisku?

A również jakie cechy królewskie posiadała ta Joanna d'Evreux, która po kilku chwilach przysłała powitać Izabelę? Twarz dość miękka, wyraz uległy, z pokorą wypełniała obowiązki trzeciej małżonki, wziętej z najbliższej rodziny, ponieważ Francja potrzebowała królowej. Była smutna. Nieustannie śledziła na twarzy męża dobrze sobie znany wyraz obsesji, która była na pewno jedynym tematem ich nocnych rozmów.

Prawdziwego króla ujrzała Izabela w Karolu de Valois. Natychmiast przybiegł do pałacu, gdy się dowiedział o jej przybyciu, wziął ją w ramiona, wycałował policzki. Izabela wnet pojęła, że władza spoczywa w tych rękach, a nie gdzie indziej.

Na wieczerzy wokół monarszej pary zebrali się hrabiowie de Valois i d'Artois wraz z małżonkami, hrabia Kentu, biskup Norwiche, lord Mortimer. Posiłek trwał krótko, bowiem król Karol Piękny lubił wcześniej udawać się na spoczynek...

Następnie wszyscy Anglicy zebrali się na rozmowę w apartamencie królowej Izabeli. Gdy już odeszli, Mortimer ostatni stanął na progu. Izabela go zatrzymała, jak rzekła, na chwilę; miała mu przekazać pewną wiadomość:





## V

### Krwawy krzyż

Zatracili świadomość czasu. Słodkie wino przesycone zapachem rozmarynu, róży i granatu wyczerpało się w kryształowym dzbanie przeszło o połowę. W kominie rozpadały się główne.

Nawet nie słyszeli dalekich okrzyków straży, które co godzina przecinały noc. Nie mogli powstrzymać potoku słów, zwłaszcza królowa, która od wielu lat po raz pierwszy nie bała się, że szpieg ukryty za kotarą doniesie najmniejsze słówko. Nie potrafiłaby rzec, czy kiedykolwiek zdarzyło się jej zwierzać tak swobodnie. Jakby zapamiętała się w wolności. Ale nigdy nie spotkała mężczyzny, który słuchałby z większym zainteresowaniem, trafniej odpowiadał i z uwagą bardziej serdeczną. Mimo że mieli przed sobą wiele, wiele dni, by do woli ze sobą rozmawiać, nie mogli zdobyć się na przerwanie orgii zwierzeń. Musieli wszystko sobie opowiedzieć o stanie obu królestw, traktacie pokojowym, listach papieża i wspólnych wrogach; a Mortimer opowiadał o swym więzieniu, ucieczce i wygnańczej doli; królowa zaś zwierzała się z udreki i poniżeń, jakie przeżyła.

Izabela zamierzała pozostać we Francji, aż do przyjazdu Edwarda na hold; tak jej doradził biskup Orleton, z którym potajemnie spotkała się między Londynem a Dover.

- Nie możecie, Miłościwa Pani, wracać do Anglii, zanim nie przepędzi się Despenserów. Nie możecie i nie powinnyście.

- Cel ich był wyraźny, skoro w ciągu ostatnich miesięcy tak mnie okrutnie dręczyli. Oczekiwali, że się zbuntuję i popełnię jakieś szaleństwo, żeby mnie zamknąć w jakimś klasztorze lub dalekim zamku, jak zrobili z waszą małżonką.

- Biedna, droga Joanna - powiedział Mortimer. - Wiele za mnie wycierpiała.

I dołożył polano do ogniska.

- Jej to zawdzięczam, iż poznałam, jakim jesteście człowiekiem - podjęła Izabela. - Przez wiele nocy kazałam jej sypiać u mego boku, bo tak się bałam, by mnie nie zamordowano. Ona zaś mówiła mi o was, wciąż o was... Tym sposobem dowiedziałam się o przygotowaniach do waszej ucieczki i mogłam się do nich przyłożyć. Znam was lepiej, niż myślicie, lordzie Mortimerze.

Nastała między nimi chwila jakby oczekiwania, a po trosze i konfuzji. Mortimer siedział pochylony w stronę kominka, odblask ognia oświetlał mu głęboko rozdzielony podbródek i gęste brwi.

- Gdyby nie ta wojna w Akwitanii - ciągnęła królowa - gdyby nie listy papieża i to poselstwo do mego brata, jestem pewna, że spotkałoby mnie nieszczęście.

- Wiedziałem, Miłościwa Pani, że to jedyny sposób. Wierzcie, wcale nie

sprawiła mi radości ta wojna wszczęta z królestwem. Jeśli zgodziłem się brać w niej udział i przybrać pozory zdrajcy... bo co innego bunt w obronie własnych praw, a co innego przejście do wrogiego obozu...

Ciążyła mu na sercu wojna w Akwitanii i chciał się z niej w pełni rozgrzeszyć.

- ... to dlatego, że nie miałem nadziei w inny sposób was uwolnić, jak tylko osłabiając króla Edwarda. Wasz przyjazd do Francji to także mój pomysł i pracowałem nad nim niestrudzenie, aż jesteście tutaj.

Głos Mortimera drżał głębokim wzruszeniem: Izabela przymknęła powieki. Ręka jej odruchowo poprawiła jeden z jasnych warkoczy okalających twarz niby uchwyty amfory.

- Co to za rana na wardze, nie pamiętam jej? - zapytała.

- Dar waszego małżonka, Miłościwa Pani, cios cepem, jaki mi zadali jego zwolennicy, obaliwszy mnie w zbroi pod Shrewsbury, gdzie miałem nieszczęście się znaleźć. A nieszczęście, Miłościwa Pani, nie tyle ze względu na mnie, groźbę śmierci i przebyte więzienie, ile że nie udało mi się przynieść wam głów Despenserów w wyniku walki za was stoczonej.

Nie była to całkowita prawda; ocalenie własnych posiadłości i przywilejów zaważyło przynajmniej tyleż na wojennych planach barona na Marchiach, ile służba dla królowej. Ale w danej chwili był szczerze przekonany, że działał w jej obronie. Izabela również w to wierzyła; tak bardzo pragnęła uwierzyć! Tyle miała nadziei, że pewnego dnia pojawi się szermierz jej sprawy! I oto szermierz stał przed nią z wielką, chudą dłonią na mieczu i blizną na twarzy, niewielkim, lecz trwałym śladem po ranie. W swym czarnym stroju zdawał się wyłaniać wprost z rycerskiego romansu.

- Czy przypominacie sobie, przyjacielu Mortimerze... czy przypominacie sobie powieść o rycerzu Graelencie?

Zmarszczył gęste brwi. Graelent?... Nazwisko kiedyś słyszał, lecz historii sobie nie przypominał.

- Maria z Francji pisze o nim w swej książce, skradzionej mi jak i reszta - podjęła Izabela. - Graelent był rycerzem tak mężnym, tak cudownie wiernym, a jego imię było tak sławne, że królowa z owych czasów zakochała się w nim nie znając go wcale; i zawezwawszy w pierwszych słowach oświadczyła, skoro się przed nią pojawił: „Przyjacielu Graelencie, - nigdy nie kochałam mego małżonka, ale was kocham, tak jak tylko można kochać, i do was należę”.

Zadziwiła się własną śmiałością, a także pamięcią, która podsunęła słowa tak w sam raz wypowiedające jej uczucia. Przez kilka sekund głos zdawał się dźwięczeć nadal w jej własnych uszach. Oczekiwała, trwożna i wzruszona, zmieszana i namiętna, odpowiedzi nowego Graelenta.

„Czy teraz mogę wyznać, że ją kocham?” - rozważał Roger Mortimer, jakby to nie była jedyna rzecz do powiedzenia. Ale istnieją szranki, gdzie mężczyźni, najodważniejsi w bitwie, są osobliwie niezdarni.

- Czy kochałyście kiedykolwiek króla Edwarda? - odpowiedział pytaniem.

Oboje poczuli się jednakowo rozczarowani. Czy było niezbędne w tej chwili wspominać króla Edwarda? Królowa wyprostowała się nieco na krześle.

- Myślałam, że go kocham - powiedziała. - Zmuszałam się do miłości wedle wpojonych mi uczuć, lecz wkrótce poznałam, z jakim człowiekiem mnie połączono! Teraz go nienawidzę, i tak wielką nienawiścią, że może zagasnąć tylko wraz ze mną... albo z nim. Czy wiecie, że w ciągu długich lat sądziłam, iż oddalenie się ode mnie Edwarda wynika z jakiejś wady mej natury? Czy wiecie, jeśli wszystko muszę wam wyznać... małżonka wasza zresztą dobrze o tym wie... że gdy ostatnio zmuszał się do odwiedzania mego posłania - wtedy, gdy została poczęta nasza najmłodsza córka - żądał, by Hugo Młodszy towarzyszył mu aż do mego łóża; i mizdrzył się, pieścił z nim, zanim mógł dopełnić powinności małżeńskiej, mówiąc, że powinnam tak samo kochać Hugona jak i jego, ponieważ tak są mocno ze sobą zespoleni, iż tworzą jedność. Wtedy właśnie zagroziłam, że napiszę o tym do papieża...

Mortimer poczerwieniał z wściekłości. Zostały w nim jednakowo urażone i honor, i miłość. Edward nie był godny nosić koronę. Kiedy wreszcie zakrzyknie się do wasali: „Wiedźcie, kim jest wasz suzeren, i cofnijcie wasze przysięgi!” Czy nie raziła niesprawiedliwość, skoro świat liczył tyle niewiernych żon, iż nikczemny mężczyzna poślubił kobietę tak wielkiej cnoty? Czy nie zasługiwał, aby oddała się pierwszemu lepszemu i go zhańbiła? Ale czy była całkowicie wierna? Czy jakaś potajemna miłość nie nawiedziła jej w tak okropnej samotności?

- I nigdy nie objęły was inne ramiona? - zapytał głosem już zazdrosnym, który się tak podoba kobietom w początkach miłości, a staje się tak nużący pod koniec romansu.

- Przenigdy - odparła.

- Nawet waszego kuzyna Roberta d'Artois, który dziś rano zdawał się bardzo szczerze okazywać, że jest w was zakochany?

Wzruszyła ramionami.

- Znacie kuzyna d'Artois; każda zwierzyzna jest dlań dobra. Królowa czy gamratka, wszystko mu jedno. Kiedyś, dawno w Westmoustiers, gdy się mu zwierzałam z mego osamotnienia, ofiarował się mnie pocieszyć. To wszystko. Nie słyszeliście zresztą: „Czy wciąż jesteście tak czysta, piękna kuzynko?” Nie, miły Mortimerze, serce moje jest rozpaczliwie puste... i bardzo tym znużone.

- Ach! Dlaczego, Miłościwa Pani, już dawno nie ośmieliłem się wam powiedzieć, że jesteście jedyną panią mych myśli! - zawołał Mortimer.

- Czy naprawdę, słodki przyjacielu? Od jak dawna?

- Myślę, Miłościwa Pani, że od pierwszej chwili, gdy was zobaczyłem. Ale uprzytomniłem sobie dopiero onego dnia w Windsorze, gdy łzy wam napłynęły do oczu z powodu jakiejś obelgi króla Edwarda... Muszę wam powiedzieć, że w więzieniu nie było ani dnia, ani godziny, ażebym o was nie myślał, a pierwszym moim pytaniem po wyrwaniu się z Tower...

- Wiem, przyjacielu Rogerze, wiem; biskup Orleton o tym mi powiedział. I radowałam się, kiedy mogłam dołożyć z własnej szkatuły do waszego uwolnienia; nie z powodu złota, które jest niczym, lecz z powodu ryzyka, które było wielkie. Wasza ucieczka wzmogła moje udreki...

Skłonił się bardzo nisko, prawie przyklęknął, by wyrazić swą wdzięczność.

- Czy wiecie, Miłościwa Pani - podjął jeszcze głębszym głosem - że kiedy wylądowałem we Francji, ślubowałem nosić wyłącznie czarny strój, dopóki nie znajdę się w Anglii... i nie tknąć żadnej kobiety, póki was nie uwolnię?

Dostosowywał trochę formułę ślubu i ją łączyć królową z królestwem. Lecz dla Izabeli coraz bardziej spokrewniał się z Graelentem, Parsifalem, Lancelotem...

- I dotrzyмалиście ślubu? - zapytała.

- Czy wątpicie?

Podziękowała mu uśmiechem, mgłą, która zwilżyła jej wielkie, błękitne oczy i wyciągniętą ręką, delikatną ręką, co jak ptak spoczęła w dłoni wielkiego barona. Później palce ich rozchyliły się, objęły, skrzyżowały...

- Czy sądzicie, że mamy prawo? - spytała po chwili milczenia. - Ślubowałam dochować wiary małżonkowi, choćby najniecieńszemu. A wy, z waszej strony, macie małżonkę bez skazy. Złączyliśmy się więzami przed Bogiem. A ja byłam zawsze taka surowa wobec grzechów bliźnich...

Czy starała się bronić przed sobą, czy też chciała, aby na siebie wziął ten grzech?

Siedział, lecz teraz powstał.

- Ani wy, ani ja, moja królowo, nie zawarliśmy małżeństwa z własnej woli. Złożyliśmy przysięgę, ale nie myśmy wybierali. Usłuchaliśmy decyzji naszych rodzin, a nie woli naszych serc. Dla dusz takich, jak nasze...

Zawahał się. Miłość, która obawia się ujawnić, pcha do dziwacznych czynów; żąda sięga wysokich kręgów, by wreszcie dojść swych praw. Mortimer stał przed Izabelą, a ręce ich były nadal złączone.

- Czy chcecie, moja królowo - podjął - abyśmy się pobratali? Czy zgodzicie się na wymianę krwi, abym na zawsze był waszą podporą, a wy na zawsze moją panią?

Głos mu drżał niespodziewanym, przemożnym natchnieniem, jakie go ogarnęło; dreszcz wstrząsnął ramionami Izabeli. Bo w tym, o co prosił, były czary i wiara, i namiętność, wszystkie rzeczy boskie i diabelskie, rycerskie i zmysłowe razem zmieszane. Była to więź krwi braci w broni, a także legendarnych kochanków, więź templariuszy przywieziona ze Wschodu podczas wypraw krzyżowych, a także więź miłosna łącząca nieszczęśliwą małżonkę z wybranym przez nią kochankiem, a zawierana niekiedy w obecności małżonka, pod warunkiem, że pozostanie czysta... lub w wierze, że takową pozostanie. Była to przysięga złożona ciałem, potężniejsza niż słowna, nie można jej było złamać, cofnąć ani unieważnić. Obie istoty ludzkie, które ją wypowiadały, łączyły się ze sobą mocniej niż bliźnięta; co posiadało jedno, stawało się własnością drugiego, winni byli wzajem się chronić i nie mogli wzajem siebie przeżyć. „Muszą być ze sobą pobratani...” Szeptano o niektórych parach z dreszczykiem zarazem lęku i zawiści.<sup>31</sup>

- Czy mogę wszystkiego od was żądać? - cichutko spytała Izabela.

Odpowiedział przymknięciem powiek.

- Oddaję się wam - rzekł. - Możecie wszystkiego ode mnie żądać, a dać mi jedynie to, co wam się spodoba. Miłość moja będzie taka, jaką wy

zapragnięcie: Mogę położyć się nagi przy was obnażonej i nie tknąć was, jeśli mi tego zabronicie.

Nie była to prawdziwa treść ich pożądań, lecz jakby rytuał honorowy, jaki winni byli dopełnić wobec siebie, zgodnie z rycerską tradycją. Kochanek zobowiązywał się dowieść mocy swego ducha i ogromu szacunku. Wystawiał się na „dworną próbę”, a czas jej trwania powierzał decyzji kochanki, od niej zależało, czy będzie trwała wiecznie, czy też natychmiast zostanie przerwana.

- Czy zgadzacie się, moja królowo? - rzekł.

Z kolei ona odparła przymykając powieki.

- W palec? w czoło? w serce? - zapytał Mortimer.

Mogli ukłuć się w palce, wytoczyć krew do kielicha i zmieszawszy ją kolejno wypić. Mogli naciąć czoło u nasady włosów i przyłgnąwszy czołem o czoło, wymienić myśli.

- W serce - odparła Izabela.

Była to odpowiedź, której pragnął.

Kogut zapał w pobliżu, a jego krzyk przeciął milczącą noc. Izabela pomyślała, że dzień, który się narodzi, będzie pierwszym dniem wiosny.

Roger Mortimer rozpiął szatę, zrzucił ją na ziemię, zerwał koszulę. Przed oczami Izabeli pojawił się z obnażoną, potężną piersią.

Królowa rozwiązała stanik, zręcznym ruchem ramion wyswobodziła z rękawów delikatne, białe ręce i obnażyła piersi zakończone różową jagódką, której nie naruszyły cztery macierzyństwa, gest wykonała dumnie, niemal wyzywająco.

Mortimer wy dobył zza pasa sztylet. Izabela wyciągnęła zakończoną perłą długą szpilę, która przytrzymywała jej warkocze i uchwyty amfory opadły łagodnie. Nie odrywając oczu od oczu królowej, Mortimer pewną ręką naciął skórę; krew popłynęła czerwoną strużką przez lekkie kasztanowate runo. Izabela wykonała szpilą podobny ruch u nasady lewej piersi, i krew zaperliła się niby sok owocu. Lęk przed bólem, bardziej niż sam ból, zacisnął na chwilę jej usta. Później postąpiła o krok, dzielący ją od Mortimera, i oparła się piersią o szeroki tors przecięty szkarłatną bruzdą, wznosząc się na palcach, aby obie rany do siebie przyłgnęły. Każde z nich uczuło dotyk ciała, do którego zbliżyło się po raz pierwszy, i ciepłą krew, już wspólną dla nich obojga.

- Przyjacielu - rzekła - oddaję wam moje serce i biorę wasze w zamian, aby mnie ożywiało.

- Przyjaciółko - odparł - przyjmuję je z przyrzeczeniem, że zachowam je zamiast mojego.

Nie odrywali się od siebie, przedłużając w nieskończoność ów dziwny pocałunek warg, które dobrowolnie otworzyli na własnych piersiach. Serca ich były sobie nawzajem tym samym rytmem, szybkim i gwałtownym. Trzy lata czystości u niego, a u niej piętnaście lat oczekiwania na miłość...

- Uściskaj mnie mocno, przyjacielu - jeszcze wyszeptała.

Podniosła usta ku białej bliźnie okalającej dolną wargę Mortimera, a jej drobne, krwiożercze ząbki rozchyliły się, aby ugryźć.

Angielski rebeliant, zbieg z londyńskiej wieży, możny pan na Marchiach

walijskich, były Wielki Sędzia Irlandii, lord Mortimer na Wigmore, od dwóch godzin kochanek królowej Izabeli, pełen chwały i u szczytu szczęścia, z głową pełną marzeń odszedł bocznymi schodami.

Królowa nie chciała spać. Może później ogarnie ją zmęczenie; na razie stała olśniona, oszołomiona, jakby kometa nadal w niej wirowała. Zatraciwszy się we wdzięczności, wpatrywała się w zburzone łoże. Rozkoszowała się szczęściem dotąd nie znanym. Nigdy sobie nie wyobrażała, że można rozgniatać usta o ramię, aby zdławić krzyk. Stała przy oknie odsunawszy malowane okiennice. Nad Paryżem wstawał świt, mglisty i czarodziejski. Czy naprawdę Izabela przybyła wczoraj wieczorem? Czy istniała aż po tę noc? Czy to było to samo miasto, które знаła w dzieciństwie? Świat dla niej rodził się na nowo.

Szara Sekwana płynęła u stóp pałacu, a tam, na drugim brzegu, wznosiła się stara wieża Nesle. Nagle Izabela przypomniała sobie bratową, Małgorzatę Burgundzką. Ogarnął ją wielki lęk: „Co ja wtedy zrobiłam? - pomyślała. - Cóżem zrobiła?... Gdybym wiedziała!”

Wszystkie zakochane kobiety na całym świecie i od początku czasów jawiły się jej niby siostry, wybranki losu... „Miałam rozkosz, która jest warta wszystkich koron świata i nic nie żałuję...” Ileż to razy nic nie pojmując powtarzała Izabela te słowa, ten okrzyk, jaki rzuciła jej, po sądzie w Maubuisson, dziś już nieżyjąca Małgorzata! A dziś rano, gdy nastąpiła, objawiła się nowa wiosna, siła mężczyzny, radość brania i oddawania się - nareszcie zrozumiała! „Dziś na pewno bym jej nie ujawniła!” I nagle za ten ongiś dokonany czyn, wypływający ze sprawiedliwości królewskiej, odczuła nagle wstyd i wyrzuty niby za jedyny grzech, który kiedykolwiek popełniła.





## VI

# Ów piękny rok 1325

**K**rólowa Izabela przeżywała wiosnę 1325 roku niby czarodziejską bajkę. Zachwycaly ją słoneczne ranki, gdy w mieście skrzyły się dachy; tysiące ptaków świergotało w ogrodach; dzwony wszystkich kościołów, wszystkich klasztorów i domów zakonnych aż po wielki dzwon katedry Notre-Dame zdawały się wydzwaniać godziny szczęścia. Pod rozgwieżdżonym niebem bzem pachniały noce.

Każdy dzień składał swą daninę radości: zapasy, uroczystości, wyjazdy na wieś i łowy. Stolica kwitła bogactwem, ogarnięta żądzą zabawy. Nie szczędzono pieniędzy na ludowe festyny, mimo że budżet Państwa wykazał w ostatnim roku trzynaście tysięcy sześćset liwrów deficytu, lecz wszyscy zgodnie przyznawali, że był on wynikiem wojny w Akwitanii. Aby zapewnić sobie dochody, ukarano biskupów z Rouen, Langres i Lisieux grzywną w wysokości dwunastu, piętnastu i pięćdziesięciu tysięcy liwrów za przemoc wywieraną na kapitułach czy ludziach królewskich; bogactwa zbyt władczych prałatów pokryły niedobór spowodowany wojną. Następnie zaś wezwano Lombardów, aby raz jeszcze wykupili prawa mieszczańskie.

Tym sposobem kwitł przepych na dworze; każdy pospieszał na zabawy, już od pierwszej chwili odczuwając radość wystawiania się na pokaz. Wzorem szlachty postępowało mieszczaństwo, a nawet pospólstwo; każdy wydawał coś niecoś ponad swe możliwości, by zdobyć jedynie uciechę, iż żyje. Bywają takie lata, gdy los zdaje się uśmiechać: odpoczynek, przerwa w znojnym czasie... Sprzedaje się i kupuje to, co zwie się zbytkiem, jakby zbytkiem było stroić się, uwodzić, zdobywać, przywłaszczać sobie prawo do miłości, smakować rzadkie potrawy, będące owocem ludzkiej przemyślności, korzystać z wszystkiego czym Opatrzność i przyroda obdarzyły człowieka, aby mógł się rozkoszować swą wyjątkową sytuacją we wszechświecie.

Zapewne, uskarżano się, lecz nie na prawdziwą nędzę, ale raczej że nie można zadowolić wszystkich pragnień. Uskarżali się ludzie, że są ubożsi niż najbogatsi, że nie tyle posiadają, ile ci, co mają wszystko. Wiosna była wyjątkowo pogodna, handel rozwijał się wspaniale. Zaniechano krucjaty, nie mówiło się o poborze do wojska ani o obniżeniu kursu liwra w stosunku do grzywny karolińskiej; na ścisłej Radzie rozważano, jak zapobiec zubożeniu rzek, zaś rybacy z wędką siedzieli sznurem po obu brzegach Sekwany, wygrzewając się w łagodnym majowym słońcu.

Powietrze owej wiosny było przesycone miłością. Więcej niż od szeregu lat zawarto małżeństw, a także poczęto więcej nieślubnych dzieci. Dziewczęta były roześmiane i wielbione, chłopcy przedsiębiorczy i pyszałkowaci. Podróżni nie mieli oczu dość wielkich, by obejrzeć w mieście wszystkie cuda, ani gardeł dość głębokich, by delektować się



winem nalewanym w oberżach, ani nocy dość długich, by wyczerpać wszystkie ofiarowywane im rozkosze.

Ach! jakże się będzie wspominało ową wiosnę! Oczywiście, ludzie chorowali, przywdziewali żalobę, matki zanosły na cmentarz niemowlęta; istnieli paralitycy, zdradzani mężowie utyskujący na rozwiązłe obyczaje; okradani kramarze oskarżali sprzedawców o brak nadzoru, pożary pozbawiały rodziny dachu nad głową, zdarzały się zbrodnie; lecz winnym tych klęsk był wyłącznie los, nie zaś król czy jego Rada.

Zaprawdę, należało uważać za dobrodziejstwo, że się żyło w roku 1325, będąc młodym albo w sile wieku, albo po prostu ciesząc się zdrowiem. Byłoby ciężką głupotą należycie go nie doceniać i nie dziękować Bogu za wszystko, czym obdarzał. O ileż bardziej delectowałby się paryski lud ową wiosną 1325 roku, gdyby mógł przewidzieć, jaka czeka go przyszłość. Prawdziwie czarodziejska bajka, a gdy się o niej będzie opowiadało, z trudem uwierzą w nią dzieci, poczęte w ciągu tych miesięcy, na prześcieradłach pachnących lawendą. Tysiąc trzysta dwadzieścia pięć! Złote lata! I jak niewiele potrzeba było, aby zaliczono je do „dawnych, dobrych czasów”.

A królowa Izabela? Królowa Izabela zdawała się uosabiać wszystkie blaski i radości. Odwracano się, gdy przechodziła, nie tylko dlatego, że była monarchinią Anglii, nie tylko dlatego, że była córą wielkiego króla - którego finansowe dekryty, stosy i straszliwe procesy już poszły w niepamięć, a wspomniano tylko jego mądre zarządzenia - lecz także dlatego, że była piękna i zdawała się u szczytu szczęścia.

Wśród ludu mówiono, że godniej nosiłaby koronę niż brat jej Karol Piękniś, bardzo miły książę, lecz bardzo pocieszny, i rozważano, czy słuszne prawo wydał Filip Długi, usuwając kobiety od tronu. Głupcy z tych Anglików, skoro przyczyniają tyłu trosk tak miłej królowej.

Izabela w trzydziestym trzecim roku życia promieniała blaskiem, z którym nie mogła współzawodniczyć żadna dziewczuszka, choćby najświeższa. Najsłynniejsze we Francji młode piękności zdawały się kryć w cień, gdy zbliżała się królowa Izabela. I wszystkie panny marząc, by się do niej upodobnić, brały ją sobie za wzór, unosiły w górę warkocze, naśladowały suknie, ruchy, spojrzenie i uśmiech.

Zakochana kobieta wyróżnia się chodem, a nawet grzbietem; ramiona, biodra, krok Izabeli tchnęły szczęściem. Prawie zawsze towarzyszył jej lord Mortimer, który po przybyciu królowej nagle zdobył sobie miasto. Ludzie, którzy w ubiegłym roku mniemali, iż jest posepny, pyszałkowaty, nieco za dumny jak na zbiega, a w cnocie jego upatrywali wyrzut, ci sami ludzie ujrzeli w Mortimerze człowieka o wielkich zaletach charakteru ogromnym uroku i ze wszech miar godnego uwielbienia. Przestali uważać za ponury jego czarny strój, ozdobiony tylko kilku srebrnymi agrafami, widząc w nim natomiast ostentacyjną wytworność człowieka w żalobie po utracie ojczyzny.

Nie piastował on żadnego oficjalnego urzędu przy królowej, byłoby to bowiem zbyt jawną prowokacją wobec króla Edwarda, ale w istocie rzeczy Mortimer prowadził rokowania. Biskup Norwiche ulegał jego wpływowi; Jan Cromwell nie omieszkał oświadczać, iż wyrządzono krzywdę baronowi

na Wigmore, król zaś okazał się niezbyt roztropny odstręczając od siebie możnego pana takich zasług; hrabia Kentu zaprzyjaźnił się na dobre z Mortimerem i nie podejmował niczego bez jego rady.

Wiadomo było i weszło w zwyczaj, że po wieczerzy Mortimer pozostawał u królowej, która, wedle jej słów, prosiła go o radę. I co noc wychodząc z apartamentów Izabeli, Mortimer potrzasał za ramię Ogle'a, byłego balwierza z londyńskiej wieży, obecnie awansowanego na pokojowca, który oczekiwał go drżąc na skrzyni. Wymijali pacholków śpiących w korytarzu na flizach, a ci nawet nie uchylali poły płaszczy okrywających ich głowy, tak byli bowiem przyzwyczajeni do tych kroków.

Wdychając zwycięską pierś rześkie, poranne powietrze, Mortimer powracał do swego mieszkania na Saint-Germain-des-Pres, gdzie witał go jasnowłosa różowy i uprzejmy Alspaye, którego on uważał... naiwni kochankowie!... za jedyne powiernika swego romansu z królową.

Było obecnie pewne, że królowa nie wróci do Anglii, zanim on nie będzie mógł powrócić. Zaprzysiężona między nimi więź, z dnia na dzień, z nocy na noc, stawała się ściślejsza i mocniejsza, zaś biała kreseczka na piersi Izabeli, którą całował jakby w rytuale, zanim opuszczał królową, była widowym śladem wymiany ich woli.

Choćby kobieta była królową; kochanek zawsze będzie jej władcą. Izabela Angielska zdolna samotnie stawić czoło małżeńskim sporom, zdradom króla, nienawiści całego dworu, długo drżała, gdy Mortimer kładł rękę na jej ramieniu, czuła, że serce topnieje, gdy oddalał się z jej komnaty, i zanosila świece do kościołów, aby dziękować Bogu, że obdarzył ją tak cudownym grzechem. Gdy Mortimer chociażby na godzinę ją opuszczał, usadawiała go w myśli przed sobą w najpiękniejszym fotelu i przemawiała doń cichutko. Co rano, gdy się budziła, zanim wezwała służki, wślizgiwała się w łóżko na miejsce, które przed chwilą opuścił kochanek. Pewna matrona nauczyła ją niektórych sekretów bardzo przydatnych damom, poszukującym rozkoszy poza małżeństwem. W kołach zaś dworskich szeptano - nie widząc w tym ujmy, lecz zda się słuszne wyrównanie losu - że królowa Izabela przebywa w krainie miłości, jakby się mówiło, że znajduje się na polu, albo raczej - w rajku!

Rokowania pokojowe celowo przeciągano, aż wreszcie 31 maja Izabela wraz z bratem podpisali traktat za milczącym przyzwoleniem Edwarda, który odzyskiwał swe posiadłości akwitańskie, lecz okrojone o Bazadais i Agenais, to jest okolice okupowane w ubiegłym roku przez armię francuską; poza tym winien był wpłacić sześćdziesiąt tysięcy liwrów... W tym punkcie Valois okazał się niezłomny. Jednakże potrzebna była aż interwencja papieża, aby dojść do zgody uzależnionej nadal od postawionego warunku: Edward przybędzie złożyć hołd, co w nim wyraźnie budziło sprzeciw, nie tyle nawet ze względu na własną godność, ile z racji swego bezpieczeństwa. Postanowiono więc uciec się do wybiegu, który zdawał się wszystkim zadowalać. Wyznaczy się datę na ów sławetny hołd; po czym w ostatniej chwili Edward uda chorego, co będzie zresztą niezupełnym kłamstwem - skoro bowiem mówiono teraz o lądowaniu we Francji, ogarniały go niepokojące dolegliwości, bladł, czuł, że serce przestaje mu bić, i ciężko dysząc musiał kłaść się do łóżka na całą godzinę.

Przekáže tedy najstarszemu synowi, następcy tronu, Edwardowi tytuły i posiadłości diuka Akwitanii i wyśle zamiast siebie, aby złożył przysięgę.

Każdy uważał, że wygrywa na tej zamianie. Edward uchylał się od przymusowej, groźnej dlań podróży, Despenserowie unikali ryzyka, iż utracą władzę nad królem. Izabela spotka się z ukochanym synem, nad rozłąką z którym cierpiała. Mortimer przewidywał, jaką ogromną pomocą w jego przyszłych planach będzie obecność księcia następcy tronu w stronnictwie królowej.

Stronnictwo to nieustannie wzrastało, nawet we Francji. Król Edward dziwił się, że kilku z jego baronów uważało za niezbędne odwiedzić pod koniec wiosny swe francuskie dobra, a jeszcze bardziej zaniepokoił się, iż żaden z nich nie powrócił. Z drugiej strony Despenserowie oczywiście nie omieszkali utrzymywać w Paryżu kilku szpiegów, którzy informowali Edwarda o postawie hrabiego Kentu, obecności Maltraversa przy Mortimerze, o całej opozycji, która na francuskim dworze skupiała się wokół królowej. Oficjalnie korespondencję między małżonkami cechowała nadal uprzejmość; Izabela w długich listach, w których wyjaśniała powolność rokowań, zwała Edwarda „słodkim sercem”. Lecz Edward wydał rozkaz admirałom i szeryfom w portach, aby zatrzymywali wszystkich posłańców, kimkolwiek by oni byli, a wiozących do kogokolwiek bądź listy pisane przez królową, biskupa Norwiche lub jakąkolwiek inną osobę z ich otoczenia. Owych posłańców należało pod silną eskortą odstawiać do króla. Ale czy można było zatrzymać wszystkich Lombardów, którzy krążyli z listami bankowymi?

Pewnego dnia w Paryżu, gdy Roger Mortimer przechodził przez dzielnicę Temple, a towarzyszyli mu tylko Alspaye i Ogle - potrafił go kamienny blok, który spadł z wznoszonego gmachu. Nie został zmiażdżony jedynie dzięki temu, że blok z hałasem zahaczył o deskę rusztowania. Osądził, że to zwykły wypadek uliczny; lecz po trzech dniach, po wyjściu od Roberta d'Artois, drabina upadła przed jego koniem. Mortimer udał się na rozmowę z Tolomeiem, który znał podziemny Paryż lepiej niż ktokolwiek. Sieneńczyk kazał zawezwąć jednego z przełożonych cechu murarzy z Temple, którzy zachowali swe przywileje mimo rozpędzenia rycerzy zakonnych. I zamachy na Mortimera ustały. Ze szczytu rusztowań nawet głośno witano zdejmując czapki, angielskiego feudała w czarnym stroju, skoro się tylko pojawił. Mortimer jednakże począł otaczać się silniejszą eskortą i kazał sprawdzać wino rogiem narwala, środkiem wykrywającym truciznę. Poproszono rzezimieszków, którzy żywili się ochłapami z trzosu Roberta d'Artois, aby otwierali bacznie oczy i nastawiali uszy. Groźby otaczające Mortimera jedynie wzmogły miłość jaką doń żywiła królowa Izabela.

A później, niespodziewanie, w początkach sierpnia, krótko przed datą wyznaczoną na angielski hołd, nagle ciężko zaniemógł w pięćdziesiątym piątym roku życia Dostojny Pan de Valois, tak mocno stojący u władzy, iż powszechnie zwano go „drugim królem”.

Już od kilku tygodni często wpadał w gniew i wszystko go drażniło; zwłaszcza ogarnęła go wściekłość, gdy otrzymał od króla Edwarda propozycję, aby wyswatać ich najmłodsze dzieci Ludwika de Valois i

Joannę Angielską, oboje w wieku około siedmiu lat. Czy Edward pojał wreszcie, jaką popełnił gafę zrywając negocjacje w sprawie małżeństwa najstarszego syna i czy sądził, że w ten sposób zjedna sobie Valois? Dostojny Pan Karol osobliwie zareagował, pojmując tę ofertę jako ponowną obelgę; i wpadł w taką furję, iż potłukł wszystkie naczynia na stole. Jednocześnie wielce gorączkował się załatwiając sprawy państwowe, niecierpliwiła go powolność, z jaką Parlament ferował wyroki, klócił się z Milesem de Noyers o sprawozdania przedkładane przez Izbę Rachunkową; następnie uskarżał się na zmęczenie, jakiego mu przyczyniają te wszystkie prace.

Rano, gdy brał udział w Radzie i miał podpisać jakiś dokument, upuścił podane mu gęsie pióro i zawałał atramentem błękitną szatę, w którą był przyodziany. Ręka zwiśla mu wzdłuż nogi, a palce skamieniały. Zdziwiła go cisza, jaka wokół niego nastąpiła, i nie zdawał sobie sprawy, że spadł z fotela.

Podniesiono go nieprzytomnego, oczy w orbitach znieruchomiały skierowane w górę na lewo, usta skrzywione w tę samą stronę. Twarz miał bardzo czerwoną niemal fioletową, więc spiesznie posłano po medyka, by puścił mu krew. Jak przed jedenastu laty brat jego, Filip Piękny, został porażony w głowę, w tajemniczy mechanizm woli. Przypuszczano, iż kona, i w jego rezydencji - dokąd go przeniesiono - cały ogromny dwór popadł w przedzałobny rozgardiasz.

W ciągu kilku dni wydawało się, iż żyje raczej oddechem niż myślą, po czym jakby się ocknął. Wróciła mu mowa, lecz niepewna, niewyraźna; potykał się na niektórych słowach; utracił kwiecisty styl i władczość, jakie go uprzednio cechowały; prawa noga była bezwładna, a także i ręka, która wypuściła gęsie pióro.

Nieruchomy w fotelu, półmartwy z gorąca pod kołdrami, którymi uważano za właściwe go przygniatać, eks-król Aragonii, eks-cesarz Konstantynopola, hrabia Romanii, par Francji; stały kandydat do cesarskiego tronu Niemiec, pogromca Florencji, zwycięzca Akwitanii, organizator wypraw krzyżowych, naraz ocenił, że cała władza, którą człowiek mógł osiągnąć, staje się niczym, skoro bezwład ogarnie ciało. On, co od dzieciństwa trwożył się wyłącznie o zdobycie dóbr ziemskich, nagle odnalazł w sobie inne trwogi. Zażądał, by odwieziono go do zamku Perray koło Rambouillet, gdzie nigdy nie bywał, a który nagle stał się dlań drogi, na skutek dziwnego powabu, jaki wywierają na chorych miejsca, rzekomo będące w stanie przywrócić im zdrowie.

Podobieństwo własnej choroby z tą, co zmogła starszego brata, dręczyło mu umysł, który utracił częściowo swe siły, lecz nie jasność myśli. Szukał w swych dawnych postępkach przyczyny kary, jaką mu wymierzył Wszechmocny. Osłabłszy, stał się pobożny. Rozmyślał o Sądzie Bożym. Lecz pyszałkom łatwo o czystość własnego sumienia; Valois niemal nic nie odnalazł, co mógłby sobie zarzucić. We wszystkich kampaniach, we wszystkich rabunkach i rzeziach z jego rozkazu, we wszystkich kontrybucjach, jakie wymusił na zdobytych i wyswobodzonych przez się prowincjach, oceniał, że zawsze właściwie używał swej władzy wodza i księcia. Jedyne wspomnienie odczuwał jako wyrzut, jedyne uczynek

zdawał się być przyczyną obecnej pokuty, jedyne nazwisko zatrzymywało mu się na ustach, gdy robił rachunek sumienia za całe życie: Marigny. Bo w istocie nikt w nim nie wzbudził nienawiści prócz Marigny'ego. W przypadku wszystkich pozostałych - których dręczył, karał, wysyłał na męki i śmierć - był przekonany, że działał w imię powszechnego dobra, łącząc je z własnymi ambicjami. Ale w swą walkę z Marignym wniósł całą podłą zawziętość, jaką można włożyć w prywatny spór. Oskarżając Marigny'ego kłamał świadomie, złożył przeciw niemu fałszywe świadectwo i podjudzał do fałszywych zeznań; nie cofnął się przed żadną podłością, aby wysłać na szubienicę w Montfaucon byłego koadiutora i generalnego rektora królestwa, który podówczas był młodszy niż on dzisiaj. Nie wiodło go ku temu nic poza potrzebą zemsty i urazą, że dzień po dniu widzi kogoś innego, kto posiada we Francji większą niż on władzę.

I oto teraz siedząc na podworcze zamkowym w Perray, obserwując lot ptaków, patrząc na giermków wyprowadzających piękne konie, których nigdy nie dosiądzie, Valois jał... zdumiało go słowo, lecz nie znajdował innego!... jał miłować Marigny'ego, miłować jego pamięć. Chciałby, żeby wróg jeszcze żył, aby móc z nim się pojednać i rozmawiać o tych wszystkich sprawach, które znali, wspólnie przeżyli, a w których tak się ścierali. Mniej mu brakowało starszego brata, Filipa Pięknego, brata Ludwika d'Evreux, nawet obu pierwszych małżonek, wszystkich zmarłych, aniżeli byłego rywala; i chwilami, gdy sądził, że nikt nań nie patrzy, spostrzegano, że mruczy jakieś zdania w rozmowie ze zmarłym.

Co dzień wysyłał któregoś ze swych szambelanów z trzosem pełnym pieniędzy, aby rozdawać jałmużnę w jednej z paryskich dzielnic, parafia po parafii; szambelani zaś mieli polecenie mówić, wkładając monety w lepkie od brudu ręce: „Módlcie się, zacni ludzie, módlcie się do Boga za Dostojnego Pana Enguerranda de Marigny i za Dostojnego Pana Karola de Valois”. Zdawało mu się, że ubłaga Niebo, jeśli w tej samej modlitwie połączy się go z ofiarą. A lud paryski dziwił się, że potężny i wspaniały pan de Valois żąda, aby wymieniano jego imię z tym, kogo ongiś głosił winnym wszystkich w królestwie nieszczęść i kazał powiesić na stryczku.

Władza w Radzie przeszła do rąk Roberta d'Artois, który na skutek choroby teścia nagle wysunął się na pierwsze miejsce. Olbrzym, spiąwszy ostrogi, często pędził drogą do Perray, aby prosić chorego o radę. Wszyscy bowiem spostrzegli - d'Artois zaś pierwszy - pustkę, jaka się nagle wytworzyła we Francji u steru rządów. Oczywiście, Dostojny Pan de Valois znany był jako wichrzyćielski książę, który często rozstrzygał sprawy dostatecznie ich nie rozważywszy, i kierował się raczej kaprysem niż rozsądkiem; jeżdżąc jednak z dworu na dwór, z Paryża do Hiszpanii, a z Hiszpanii do Neapolu, popierając interesy Ojca Świętego w Toskanii, biorąc udział we wszystkich kampaniach we Flandrii, knując intrygi w Cesarstwie i zasiadając przeszło trzydzieści lat w Radzie czterech królów Francji nabył zwyczaju rozpatrywać każdą troskę o królestwo na tle spraw europejskich. Wiązało się to prawie samo przez się w jego umyśle.

Obkuty w obyczajach i znawca sądowej procedury Robert d'Artois nie posiadał tak szerokich horyzontów. Zwano przeto hrabiego de Valois „ostatnim”, właściwie nie umiejąc dokładnie powiedzieć, co przez to

pojmowano, chyba to, że był ostatnim przedstawicielem wielkiego stylu w rządach, a który na pewno wraz z nim zaniknie.

Król Karol Piękny wciąż obojętny podróżował z Orleanu do Saint-Maixent i Chateaufort nad Loarą, oczekując z dnia na dzień pomyślnej wiadomości że jego trzecia żona zaszła w ciążę.

Królowa Izabela - rzekłoby się - została panią paryskiego pałacu i tu przebywał drugi angielski dwór.

Wyznaczono datę hołdu na 30 sierpnia; Edward czekał aż do ostatniego tygodnia tego miesiąca, aby udać się w podróż, a następnie w opactwie Sandown koło Dover symulować chorobę. Wysłano do Paryża biskupa Winchesteru, by stwierdził pod przysięgą, gdyby zaszła potrzeba, lecz tego nikt odeń nie zażądał - prawdziwość tej wymówki i zaproponować zastąpienie ojca synem, oczywiście pod warunkiem, że księżę Edward, mianowany diukiem Akwitanii i hrabią de Ponthieu, przywiezie przyrządzone sześćdziesiąt tysięcy liwrów.

Młody księżę przybył 16 września, lecz towarzyszył mu biskup Oksfordu, a w pierwszym rzędzie Walter Stapledon, biskup Exeteru i lord skarbnik. Wybierając jednego z najczynniejszych, najbardziej zaciętych zwolenników ze stronnictwa Despensera, a który był równocześnie najsprytniejszy, najchytrzejszy w jego otoczeniu, a także najbardziej znienawidzony, Edward podkreślał swą wolą, iż nie zmieni polityki. Biskup Exeteru otrzymał misję nie tylko eskortować księcia.

W dniu przybycia poselstwa i niemal w chwili, gdy królowa Izabela ścisnęła w ramionach odzyskanego syna, rozeszła się wieść, że Dostojny Pan de Valois dostał ponownego ataku i należy oczekiwać, że lada chwila Bóg powoła jego duszę. Natychmiast cała rodzina, wielcy dostojnicy, przebywający w Paryżu baronowie i angielscy wysłannicy, wszyscy pospieszyli do Perray, prócz nieczulego Karola Pięknego, który w zamku Vincennes nadzorował wewnętrzne przeróbki zamówione u swego architekta Painfetiz.

A francuski lud przeżywał nadal swój piękny rok 1325.





## VII

### Każdy księżę w agonii...

**D**ostojny Pan de Valois jakże wydawał się zmieniony tym zwłaszcza, którzy go nie widzieli w ciągu ostatnich tygodni. Przede wszystkim przyzwyczaili się, że zawsze chadzał w dniu uroczyste w wielkiej, skrzęcej się cennymi kamieniami koronie bądź w aksamitnym haftowanym kapturze z ogonem opadającym na ramię, czy też w czepcu ze złotą obręczą, którą zwykł nosić w swym pałacu. Po raz pierwszy zobaczono jego włosy, włosy blond, zmieszane z siwymi, i wypłowiałe z wiekiem; choroba wyprostowała loki i martwe pasma zwiślały wzdłuż policzków, leżały na poduszkach. Napawało przerażeniem wychudzenie tego mężczyzny ongiś krwistego i zażywnego, nie tyle jednak ile nieruchomo ściągnięta połowa twarzy, ile usta wykrzywione w tę samą stronę, z których sługa stale ocierał ślinę, i zagasłe, uporczywe spojrzenie. Złotem haftowane prześcieradła oraz błękitne, tkane w kwiaty lilii zasłony, upięte w baldachim, wznoszące się nad wezłowiem, podkreślały tylko cielesną nędzę umierającego.

On zaś, nim przyjął tych wszystkich teraz stłoczonych w jego komnacie, zażądał zwierciadła i przez chwilę wpatrywał się w tę twarz, która przed dwoma miesiącami wywierała tak wielkie wrażenie na ludach i królach. Co go teraz obchodziły dostojenstwa i władza? Gdzie ulotniły się ambicje, którym tak wytrwale hołdował? Jakie znaczenie miała satysfakcja, ongiś tak żywo odczuwana, gdy kroczył z podniesionym czołem pośród pochylonych głów, odkąd w tej głowie nastąpił ów wielki wybuch i cały świat się zachwiał? I czym jest ta ręka - rzucali się do niej słudzy, giermkowie i wasale, by całować ją z obu stron - czym stała się ta martwa ręka leżąca obok? A druga ręka, którą jeszcze władał i za chwilę posłuży się, by podpisać testament, jaki ma podyktować... jeżeli ta lewa ręka zechce jeszcze nakreślić litery!... Czy ta ręka należy doń bardziej niż grawerowany sygnet, którym przypieczętowywał swe rozkazy? Zsuną mu go z palca, gdy umrze. Czy cokolwiek kiedykolwiek doń naprawdę należało?

Prawa noga zupełnie bezwładna wydawała mu się już odjęta. W piersi chwilami wytwarzała się próżnia jak w czeluści.

Człowiek jest myślącą jednostką, która wpływa na innych ludzi i przekształca świat. A później, nagle, jedność rozdziela się, rozłącza i czym wtedy staje się świat, i czym stają się ludzie? W tej chwili tytuły, posiadłości, korony, królestwa, sprawowanie władzy, pierwszeństwo własnej osoby wśród żywych ludzi przestały być dla Dostojnego Pana de Valois najważniejsze. Rodowe godła, poszerzanie posiadłości, nawet potomkowie własnej krwi, których widział zgromadzonych wokół siebie, wszystko to straciło dlań istotną wartość. Najważniejsze było wrześnie powietrze, listki jeszcze zielone, już gdzieś zrudziałe, które widział

przez otwarte okno, ale przede wszystkim powietrze, powietrze, które z trudem wdychał, wchłaniane przez tę przepaść wypełniającą mu pierś. Dopóki będzie czuł, że powietrze przechodzi mu przez gardło, dopóty świat będzie istniał nadal, z nim jako ośrodkiem, lecz ośrodkiem nikłym, podobnym dopalającej się świecy. Następnie wszystko zniknie, lub raczej będzie istniało nadal, lecz w zupełnym mroku i przerażającej ciszy, jaka istnieje w katedrze, gdy zgaśnie w niej ostatnia świeca.

Valois przypominał sobie sławne zgony w swoim rodzie. Słyszał ponownie słowa swego brata Filipa Pięknego: „Patrzcie, co wart ten świat. Oto król Francji!” Wspominał słowa bratanka, Filipa Długiego: „Patrzcie, czym jest wasz najwyższy suzeren; bo nie ma ani jednego wśród was, choćby najuboższego, z którym nie chciałbym się zamienić losem!” Słyszał te słowa, których ongiś nie pojmował; oto więc czego doświadczała księżęta, jego krewni, gdy zstępowali do grobu! Nie ma innych słów, aby to wypowiedzieć, a ci, na których jeszcze czeka przyszłość, niezdolni są je pojąć. Każdy umierający jest człowiekiem najbiedniejszym na świecie.

A gdy wszystko zagaśnie, rozłączy się, rozplynie, gdy mrok wypełni katedrę, co odnajdzie ten nieszczęsny człowiek po tamtej stronie, czy znajdzie to, co weń wpajały pouczenia duchownych? Lecz czymże były te pouczenia, jeśli nie olbrzymią, zatrważającą niepewnością? Czy zostanie postawiony przed sąd, jakież będzie to oblicze sędziego? A wszystkie w życiu czyny, na jakich zostaną zważone szalach? Jaką karę można wymierzyć temu, kto już nie istnieje? Kara... Jaka kara? Kara może polega na zachowaniu jasnej świadomości w chwili przekraczania mrocznego progu.

Enguerrand de Marigny miał również - Karol de Valois nie mógł oderwać się odeń myślą - jasną świadomość, świadomość jeszcze jaśniejszą, bo był w pełni zdrowia, w pełni sił, wyrwany z życia nie na skutek zerwania się jakiegoś tajemnego ogniwa w człowieku, lecz na rozkaz cudzej woli. Nie ostatni błysk świecy, lecz wszystkie płomienie naraz zdmuchnięte.

Marszałkowie, dygnitarze, dostojni urzędnicy, którzy towarzyszyli Marigny'emu aż pod szubienicę, ci sami albo ich następcy na tych samych urzędach, znajdowali się w tej chwili tutaj, wokół niego, wypełniali całą komnatę, cisnęli się za progiem w przyległym pokoju i mieli te same spojrzenia ludzi odprowadzających jednego ze swoich aż po ostatnie uderzenie serca, obcych śmierci, którą śledzili, i całkowicie pogrążeni w przyszłości, z której skazaniec został wykreślony.

Ach! Jak chętnie oddałby wszystkie korony Bizancjum, wszystkie niemieckie trony, wszystkie berła i całe złoto z okupów za jedno spojrzenie, jedyne, w którym nie czułby się wykreślony. W spojrzeniach otaczających łożo umierającego księcia, w kręgu oczu o różnych barwach widział wszystko, smutek, współczucie, żal, przestroch, pamięć dawnych wzruszeń. Ale każde z tych odczuć było tylko dowodem wyłączenia.

Valois patrzył na stojącego obok pod baldachimem najstarszego syna, chwata o długim nosie, Filipa, który będzie, zostanie, jutro lub któregoś najbliższego dnia albo może za minutę, jedynym, prawdziwym hrabią de Valois, Valois żyjącym; smutny był, jak przystało wielki Filip i ścisnął rękę



żony, Joanny Burgundzkiej Kulawej; lecz troskał się także o swą postawę z powodu czekającej go przyszłości, zdawał się mówić wszystkim obecnym: „Patrzcie, oto umiera mój ojciec!” Z tych oczu również Valois został już wymazany.

A pozostali synowie... Karol d'Alençon unikał spojrzenia umierającego, powoli odwracał się, gdy je spotykał, a mały Ludwik bał się, zdawał się chory ze strachu, ponieważ była to pierwsza agonია, którą oglądał... A córki... kilka z nich było tu obecnych: hrabina de Hainaut od czasu do czasu dawała znak słudze, aby otarł mu usta, oraz młodsza jej siostra, hrabina de Blois, a nieco dalej hrabina de Beaumont przy swym olbrzymim małżonku, Robercie d'Artois, oboje stali obok królowej Izabeli Angielskiej i małego diuka Akwitanii, chłopczyka o długich rzęsach, grzecznego jak w kościele, a który zachowa po swym stryjecznym dziadku Karolu to jedyne wspomnienie.

Karolowi de Valois wydawało się, że coś knuje ta grupka, przygotowuje przyszłość, lecz i z niej czuł się wykreślony.

Gdy pochylał głowę w drugą stronę łoża, widział wyprostowaną swą żonę, ale już wdowę, Mahaut de Chatillon-Saint-Pol, trzecią małżonkę. Stary konetabl Gaucher de Chatillon-Saint-Pol z głową żółwia, obarczony siedemdziesięciu siedmiu laty właśnie odnosił jeszcze raz zwycięstwo; patrzył na człowieka o dwadzieścia lat odeń młodszego, który przed nim odchodził.

Etienne de Mornay i Jan de Cherchemont - obaj byli kanclerze Karola de Valois, zanim kolejno zostali kanclerzami Francji; - Miles de Noyers, legista i przełożony Izby Rachunkowej, Robert Bertrand, rycerz Zielonego Lwa, nowo mianowany marszałek Francji, brat Tomasz de Bourges, spowiednik, Jan de Torpo, lekarz, wszyscy oni tu byli, by go wspomóc zgodnie z wykonywanym zawodem... Ale - kto pomaga człowiekowi umrzeć? Hugo de Bouville ocierał łzę. Co opłakiwał gruby Bouville, czy przeżyta młodość, czy zbliżający się wiek sędziwy i własne minione życie?

Na pewno książę w agonii jest człowiekiem biedniejszym aniżeli najuboższy w królestwie niewolny. Bo ubogi niewolny nie ma powinności umierać na oczach wszystkich, żona i dzieci mogą osłaniać złudzeniem nieuchronne rozstanie; nie otacza się go przepychem, który oznacza koniec; nie wymaga się odeń, aby stwierdzał *in extremis* (w ostatniej chwili życia) własny kres życia. Bo właśnie tego żądały wszystkie zgromadzone tu dostojne osobistości. Czym bowiem innym jest testament, jeśli nie osobistym wyznaniem własnego zgonu? Dokumentem przeznaczonym dla cudzej przyszłości... Osobisty notariusz czekał z kałamarzem przytwierdzonym do brzegu deski do pisania, z przygotowanym pergaminem i piórem. Jazda, należy rozpocząć... lub raczej zakończyć. Nie tyle najtrudniejszy jest wysiłek umysłowy, ile wysiłek wyrzeczenia się. Testament, akt ten zaczyna się jak modlitwa...

- W imię Ojca i Syna i Ducha Świętego...

Karol de Valois przemówił. Zebrani pomyśleli, że się modli.

- Piszcie więc, przyjacielu - rzekł do sekretarza. - Słyszycie wyraźnie, że dyktuję!... Ja, Karol...

Zamilkł, bo przeraża i sprawia dotkliwy ból dźwięk własnego głosu,

który wypowiada własne imię po raz ostatni. Imię, czyż nie jest ono symbolem człowieka i jego nierozłącznej jedności? Poza tą jedną sprawą już go nic nie obchodziło i miał chęć z tym skończyć. Lecz te wszystkie wokół spojrzenia. Po raz ostatni należało działać, i dla dobra innych, odczuwając jednocześnie, że już się z nimi ostatecznie rozstał.

- Ja, Karol, syn króla Francji, hrabia na Valois, Alençon, Chartres i Andegawenii, czynię wiadomym wszem wobec, że zdrów na umyśle, jakkolwiek chory na ciele...

Choć wymowa była cokolwiek niewyraźna, choć język zahaczał czasem o niektóre słowa, nawet najzwyczajniejsze, umysł działał nadal pozornie sprawnie. Ale dyktando odbywało się jakby w rozdwojeniu, jakby był własnym słuchaczem. Zdawało mu się, że stoi pośrodku zamglonej rzeki; głos jego kierował się ku wybrzeżu, które już opuścił; drżał, co go spotka, gdy stanie na drugim brzegu.

- ...i prosząc Boga o zmiłowanie, aby nie napełnił mnie przerażeniem w czasie sądu nad duszą, rozporządzam tutaj własną osobą i moimi dobrami oraz czynię mój testament i wyrażam ostatnią mą wolę w sposób niżej podany. Po pierwsze, powierzam mą duszę Panu Naszemu Jezusowi Chrystusowi i miłosiernej Matce Jego oraz wszystkim Świętym...

Na znak dany przez hrabinę de Hainaut sługa otarł mu ślinę sączącą się z kącika ust. Zamilkły wszystkie prywatne rozmowy, a nawet usiłowano unikać szelestu sukien. Obecni jakby osłupieli, że w sparaliżowanym ciele, pomniejszonym, zniekształconym chorobą, myśl wyrażała się tak dokładnie, a nawet w wyszukanych zwrotach.

Gaucher de Chatillon mruknął do sąsiadów:

- O nie, jeszcze dzisiaj on nie skona.

Lekarz, Jan de Torpo, zaprzeczył grymasem. Jego zdaniem, Dostojny Pan Karol nie doczeka następnego świtu. Ale Gaucher podjął:

- Widywałem, widywałem... Powiadam wam, że tkwi życie jeszcze w tym ciele...

Hrabina de Hainaut położywszy palec na ustach dała znak, aby konetabl zamilkł, Gaucher był głuchy i nie doceniał siły swego szeptu.

Valois dyktował nadal:

- Pragnę, aby pochowano moje ciało w Paryżu, w kościele Braci Mniejszych, między grobowcami moich dwóch pierwszych wiernych małżonek...

Poszukał wzrokiem twarzy trzeciej małżonki, żyjącej, niebawem hrabiny wdowy. Trzy kobiety i całe życie minęło... Drugą, Katarzynę kochał najmocniej... może z powodu czarodziejskiej korony Konstantynopola. Prawdziwa piękność, Katarzyna de Courtenay, w pełni godna nosić legendarny tytuł! Valois dziwił się, że w jego nieszczęsnym ciele na wpeł bezwładnym i na skraju unicestwienia, pozostał jakby nikły, niewyraźny dreszczyk dawnych pożądań przekazujących życie. Spocznie więc obok Katarzyny, tytularnej cesarzowej Bizancjum; a po drugiej stronie będzie miał pierwszą małżonkę, Małgorzatę, córkę króla Neapolu. Obie od tak dawna w proch już rozsypane. Co za osobliwość, że wspomnienie pożądania może przetrwać, gdy ciało będące jego przedmiotem już nie istnieje! Czy zmartwychwstanie... Lecz istnieje trzecia małżonka, która nań

właśnie patrzy, a i ona była zacną żoną. Trzeba jej pozostawić jakąś cząstkę ciała.

- Zatem pragnę, aby moje serce spoczęło w tym mieście i miejscu, gdzie grób swój wybierze żona moja Mahaut de Saint-Pol; wnętrzości zaś w opactwie Chaâlis; prawo do podziału mego ciała zostało mi nadane bullą Naszego Przenajświętszego Ojca, papieża...

Zawahał się szukając daty, która mu umknęła z pamięci, i dodał:

- ...uprzednio.<sup>32</sup>

Jakaż dumą napawało go owo upoważnienie, udzielane wyłącznie królom, do podziału swych zwłok, jak dzieli się świętych na relikwie! Jak król będzie traktowany nawet w grobie. Lecz teraz myślał o wielkim zmartwychwstaniu, jedynej nadziei pozostawionej tym, co dotarli do kresu ostatniej wędrówki. Jeśli pouczenia religii są prawdziwe, w jaki sposób nastąpi jego zmartwychwstanie? Wnętrzości w Chaâlis, serce w miejscu, które wybierze Mahaut de Saint-Pol, a ciało w paryskim kościele... Czy z pustą piersią, brzuchem wypchanym słomą i zszytym konopną nicią powstanie między Katarzyną a Małgorzatą? Zawiała nadzieja, ponieważ niepojęta dla ludzkiego umysłu! Czy nastąpi taki natłok osób i spojrzeń, jak w tej chwili wokół jego łoża? Jakież zamieszanie, jeśli powstaną razem wszyscy przodkowie i wszyscy potomni i zbrodniarze naprzeciw swych ofiar, i wszystkie kochanki, i wszystkie zdrady... Czy Marigny powstanie przed nim?

- *Item*, pozostawiam opactwu Chaâlis sześćdziesiąt liwów turneńskich na mszę żałobną w rocznicę...

Ręcznik znów mu otarł podbródek. W ciągu niemal kwadransa wymieniał kościoły, opactwa, pobożne fundacje, tej pozostawiał sto liwów, innej pięćdziesiąt, tu sto dwadzieścia, tam kwiat lilii, by upiększyć relikwiarz. Monotonne wyliczenie, lecz nie dla umierającego, któremu każde wypowiedziane imię nasuwało obraz dzwonnicy, miasta, gródka, gdzie przebywał jako jeszcze pan przez kilka godzin lub dni. Barwy murów obronnych, zarys ażurowej strzały, podźwięk okrągłych kamyków na pnącej się w górę uliczce, zapachy placu targowego, wszystkie rzeczy po raz ostatni posiadane, choćby słowem... Myśli obecnych wymykały się jak na mszy, gdy za długo trwa nabożeństwo. Jedyne Joanna Kulawa, mimo że cierpiała stojąc tak długo na nierównych nogach, słuchała z uwagą. Dodawała, rachowała. Przy każdej cyfrze unosiła ku mężowi, Filipowi de Valois, twarz wcale niebrzydka, ale zeszpeconą niegodnym uczuciem skąpstwa. Wszystkie te legaty umniejszały schedę.

We wnęce pod oknem Izabela szeptała z Robertem d'Artois, lecz niepokój na twarzy królowej nie wynikał z żałobnych nastrojów.

- Strzeżcie się Stapledona, Robercie - szeptała. - Ten biskup to najgorszy pomiot diabelski, a Edward po to tylko go wysłał, żeby szkodzić mnie albo tym, co mi udzielają poparcia. Nie ma tutaj dziś nic do roboty, a jednakże narzucił swą obecność, bo, jak mówi, otrzymał polecenie, żeby wszędzie towarzyszyć mojemu synowi. Śledzi mnie... Ostatni list, który otrzymałam, był otwierany, a pieczęć ponownie przylepiona.

Rozległ się głos Karola de Valois:

- *Item*, przekazuję mej żonie, hrabinie, rubin, który mi dała córka moja

de Blois. *Item*, pozostawiam jej haftowany obrus, ongiś własność królowej Marii, mej matki...

Wszystkie oczy obojętne lub roztargnione, podczas wyliczania pobożnych donacji, naraz rozbłysły, ponieważ była mowa o klejnotach. Hrabina de Blois zawiedziona wzniosła w górę brwi. Ojciec mógł przecie zwrócić jej rubin, przez nią podarowany.

- *Item*, relikwiarz, który posiadam ze szczątkami świętego Edwarda...

Słyszac imię Edwarda, młody książę angielski uniósł w górę długie rzęsy. Lecz nie; relikwiarz przypadł również Mahaut de Chatillon.

- *Item*, przeznaczam Filipowi, memu najstarszemu synowi, rubin i wszystkie moje zbroje i rzędy końskie, prócz kolczugi pancernej wykutej w Akrze i miecza, którym walczył pan d'Harcourt,<sup>33</sup> które to przedmioty przeznaczam dla Karola, mego drugiego syna. *Item*, córce z Burgundii, żonie mego syna Filipa, pozostawiam najpiękniejszy ze wszystkich moich szmaragdów.

Policzki Kulawej zaróżowiły się i podziękowała skinieniem głowy, które wydało się wręcz nieprzyzwoite. Nikt nie wątpił, że zażąda specjalnej ekspertyzy szmaragdów, aby wybrać najpiękniejszy.

- *Item*, Karolowi, memu drugiemu synowi, pozostawiam wszystkie moje konie i pojazdy, złoty kielich, srebrną misę i mszał.

Karol d'Alençon jał głupio płakać, jakby agonię ojca i ból, jaki mu ona sprawia, uświadamiał sobie dopiero teraz, gdy ów go wymieniał.

- *Item*, przeznaczam dla Ludwika, mego trzeciego syna, całą srebrną zastawę...

Chłopczyk stał przytulony do spódnicy Mahaut de Chatillon; matka tkliwym gestem pogłaskała mu czoło.

- *Item*, pragnę i rozkazuję, aby cały sprzęt z mej kaplicy został sprzedany, by opłacić modły za mą duszę... *Item*, całą mą odzież należy rozdać moim pokojowcom...

Dyskretny ruch powstał koło otwartych okien i głowy się wychyliły. Przed chwilą trzy lektyki wjechały na podworec zamkowy wysłany słomą, aby stłumić stapanie koni. Z wielkiej lektyki ozdobionej złożonymi rzeźbami, o zasłonach haftowanych w zamki herbu Artois, wysiadła hrabina Mahaut, ciężka, kolosalna, zupełnie już siwe jej włosy okrywał welon, a za nią wysunęła się Joanna, królowa-wdowa, była żona Filipa Długiego. Hrabinie towarzyszyli jeszcze kanclerz jej Thierry d'Hirson wraz z bratanicą Beatrycze, damą dworu. Mahaut przybyła z zamku Conflans koło Vincennes, skąd rzadko wyjeżdżała w tych wrogich dla niej czasach.

Druga lektyka, całkiem biała, przywiozła królową-wdowę, Klemencję, była żoną Ludwika Kłótniwego.

Z trzeciej, skromnej lektyki o zwykłych czarnych skórzanych zasłonach, z pewnym trudem wysiadł przy pomocy tylko dwóch pacholków messer Spinello Tolomei, generalny kapitan paryskich Lombardów.

Tak więc zamkowymi korytarzami szły dwie byłe królowe Francji, dwie młode rówieśnice, kobiety trzydziestodwuletnie, które po sobie wstępowały na tron; obie w białych sukniach wedle zwyczaju obowiązującego królowe-wdowy, obie jasnowłose i piękne, zwłaszcza królowa Klemencja, wyglądały nieco na bliźniaczki. Za nimi przewyższając je ramionami

postępowała groźna hrabina Mahaut, o której wszyscy wiedzieli - choć nie mieli odwagi złożyć świadectwa - że zabiła męża jednej, aby druga wstąpiła na tron. A wreszcie, powłócząc nogą, z wypiętym brzuchem, opadającymi na kołnierz włosami i piętnem czasu wrytym na policzkach, szedł stary Tolomei, w większym lub mniejszym stopniu zamieszany we wszystkie intrygi. Ponieważ wiek wszystko uszlachetnia, - pieniądz zaś stanowi o prawdziwej na świecie władzy, ponieważ bez pomocy Tolomeia Dostojny Pan de Valois nie mógłby ongiś poślubić cesarzowej Konstantynopola, ponieważ bez pomocy Tolomeia francuski dwór nie mógłby wysłać Bouville'a do Neapolu po królową Klemencję ani Robert d'Artois procesować się i poślubić córki hrabiego de Valois, ponieważ bez pomocy Tolomeia królowa Anglii nie mogłaby przebywać tutaj razem z synem, przyznano staremu Lombardowi, który tyle widział, tyle pożyczał i wiele przemilczał, przywileje przysługujące tylko książętom.

Zebrani odsuwali się pod ściany, rozstępowali, by dać dostęp do drzwi. Bouville zadrżał, gdy się o niego otarła Mahaut.

Izabela i Robert d'Artois wymienili nieme pytania. Tolomei wszedł z Mahaut; czy to oznacza, że stary tokański lis pracuje również na rzecz przeciwniczki? Lecz Tolomei dyskretnym uśmiechem pokrzepił swych klientów. W tym wspólnym przybyciu należy widzieć tylko zwykły przypadek.

Wejście Mahaut wywołało zamieszanie wśród zebranych. Valois przestał dyktować na widok zbliżającej się starej i olbrzymiej przeciwniczki, która popychała przed sobą dwie białe wdowy niby owieczki wiedzione na pastwisko. Po czym Valois dostrzegł Tolomeia. Wtedy pomachał przed twarzą zdrową ręką ze skrzącym się rubinem, który przejdzie na palec syna, i rzekł:

- Marigny, Marigny...

Obecni pomyśleli, że traci przytomność. Lecz nie, widok Tolomeia przypomniał mu wspólnego wroga. Bez pomocy Lombardów Valois nigdy by sobie nie poradził z koadiutorem.

Usłyszano wówczas słowa Mahaut d'Artois:

- Bóg wam przebaczy, Karolu, bo szczerą jest wasza skrucha.

- Łajdaczka - powiedział dość głośno Robert d'Artois, aby mogli go usłyszeć sąsiedzi - ona śmie mówić o wyrzutach sumienia.

Karol de Valois, pomijając hrabinę d'Artois, dał znak Lombardowi, by się zbliżył. Wiekowy sieneńczyk podszedł do łoża, podniósł i ucałował sparaliżowaną rękę; Valois nie odczuł pocałunku.

- Modlimy się o wasze wyzdrowienie, Dostojny Panie - rzekł Tolomei.

Wyzdrowienie! Pierwsze krzepiące słowo usłyszał Valois, otoczony tłumem ludzi, z których żaden nie wątpił o jego zgonie, wszyscy zaś czekali na ostatnie tchnienie jak na niezbędną formalność. Wyzdrowienie... Czy bankier mówił o tym powodowany współczuciem, czy też tak naprawdę myślał? Spojrzeli na siebie i w jedynym otwartym oku Tolomeia, oku ciemnym i chytrym, umierający dojrzał wyraz współwiny! Nareszcie spojrzenie, z którego nie był wyłączony!

- *Item, item* - podjął Valois, celując wskazującym palcem w notariusza - pragnę i nakazuję, aby me dzieci spłaciły wszystkie moje długi.

Ach! Tymi słowy obdarzał Tolomeia pięknym legatem, cenniejszym niż wszystkie rubiny i relikwiarze! I Filip de Valois i Karol d'Alençon i Joanna Kulawa i hrabina de Blois, wszyscy przybrali rozczarowane miny. Po jakiego licha zjawił się ten Lombard!

- *Item*, Albrechtowi de Villepion, memu szambelanowi, zapisuję kwotę dwustu liwrów turneńskich, tyleż Janowi de Cherchemont, który był moim kanclerzem, zanim objął ten urząd w królestwie; Piotrowi de Montguillon, giermkowi...

I oto Dostojnego Pana de Valois znów ogarnęła pasja szczodrobliwości, która go tak drogo kosztowała przez całe życie. Chciał po królewsku wynagrodzić wszystkich, co mu służyli. Zapewne, dwieście, trzysta liwrów to nie były ogromne legaty, lecz skoro ich było czterdzieści, pięćdziesiąt pod rząd, a do nich dochodziły legaty dla duchowieństwa... Nie pokryje tego papieskie złoto, nieże już nadszarpnięte, ani roczny dochód ze wszystkich apanaży Valois. Dostojny Pan de Valois będzie więc rozrzutny nawet po swym zgonie!

Mahaut zbliżyła się do grupki angielskiej. Powitała Izabelę spojrzeniem, w którym skrzyła się stara nienawiść, uśmiechnęła się do małego księcia Edwarda, jakby go chciała ugryźć, wreszcie popatrzyła na Roberta.

- Mój zacny bratanku, otoś w wielkiej żałobie; był dla ciebie prawdziwym ojcem... - rzekła szeptem.

- A i dla was, zacna stryjno, to dotkliwy cios - odparł równie cicho. - Liczycie prawie tyleż lat co Karol. Wiek, w którym się umiera...

W głębi sali ludzie wchodzili, wychodzili. Nagle Izabela spostrzegła, że znikł biskup Stapledon; a raczej zniknął, bo zobaczyła, że przekracza próg krokiem namaszczone, posuwistym i pewnym, jakim duchowni zwykli torować sobie drogę wśród tłumów. A w ślad za nim wymykał się kanonik d'Hirson, kanclerz Mahaut. Olbrzymka również śledziła wzrokiem ich kroki i obie kobiety przydybały się wzajem na jednoczesnym podglądaniu.

Wnet Izabela zadała sobie niepokojące pytanie. Co mogli mieć sobie do powiedzenia Stapledon, wysłannik jej wrogów, i kanclerz hrabiny? I w jaki sposób się poznali, skoro Stapledon przybył dopiero wczoraj? Aż nadto było wyraźne, że angielscy szpiedzy współdziałali z Mahaut. „Ma wszelkie powody pragnąć pomsty i mej szkody - myślała Izabela. - Obwiniłam ongiś jej córki... Ach! Jakbym chciała, żeby Roger był tutaj! Czemu nie nalegałam, żeby przybył!”

Zaprawdę obaj duchowni nie mieli żadnego kłopotu, żeby się spotkać. Kanclerz d'Hirson kazał wskazać sobie wysłannika Edwarda.

- *Reverendissimus sanctissimusque Exeteris episcopus?* - zapytał go. - *Ego canonicus et comitissae Artesiensis cancellarius sum.*\*

Mieli polecenie porozumieć się ze sobą przy pierwszej sposobności. Sposobność się nastroczyła. Teraz w głębi przedpokoju siedzieli obok siebie we wnęce pod oknem i z różańcami w dłoniach rozmawiali po łacinie, jakby powtarzali kolejno responsy w litanii za konających.

Kanonik d'Hirson posiadał odpis listu, aż nadto ciekawego, który pewien angielski biskup, podpisujący się literą „O” wysłał do królowej Izabeli; list

---

\* Czy najczcigodniejszy i świątobliwy biskup Exeteru?... Jestem kanonikiem oraz kanclerzem hrabiny d'Artois.

ów został wykradzony włoskiemu kupcowi podczas snu w oberży w Artois. Ów biskup „O” doradzał adresatce, żeby na razie nie wracała, lecz jednała sobie we Francji ilu zdoła zwolenników, zebrała tysiąc rycerzy i wylądowała z nimi; aby przepędzić Despenserów i niecnego biskupa Stapledona. Thierry d’Hirson miał odpis przy sobie. Czy Jego Przewielebność Stapledon życzy sobie z nim się zapoznać? Papier przewędrował spod peleryny kanonika do rąk biskupa, który rzucił nań okiem i poznał gładki, dokładny styl Adama Orletona. Jeśli lord Mortimer - dorzucił ów - obejmie dowództwo nad wyprawą, po kilku dniach dołączy się cała szlachta angielska.

Biskup Stapledon obgryzał paznokcie u kciuka.

- *Ille baro de Mortuo Mari concubinus Isabellae reginae aperte est* \* - spreyczował Thierry d’Hirson.

Czy biskup Exeteru pragnie dowodów? Hirson mu ich dostarczy, kiedy ów zechce. Wystarczy popytać służbę, przypilnować, kto wchodzi i wychodzi z pałacu na Cite, zapytać po prostu o zdanie bywalców dworu.

Stapledon wsunął odpis listu w zanadrze pod pektorał.

W tymże czasie Dostojny Pan de Valois wymieniał wykonawców testamentu. Wielka jego pieczęć z kwiatami lilii i napisem w otoku: *Caroli regis Franciae filii, comitis Valesi et Andegaviae*\*\* wycisnęła się w miękkim wosku na sznurkach zwisających u dołu dokumentu. Zebrani jęli opuszczać komnatę.

- Przewielebny, czy mogę przedstawić Waszej Czcigodnej i Świątobliwej Osobie moją bratanicę Beatrycze, pannę dworu hrabiny? - zapytał Stapledona Thierry d’Hirson, wskazując piękną, ciemnowłosą dziewczynę o powłóczystym spojrzeniu, która zbliżała się do nich kołysząc biodrami.

Beatrycze d’Hirson ucałowała pierścień biskupa; po czym stryj powiedział jej po cichu kilka słów. Wtenczas ona podeszła do hrabiny Mahaut i szepnęła:

- Sprawa załatwiona, Dostojna Pani.

Mahaut zaś, która stała nadal w pobliżu Izabeli, wyciągnęła wielką dłoń, aby pogłaskać czoło młodzieńczego księcia Edwarda.

Później wszyscy odjechali do Paryża. Robert d’Artois i kanclerz, ponieważ musieli czuwać nad sprawami rządu. Tolomei, ponieważ wzywały go interesy.

Mahaut, ponieważ nadawszy bieg zemście, nie miała już tu nic do roboty. Izabela, ponieważ pragnęła jak najszybciej porozmawiać z Mortimerem, królowe-wdowy, ponieważ nikt nie wiedział, jakie pokoje im przydzielić. Nawet Filip de Valois musiał wracać do Paryża, aby zarządzać wielkim hrabstwem, które właściwie już do niego należało.

Przy umierającym pozostali tylko: trzecia małżonka, najstarsza córka hrabina de Hainaut, najmłodsze jego dzieci i najbliżsi słudzy. Wcale nie więcej niż przy skromnym, prowincjonalnym rycerzu, chociaż jego imię i czyny tak poruszały świat, począwszy od brzegów Oceanu aż po wybrzeża Bosforu.

---

\* Baron Mortimer żyje w jawnym konkubinacie z królową Izabelą.

\*\* Karola hrabiego na Valois i Andegawenii, syna króla Francji.

A nazajutrz Dostojny Pan de Valois wciąż żył i oddychał, a również i przez następne dwa dni. Konetabl Gaucher słusznie przewidywał; w porażonym ciele nadal kołatało życie.

W tymże czasie cały dwór zjechał do Vincennes na hołd, który młodziutki książę Edward miał złożyć wujowi Karolowi Pięknemu.

Po czym w Paryżu kawał rusztowania upadł tuż przy głowie biskupa Stapledona; nazajutrz kładka załamała się pod kopytami muła, na którym w ślad za biskupem jechał kleryk. Rankiem, gdy w porze jutrzni Stapledon wyszedł ze swego mieszkania, zetknął się nos w nos z Gerardem Alspayem, byłym namiestnikiem w londyńskiej wieży, i balwierzem Oglem. Obaj mężczyźni zdawali się beztrósco przechadzać... Ale czy o podobnej porze wychodzi się z domu, aby po prostu posłuchać świergotu ptaków? Za węglem stała grupka milczących mężczyzn, Stapledon sądził, że rozpoznaje wśród nich końską twarz barona Maltraversa. Wózki z warzywami zatarasowały ulicę i angielskiemu biskupowi udało się spieszenie wrócić do domu. Wieczorem, nawet z nikim się nie pożegnawszy, wyjechał do Boulogne, aby potajemnie wsiąść na statek.

Oprócz odpisu listu Orletona uwoził zebrane liczne dowody, aby przekonać króla o spisku i zdradzie ze strony królowej Izabeli, Mortimera, hrabiego Kentu oraz wszystkich otaczających ich panów.

Karol de Valois opuszczony prawie przez wszystkich, zamknięty we własnym ciele jakby już w grobowcu, żył nadal w zamku prowincji Ile-de-France o milę od Rambouillet. Ów, zwany ongiś drugim królem Francji, baczył tylko na powietrze, które nieregularnym rytmem wnikało w płuca, chwilami czyniąc zatrwazające przerwy. I tym powietrzem, którym żywi się każda istota, będzie jeszcze oddychał nadal przez długie tygodnie aż do grudnia.







## CZĘŚĆ TRZECIA

# Skradziony król



### I

## Skłóceni małżonkowie

**J**uż od ośmiu miesięcy królowa Izabela przebywała we Francji; zaznała tu wolności i spotkała miłość. Zapomniała o swym małżonku, królu Edwardzie. Istniał on w jej myślach tylko jako twór bezosobowy, przykre dziedzictwo po dawnej, już nie istniejącej Izabeli; zapadł się w martwe strefy wspomnienia. Już sobie nie przypominała zapachu ciała męża ani dokładnej barwy jego oczu, nawet gdy chciała się do tego zmusić, by podsycić swą urazę. Widziała tylko niewyraźny, zamglony obraz zbyt długiego podbródka, przysłoniętego jasną brodą i kołyszące się antypatycznie ruchy grzbietu. Choć pamięć ją zawodziła, nienawiść trwała nadal uparcie.

Pospieszny powrót do Londynu biskupa Stapledona usprawiedliwił wszystkie obawy Edwarda i przekonał go, że winien na gwałt sprowadzić żonę. Ale należało sprytnie działać i - jak mawiał Hugo Starszy - uśpić wilczycę, jeśli chce się, aby wróciła do nory. Przeto w ciągu kilku tygodni Edward pisywał listy niby kochający małżonek zmartwiony nieobecnością wiernej żony. Despenserowie również wzięli osobisty udział w tym oszustwie, składając królowej zapewnienia o swym przywiązaniu i dołączając się do błagań króla, aby obdarzyła ich radością rychłego powrotu. Edward również polecił biskupowi Winchesteru, aby użył swego wpływu na królową.

Ale wszystko odmieniło się 1 grudnia. Tego dnia Edward wpadł w nagły gniew, jaki go od czasu do czasu nawiedzał, w atak obłędnej wściekłości - mało licujący z godnością króla - a który mu dawał iluzję majestatu. Biskup Winchesteru wręczył mu odpowiedź królowej, odmawiała powrotu do Anglii z obawy, jaką wzbudzały w niej zakusy Hugona Młodszego; podzieliła się zresztą swą obawą z bratem, królem Francji. To dopełniło miary. Listy, które Edward dyktował w Westminster pięć godzin z rzędu, wprawiły w osłupienie dwory całej Europy.

Najpierw napisał do samej Izabeli. Już nie było mowy o „słodkim sercu”.

*„Pani - pisał Edward - częstokroć wzywaliśmy was, tak samo przed hołdem jak i po nim, abyście odrzuciwszy wszelkie wymówki niezwłocznie do nas wróciły, a to dlatego, że wielce pragnęliśmy mieć was u naszego boku i martwiła nas wasza długa nieobecność.*

*Przed hołdem tłumaczyły was postępujące rokowania, ale po nim zawiadomiłyście nas przez czcigodnego biskupa Winchesteru, że nie wróciacie, bo wstrzymuje was lęk i podejrzenie wobec Hugona Despensera, co nas wielce zdumiało; bo w mojej obecności tak wy wobec niego, jak i on wobec was, nigdy nie szczędziliście sobie pochwał, a zwłaszcza w dzień odjazdu, czułych obietnic oraz innych dowodów ufnej przyjaźni, a tak samo w waszych listach, które nam okazywał.*

*My znamy prawdę, Pani, a i wy ją znacie, że pomieniony Hugo zawsze nam czynił jakie tylko mógł honory; a wiecie tak samo, że odkąd jesteście moją małżonką nigdy wam nie uczynił żadnej ujmy, chyba tylko przez przypadek, jedyny raz i to z waszej winy, raczcie sobie przypomnieć.*

*Aż nadto bylibyśmy nieradzi, gdyby teraz, po złożeniu hołdu Waszemu Najdroższemu Bratu, królowi Francji, i kiedy jesteśmy na drodze ku wzajemnej z nim przyjaźni, wy, wysłana przez nas w celu umocnienia pokoju, byłybyście przyczyną jakiejś oziębłości między nami i to z podejrzanych powodów.*

*Dlatego właśnie polecamy i rozkazujemy i zobowiązujemy was, żebyście niezwłocznie powróciły, odrzuciwszy precz wszelkie wymówki i rzekome powody.*

*Gdy zaś wróciacie do nas, jak przystoi żonie wobec swego pana, rozporządzimy tak, aby niczego wam nie zabrakło i w niczym nie uchybiało waszej czci.*

*Takoż pragniemy i polecamy, abyście sprawiły, żeby wrócił do nas umiłowany nasz syn, Edward, najszybciej jak tylko zdoła, bo wielce pragniemy go widzieć i z nim porozmawiać.*

*Czcigodny w Bogu ojciec Wautier, biskup Exeteru,<sup>34</sup> przekazał nam uprzednio, że gdy przebywał na waszym dworze, nasi wrogowie i banicy czyhali nań i, gdyby czas im zezwolił, wyrządziliby mu krzywdę na ciele i, żeby wyrwać się z podobnych opresji, pospieszył ku nam wiernie i posłusznie, jak wobec króla przystoi. Zawiadamiamy was o tym, abyście pojęły, że pomieniony biskup nagle od was odjeżdżając, nie uczynił tego z innych przyczyn.*

*Dan w Westminster dnia pierwszego grudnia roku 1325.  
Edward”*

O ile wściekłość przebijała w pierwszych słowach listu, a w następnych - kłamstwo, o tyle w ostatnie został umiejętnie wsączony jad.

Następny list, ale krótszy, król wysłał do młodzieńczego diuka Akwitanii.

*„Najdroższy synu, choć jesteście tak młodzi, jeszcze w chłopięcym wieku, wyraźnie sobie przypomnijcie, co wam poleciliśmy i rozkazaliśmy w Dover, gdyście od nas odjeżdżali, i co wyście nam wówczas odpowiedzieli, a za co byliśmy wam wielce wdzięczni, i w żadnym razie nie uchybiajcie i nie*

*sprzeciwiajcie się temu, co wam wówczas poleciliśmy.*

*A ponieważ tak się stało, że już jesteście po hołdzie, stawcie się u króla Francji, Naszego Najdroższego Brata a Waszego Wuja, pożegnajcie się z nim i wracajcie do nas wraz z naszą najdroższą małżonką królową, waszą matką, jeśli wkrótce wyjedzie.*

*Jeśliby zaś nie wyjechała, nie zwlekajcie dłużej z przyjazdem, bo wielce pragniemy was widzieć i z wami porozmawiać, w żaden sposób nie pozwólcie, aby was zatrzymała matka czy ktokolwiek bądź. Błogosławimy was.”*

Powtórki, a także gniewne, nieskładne zdania wyraźnie wskazywały, że król nie powierzył pisania listów kanclerzowi lub któremuś z sekretarzy, lecz że były one jego własnym dziełem. Niemal słyszało się głos Edwarda, dyktującego owe pisma. Nie zapomniał również o Karolu IV. W skierowanym doń piśmie Edward powtarzał prawie słowo w słowo wszystkie ustępy listu do królowej.

*„Słyszeliście od ludzi godnych wiary, że nasza małżonka, królowa Anglii, nie śmie do nas wracać, lękając się o swe życie i żywiąc podejrzenia wobec Hugona Despensera. Na pewno, Umiłowany Bracie, nie przystoi, aby podejrzewała jego lub kogokolwiek w królestwie; bo na Boga, gdyby Hugo czy ktokolwiek bądź w naszym państwie chciał jej wyrządzić krzywdę i my byśmy to dostrzegli, ukaralibyśmy go w przykładowy dla innych sposób, na co mamy dość władzy, dzięki Bogu.*

*Dlatego też, Najdroższy i Umiłowany Bracie, zaklinamy was na Wasz i Nasz honor, a także i Naszej pomienionej małżonki, abyście raczyli uczynić wszystko, by do nas wróciła, jak może najrychlej; bo pozbawieni jej obecności wielce się smucimy i nigdy byśmy jej od siebie nie odpuścili, gdyby nie nasza ufność do was, wiara w was i waszą dobrą wolę, że powróci do nas wedle naszych chęci.”*

Edward żądał również powrotu syna i ujawniał próby zabójstwa biskupa Exeteru przypisując je „tamejszym wrogom i banitom”.

Na pewno owego 1 grudnia atak gniewu był gwałtowny, a sklepienia Westminsteru chyba długo powtarzały jego wrzaskliwe echo. Z tych samych powodów i w tym samym tonie Edward napisał jeszcze do arcybiskupów Reims i Rouen, do Jana de Marigny, biskupa Beauvais i biskupów Langres i Laon, wszystkich parów duchownych, do diuków Burgundii i Bretanii, jak również hrabiów de Valois i Flandrii, parów świeckich, do opata w Saint-Denis, do wielkiego pokojowca, Ludwika de Clermont-Bourbon, Roberta d'Artois, Milesa de Noyers, przełożonego Izby Rachunkowej, do konetabla Gauchera de Chatillon.

Mahaut była jedynym parem Francji wyłączonym z tego potopu listów, co wyraźnie wskazywało na jej związki z Edwardem, ów bowiem uważał za zbędne oficjalnie ją zawiadomić o całej awanturze.

Robert, odpieczętowany przeznaczony dlań list, wpadł w wielką radość i parszcząc śmiechem, klepiąc się po udach popędził do swej angielskiej kuzynki. Co za wspaniała historia, w sam raz na jego gust! Oto

król Edward rozesłał jeźdźców w cztery krańce królestwa, aby każdego z osobna zawiadomić o swych małżeńskich niesnaskach, bronić przyjaciela od serca i rozgłaszać, że nie jest w mocy sprowadzić małżonki do ogniska domowego. Nieszczęsny kraj ta Anglia; zaprawdę w ręce jakiej to październej kukły wpadło berło Wilhelma Zdobywcy! Od czasów kłótni Ludwika Pobożnego z Eleonorą Akwitańską nie słyszało się nic weselszego!

- Przyprawcie mu potężne rogi, kuzyneczko - wołał Robert - bez żadnych ceregieli, niech wasz Edward składa się we dwoje przekraczając próg swoich zamków. Prawda, kuzynie Rogerze, że na nic innego nie zasługuje?

I rubasznie uderzył Mortimera po ramieniu.

Edward w pasji zastosował sankcje odwetowe, konfiskując dobra swego przyrodniego brata hrabiego Kentu i lorda Cromwella, dowódcy eskorty Izabeli. Ale zrobił coś ponadto: przyłożył pieczęć pod dokumentem, w którym ustanawiał się „rządcą i dysponentem” lenna swego syna, diuka Akwitanii, i żądał w jego imieniu utraconych posiadłości. Innymi słowy, unicestwiał traktat zawarty przez żonę i hołd złożony przez syna.

- Wolno mu, wolno - mówił Robert d'Artois. - Raz jeszcze więc odbierzemy mu księstwo, a przynajmniej jego resztki. Kusze przeznaczone na wyprawę krzyżową poczynają rdzewieć!

Nie potrzeba w tym celu zwoływać wojsk ani wysyłać konetabla, któremu stawy sztywnieją z wiekiem; zupełnie starczy dwóch marszałków na czele stałych zastępów, żeby w okolicach Bordeaux trochę potłuc gaskońskich panów, którzy ze słabości czy głupoty zachowali wierność wobec króla Edwarda. To już wchodzi w nawyk. A za każdym razem coraz mniej ludzi staje do walki.

List Edwarda II był jednym z ostatnich, które przeczytał Karol de Valois, jednym z ostatnich odgłosów, jakie dotarły doń ze świata.

Dostojny Pan Karol umarł w połowie grudnia; pogrzeb jego był równie wspaniały jak i całe życie. Zebrała się cała parantela rodu Valois i lepiej oceniło się, widząc ją w kondukcji, jak była liczna i można; cały ród królewski, wszyscy dygnitarze, większość parów, królowe-wdowy, Parlament, Izba Rachunkowa, konetabl, doktorowie z uniwersytetu, paryskie cechy, wasale z lenn apanażowych, duchowieństwo z kościołów i opactw wymienionych w testamencie, wszyscy odprowadzili zwłoki aż do kościoła Franciszkanów, aby między dwoma wiernymi małżonkami spoczęło ciało, lekkie na skutek choroby i balsamowania, a należące do najbardziej wicherzycielskiego męża owych czasów.

Wnętrznosci, zgodnie z wolą hrabiego Valois, złożono w opactwie Chaâlis, zaś serce zamknięte w urnie przekazano trzeciej małżonce, w oczekiwaniu chwili, gdy ona sama spocznie w grobie.

Po czym straszliwy chłód ogarnął królestwo, jakby kości księcia złożone do ziemi od razu zamroziły całą Francję. Łatwo będzie ludziom owego okresu przypomnieć sobie rok jego śmierci, starczy im powiedzieć: „Stało się to w czasie wielkich mrozów”.

Lody skuły całą Sekwanę; pieszko przechodziło się przez drobne jej dopływy jak strumyk Grange Bateliere; studnie zamarzły, a wodę z cystern

czerpano nie wiadrem, lecz toporem. W ogrodach trzaskała kora na drzewach, wiązy rozłupały się po miąższ. Bramy paryskie doznały wielkich szkód, bo nawet kamienie popękały od mrozu. Ptaki wszystkich gatunków, nie widywane nigdy w miastach, sójki, sroki, szukały pożywienia na ulicznym bruku. Torf do ogrzewania sprzedawano po cenie podwójnej, już zabrakło w kramach futer, nie było skórek z susłów ani z wiewiórek, ani nawet zwykłego runa baraniego. W ubogich domach zmarło wielu starców i sporo dzieci. Podróżni odmrażali stopy mimo ciepłych butów, jeźdźcy doręczali listy zsiniałymi palcami. Ustał cały handel rzeczny. Jeśli żołnierze nieprzezornie zdjęli rękawice, skóra z rąk pozostawała przymarznięta do żelaznej broni; chłopaki ze wsi zabawiali się namawiając wiejskich półgłówków, by polizali ostrze toporu. Zwłaszcza jednak wryła się w pamięć ogromna cisza, bo zdawało się, że ustało życie.

Na dworze Nowy Rok świętowano dość skromnie z powodu zarazem żałoby i mrozu. Ofiarowywano sobie jednakże gałązki jemioly i wymieniano jak zwykle upominki. Przewidywano, że rachunki w Skarbie zamkną się na Wielkanoc<sup>35</sup> nadwyżką dochodów w wysokości siedemdziesięciu trzech tysięcy liwrów, w tym sześćdziesiąt tysięcy wpływów na mocy umowy z Akwitanią. Z tej sumy Robert d'Artois zmusił króla, aby mu przyznał osiem tysięcy liwrów. Było to w pełni uzasadnione, bo Robert w imieniu kuzyna od pół roku rządził królestwem. Przyspieszył nową wyprawę do Gujenny, gdzie wojska francuskie odniosły zwycięstwo tym szybsze, iż właściwie nie spotkały się z żadnym oporem. Raz jeszcze na własnej skórze miejscowi panowie odczuli gniew suzerena z Paryża na wasała z Londynu i jęli żałować, iż urodzili się w Gaskonii.

Edward, zrujnowany i zadłużony, spotykał się z odmową kredytu i nie miał środków na wysłanie wojsk w obronie swego lenna; wyprawił jednakże statki, by sprowadzić żonę. Izabela napisała do biskupa Winchesteru, prosząc, by zawiadomił o treści listu całe angielskie duchowieństwo:

*„Ani Wy, ani inni mądrze myślący ludzie nie powinniście sądzić, że opuściliśmy naszego monarchę bez aż nazbyt poważnych i słusznych przyczyn. Uczyniliśmy to jedynie z powodu zagrożenia naszego życia przez pomienionego Hugona, który rządzi naszym wyżej wymienionym władcą i całym królestwem oraz chciałby nas znieślić, czego jesteśmy pewne, uprzednio już tego doświadczywszy. Dopóki Hugo będzie tak się sprawował dzierżąc w swej władzy naszego małżonka, dopóty nie możemy powrócić do królestwa Anglii, nie wystawiając życia własnego oraz naszego najdroższego syna na śmiertelne niebezpieczeństwo.”*

Ów list akurat minął się z nowymi rozkazami, które w początkach lutego Edward wysłał do szeryfów w przybrzeżnych hrabstwach. Król zawiadamiał, że królowa wraz z synem, diukiem Akwitanii - wysłani do Francji w celu umocnienia pokoju - pod wpływem zdrajcy i rebelianta Mortimera, sprzymierzyli się z wrogami królestwa; z tego powodu, gdyby królowa i diuk Akwitanii wysiedli z okrętów przez niego wysłanych i gdyby przybyli wyłącznie w przyjaznych zamiarach, wołą króla jest, aby

powitać ich godnie, natomiast gdyby wysiedli z obcych statków i okazywali zamiary sprzeczne z jego wolą, rozkazuje oszczędzić wyłącznie królową i księcia Edwarda, innych zaś, którzy by wylądowali z okrętów, potraktować jako rebeliantów.

Izabela za pośrednictwem syna zawiadomiła króla, że będąc chora nie jest w stanie wsiąść na statek.

Ale w marcu dowiedziawszy się, że małżonka wesoło przechadza się po Paryżu, Edward II dostał nowego ataku pisania listów. Zdawałoby się, że dolega mu choroba cykliczna z nawrotami co trzy miesiące.

Do młodego diuka Akwitanii tak napisał:

*„Pod fałszywym pozorem nasza małżonka, a wasza matka, opuszcza nas z powodu drogiego naszego lennika Hugona Despensera, który zawsze tak zacnie i wiernie nam służył; lecz widzicie Wy, i każdy może to stwierdzić, że jawnie i publicznie schodząc z uczciwej drogi wbrew obowiązkom wobec siebie i naszej korony, ściągnęła ku sobie Mortimera, zdrajcę królestwa, wroga śmiertelnego, jawnego, który został pojmany oraz osądzony przez cały Parlament, przebywa z nim w pałacu i w mieście, na przekór nam, Koronie i prawom królestwa. Jeśli zaś może, czyni jeszcze gorzej, gdy wobec całego świata zatrzymuje Was przy naszym rzeczonym wrogu i szpetnie postępując ku wielkiej hańbie, z ujmą dla praw i obyczajów królestwa Anglii, a które waszym najwyższym obowiązkiem jest ocalić i zachować.”*

Napisał również do Karola IV:

*„Gdyby Wasza siostra nas kochała i pragnęła z nami przebywać, jak Wam mówiła i kłamliwie oświadczała - nie uchylając Waszej godności - nie opuściłaby nas pod pozorem umacniania pokoju i przyjaźni między nami; wysyłając ją do was we wszystko to szczerze wierzyliśmy. Ale zaprawdę, Najdroższy Bracie, wyraźnie spostrzegliśmy, że wcale nas nie kocha, przyczyna zaś, którą podaje mówiąc o naszym drogim krewniaku Hugonie Despenserze, jest kalumnia. Myślimy, że powoduje nią nierządna wola, gdy jawnie i stale zatrzymuje w swej Radzie Mortimera, zdrajcę i śmiertelnego wroga królestwa, i przebywa w pałacu i gdzie indziej z owym łotrem. Przeto winniście dążyć, Najdroższy Bracie, aby się pokajała, jak przystoi ze względu na honor wszystkich, na kim jej zależy. Raccie nas powiadomić, co zamierzacie uczynić, zgodnie z przykazaniami boskimi, rozsądkiem i dobrą wolą, nie oglądając się na kapryśne niewieście zachcianki czy inne pragnienia.”*

Pisma tejsze treści wysłał na wszystkie strony świata, do parów, dygnitarzy, prałatów, a nawet samego papieża. Monarsze stadło Anglii wzajem bez osłonek ujawniało kochanka drugiej strony, sprawa zaś podwójnego małżeństwa, dwóch par, z których trzech mężczyzn przypadało na jedną kobietę, rozweselała europejskie dwory.

Paryscy kochankowie już nie musieli zachowywać pozorów. Zamiast szukać wybiegów Izabela i Mortimer ujawnili się i razem pokazywali przy

każdej okazji. Hrabia Kentu wraz z żoną, która doń przyjechała, stale towarzyszyli nieślubnej parze. Po co troskać się o pozory, skoro sam król z takim zapalem rozgłaszał swe małżeńskie kłopoty. Zaiste, listy Edwarda doprowadziły wyłącznie do uznania związku, który wszyscy przyjmowali jako fakt dokonany i nieodwracalny. Wszystkie zaś niewierne małżonki myślały, że szczególna łaska spływa na królowe, a Izabela posiada wyjątkowe szczęście mając takiego szelmę za małżonka!

Brakowało jednak pieniędzy. Żadne zasiłki nie docierały do uchodźców, których dobra zasekwestrowano. I mały paryski dwór angielski żył wyłącznie z pożyczek Lombardów.

Pod koniec marca raz jeszcze trzeba było zawezwać starego Tolomeia. Przybył do królowej Izabeli razem z signorem Boccacciem przedstawicielem Bardich. Królowa i Mortimer bardzo uprzejmie wyrazili, że potrzebują dopływu gotówki. Równie dworsko i z wielkim smutkiem messer Spinello odmówił. Miał po temu poważne argumenty; otworzył wielką, czarną księgę i pokazał rachunki. Pan Alspaye, lord Cromwell, królowa Izabela... - przy tej stronie Tolomei nisko pochylił głowę... - hrabia i hrabina Kentu - nowy ukłon - lord Maltravers, lord Mortimer... Później zaś na czterech bitych stronach długi samego króla Edwarda Plantageneta.

Roger Mortimer obruszył się: nie dotyczą go rozrachunki króla Edwarda!

- Ależ, Milordzie - rzekł Tolomei - dla nas są to wszystko razem wzięwszy długi Anglii. Martwi mnie, że wam odmawiam, i niezmiernie martwi, że sprawiam zawód tak pięknej damie, jak Miłościwa Pani królowa; lecz to zbyt wygórowane żądanie, spodziewać się po mnie tego, czego nie mam, a co wy posiadacie. Bo majątek, który zowią naszym, składa się tylko z wierzytelności. Moje dobra, Milordzie, to wasze długi. Osądźcie, Miłościwa Pani - zwracając się ku królowej ciągnął dalej - osądźcie, kim jesteśmy, my ubodzy Lombardowie, wciąż zagrożeni, zmuszeni opłacać daninę każdemu królowi przy okazji uroczystego wstępowania na tron!... A ileż, niestety, wypłaciliśmy w ciągu dwunastu lat!... Każdy zaś król odbiera nam prawa mieszczańskie i każe nam je wykupywać za wysoką opłatą, a nawet dwukrotnie, jeśli długo panuje. Spójrzcie, jednakże, co robimy dla królestwa. Sama Anglia kosztuje nasze kompanie sto siedemdziesiąt tysięcy liwrów, cena koronacji, wojen, sporów, Miłościwa Pani! Miejcie wzgląd na mój podeszły wiek... Od dawna już bym wypoczywał, gdybym nie musiał bez ustanku uganiać się za odzyskaniem należności, które nam służą, żeby wspierać innych w potrzebie. Uważa się nas za skąpców, chciwców, a nie myśli o ryzyku, na jakie się narażamy, aby pożyczać każdemu i umożliwiać książętom tego świata prowadzenie polityki! Książęta zajmują się maluczkimi, rozdają jałmużnę żebrakom, otwierają szpitale dla kalek; a my, my zajmujemy się nędzą możnych.

Sędziwy wiek pozwalał mu wyrażać się w taki sposób, a głos jego brzmiał tak łagodnie, że nie można było obrazić się za przemówienie. Mówiąc zerkał spod przymkniętego oka na klejnot, który skrzył się na kołnierzu królowej, zapisany zaś był na kredyt w jego księdze na rachunek Mortimera.

- Skąd się wziął nasz handel? Czemu istniejemy? Wcale się o tym nie pamięta - mówił dalej. - Nasze włoskie banki założono podczas wypraw krzyżowych, ponieważ panowie i podróżni nie chcieli obciążać się złotem na niepewnych drogach, gdzie rabowano przy każdej sposobności, a i obozów nie nawiedzali wyłącznie ludzie uczciwi. Później zaś należało płacić okupy. Wtedy przewoziliśmy złoto na ich rachunek, a nasze ryzyko mogli panowie, a zwłaszcza angielscy, poręczali nam dochodem ze swych lenn. Lecz gdy stawiliśmy się w owych lennach po należności, myśląc, że pieczęcie wielkich baronów są dostateczną rękojmią, odeszliśmy z kwitkiem. Wtedy odwołaliśmy się do królów, a ci za porękę długów wasali żądali w zamian od nas pożyczek dla siebie; i oto w ten sposób nasze zasoby utonęły w królestwach. Niestety, Miłościwa Pani, ku memu wielkiemu niezadowoleniu i przykrości, tym razem nie mogę.

Obecny przy rozmowie hrabia Kentu rzekł:

- Zgoda, messer Tolomei. Zwrócimy się do innych kompanii miast waszej.

Tolomei uśmiechnął się. Co sobie myśli ten jasnowłosy młodzieniaszek, który siedzi skrzyżowawszy nogi i niedbale gładzi łeb swego charta? Zwrócić się o pożyczkę gdzie indziej? Zdanie to w swej długiej karierze Tolomei słyszał tysiące razy. To mi pogrożka!

- Milordzie, domyślacie się na pewno, że gdy chodzi o tak wielkich pożyczkobiorców, jak wasze królewskie osoby, kompanie nasze wzajem się konsultują i kredytu, który z żalem odmawiam, nie udzieli wam żadna inna kompania; tu obecny messer Boccaccio przyszedł ze mną jako przedstawiciel Bardich. Zapytajcie go!... Bo, Miłościwa Pani... - Tolomei wciąż zwracał się do królowej - całość należności stała się bardzo kłopotliwa, ponieważ nie ma żadnej gwarancji. W takim stanie, w jakim znalazły się wasze sprawy z Dostojnym królem Anglii, nie poręczy on za wasze długi! A myślę, że i wy za jego. Chyba, że zamierzacie wziąć je na wasz rachunek? Ach! Gdyby tak się stało, może jeszcze moglibyśmy służyć wam pomocą.

Całkiem przymknął lewe oko, ręce splótł na brzuchu i czekał.

Izabela mało się znała na finansach. Uniosła wzrok ku Mortimerowi. Jak należy pojmować ostatnie słowa bankiera? Co oznacza po tak długim przemówieniu ta nieoczekiwana aluzja?

- Wyjaśnijcie nam, messer Tolomei - rzekła.

- Miłościwa Pani - podjął bankier. - Wasza sprawa jest piękna, a waszego małżonka nader szpetna. Świat chrześcijański wie, jak niecień was traktował; zna obyczaje, jakie hańbią jego życie, i podły rząd, który narzucił swym poddanym w osobach niecznych doradców. Natomiast świat was miłuje, Miłościwa Pani, bo jesteście godna uwielbienia, i ręczę, że nie brak we Francji i gdzie indziej zacnych rycerzy, gotowych zwołać chorągwie w waszej obronie, aby zwrócić należne wam miejsce w królestwie... choćby strącając z tronu króla Anglii, waszego małżonka.

- Messer Tolomei - wykrzyknął hrabia Kentu - czy za nic macie, że brat mój był koronowany, mimo że jest godny pogardy?

- Milordzie, Milordzie - odparł Tolomei - królowie noszą korony tylko za zgodą swych poddanych. Wy zaś macie innego króla, całkiem



odpowiedniego, aby nim obdarzyć lud angielski: młody diuk Akwitania wykazuje wiele roztropności jak na swój chłopięcy wiek. Wiele widywałem ludzkich namiętności, umiem nieźle odróżnić więzi nierozzerwalne, które najpotężniejszych książąt pchają ku zgubie. Król Edward nie uwolni się od Despensera; natomiast Anglia w pełni jest gotowa obwołać monarchą kandydata, którego się jej przedstawi, aby zastąpić złego króla i otaczających go niegodziwców... Oczywiście, wysuniecie argument, Miłościwa Pani, że drogo trzeba opłacać rycerzy, którzy staną do walki w waszej sprawie; należy dostarczyć im zbroi, zapewnić wikt i rozrywki. Ale my, Lombardowie, choć nie możemy podołać, by wspomóc was na wygnaniu, jeszcze moglibyśmy podołać, by wesprzeć wasze wojska, jeśli lord Mortimer, którego męstwo jest powszechnie znane, zaręczy, że stanie na czele... i oczywiście jeżeli otrzymamy rękojmię, że przejmiecie na swój rachunek długi Dostojnego Pana Edwarda, aby je uiścić w dniu waszego zwycięstwa.

Nie można było zrobić wyraźniejszej propozycji. Kompanie Lombardzkie były gotowe użyć żony przeciw mężowi, syna przeciw ojcu, kochanka przeciw ślubnemu małżonkowi. Mortimer nie był tak zaskoczony, jak się można było spodziewać, ani nawet nie udawał zdziwienia, gdy odpowiedział:

- Sęk w tym, messer Tolomei, żeby zebrać chorągwie. Nie zrobi się tego w piwnicy. Gdzie moglibyśmy zgromadzić tysiąc rycerzy, których weźmiemy na nasz żołd? W jakim kraju? Zwołać we Francji nie możemy, mimo że król Karol jest wielce przychylny dla królowej, swej siostry.

Wyraźnie istniała zmowa między starym sieneńczykiem a byłym więźniem Edwarda.

- Czy młody diuk Akwitania - rzekł Tolomei - nie otrzymał na własność hrabstwa Ponthieu, które mu przypadło po Miłościwej Pani królowej, i czy Ponthieu nie leży naprzeciw Anglii i nie przylega do hrabstwa Artois, gdzie Dostojny Pan Robert liczy wielu stronników, choć nim nie włada; wiecie o tym, Milordzie, bo się tam schroniliście po waszej ucieczce?

- Ponthieu - w zamyśleniu powtórzyła królowa. - Co doradzacie, szlachetny Mortimerze?

Mimo że sprawa nie wykraczała poza słowa, niemniej była propozycją konkretną. Tolomei był gotów udzielić jakiegoś kredytu, aby królowa wraz z kochankiem mogli uporać się z doraźnymi kłopotami i wyjechać do Ponthieu, i szykować wojska. Później zaś, w maju dostarczy większość funduszy. Dlaczego w maju? Czy nie można przyspieszyć terminu?

Tolomei rachował. Rachował, że wspólnie z Bardimi ma do odebrania należności od papieża. Poprosi przebywającego w Sienie Guccia, aby w tym celu pojechał do Awinionu. Za pośrednictwem podróźnego papież niespodzianie zawiadomił, że chętnie powitałby u siebie młodego człowieka; należało wykorzystać przychylność papieża. A także sposobność dla Tolomeia, aby po raz ostatni może zobaczyć siostrzeńca, którego brak dotkliwie odczuwał.

Następnie zaś bankier filuternie igrał z myślami. Jak ongiś Valois z okazji krucjaty, Robert d'Artois z powodu Akwitania, Lombard mówił sobie w sprawie Anglii: „Papież zapłaci”. Zanim tedy Boccaccio wyruszy

do Italii, dojedzie do Sieny, zanim Guccio ze Sieny uda się do Awinionu i przybędzie do Paryża...

- W maju, Miłościwa Pani, w maju... Niech Bóg błogosławi wasze dzieło.





## II

### Powrót do Neauphle

Czy dom bankowy w Neauphle był tak mały i kościół po przeciwnej stronie ryneczku tak niski i tak wąska stroma droga wiodąca ku Cressay, Thoiry, Septeuil? Pamięć i nostalgia osobliwie powiększają rzeczywiste wymiary.

Minęło dziewięć lat! Ta fasada, drzewa, dzwonnica odmłodziły Guccia o dziewięć lat! Ale raczej nie; przeciwnie, dodały mu właśnie tyleż lat.

Guccio z nawyku dawnym ruchem pochylił się, by przestąpić próg niskich drzwi, dzielących na parterze dwie izby kantoru. Ręka szukając oparcia sama przez się sięgnęła po sznur zwisający wzdłuż dębowego pała, który tworzył oś krętych schodów, i Guccio wspiął się do swego dawnego pokoju. Tutaj więc tak kochał jak nigdy przedtem, jak nigdy potem.

Izdebka przylepiona pod dachem pachniała wsią i przeszłością. W jaki sposób w tak małym pokoiku mogła się mieścić tak wielka miłość? Przez okno, nawet nie okno, raczej lukarnę, widział nie zmieniony krajobraz. Był początek maja i drzewa kwitły jak wtedy, gdy odjeżdżał, przed dziewięciu laty. Dlaczego kwitnące drzewa zawsze budzą głębokie wzruszenie? Wśród gałęzi brzoskwiń, różowych i zaokrąglonych niby ramiona, widniał dach stajni, owej stajni, skąd Guccio uciekł przed napaścią braci Cressay! Ach! Ładnego strachu wówczas się najadł!

Obrócił się ku cynowemu zwierciadłu wciąż na tymże miejscu, nad dębową skrzynią. Każdy człowiek wspominając swe słabostki nabiera otuchy, gdy ogląda siebie w lustrze, zapomina, że wyczytana na twarzy energia sprawia wrażenie tylko na nim, słaby zaś okazał się był w cudzych oczach! Polerowany metal o szarawym połysku odbił Gucciowi wizerunek trzydziestoletniego młodziana, bruneta z bruzdą dość głęboko wyrytą między brwiami i parą ciemnych oczu, rad był z tych oczu, bo widziały już one wiele krajobrazów, zaśnieżone góry, fale dwóch mórz, rozpałały pożądanie w niewieścich sercach i wytrzymały wzrok książąt i królów.

... Guccio Baglioni, przyjacielu, dlaczegoś nie kontynuował tak świetnie rozpoczętej kariery! Jeździłeś ze Sieny do Paryża, z Paryża do Londynu, z Londynu do Neapolu, Lyonu, Awinionu, zawoziłeś listy królowym, skarby prałatom. W ciągu dwóch długich lat krążyłeś między możnymi tego świata jako powiernik ich spraw lub tajemnic. A miałeś ledwie dwadzieścia lat! Wszystko ci się udawało. Wystarczy ocenić względy, jakimi się ciebie dziś otacza po dziewięciu latach nieobecności, aby osądzić, jaką pozostawiłeś pamięć. Sam Ojciec Święty ją tobie okazuje. Ledwie dowiedział się, że wróciłeś do Awinionu po odbiór zwykłej należności, on, najwyższy kapłan, z wysokości tronu Świętego Piotra, pogrążony w tyłu pracach, wnet cię do siebie zaprasza, interesuje się twoim losem, majątkiem, raczy sobie przypomnieć, że ongiś spłodziłeś dziecko, troska się wiedząc, że jesteś tego dziecka pozbawiony, poświęca ci kilka swych

cennych minut... „Syn winien być chowany przez ojca” - mówi tobie i każe ci wydać list żelazny wysłannika papieskiego, najlepszy na całym świecie.

...A Bouville! Gdy odwiedziłeś Bouville'a, przekazując mu błogosławieństwo papieża Jana, Bouville traktuje cię jak z dawna oczekiwanego przyjaciela, na twój widok ma oczy pełne łez i wyznacza jednego ze swych osobistych zbrojnych sierżantów, aby ci towarzyszył w twych zabiegach, i wręcza list adresowany do braci Cressayów, opatrzony własną pieczęcią, żeby ci pozwolono zobaczyć syna!...

W taki oto sposób najwyżsi dostojnicy zajmowali się Gucciem, bez żadnych osobistych powodów - myślał - po prostu ze względu na przyjaźń, jaką wzbudzała jego osoba, bystry umysł i na pewno sposób zachowania się wobec możnych tego świata, będący już wrodzonym darem.

Ach! Czemuż nie wytrwał! Mógłby zostać jednym z wielkich Lombardów, możnych na równi z książętami, jak Macci del Macci, obecny opiekun królewskiego Skarbu Francji, czy też Frescobaldi w Anglii, który wchodził nie zapowiadając się do gabinetu kanclerza-Lorda Szachownicy.<sup>36</sup>

Mimo wszystko, czy było już za późno? Bo w głębi duszy Guccio czuł, że przewyższa swego wuja i jest zdolny do wspanialszych sukcesów. Bo, chłodno rzecz biorąc, poczciwy wuj Spinello uprawiał handel dość pospolity. Kapitanem generalnym paryskich Lombardów został już w zamierzchłych czasach. Oczywiście, posiadał zdrowy rozsądek, lecz nie wyjątkowy talent. Teraz, gdy minął okres złudzeń, Guccio oceniał rzecz bezstronnie i uważał się za człowieka o trzeźwym rozumie. Tak, ongiś popełnił błąd. Przyczyną jego wyrzeczeń - nie mógł tego przed sobą ukrywać - była nieszczęsna przygoda z Marią de Cressay.

W ciągu bowiem długich miesięcy, myślał tylko o tym godnym ubolewania zdarzeniu, całą jego działalnością kierowała chęć ukrycia klęski. Uraza, rozczarowanie, przygnębienie, wstyd, że zobaczy przyjaciół i opiekunów po niezbyt chwalebny rozstaniu, marzenia o odwecie... Cały czas na to stracony, gdy rozpoczynał nowy okres życia w Sienie, gdzie było wiadomo o jego miłostkach we Francji tylko tyle, ile sam chciał powiedzieć. Ach! Nie wiedziała ta niewdzięczna Maria o wielkim przeznaczeniu, jakiemu stanęła na przeszkodzie, odmawiając ongiś wspólnej ucieczki! Ileż razy w Italii gorzko to rozważał. Lecz teraz się pomści...

A jeżeli Maria teraz mu oświadczy, że zawsze go kochała, że niezachwianie nań czekała i jedynie straszliwe nieporozumienie było powodem ich rozłąki? Tak, jeśli to nastąpi? Guccio wiedział, że się nie oprze w tym wypadku, że wypowiedziawszy swe żale, wnet o nich zapomni i na pewno zabierze Marię de Cressay do Sieny, do rodzinnego pałacu, aby przedstawić ziomkom swą piękną małżonkę. I pokaże Marii to nowe miasto, mniejsze niż Paryż czy Londyn, lecz przewyższające je wspaniałą architekturą, z niedawno zbudowanym *Municipio*<sup>\*</sup>, gdzie wewnątrz Szymon Martini właśnie kończył malować freski; pokaże czarno-białą katedrę, która po wykończeniu fasady będzie najpiękniejsza w całej Toskanii. Ach! Co za rozkosz dzielić się tym, co się miłuje, z

---

<sup>\*</sup> *Municipio* - ratusz (włos.)

umiłowaną kobietą! Co też on robi marząc przed cynowym zwierciadłem, zamiast pędzić do Cressay i skorzystać z radosnego zaskoczenia?

A później rozważył. Nie można od razu zapomnieć goryczy przeżywanej w ciągu dziewięciu lat ani też strachu, jaki pewnego ranka wypłoszył go z tegoż ogrodu. Wściekłych okrzyków obu braci Cressayów którzy mu chcieli skrócić kark... Zginałby, gdyby nie szybki koń... Rozsądniej wysłać zbrojnego sierzanta z listem hrabiego de Bouville; zabiegi uzyskają na wadze.

Ale czy po dziewięciu latach Maria jest równie piękna? Czy wciąż będzie równie dumny pokazując ją u swego boku?

Guccio myślał, że osiągnął wiek, w którym człowiek kieruje się rozsądkiem. Tymczasem, choć bruzda wyryła się między brwiami, pozostał nadal tym samym człowiekiem, tą samą mieszanką podstępów i naiwności, pychy i marzeń. Zaprawdę, lata mało zmieniają nasz charakter i żaden wiek nie uwalnia nas od błędów. Włosy bieleją szybciej, niż znikają wady.

Marzy ktoś przez dziewięć lat o jakimś zdarzeniu; spodziewa się go i obawia, co noc błaga Najświętszą Pannę, aby nastąpiło, co dzień błaga Boga, aby doń nie dopuścił; wieczór po wieczorze, ranek po ranku przygotowuje się, co odpowie, gdy ono nastąpi; szepce wszelkie możliwe odpowiedzi na pytania, które sobie wymyślił, przewiduje setki, tysiące okoliczności, w jakich może się go spodziewać. Nadchodzi. Jest bezbronny.

W takim stanie znajdowała się Maria tego ranka, gdy służąca, ongiś powiernica jej szczęścia i dramatu, przed chwilą przybiegła szepnąć na ucho, że Guccio Baglioni powrócił. Widziano, gdy przyjechał do Neauphle. Wygląda na wielkiego pana. Sierzanci królewscy jadą za nim w poczcie. Chyba jest wysłannikiem papieża... Na placu chłopcy patrzyli z otwartymi ustami na rząd z żółtej skóry wyszywany w klucze Świętego Piotra. Z powodu tego rzędu, upominku papieża dla siostrzeńca swych bankierów, wszystkie języki w gródku poszły w ruch.

Służąca tu stoi, zdyszana, oczy błyszczą w zaczerwienionej twarzy, a Maria de Cressay nie wie, co powinna, co ma zrobić. Mówi:

- Moja suknia!

Powiedziała, co przyszło jej do głowy, bez namysłu, i służąca wnet to pojęła, ponieważ Maria nie posiada wielu sukien i może żądać tylko jednej; ongiś uszytej z pięknego jedwabiu, daru Guccia; co tydzień wyjmuje się ją ze skrzyni, starannie czyści, wygładza, wietrzy, niekiedy popłakuje się nad nią i nigdy nie wkłada.

Guccio może zjawić się lada chwila. Czy służąca go widziała? Nie. Przynosi tylko wiadomości, które biegną od progu do progu. Może już jest w drodze! Gdybyż to Maria miała cały dzień, żeby się przygotować na ten przyjazd! Czekala dziewięć lat, a oto nadchodzi i ona ma już tylko jedną chwilę.

Co ją obchodzi, że zimną wodą obmywa szyję, brzuch, ramiona na oczach służącej, która odwraca się zaskoczona nagłym bezwstydem swej pani, a później zerka na to piękne ciało - naprawdę szkoda, że od tak dawna jest ono pozbawione męczyzny - i zaczyna trochę zazdrościć, że jest nadal tak pełne, jędrne, podobne pięknej roślinie rosnącej w słońcu. Jednakże

piersi są cięższe niż dawniej, trochę obwisają; uda nie są już tak gładkie, kilka prążków - ślad po macierzyństwie - znaczy brzuch. Hejże! Ciała dziewcząt ze szlacheckich rodów także się starzeją, na pewno mniej niż ciała służących, ale jednakże się starzeją i sprawiedliwy jest Bóg, że stwarza wszystkie istoty na podobny sposób.

Maria z trudem wkłada suknię. Czy tkanina ściągnęła się, leżąc tak długo bez użytku, czy też Maria utyla? Raczej rzekłoby się, że zmienił się kształt ciała, jakby jego zarys, okrągłości już nie znajdowały się w tych samych miejscach. Zmieniła się. Wie równie dobrze, że zgęstniał jasny puszek nad wargą, że piegi od wiejskiego powietrza rozszerzyły się na twarzy. Włosy jej, snop złocistych włosów, które trzeba śpiesznie spleść w warkocze, utraciły dawną świetlistą jedwabistość.

I oto Maria stoi w odświętnej sukni, która ją uciska w szwach; a ręce zaczerwienione od pracy przy gospodarstwie wystają z zielonych jedwabnych rękawów.

Co też ona robiła przez te dziewięć lat, które teraz wydają się tylko jednym mgnieniem oka?

Żyła wspomnieniem. Codziennie syciła się kilku miesiącami miłości i szczęścia niby plonem za szybko zwiezionym do stodoły. Młyn pamięci miażdżył niby ziarno każdą przeżyta chwilę. Tysiąc razy widziała młodego Lombarda, gdy przyjechał żądać spłaty długu i wypędził podłego prewota. Tysiąc razy odczuwała jego pierwsze spojrzenie, odbywała z nim pierwszą przechadzkę. Tysiąc razy w ciszy i nocnym mroku składała w kaplicy przysięgę przed nieznanym mnichem. Tysiąc razy spostrzegała, że jest w ciąży. Tysiąc razy porywano ją gwałtem z klasztoru dla panien na przedmieściu świętego Marcelego i zamkniętą w lektyce, z niemowlęciem przytulonym do piersi, uwożono do zamku królewskiego w Vincennes. Tysiąc razy na jej oczach przewijano synka w pieluszki królewskie i zwracano go martwego, i dotąd jeszcze czuła sztylet w sercu. Wciąż nienawidziła zmarłą hrabinę de Bouville i żywiła nadzieję, że trapią ją męki piekielne. Tysiąc razy przysięgała na Ewangelię, że zachowa przy sobie małego króla Francji i nie ujawni straszliwych tajemnic dworu nawet na spowiedzi, i że nigdy nie zobaczy Guccia; tysiąc razy pytała: „Dlaczego właśnie mnie to spotkało?”

Pytała błękitu wysokiego nieba w dniu sierpniowe, zimowych nocy, gdy samotnie drżała między szorstkimi prześcieradłami, pytała jutrzeńskich pozbawionych nadziei. Dlaczego?

Pytała także bielizny odliczanej dla pralni, sosów kręconych na kuchennej płycie, mięsa składanego do beczek z solą, strumyka, który płynął u stóp zamku, i brzegów, gdzie rankiem przed procesją rwano irysy i tatarak.

Chwilami obłądnie nienawidziła Guccia za to tylko, że istniał i przeszedł przez jej życie, jak wichur w czas burzy przeciąga przez dom o drzwiach otwartych, a później wnet łajęła siebie jak za bluźnierstwo.

Uważała się kolejno za wielką grzesznicę, której Wszechmocny wymierzył wieczną pokutę, za męczennicę, jakby świętą, wyznaczoną umyślnie wolą boską w zamiarze ocalenia Korony francuskiej, potomstwa po Ludwiku Świętym i całego królestwa w osobie powierzonego jej

dzieciątka... Tym sposobem można stopniowo popaść w obłąd, zanim inni wokół się spostrzegą.

Wiadomości o jedynym w jej życiu miłowanym mężczyźnie, wiadomości o małżonku, którego to tytułu nikt nie uznawał; miewała tylko od czasu do czasu z kilku słów urzędnika bankowego, wypowiedzianych do służącej. Guccio żył, oto wszystko, co wiedziała. Jakże cierpiała wyobrażając go sobie, a raczej nie mogąc wyobrazić, w dalekim kraju, obcym mieście, wśród nieznanymi krewnych, na pewno przy boku innych kobiet, może następnej małżonki... A oto Guccio jest tutaj, o ćwierć mili! Lecz czy naprawdę do niej wróci? Czy po prostu, żeby załatwić jakąś sprawę w kantorze? Czy to nie byłoby okropne, gdyby był tak blisko i nie dla niej? A czy może czynić sobie wyrzuty, skoro ona sama odmówiła zobaczenia się z nim, tak surowo rozkazała, żeby się do niej nie zbliżał, nie mogąc ujawnić przyczyny owego okrucieństwa? Nagle zawołała:

- Dziecko!

Bo Guccio zechce poznać chłopczyka, uważa go za swego synka! Czyż nie dlatego tu się znów pojawił?

Janek jest tu, na łączce, którą widać przez okno, nad Mauldre'a, strumykiem obrośniętym żółtymi irysami, bawi się z najmłodszym synem koniucha, dwoma chłopakami kołodzieja i córeczką młynarza, krągłą niby kulka. Ma zapaćkane błotem kolana, twarz, a nawet kosmyk jasnych włosów wijący się nad czołem. Krzyczy głośno. Łydki ma jędrne i różowe ów chłopaczek, rzekomy bastard, którego traktuje się jak dziecko grzechu.

Ale dlaczego nikt nie dostrzegł, ani bracia Marii, ani chłopci ze wsi, ani mieszkańcy Neauphle, że Janek nie odziedziczył złocistych, prawie rudych włosów matki, a tym bardziej kruczonych Guccia, ani jego cery barwy korzeni? Dlaczego nie widzą, że jest prawdziwym małym Kapetyngiem; twarz ma szeroką, oczy jasnyniebieskie, trochę nazbyt rozstawione, włosy koloru słomy, a podbródek zapowiada się na energiczny? Król Filip Piękny jest jego dziadkiem. Dziwne, że ludzie są tak mało spostrzegawczy i widzą w rzeczach żywych istotach tylko swoje o nich wyobrażenie!

Gdy Maria prosiła braci o wysłanie Janka do augustianów w sąsiednim klasztorze, żeby się nauczył czytać i pisać, wzruszyli oni ramionami:

- Umiemy trochę czytać i wcale się nam to nie przydaje; nie umiemy pisać i to by się zresztą nam nie przydało na nic - odpowiedział Jan de Cressay. - Dlaczego chcesz, żeby Janek wiedział więcej niż my? Nauka jest potrzebna klerykom, a ty nawet nie możesz wykierować go na kleryka, bo jest bękartem!

Po łączce z irysami dzieciak idzie skrzywiony za służącą, która poń przyszła. Bawił się w rycerza i właśnie z kijkiem w rękę przełamywał wały obronne, za którymi niegodziwcy więzili córkę młynarza.

Lecz oto już bracia Marii wracają z objazdu pola. Są zakurzeni, czuć ich końskim potem i mają brudne paznokcie. Starszy Jan jest już wierną podobizną swego ojca; brzuch mu zwisa nad pasem, brodę ma zmierzwioną i brak mu dwóch kłów w zepsutych zębach. Czeka na wojnę, żeby się wybić na pierwszy plan. Za każdym razem, gdy mówi się przy nim o Anglii, krzyczy, że niech król tylko zwoła wojska, a rycerstwo potrafi dowieść, do czego jest zdolne. Nie jest zresztą pasowanym rycerzem, lecz

mógłby nim zostać dzięki jakiejś kampanii. Brał udział tylko w bagiennej wyprawie za Ludwika Kłótliwego i nie wezwano go na wojnę z Akwitanią. Przez pewien czas żywił nadzieje w związku z zamierzoną krucjatą Dostojnego Pana Karola de Valois; a później Dostojny Pan Karol umarł. Ach! Ten baron to byłby dopiero prawdziwy król!

Młodszy brat, Piotr de Cressay, jest nadal szczuplejszy i bledszy, lecz i on nie dba o swój wygląd. Życie jego jest mieszaniną obojętności z nawykiem. Nie ożenili się, ani Jan, ani Piotr. Od śmierci damy Eliabel siostra czuwa nad ich gospodarstwem, mają więc kogoś, kto im gotuje, łąta grubą bieliznę, a przy sposobności mogą swobodnie łajać Marię, czego nie śmieliby czynić wobec małżonki. Jeśli mają porwane pludry, zawsze wolno im uważać Marię za odpowiedzialną, iż nie znaleźli odpowiedniej żony, ponieważ okryła hańbą rodzinę.

Żyją przy tym względnie dostatnio, dzięki pensji, jaką hrabia de Bouville każe regularnie wypłacać młodej kobiecie pod pozorem, że była mamką króla, a także dzięki darom w naturze, które bankier Tolomei przesyła nadal chłopcu, uważając go za ciotecznego wnuka. Grzech Marii przyniósł obu braciom pewne korzyści.

Piotr poznał w Montfort-l'Amaury owdowiałą mieszczkę i od czasu do czasu ją odwiedza, w te dni stroi się z miną winowajcy. Jan woli polować tylko we własnych rewirach i tanim kosztem czuje się panem, ponieważ już go przypomina kilku chłopaków w sąsiednich wioskach. Ale to, co przynosi zaszczyt synowi z rycerskiego rodu, bezcześci córkę rycerza; wiadomo i nie ma o czym mówić.

I Jan, i Piotr, obaj bardzo się dziwią widząc siostrę wystrojoną w jedwabną suknię i Janka tupiącego, bo myją mu twarz i ręce. Czy to dzień świąteczny, który im wyleciał z pamięci?

- Guccio jest w Neauphle - mówi Maria.

I cofa się, bo Jan byłby zdolny ją spoliczkować.

Ale nie; Jan milczy; patrzy na Marię. I Piotr również, pomachując rękami. Nie odznaczają się bystrością. Guccio powrócił. Wiadomość wielkiej wagi, muszą mieć kilka minut do namysłu. Co za kłopoty wynikną... Muszą przyznać, że bardzo lubili Guccia, gdy towarzyszył im w łowach, przywoził mediolańskie sokoły; nie widzieli, że kochał się z Marią prawie pod ich nosem. Potem, gdy dama Eliabel wykryła grzech w łonie córki, chcieli go zabić. Potem, odwiedziwszy bankiera Tolomei, żalowali swej pasji i zrozumieli, ale już za późno, że łatwiej ustrzegliby honoru pozwalając siostrze wyjechać z mężem Lombardem, niż ją przy sobie zatrzymując jako matkę dziecka bez ojca.

Nie mają czasu długo rozważać, bo zbrojny sierżant w liberii hrabiego de Bouville, niebieskiej sukiennej szacie wykrojonej w zęby na wysokości pośladków, na wielkim gniadoszu; wjeżdża na zamkowe podwórze, które wnet zaludniają osłupiałe twarze. Chłopi zdejmują czapki, zza półotwartych drzwi wychylają się dziecięce główki; kobiety wycierają ręce w fartuchy.

Sierżant doręczył dwa pisma panu Janowi; jedno od Guccia, drugie od samego hrabiego de Bouville. Jan de Cressay przybrał godną i wyniosłą minę człowieka, który otrzymuje list; wysunął nad brodą stulone w ryjek



wargi i donośnym głosem rozkazuje napić i nakarmić posłańca, jakby ów przebył piętnaście mil. Po czym odchodzi do brata, aby przeczytać. Nie za mało roboty na dwóch, nawet muszą zawołać Marię, która lepiej umie odcyfrować znaki pisma.

I Maria poczyna drzeć, trząść się, dygotać...

- Nic, panie, nie pojmujemy.

Nagle siostra zaczęła dygotać, jakby szatan we własnej osobie pojawił się przed nią, i stanowczo odmówiła, żeby się nawet z wami zobaczyć. Po czym zaraz się rozszoła.

Obaj bracia Cressay byli bardzo zakłopotani. Kazali wyczyścić buty, a Piotr przyodział się w szatę, którą wkładał tylko idąc w odwiedziny do wdowy z Montfort. W drugiej izbie kantoru w Neauphle stoją przed Gucciem, który spotkał ich z posępną miną i nawet nie poprosił, aby usiedli, raczej są zmartwieni i szarpią nimi sprzeczne uczucia.

Otrzymawszy przed dwoma godzinami listy sądzili, że będą mogli ubić korzystny targ w zamian za wyjazd siostry i uznanie małżeństwa. Tysiąc liwrów gotówką, oto czego zażądają. Lombard może tyle wydatkować. Lecz Maria zawiodła ich nadzieje swoją osobliwą postawą i uporem, że nie zobaczy się z Gucciem.

- Staraliśmy się przemówić jej do rozsądku, nawet wbrew własnym korzyściom; bo bardzo by nam jej brakowało, gdyby nas opuściła, bo prowadzi całe gospodarstwo. Ale w końcu wyraźnie pojmujemy, że jeśli po tylu latach po nią przyjeżdżacie, to znaczy, że jest naprawdę waszą małżonką, chociaż ślub został potajemnie zawarty. W końcu czasu sporo upłynęło.

Przemawiał brodac i zdania mu się plątały. Piotr zadowalał się potakiwaniem głową.

- Mówimy wam zupełnie szczerze - podjął Jan de Cressay - popełniliśmy błąd odmawiając wam ręki naszej siostry. Ale to nie tyle z naszej woli, ile matki... wieczny jej odpoczynek... która się zacięła. Rycerz winien przyznać się do błędów i, jeżeli Maria obeszła się bez naszej zgody, my ponosimy część winy. Wszystko trzeba by wymazać. Czas jest panem nas wszystkich. Teraz zaś ona z kolei odmawia; a jednak - klnę się na Boga - że nie myśli nawet o innym mężczyźnie, co to, to nie! Więc nic nie rozumiem. Ona ma dziwaczne pomysły, ta nasza siostra, prawda Piotrze?

Piotr de Cressay kiwnął głową.

Piękny odwet wziął Guccio widząc tu, przed sobą, tych dwóch młodzieńców, którzy ongiś, w środku nocy, przybyli z oszczepem w rękę, aby go zabić, i zmusili do ucieczki z Francji. Teraz niczego tak nie pragnęli, jak oddać mu siostrę; mało brakowało, a błagaliby, aby dopiął swego, przyjechał do Cressay, narzucił własną wolę i doszedł swych praw małżeńskich.

Ale znaczyłoby to nie znać Guccia i jego posępnej dumy. Mało co sobie robił z dwóch półgłówków. Jedynie na Marii mu zależało. Maria zaś go odtrącała, choć był tutaj, tuż przy niej, przybył gotów zapomnieć dawne obelgi.

- Dostojny Pan de Bouville musiał być przekonany, że tak postąpi - rzekł brodac - skoro poleca mi w liście: „Jeśli pani Maria - jak należy

przypuszczać - odmówi zobaczenia się z panem Gucciem...” Czy wiecie, dlaczego to napisał?

- Nie, naprawdę nie wiem - odparł Guccio - lecz należy przypuszczać, że wiele panu de Bouville na mnie nagadała i bardzo mocno, jeżeli to przewidział.

- A jednak o żadnym innym mężczyźnie nie myśli - powtórzył brodac.

Gniew począł ogarniać Guccia. Brwi mu zbiegły się na bruździe przecinającej czoło. Teraz, naprawdę, wszystko dawało mu prawa, by działać bez skrupułów. Zapłaci Marii za okrucieństwo gorszym okrucieństwem.

- A mój syn? - zapytał.

- Jest tutaj, przyprowadziliśmy go.

W sąsiedniej izbie dzieciak patrzył na rachującego urzędnika i zabawiał się gładząc kosmate gęsie pióro. Jan de Cressay otworzył drzwi.

- Janku, chodź - rzekł.

Guccio, baczny, co się w nim dzieje, trochę przymuszał się do wzruszenia. „Mój syn, zaraz zobaczę mojego syna” - mówił sobie. A w istocie nic nie czuł. A przecież ileż to razy spodziewał się tej chwili! Lecz nie przewidział, że usłyszy zbliżające się ciężkie, chłopskie kroki.

Dzieciak wszedł. Był odziany w krótkie majteczki i płócienny kaftan; niesforny lok wił się na jasnym czole. Prawdziwy, malutki wieśniak.

Wśród trzech mężczyzn nastąpiła chwila zmieszania, które dziecko wnet dostrzegło. Piotr popchnął je do Guccia.

- Janku, oto...

Należało coś rzec, powiedzieć Jankowi, kim jest Guccio, a można było rzec tylko prawdę.

- ...oto twój ojciec.

Guccio naiwnie oczekiwał wybuchu radości, otwartych ramion, łez. Janek zaś podniósł nań niebieskie, zdziwione oczy.

- A mnie mówili, że on umarł - powiedział.

Guccio wzdrygnął się; złość się w nim zagotowała.

- Ależ nie, ależ nie - spieszenie uciął Jan de Cressay. - On podróżował i nie mógł przysyłać wiadomości. Prawda, przyjacielu Guccio?

„Iluż kłamstwami go pojono! - pomyślał Guccio. - Cierpliwości, cierpliwości... Powiedzieć mu, że jego ojciec umarł, ach, podli ludzie! Lecz cierpliwości...”

Powiedział, by przerwać ciszę:

- Jakiż z niego blondynek!

- Tak, zupełnie podobny do stryja Piotra, brata naszego zmarłego ojca - odparł Jan de Cressay.

- Janku, chodź do mnie, chodź - rzekł Guccio.

Chłopczyk usłuchał, ale szorstka rączka jak obca spoczęła w dłoni Guccia i zakłopotany otarł policzek po całusie.

- Chciałbym go zatrzymać kilka dni przy sobie - podjął Guccio - żeby zawieźć go do mego wuja Tolomeia, który chciałby go poznać.

Mówiąc to Guccio machinalnie, jak Tolomei, zamknął lewe oko.

Janek patrzył nań z półotwartymi ustami. Iluż wujów! O nich tylko mówiono przy nim.

- Ja mam wuja w Paryżu i on mnie przesyła podarunki - powiedział jasnym głosem.

- Właśnie pojedziemy go odwiedzić. Jeżeli twoi wujowie nie widzą przeszkód. Czy nie widzicie przeszkód? - spytał Guccio.

- Oczywiście, że nie - odparł Jan de Cressay. - Dostojny Pan de Bouville o tym nas uprzedza w swoim liście i poleca, aby się nie sprzeciwiać...

Jasne, że Cressayowie nie ruszyliby palcem bez zgody Bouville'a.

Brodacz już myślał o upominkach, jakimi bankier nie omieszką obdarzyć swego ciotecznego wnuka. Należy spodziewać się trzosa ze złotem, który byłby szczególnie mile widziany, bo w tym roku zaraza spadła na bydło. A kto wie? Bankier jest wiekowy; może zamierza wpisać dziecko do testamentu...

Guccio już rozkoszował się zemstą. Ale czy kiedykolwiek zemsta pocieszyła po utracie miłości?

Najpierw olśniły dziecko koń i uprząż papieska. Tak pięknego wierzchowca mały nigdy nie widział i był zachwycony, gdy znalazł się na przodzie siodła.

Po czym zaczął przypatrywać się owemu ojcu, który mu spadł z nieba, a właściwie szczegółom, które mógł dojrzeć, wykręcając głowę na wszystkie strony. Zerkał na obcisłe pludry bez żadnej zmarszczki na kolanach, na buty z ciemnej, miękkiej skóry, jakiś dziwny podróżny strój barwy rudych liści o wąskich rękawach i zapięty aż pod brodę na cały rząd malutkich guziczków.

Zbrojny sierżant miał naprawdę olśniewający strój, o wiele piękniejszy, bo mienił się w słońcu siną barwą i był wycięty w zęby przy rękawach i wokół bioder z hrabiowskim herbem wyhaftowanym na piersi. Ale dzieciak szybko pojął, że to Guccio wydaje rozkazy sierżantowi, i nabrał wielkiego szacunku dla ojca, który do osoby tak wspaniale odzianej mówił jak komendant.

Już przejechali prawie cztery mile. Zatrzymali się w oberży „Pod Świętą Basztą”, gdzie Guccio władczy głosem, jakby zwyczajnie, kazał podać jajecznicę ze szczypiorkiem, kapłona z rożna, twaróg i wino. Pośpiech sług jeszcze powiększył respekt Janka.

- Dlaczego, panie, mówicie inaczej niż my? - spytał. - Nie wymawiacie słów tak samo.

Guccio poczuł się dotknięty, że rodzony syn zwrócił mu uwagę na jego tokański akcent.

- Dlatego, że pochodzę ze Sieny, Italia jest moją ojczyzną - z dumą odpowiedział - a ty także będziesz sieneńczykiem, wolnym obywatelem miasta, którym władamy. I nie mów do mnie panie, ale *padre*.

- Padre - pokornie powtórzył mały.

Guccio, sierżant i chłopczyk usiedli za stołem. Podczas gdy czekali na jajecznicę, Guccio jął uczyć Janka włoskich nazw przedmiotów codziennego użytku.

- Tavola - mówił ujmując brzeg stołu - bottiglia - podnosząc flaszkę - vino...

Wobec dziecka czuł się zakłopotany i zabrakło mu naturalności;

krępowala go własna obawa, że chłopczyk go nie pokocha, a także lęk, że i on nie potrafi darzyć go uczuciem. Próżno bowiem powtarzał sobie: „Toż to mój syn”, wciąż odczuwał tylko głęboką wrogość wobec wychowawców chłopczyka.

Janek nigdy jeszcze nie pił wina. Cressayowie zadowalali się, jak chłopci, cydrem albo nawet naparem z liści jesionu. Wypił kilka łyków. Zwykł był jadać jajecznicę i kwaśne mleko, ale pieczony kapłon wyglądał jak danie świąteczne; wreszcie bardzo mu się spodobał ten popołudniowy posiłek w przydrożnej gospodzie. Nie bał się, a pyszna przygoda kazała mu zapomnieć o matce. Powiedziano mu, że ją zobaczy za kilka dni... Nazwy - Paryż, Siena - nie wywoływały w nim żadnego poczucia odległości. W przyszłą sobotę powróci nad brzeg Mauldre'y i powie córeczce młynarza i synom kołodzieja: „A ja jestem sieneńczykiem” bez żadnej potrzeby tłumaczenia, bo oni wiedzieli jeszcze mniej niż on.

Połknęli ostatni kęs, wytarli chlebem puginały i zatknawszy je za pas wsiedli na koń. Guccio podniósł dziecko i posadził je w poprzek siodła.<sup>37</sup>

Obfity posiłek, a zwłaszcza wino, które spróbował po raz pierwszy, uczyniły dziecko ociężałym. Nim przejechali pół mili, już zasnął, nie odczuwając wstrząsów wywołanych klusem.

Nic bardziej nie wzrusza niż dziecięcy sen, zwłaszcza w biały dzień, kiedy dorośli czuwają i pracują. Guccio utrzymywał w równowadze tę małą istotkę, już ciężką, potrząsaną, kiwającą się, opuszczoną. Instynktownie pogładził podbródkiem jasne włosy, które się doń przytulały, i zacisnął mocniej ramię jakby chcąc zmusić okrągłą zasnąłą główkę, żeby mocniej przylgnęła mu do piersi. Uśpione ciało pachniało dzieckiem. I nagle Guccio uczuł się ojcem i bardzo dumnym z ojcostwa. Łzy mu stanęły w oczach.

- Janku, mój Janku, mój Giannino - szepnął przyciskając usta do jedwabistych, ciepłych włosów.

Zwolnił bieg konia i skinął na sierżanta, by jechał stępa, nie chcąc budzić dziecka i starając się przedłużyć własne szczęście. Co go obchodzi, o której godzinie przyjadą! Jutro Giannino obudzi się w domu przy ulicy Lombardów, który mu się wyda pałacem; otoczą go służące, umyją, ubiorą jak paniątko i rozpocznie się dlań życie jak w czarodziejskiej bajce!

Maria de Cressay składa zbędną suknię w obecności niemej i rozczarowanej służącej. Służąca także marzy o innym życiu, wyjeździe wraz ze swą panią, i w jej postawie tkwi lekka nagana.

Lecz Maria przestała dygotać i oczy jej oschły; postanowiła. Poczekaj tylko kilka dni, najwyżej tydzień. Bo tego ranka wstrząs spowodował głupią odpowiedź, szaleńczą odmowę!

Ponieważ została zaskoczona, myślała tylko o dawnej przysiędze, którą na niej wymusiła pani de Bouville, ta podła kobieta... A potem o groźbie: „Jeśli zobaczycie się z tym młodym Lombardem, zapłaci za to życiem...”

Ale już dwóch królów zmieniło się na tronie i nikt o niczym nie mówił. I pani de Bouville też umarła. Zresztą czy taka okropna przysięga zgodna jest z prawem bożym? Czyż to nie grzech zabraniać ludzkiej istocie wyznawania spowiednikowi własnych duchowych skrupułów? Nawet

zakonnice mogą być zwolnione ze ślubów. A wreszcie nikt nie ma prawa odłączać małżonki od małżonka! To też nie po chrześcijańsku. A hrabia de Bouville nie jest biskupem i zresztą wcale nie jest taki groźny jak jego żona.

Dziś rano Maria musiała przemyśleć te wszystkie sprawy, a także przyznać, że nie potrafi żyć bez Guccia, jej miejsce jest przy nim; jeśli Guccio przyjechał po nią, nic na świecie, ani złożone przysięgi, ani kara boża, jeśli ma spaść, nie przeszkodzą, aby za nim poszła.

Nie skłamię jemu. Mężczyzna, który po dziewięciu latach was jeszcze kocha, nie pojął innej żony i wraca po was, ma serce prawe, jest wierny, podobny rycerzowi, który przeżył wszystkie próby: Z takim mężczyzną można dzielić tajemnicę i uczynić go jej stróżem. Nie wolno wobec niego kłamać i pozwolić mu uwierzyć, że syn jego żyje i że ściska go w ramionach, jeśli to nie jest prawdą.

Maria potrafi wytłumaczyć Gucciowi, że ich dziecko, ich pierworodny... bo już myśli o zmarłym dziecku jako o pierworodnym... został strasznym wyrokiem losu oddany, podstawiony, aby ocalić życie prawdziwego króla Francji. Poprosi Guccia, aby dzielił jej przysięgę i razem wychowają małego Jana Pogrobowca, który panował w ciągu pięciu pierwszych dni swego życia, aż przyjdą poń baronowie, by zwrócić mu koronę! Inne zaś dzieci, które im się w przyszłości narodzą, będą jakby rodzeństwem króla Francji. Ponieważ na skutek niewiarygodnych powikłań losu może się zdarzyć każde nieszczęście, dlaczego by nie mogły one przynieść również szczęścia?

Oto co Maria wytłumaczy za kilka dni, w przyszłym tygodniu, kiedy on odwiezie Janka, jak zostało uzgodnione z braćmi.

Wtedy wreszcie nastąpi okres szczęścia, na który tak długo czekali; a jeśli za każde szczęście na tym padole należy płacić równą miarą cierpienia, oboje z góry zapłacili za przyszłe radości! Czy Guccio zechce zamieszkać w Cressay? Na pewno nie. W Paryżu? Miejsce byłoby zbyt niebezpieczne dla Janka; a również nie trzeba zbyt lekceważyć sąsiedztwa hrabiego de Bouville. Przeniosą się do Italii. Guccio zabierze Marię do kraju, który zna tylko z pięknych tkanin i misternych wyrobów złotniczych. Jak ona ją kocha, tę Italię, bo przecie stamtąd przybył mężczyzna przeznaczony dla niej przez Boga! Maria już się widzi w podróży u boku odzyskanego małżonka. Za tydzień, tylko tydzień musi zaczekać...

Niestety! W miłości same pragnienia nie wystarczają, trzeba umieć je wypowiedzieć w odpowiedniej chwili!





### III

## Królowa w zamku Temple

**K**iedy widnokrąg dziecka zamykały doły z nawozem, strumyk i wiejskie dachy, to widok Paryża może je wprowadzić tylko w zachwyt. A cóż dopiero gdy zwiedza miasto pod opieką ojca, który, pełen dumy i chełpiąc się synem, każe go kąpać, namaszczać, stroić, trefić, wodzi po najpiękniejszych kramach, opycha łakociami, darowuje mu haftowane ciżemki i trzosik do pasa z prawdziwymi soldami! Janek, czyli Giannino przeżywa olśniewającą baśń.

A wszystkie te domy, które odwiedza! Bo Guccio pod różnym pozorem, a często i bez pozoru kolejno odwiedza dawnych znajomych, aby po prostu z przechwałką powiedzieć: „mój syn” i pokazać ten cud, jedyny, najwspanialszy na świecie, chłopczyka, który z pięknym akcentem Ile-de-France mówi: „padre mio”.

Gdy ludzie dziwią się jasnym włosom Giannina, Guccio napomyka o matce, niewieście z szlacheckiego rodu; wygłasza to rzekomo dyskretnym tonem, który zapowiada niedyskrecję, i z miną trochę pyszałkowatą, jaką przybierają Włosi, by udąć, że przemilczają swoje konkiety. Takim sposobem dowiedzieli się o całej historii wszyscy paryscy Lombardowie - Peruzzi, Bocanegra, Macci, Albizzi, Frescobaldi, Scamozzi i sam signor Boccaccio.

Wuj Tolomei, z jednym okiem otwartym, a drugim przymkniętym, wypiętym brzuchem i ciężącą mu nogą, nie brał udziału w tej paradzie. Ach! Gdyby Guccio z małym Giannino mógł znów osiąść pod jego dachem w Paryżu, jak by stary Lombard czuł się szczęśliwy na resztę swych dni.

Ale marzenie to było nie do spełnienia. Dlaczego ta głupia, uparta Maria nie chciała uprawomocnienia małżeństwa, dlaczego nie chciała zgodzić się na wspólne życie z mężem, skoro wszyscy zdawali się na to przystawać? Mimo odrazy, jaką odczuwał do najkrótszej choćby podróży, Tolomei ofiarowywał się pojechać do Neauphle i próbować jeszcze raz załatwić sprawę.

- Ale tym razem ja jej nie chcę, wujku - oświadczał Guccio. - Nie pozwolę naigrawać się z mego honoru. I co za przyjemność współżyć z kobietą, która nie kocha.

- Czy jesteś pewien?

Był jeden znak, jedyny, który zezwalał Gucciowi zadać sobie to pytanie. Na szyi dziecka poznał własny mały relikwiarzyk, który niegdyś podarowała mu w marsylskim szpitalu królowa Klemencja, a on z kolei dał go w upominku Marii, wówczas gdy bardzo chorowała.

- Matka zdjęła go ze swojej szyi i zawiesiła na mojej, kiedy wujowie zaprowadzili mnie do was tamtego ranka - wyjaśnił chłopczyk.

Ale czy można opierać się na tak słabej wskazówce, geście, który może wypływał tylko z pobożności?

Następnie zaś hrabia de Bouville był stanowczy.

- Jeśli chcecie zatrzymać to dziecko, trzeba wam jechać do Sieny, im wcześniej tym lepiej - powiedział Gucciowi.

Spotkanie miało miejsce w siedzibie byłego wielkiego szambelana za Pre-aux-Clercs. Bouville przechadzał się w swym ogrodzie opasanym murem. I łzy mu napływały do oczu na widok Giannina. Ucałował rączkę chłopczyka, a dopiero potem policzki i patrząc nań, przyglądając mu się od stóp do głów, szepnął:

- Prawdziwe książątko, prawdziwe książątko.

Jednocześnie ocierał oczy. Guccio był zaskoczony owym nadmiernym wzruszeniem; odczuł je jak przyjazny hołd, złożony mu osobiście.

- Prawdziwe książątko mówicie, panie - odparł uszczęśliwiony Guccio. - Rzecz zadziwiająca, gdy się pomyśli, że chował się wśród wiejskich pól, a matka jego, mimo wszystko, była tylko chłopką!

Bouville kiwał głową. Tak, tak, to bardzo dziwne...

- Zabierzcie go, lepiej nie możecie postąpić. Zresztą czyż nie macie wysokiej aprobaty Przenajświętszego Ojca? Tym razem dam dwóch sierżantów, aby odprowadzili was do granic królestwa, żeby nic złego nie stało się ani wam, ani temu dziecku.

Nie mógł wykrztusić: waszemu synowi.

- Żegnaj, mój mały książę - rzekł, raz jeszcze całując Giannina. - Czyż zobaczę was kiedykolwiek?

Po czym bardzo szybko odszedł, bo łzy znów jęły napływać mu do wypukłych oczu. Zaprawdę, dziecko to zbyt boleśnie przypominało wielkiego króla Filipa.

- Czy wracamy do Cressay? - rankiem 11 maja spytał Giannino widząc kufry i bahuty, które pakowano.

Nie spieszyło mu się znowu do powrotu na wieś.

- Nie, synku - odparł Guccio - jedziemy wpierw do Sieny.

- A czy matka jedzie z nami?

- Jeszcze nie, przyjedzie do nas później.

Dziecko wyglądało na uspokojone. Guccio pomyślał, że po dziewięciu latach kłamstw na temat ojca, napoi się Giannina nowymi kłamstwami o matce. Lecz jak inaczej postąpić? Może pewnego dnia trzeba będzie, żeby uwierzył, że matka nie żyje...

Zanim ruszyli w drogę, Guccio pragnął złożyć jeszcze jedną wizytę najdostojniejszej osobie, choć nie posiadającej największego znaczenia, chciał odwiedzić królową-wdowę Klemencję Węgierską.

- Gdzie są te Węgry? - spytał chłopczyk.

- Bardzo daleko, na Wschodzie. Trzeba wielu tygodni, żeby tam dojechać. Mało ludzi tam bywało.

- Dlaczego ona mieszka w Paryżu, ta pani Klemencja, jeżeli jest królową Węgier?

- Ależ ona nigdy nie była królową węgierską, Giannino; jej ojciec był królem Węgier, ale ona była królową Francji.

- Więc ona jest żoną króla Karola Pięknisia?

Nie, żoną króla jest Pani d'Evreux, którą właśnie dzisiaj się ukoronuje;

zresztą pójdą za chwilę do pałacu królewskiego rzucić okiem na uroczystość w Sainte-Chapelle, żeby Giannino odjechał ze wspomnieniem piękniejszym niż jakiegokolwiek inne. Guccio, niecierpliwy Guccio nie odczuwał ani przykrości, ani znużenia wkładając do tej małej główiny sprawy, które wydawały się oczywiste, a wcale takie nie były, jeśli się ich od dawna nie znało. W ten sposób odbywa się wprowadzanie w życie.

Ale ta królowa Klemencja, którą pójdą zobaczyć, kim ona jest? I w jaki sposób Guccio ją poznał?

Niedaleko było z ulicy Lombardów przez ulicę Verrerie do dzielnicy Temple. Idąc opowiadał Guccio dziecku, jak to pojechał do Neapolu z hrabią de Bouville... - Wiesz, tym grubym panem, któregośmy wczoraj odwiedzili, a on ciebie pocałował... żeby prosić o rękę księżniczki dla króla Ludwika Dziesiątego, który już teraz nie żyje. I jak to on, Guccio, razem z królową Klemencją jechał statkiem, wiozącym ją do Francji, i jak to o mały nie utonął podczas strasznej burzy, nim nie wylądowali w Marsylii.

- A ten relikwiarzyk, który nosisz na szyi, to ona mi podarowała, dziękując, że uratowałem ją od utonięcia.

Następnie królowa Klemencja miała synka, a matka Giannina została wybrana na mamkę.

- Matka mi nigdy o tym nie mówiła - wykrzyknął zdziwiony chłopczyk.  
- Więc ona też znała Panią Klemencję.

Wszystko to było bardzo powikłane. Giannino chciał wiedzieć, czy Neapol znajduje się na Węgrzech. Poza tym poszturchiwali ich przechodnie; rozpoczęte zdanie pozostawało w zawieszeniu; handlarze wodą, pobrzękując wiadrami, przerywali odpowiedź. Bardzo trudno to wszystko składnie wyjaśnić dziecku... „Tak więc jesteś mlecznym bratem małego króla Jana Pogrobowca, który umarł po pięciu dniach...”

„Mleczny brat”, Giannino dobrze rozumiał, co to oznacza. W Cressay wciąż się o tym mówiło; na wsi było mnóstwo mlecznych braci. Ale brat mleczny króla? Nad tym trzeba by pomyśleć. Bo król to mężczyzna duży i silny, w koronie na głowie... Nigdy nie myślał, że królowie mogą mieć mlecznych braci, ani nawet, że mogą być małymi dziećmi. „Pogrobowiec” zaś... jeszcze jedno dziwne słowo, dalekie jak Węgry.

- Matka nigdy mi nic nie mówiła - powtórzył Giannino.

I począł mieć za złe matce, że tyle zadziwiających spraw przed nim ukrywała.

- A dlaczego to nazywa się Temple, tam gdzie idziemy?

- Z powodu templariuszy.

- Ach tak! Już wiem; oni pluli na krzyż, czcili głowę kota i zatruli studnie, żeby zabrać dla siebie wszystkie pieniądze.

Mówił mu o tym syn kołodzieja, powtarzając słowa ojca, ten zaś usłyszał je od Bóg wie kogo. Niełatwo było Gucciowi, wśród tłumu i w krótkim czasie, wytłumaczyć synowi, że prawda była nieco subtelniejsza. Dziecko również nie rozumiało, z jakich powodów królowa, którą mają odwiedzić, zamieszkała u tak podłych ludzi.

- Oni już tu nie mieszkają, *figlio mio*, ich już nie ma, to jest dawna siedziba wielkiego mistrza.

- Mistrza Jakuba de Molay, to był on?



- Ułóż palce w widły, ułóż palce w znak wideł, mój chłopcze, kiedy wymawiasz to imię!... Więc Zakon został rozwiązany, a oni spaleni lub wygnani, król zaś zabrał zamek będący ich własnością.

- Który król?

Biedny Giannino gubił się wśród tylu monarchów!...

- Filip Piękny.

- Czy ty widziałeś króla Pięknego? - Dzieciak już słyszał rozmowy o tym przerażającym królu, obecnie tak niezmiernie wielbionym; lecz i król tonął w mrokach czasów przed jego urodzeniem. Guccio się rozczulił.

„Prawda - pomyślał - że Filip Piękny dla niego znaczy tyleż co Ludwik Święty!”

Ponieważ zaś w ścisku szli wolniej, odpowiedział:

- Tak, widziałem. O mało go nawet nie obaliłem na jednej z tych ulic, gdy przed dwunastu laty, w dniu mego przybycia do Paryża, prowadziłem dwa charty na smyczy.

Czas spływał mu na ramiona niby niespodziewana ogromna fala, która was zalewa, a potem rozpryskuje się kropelkami. Czas rozpryskiwał się wokół niego pianą dni. Był już dorosłym mężczyzną i opowiadał swe wspomnienia.

- Więc - ciągnął dalej - rezydencja templariuszy została własnością króla Filipa Pięknego, a potem króla Ludwika, a później króla Filipa Długiego, poprzednika obecnego króla. I król Filip Długi oddał Temple królowej Klemencji w zamian za zamek Vincennes, zapisany jej w testamencie przez króla Ludwika, jej małżonka.<sup>38</sup>

- *Padre mio*, chciałbym naleśniczka.

Poczuł rozchodzący się wokół stoiska smakowity zapach wafli i od razu rozwiało się jego zainteresowanie królami, którzy za szybko wstępowali po sobie na tron i wymieniali zamki. Już się zresztą nauczył, że jeśli rozpocznie zdanie od „*padre mio*” to najszybciej otrzyma, co zechce; lecz tym razem, prosił na próżno!

- Nie, dopiero kiedy będziemy wracać, bo teraz się zabrudzisz. Przypomnij sobie, czego cię uczyłem. Nie mów do królowej, póki się do ciebie sama nie zwróci, a następnie przyklęknij, by pocałować ją w rękę.

- Jak w kościele?

- Nie, nie tak jak w kościele... Chodź, to ci pokażę, lecz trudno mi to zrobić z powodu sztywnej nogi.

Z prawdziwą ciekawością spoglądali przechodnie na niskiego cudzoziemca o ciemnej cerze i jasnowłosego chłopczyka, którzy za węglem ćwiczyli się w uginaniu kolan.

- A potem szybko wstaniesz, lecz nie potrąć królowej!

Zamek Temple bardzo się zmienił od czasów Jakuba de Molay; przede wszystkim został podzielony. Rezydencja królowej Klemencji obejmowała tylko wielką, kwadratową wieżę zwieńczoną czterema murowanymi stożkami, kilka budynków dla służby, wozownie, stajnie wokół brukowanego podworca i ogród częściowo warzywny, częściowo ozdobny. Reszta dawnej komandorii: mieszkania rycerzy, zbrojownie, warsztaty robotników, oddzielone wysokimi murami oddano na inny użytek. Olbrzymi podworec, przeznaczony na zbiórki wojskowe, obecnie

wydawał się pusty i jakby wymarły. Paradna lektyka o białych zasłonach oczekująca królowej Klemencji przypominała statek, który zabłąkał się przez omyłkę lub w rozpaczy do nieczynnego portu. I mimo że wokół kręciło się kilku giermków i pacholków, cały zamek tonął w ciszy i opuszczeniu.

Guccio i Giannino weszli do wieży przez te same drzwi, przez które przed dwunastu laty wyprowadzono z ciemnicy Jakuba de Molay, by go zawieźć na miejsce kaźni.<sup>39</sup> Sale odnowiono, lecz, mimo kobierców, pięknych wyrobów z kości słoniowej, srebra i złota, ciężkie sklepienia, wąskie okna, mury, które tłumiły wszelki szmer, a nawet wymiary tej wojennej siedziby nie stanowiły odpowiedniej rezydencji dla niewiasty, trzydziestodwuletniej niewiasty. Wszystko tutaj przypominało mężów szorstkich z mieczem u boku, którzy przez pewien okres zapewniali chrześcijaństwu całkowite panowanie w granicach dawnego rzymskiego imperium. Zamek Temple wydawał się więzieniem dla młodej wdowy.

Pani Klemencja nie dała czekać na siebie gościom. Pojawiła się już przyodziana na uroczystość, przy której miała asystować, była w białej sukni, złotej koronie na głowie, batystowa podwika osłaniała jej szyję, królewski płaszcz okrywał ramiona. Prawdziwa królowa, jaką widuje się wymalowaną na kościelnych witrażach. Giannino pomyślał, że królowe noszą się tak strojnie na co dzień. Piękna, wspaniała blondynka, wyniosła i o spojrzeniu trochę nieobecny, Klemencja Węgierska uśmiechała się, ale z przymusem; takim uśmiechem królowa pozbawiona władzy, królestwa darzy lud, który się do niej zbliża.

Ta zmarła, choć bez grobowca, zabijała czas bezużytecznym zajęciem, zbierała złotnicze wyroby, było to jedyne zainteresowanie, jakie pozostało jej na świecie, prawdziwe czy udane.

Spotkanie raczej rozczarowało Guccia, który oczekiwał większego wzruszenia, ale nie dziecko, olśnione świętą z raj, strojną w gwiazdzisty płaszcz.

Pani Węgierska zadawała uprzejme pytania, jakimi monarchowie podsycają rozmowę, gdy nie mają nic do powiedzenia. Próżno Guccio usiłował skierować tok rozmowy na wspólne wspomnienia, Neapol, burzę; królowa uchylała się. W istocie każde wspomnienie sprawiało jej przykrość; unikała wspomnień. Kiedy zaś Guccio chcąc zwrócić uwagę na Giannina powiedział: „Mleczny brat waszego nieszczęsnego syna, Miłościwa Pani”, niemal twardy wyraz przemknął po pięknej twarzy Klemencji. Królowa nie płacze przed obcymi. Lecz naprawdę był to zbytek nieświadomego okrucieństwa przedstawiać jej dziecko zdrowe, jasnowłose, świeżutkie, rówieśne jej synkowi i karmione tym samym mlekiem.

Nie przemówił głos krwi, jeno rozpaczy. A może i dzień był źle wybrany, gdy Klemencja miała udać się na koronację trzeciej po niej królowej Francji? Zmusiła się do uprzejmości i zapytała:

- Co będzie robił ten śliczny chłopczyk, gdy wyrośnie?

- Będzie kierował bankiem, Miłościwa Pani, jak my wszyscy, tego się przynajmniej spodziewam.

Królowa Klemencja myślała, że Guccio przyszedł prosić o zwrot długu lub zapłatę za jakąś złotą czarkę czy klejnot, który kupiła u jego wuja. Tak

już nawykła do skarg dostawców! Zdziwiła się, gdy pojęła, że młody człowiek fatygował się jedynie po to, żeby ją zobaczyć. Istnieli więc jeszcze ludzie, którzy przychodzili ją odwiedzić, nic od niej nie żądając, ani zwrotu należności, ani protekcji?

Guccio powiedział dziecku, aby pokazało Miłościwej Pani królowej relikwiarzyk, który nosi na szyi. Królowa już go nie pamiętała i Guccio musiał przypomnieć, że odwiedziła go w marsylskim szpitalu. Przyszło jej na myśl: „Ten młody człowiek mnie kochał”.

Złudna pociecha kobiet, których życie miłosne zakończyło się za wcześnie i są wrażliwe tylko na oznaki uczuć, jakie ongiś mogły wzbudzać!

Pochyliła się, by ucałować dziecko. Lecz Giannino wnet znów przyklęknął i pocałował ją w rękę.

Poszukała wokół siebie, niemal machinalnie, jakiegoś upominku, którym by mogła obdarzyć, i zobaczyła pudełeczko ze złoczonego srebra, podała je dziecku mówiąc:

- Chyba lubisz konfekty? Zachowaj to puzderko i niech cię Bóg ma w swej opiece!

Nadszedł czas, by udać się na uroczystość. Wsiadła do lektyki, kazała zasunąć białe firanki, po czym ogarnęła ją słabość, która wypływała z całej jej istoty, piersi, nóg, łona i całej bezużytecznej urody; nareszcie mogła zapłakać.

Na ulicy Temple gęsty tłum dążył ku Sekwanie, wyspie Cite, by dojrzeć coś niecoś z koronacji, a na pewno zobaczy tylko własne twarze.

Guccio ujął Giannina za rękę i poszedł za białą lektyką, jakby należał do pocztu królowej. Tym sposobem zdołali minąć most Change, wejść na pałacowy podworec i tam przystanąć, aby zobaczyć pochód możnych panów w uroczystych strojach, którzy wkraczali do Sainte-Chapelle. Guccio rozpoznawał większość z nich i mógł dziecku wymienić ich nazwiska: oto hrabina Mahaut d'Artois, jeszcze wyższa w koronie, i hrabia Robert, jej bratanek przewyższający ją wzrostem; Dostojny Pan Filip de Valois, obecnie par Francji, z kulawą żoną przy boku; a potem Pani Joanna Burgundzka, druga królowa-wdowa. Ale co to za para, która za nią idzie, mają oni około osiemnastu i piętnastu lat? Guccio popytał się sąsiadów. Otrzymał odpowiedź, że to Pani Joanna Nawarry i mąż jej Filip d'Evreux. Ach tak! Córka Małgorzaty Burgundzkiej, teraz miała już piętnaście lat i wyszła za mąż, po tych dramatach dynastycznych, rozniecanych wokół niej i za jej przyczyną.

Nastąpił taki ścisk, że Guccio musiał Giannina wsadzić sobie na ramiona; już dobrze ciąży ten mały szkrab!

Ach! Oto wróciwszy z Ponthieu, szła Izabela, królowa Anglii. Guccio stwierdził, że zadziwiająco mało się zmieniła, odkąd ją widział tamtego razu w Westminsterze, gdy doręczał jej list Roberta d'Artois. Jednakże przypominał sobie, że była nieco wyższa... W tym samym rzędzie szedł syn jej, młody Edward Akwitański. Naraz wyciągnęły się wszystkie szyje, bo tren książęcego płaszcza niósł lord Mortimer, jakby to on był wielkim szambelanem księcia. Jeszcze jedna prowokacja wobec króla Edwarda, lord Mortimer miał wyraz triumfu na twarzy, jednakże nie tak wyraźny jak król

Karol Piękny; nigdy nie widziano, aby miał on tak rozjaśnione oblicze, ale królowa Francji - poszeptywano o tym - była już w drugim miesiącu ciąży, nareszcie! Uroczystość koronacyjna, aż dotąd odwlekana, stanowiła podziękowanie.

Nagle Giannino pochylił się do ucha Guccia:

- *Padre, padre mio* - szepnął - gruby pan, ten co mnie wczoraj pocałował, kiedy wczoraj poszliśmy go odwiedzić w ogrodzie, stoi, o tam, patrzy na mnie!

Dzielny Bouville stał wciśnięty w tłum dygnitarzy; co za pogmatwane i burzliwe myśli przetaczały się w jego głowie, kiedy dojrzał na ramionach handlarza z Lombardii rzeczywistego króla Francji, który wedle powszechnego mniemania spoczywał w krypcie opactwa Saint-Denis, podczas gdy koronowano małżonkę drugiego po nim następcy!

Tegoż popołudnia dwaj zbrojni sierzanci owego hrabiego de Bouville eskortowali na drodze do Dijon podróżnego ze Sieny oraz jasnowłose dziecko. Guccio Baglioni wedle własnego mniemania porywał syna; w istocie kradł rzeczywistego i prawego posiadacza tronu. A ową tajemnicę znali tylko: dostojny starzec w awiniońskiej komnacie wypełnionej świergotem ptaków; były szambelan w ogrodzie przy Pre-aux-Clercs i młoda kobieta w Ile-de-France już na zawsze pogrążona w rozpacz. Królowa-wdowa, mieszkająca w Temple, będzie zamawiała nadal msze za zmarłe dziecko.





## IV

### Narada w opactwie Chaâlis

**B**urza oczyściła czerwcowe niebo. W apartamentach królewskich - w opactwie Chaâlis, klasztorze cystersów, fundacji Kapetyngów, gdzie przed kilku miesiącami złożono wnętrzności Karola de Valois - kopcac dopalają się świece, zapach wosku rozchodzi się w powietrzu przesyconym aromatem ziemi po deszczu i wonnością kadzideł, snującą się jak we wszystkich kościelnych siedzibach; ćmy, które umknęły przed burzą, wlatują przez gotyckie okna i tańczą wokół płomieni.<sup>40</sup>

Smutny to wieczór. Na twarzach maluje się zamyślenie, zgryzota, nuda; w sklepionej sali wzdłuż nagich, kamiennych ścian zwisają zestarzałe opony tkane w kwiaty lilii, wyrabiane seryjnie dla królewskich rezydencji. Wokół Karola IV zebrała się dziesiątka osób: Robert d'Artois, zwany również hrabią de Beaumont-le-Roger, Filip, nowy hrabia de Valois, biskup-par Beauvais, Jan de Marigny, kanclerz Jan de Cherchemont, kulawy hrabia Ludwik de Bourbon, wielki pokojowiec, konetabl Gaucher de Chatillon. Ów w ubiegłym roku stracił najstarszego syna i mówi się, że to go naraz posunęło. Wygląda naprawdę na swoje siedemdziesiąt sześć lat, coraz bardziej głuchnie i wini za to ogniste paszcze, z których strzelano mu nad uchem podczas oblężenia La Reole.

Dopuszczono kilka kobiet, ponieważ w istocie dziś wieczorem będzie się omawiać sprawę ściśle rodzinną. Są tu trzy Joanny, Pani Joanna d'Evreux, królowa, Pani Joanna de Valois, hrabina de Beaumont, małżonka Roberta, oraz Pani Joanna Burgundzka, zła, skąpa wnuczka Ludwika Świętego, żona Filipa de Valois, kulawa jak i jej kuzyn Bourbon.

Następnie zaś Mahaut, Mahaut całkiem siwa, w czarno-fioletowych szatach, tęga w piersiach, zadku, plecach, ramionach, kolosalna! Wiek zazwyczaj obniża wzrost, lecz nie poradził sobie z Mahaut d'Artois. Stała się starą olbrzymką, jeszcze bardziej napętniającą grozą niż olbrzymka młoda. Po raz pierwszy od długiego czasu hrabina d'Artois pojawia się na dworze, nie w koronie na głowie i nie na uroczystościach, w jakich musi brać udział z tytułu swej godności; po raz pierwszy, w istocie, od śmierci swego zięcia, Filipa Długiego.

Przybyła do Chaâlis w żałobnych barwach, podobna do kroczącego katafalku, wystrojona jak kościół w tygodniu Męki Pańskiej. Córka jej, Blanka, zmarła w opactwie Maubuisson, gdzie ją wreszcie przyjęto po przeniesieniu w pierw z zamku Gaillard do mniej okrutnej siedziby koło Coutances. Lecz Blanka wcale nie doświadczyła polepszenia losu w zamian za unieważnienie małżeństwa. Wstąpiwszy do zakonu, po kilku miesiącach umarła wyczerpana długim więzieniem, straszliwymi zimną nocami w warowni pod Andelys; zmarła z wycieńczenia, kaszlu, zgryzot, prawie obłąkana, w habitcie zakonnym, w trzydziestym roku życia. Taka to

pokuta za kilka miesięcy miłości, jeśli w ogóle można nazwać miłością jej przygodę z Gautierem d'Aunay; była to raczej chętką, by naśladować rozkosze bratowej, Małgorzaty Burgundzkiej, kiedy miała osiemnaście lat, wiek, w którym nie wie się, co się robi.

Tak oto jedyna kobieta, którą Karol Piękny naprawdę kochał - a mogłaby teraz zostać królową Francji - zgasła, gdy osiągnęła względny spokój. A król Karol Piękny, w którym śmierć ta wzburzyła ciężkie fale wspomnień, siedzi smutny przy swej trzeciej małżonce, ona zaś wie, o czym mąż myśli, i udaje, że nic nie dostrzega.

Mahaut skorzystała z żałoby. Przybyła z własnej woli, nie zapowiadając się, jakby pchnięta odruchem serca, aby jako zrozpaczona matka złożyć kondolencje nieszczęśliwemu eks-małżonkowi, i padli sobie w ramiona. Mahaut wąsatą wargą musnęła policzki eks-zięcia, Karol dziecięcym ruchem pochylił czoło na kolosalne ramię i wylał kilka łez na karawaniarskie sukna, w które była przyodziana olbrzymka. W taki sposób zmieniają się stosunki między ludźmi, gdy pomiędzy nimi przejdzie śmierć i usunie przyczyny urazy.

Spiesząc do Chaâlis dama Mahaut ma swoje zamysły, a jej bratanek, Robert, gryzie wędzidło. Uśmiecha się do niej, uśmiechają się do siebie, zwą się „zacną stryjną”, „pięknym bratankiem” i świadczą sobie zacną miłość krewniaków, zmuszeni do tego traktatem ugodowym z 1318 roku. Nienawidzą się. Pozabijaliby się wzajem, gdyby ich pozostawiono samych w komnacie. W istocie Mahaut przyszła... nie mówi, lecz Robert o tym dobrze wie!... z powodu listu, który otrzymała. Wszyscy tu obecni otrzymali zresztą listy tej samej treści z drobnymi zmianami: Filip de Valois, biskup Marigny, konetabl i król - przede wszystkim król.

Gwiazdy jarzą się w pogodną noc widoczną za oknem. Zebrała się dziesiątka wokół króla, jedenaście osób najwyższej rangi siedzi kręgiem pod łukami sklepienia, między pilastrami o rzeźbionych kapitelach; garstka ludzi. Nawet wzajem na sobie nie wywierają wrażenia siły.

Król ma słaby charakter, rozum ograniczony, ponadto nie posiada ani najbliższej rodziny, ani oddanych sobie sług. Kim są ci książęta i dostojnicy dziś wieczór zebrani wokół niego? Kuzynami albo też doradcami odziedziczonymi po ojcu czy stryju. Nikogo, kto byłby rzeczywiście przezeń mianowany i z nim się związał. Ojciec jego miał trzech synów i dwóch braci, zasiadających w Radzie; a nawet w burzliwe dni, gdzie zmarły już dziś Dostojny Pan de Valois udawał huragan, był to huragan wewnątrz rodziny. Ludwik Kłótlivy miał dwóch braci i dwóch stryjów; Filip Długi tychże stryjów, którzy wspierali go na różny sposób i Karola, właśnie jego. Ten ostatni potomek nie ma prawie nikogo. Rada jego nieuchronnie przywodzi na myśl koniec dynastii; jedyna nadzieja na ciągłość rodu w linii prostej spoczywa w łonie tej obco milczącej kobiety, ni brzydkiej ni ładnej, która siedzi koło Karola ze splecionymi rękami i wie, że jest królową zastępczą.

List, słynny list, nad którym radzą, nosi datę 19 czerwca i został wysłany z Westminsteru; kanclerz trzyma go w ręku, przełamana zielona woskowa pieczęć łuszczy się na pergaminie.

- Wydaje się, że tak wielką zaciekłość w sercu króla Edwarda wywołał

fakt, że podczas koronacji Miłościwej Pani królowej lord Mortimer niósł tren płaszcz diuka Akwitanii. Król Edward musiał odczuć jako osobistą urazę, iż jego osobisty wróg został wyniesiony do takiej godności przy osobie syna.

Przemówił Wielbny Pan de Marigny, słowom jego towarzyszył od czasu do czasu ruch palców, na których lśnił ametyst biskupi. Odziany był w trzy szaty z lekkiej materii, jak przystoi w owej porze roku, wierzchnia, trochę krótsza, opadała w nieskazitelnych fałdach. Chwilami w jego postawie przebijało cokolwiek majestatu wielkiego Enguerranda, którego był jedynym żyjącym bratem.

Oblicze prałata wydawało się pozbawione słabostek, przecięte równą linią brwi po obu stronach prostego nosa. O ile rzeźbiarz uszanuje jego rysy, Przewielebny de Marigny stanie się pięknym posągami na sarkofagu... lecz w dalekiej przyszłości, bo jest jeszcze młody. Potrafił wcześniej wykorzystać władzę Enguerranda, gdy ów był u szczytu sławy, i w odpowiedniej chwili z nim się rozstać, gdy Enguerrand został obalony. Zawsze zręcznie wymijał rafy, jakie pociąga zmiana panowania; ostatnio jeszcze skorzystał ze spóźnionych wyrzutów sumienia Karola de Valois. Cieszył się wielkim wpływem w Radzie.

- Cherchemont - rzecze do kanclerza król Karol - odczytajcie raz jeszcze ustęp, w którym brat nasz Edward skarży się na pana Mortimera.

Jan de Cherchemont rozwija pergamin, przysuwa go do świecy, chwilę mamrocze, nim znajdzie odpowiednie wiersze, i czyta:

- „...połączenie się naszej żony i naszego syna ze zdrajcami i śmiertelnymi wrogami królestwa, powszechnie znanymi, jak ów rzeczony zdrajca Mortimer, który na oczach wszystkich niósł w Paryżu tren płaszcz syna naszego podczas uroczystości koronacyjnej naszej Najdroższej Siostry, Waszej Małżonki, w czasie ubiegłych Zielonych Świąt ku wielkiemu wstydu i naszemu zgorszeniu...”

Biskup de Marigny pochyla się w stronę konetabla Gauchera i szeptem:

- Oto list fatalnie napisany!

Konetabl nie dosłyszał; zadawała się burknięciem:

- Wyrodek, sodomita!

- Cherchemont - podejmuje król - czy przysługuje nam prawo sprzeciwu wobec prośby naszego brata z Anglii, skoro domaga się, aby nie zezwolić na dalszy pobyt naszej siostrze?

Fakt, że Karol Piękny pyta kanclerza, a nie zwraca się, jak zwykł to czynić, do Roberta d'Artois, swego kuzyna, wuja żony i pierwszego doradcy, dowodzi wyraźnie, że tym razem żywi własną wolę.

Jan de Cherchemont, nim wypowie swą opinię, wczytuje się w koniec listu, jakby musiał dłużej pomedytować nad ostatnimi wierszami. Jan de Cherchemont nie jest bowiem pewien intencji króla, a także boi się urazić Dostojnego Pana Roberta.

- „...Dlatego też, Najdroższy Bracie - czyta kanclerz - ponownie Was prosimy, tak serdecznie i ze szczerego serca jak tylko potrafimy, abyście tę rzecz, której nade wszystko pragniemy, racząc pomienione prośby wysłuchać - łaskawie załatwili szybko i skutecznie, ze względu na obopólny pożytek i honor, i abyśmy nie zostali zniesławieni...”

Biskup de Marigny potrząsa głową i wzdycha. Nie może ścierpieć stylu tak chropowatego, tak niechlujnego. Lecz w końcu, chociaż list jest okropnie napisany, treść jest wyraźna.

Hrabina Mahaut d'Artois milczy, strzeże się, by za wcześnie nie okazać triumfu, a szare jej oczy skrzą się w blasku świec. Denuncjacje ubiegłej jesieni i knowania jej z biskupem Exeteru wydały w początkach lata owoce, już dojrzałe do zbioru.

Nikt nie przysłużył się kanclerzowi, by mu przerwać, i niestety musi wyrazić swe zdanie.

- Pewne jest, Sire, iż wedle prawa kościelnego, a zarazem państwowego należy w jakiś sposób dać satysfakcję królowi Edwardowi. Żąda swej małżonki...

Jan de Cherchemont jest duchownym, jak wymaga jego urząd; zwraca się więc do biskupa Marigny'ego i prosi go wzrokiem o pomoc.

- Nasz Ojciec Święty, papież, przesłał nam za pośrednictwem biskupa Tybalda de Chatillon własnoręczne pismo o podobnej treści - rzekł Karol Piękny.

Edward bowiem zwrócił się aż do papieża Jana XXII przesyłając mu odpisy całej korespondencji, z której wyłania się obraz jego małżeńskich niepowodzeń. Cóż innego mógł zrobić papież Jan, jeśli nie odpowiedzieć, że małżonka winna przebywać przy małżonku?

- Trzeba więc, żeby Pani moja siostra odjechała do kraju męża - dorzucił Karol Piękny.

Rzekł to nie patrząc na nikogo, utkwivszy wzrok w swych haftowanych pantoflach. Kandelabr nad fotelem oświeca mu czoło, które nagle przypomina swym upartym wyrazem jego brata Kłótniwego.

- Sire Karolu - oświadcza Robert d'Artois - zmuszać królową Izabelę do powrotu tam, oznacza wydać ją ze związanymi rękoma Despenserom. Czyż nie przybyła szukać u was opieki, ponieważ bała się, by jej nie zamordowano? A teraz to nastąpi!

- Oczywiście, Miłościwy Panie kuzynie, nie możecie... - mówi Filip de Valois, zawsze gotów przyłączyć się do poglądów Roberta.

Ale urywa, bo żona jego, Joanna Burgundzka, pociągnęła go za rękaw; gdyby nie noc, zobaczono by, że się zaczerwienił.

Robert d'Artois dostrzegł gest, nagłe milczenie Filipa i spojrzenie, jakie wymieniły Mahaut i młoda hrabina de Valois. Gdyby mógł, chętnie ukreśliłby szyję tej tam kulawej!

- Siostra moja może wyolbrzymia niebezpieczeństwo - podejmuje król. - Ci Despenserowie nie wyglądają na takich niegodziwców, jak to ona odmalowuje! Otrzymałem od nich kilka listów, wielce uprzejmych, które dowodzą, że zależy im na mojej przyjaźni.

- A także i upominki, piękne cacka złotnicze - wykrzykuje powstając Robert, a płomienie wszystkich świec chwieją się i cienie dzielą się na twarzach. - Sire, Karolu, mój kochany kuzynie, czy za trzy sosjerki z połączanego srebra, brakujące w waszym kredensie, zmienicie opinię o ludziach, którzy z wami walczyli i prowadzą się z waszym szwagrem jak kozioł z kozą? Wszyscyśmy od nich otrzymali podarunki; nieprawdąż Wielebny Panie biskupie Beauvais, i wy Cherchemont, i ty Filipie? Pewien



makler - mogę wam podać jego imię, zwie się mistrzem Arnoldem - otrzymał w ubiegłym miesiącu pięć beczek srebra za pięć tysięcy funtów szterlingów z poleceniem, żeby zużyć je na zjednanie przyjaciół hrabiemu Gloucesteru w Radzie króla Francji. Te upominki nic nie kosztują Despenserów, bo z łatwością je opłacili z dochodów z hrabstwa Kornwalii, odebranego waszej siostrze. Oto co, Sire, winniście wiedzieć i o czym pamiętać. A jakiej wierności możecie spodziewać się po ludziach, którzy przebierają się za kobiety, aby zaspokajać zboczenia swego władcy? Nie zapominajcie, kim są i gdzie siedzi ich władza.

Robert nawet na Radzie nie potrafi oprzeć się pokusie sprośnych dwuznaczników.

- ...Siedzi: oto właściwe słówko!

Ale śmiech jego nie wywołuje żadnego echa, chyba u konetabla... Konetabl dawniej nie lubił Roberta d'Artois, dowiódł tego pomagając Filipowi Długiemu - gdy ów był jeszcze regentem - pokonać olbrzyma wtrącić go do więzienia. Ale od jakiegoś czasu Gaucher przyznaje Robertowi pewne zalety, może z powodu głosu, jedyne, który słyszy bez wysiłku.

Stronników Izabeli można tego wieczoru policzyć na palcach jednej ręki. Kanclerz jest obojętny lub raczej baczy, by zachować swój urząd, zależny od łaski; jego opinia powiększy silniejszy nurt. Również obojętna jest królowa Joanna, która myśli niewiele; przede wszystkim pragnie uniknąć wzruszeń, szkodliwych dla ciąży. Jest siostrzenicą Roberta d'Artois i działa na nią jego pewność siebie, wzrost i zuchwałość; lecz pragnie uchodzić za wzorową małżonkę, a więc z zasady gotowa jest potępić wszystkie żony siejące zgorszenie.

Konetabl raczej sprzyja Izabeli. Przede wszystkim nie cierpi Edwarda Angielskiego za jego obyczaje i odmowę złożenia hołdu. Na ogół nie lubi nic angielskiego. Wyłącza z tych uczuć lorda Mortimera, który oddał wiele przysług; byłoby podłością teraz go opuszczać. Stary Gaucher nie krępuje się to powiedzieć, a także oświadczyć, że należy wybaczyć Izabeli.

- Do diabła, ona jest kobietą, a mąż jej nie jest mężczyzną. On jest pierwszym winowajcą!

Wielebny Pan de Marigny, podnosząc nieco głos, odpowiada mu, że królowa Izabela godna jest przebaczenia, a ze swej strony on sam gotów ją rozgrzeszyć; lecz winą, wielką winą królowej Izabeli jest ujawnianie swego grzechu; królowa nie powinna świecić przykładem wiarołomstwa.

- Ach! To prawda, to racja - mówi Gaucher. - Po co chodzili na wszystkie uroczystości trzymając się za ręce i dzielili wspólne łoża, jak to powiadają.

W tej materii przyznaje słuszność biskupowi. Przeto konetabl i prałat są po stronie królowej Izabeli, ale z zastrzeżeniami. I na tym kończy się zainteresowanie konetabla całym problemem. Myśli o kolegium języka romańskiego własnej fundacji koło swego zamku Chatillon nad Sekwaną, gdzie teraz by przebywał, gdyby nie zatrzymano go w tej sprawie. Pocieszy się, gdy za chwilę pójdzie posłuchać śpiewów mnichów podczas nocnego nabożeństwa; dziwne, że podobna rozrywka sprawia przyjemność człowiekowi głuchnacemu, ale Gaucher lepiej słyszy w gwarze. A wreszcie

wojak ten gustuje w sztukach pięknych; to się zdarza.

Hrabina de Beaumont, piękna młoda kobieta, zawsze z uśmiechem na ustach, ale nigdy w oczach, niesłuchanie się bawi: czy i w jaki sposób wybrnie z kłopotu ów olbrzym, za którego ją wydano, a który wiecznie jej dostarcza widowiska. Wygra, jest pewna, że wygra; Robert zawsze wygrywa. Ona zaś pomoże mu wygrać, ale nie słowem wypowiedzianym publicznie.

Filip de Valois, choć w pełni sprzyja Pani Angielskiej, jednak ją zdradzi, bo żona jego nienawidząc Izabeli już mu dała nauczkę i, jeśli on nie postąpi wedle jej wskazań, tej nocy po krzykach i scenach nie dopuści go do siebie. Długonosy zuch miesza się, waha, jąka.

Ludwikowi de Bourbon brak odwagi. Już się go nie posyła do walki, bo rzuca się do ucieczki. Żadna osobista więź nie łączy go z Izabelą.

Król jest słaby, lecz zdolny się zaciąć, jak pamiętnym razem, gdy przez cały miesiąc odmawiał stryjowi Karolowi de Valois nominacji na reprezentanta króla w Akwitanii. Raczej niechętny jest siostrze, bo śmieszne listy Edwarda, nieustannie słane, wreszcie swego dokonały; a przede wszystkim niechętny jest dlatego, że Blanka umarła i znów myśli o roli odegranej przez Izabelę wówczas, gdy przed dwunastu laty ujawniła skandal. Gdyby nie ona, nigdy by się nie dowiedział, i gdyby nie ona, przebaczyłby nawet wiedząc, aby zachować Blankę. Na co się zdało tyle okropności, rozpętanej niesławy, dni pełnych cierpień, aby się wreszcie zakończyło tym zgonem?

Klan wrogów Izabeli ogranicza się tylko do dwóch osób: Joanny Kulawej i Mahaut d'Artois, lecz mocno połączonych wspólną nienawiścią.

Przeto Robert d'Artois, człowiek najpotężniejszy po królu, a nawet pod wielu względami potężniejszy niż monarcha, Robert, którego zdanie zawsze przeważa, który rządzi całą administracją, wydaje rozkazy prewotom, bajlifom i seneszalom, nagle sam musi podjąć się obrony kuzynki.

Tak oto dzieje się z wpływami na dworach; są one osobliwym i zmiennym obrachunkiem nastrojów, podczas gdy warunki nieznacznie przekształcają się wraz z biegiem wypadków i całokształtem wchodzących w grę interesów. Łaska zaś nosi w sobie załączek niełaski. Nie, żadna niełaska nie zagraża Robertowi, ale Izabela naprawdę jest zagrożona. Jeszcze przed kilku miesiącami żalowano ją, była otoczona opieką, wielbiona, we wszystkim przyznawano jej rację, oklaskując miłość Izabeli jako piękny odwet, i oto na Radzie królewskiej ma tylko jedyne obrońcę. Zmusić zaś ją do powrotu do Anglii oznacza po prostu położyć jej głowę na szafocie w londyńskiej wieży. Ale nagle już nikt jej nie miłuje, zbyt jawnie triumfowała. Nikt nie chce narażać się w jej obronie, chyba Robert, lecz dla niego jest to jeszcze jeden front walki z Mahaut.

Ona zaś gotuje się do boju, do z dawna szykowanego ataku.

- Sire, najdroższy mój synu, wiem o miłości, jaką w swym sercu żywicie do siostry, miłość ta przynosi wam zaszczyt - mówi - lecz prawdzie trzeba spojrzeć w oczy. Izabela jest złą kobietą i wszyscy z powodu niej cierpimy, albo cierpielśmy. Spójrzcie, jaki przykład daje Waszemu dworowi, odkąd tu się znajduje, i pomyślcie, że ta sama kobieta ongiś obsypała

oszczerstwami moje córki i siostrę obecnej tu Joanny. Kiedy mówiłam waszemu ojcu... świeć Panie nad jego duszą... że ulega wpływom córki, czyż nie miałam racji? Wszystkich nas plamiła niecnymi myślami, które widziała w cudzych sercach, a gnieździły się one tylko w niej, jak wyraźne tego daje teraz dowody! Blanka była czysta i wiecie, że kochała was po ostatni dzień swego życia. Blanka zmarła w tym tygodniu! Była niewinna, córki moje były niewinne!

Gruby palec Mahaut, palec wskazujący, twardy jak kij, wzywa niebo na świadka. I chcąc sprawić przyjemność swej chwilowej sojusznicy, zwraca się do Joanny Kulawej i dorzucą:

- Twoja siostra była na pewno niewinna, moja biedna Joanno, wszystkich nas spotkało nieszczęście z powodu kalumnii Izabeli i krwawiło moje matczyne serce.

Jeśli będzie przemawiała nadal w tym stylu, zmusi do płaczu zebranych; lecz Robert już jej odrzuca:

- Wasza Blanka niewinna? Bardzo bym chciał, stryjno, ale w każdym razie to nie Duch Święty zapłodnił ją w więzieniu!

Król Karol Piękny krzywi się z niesmakiem. Zaprawdę Robert nie powinien był tego przypominać.

- Ależ to rozpacz popchnęła moją córeczkę! - krzyczy rozjuszona Mahaut. - Co miała do stracenia ta gołąbka splamiona kalumniami, osadzona w twierdzy i na poły szalona? Chciałabym wiedzieć, kto by się oparł podobnemu traktowaniu?

- Ja także byłem w więzieniu, stryjno, kiedy zięć wasz, Filip Długi, wtrącił mnie tam, żeby wam dogodzić. Jednakże nie zapłodniłem żony dozorczy ani też nie posłużyłem się klucznikiem jako małżonką, jak wygląda, że to się dzieje w naszej angielskiej rodzinie!

O! Konetabl poczyna się interesować debatą.

- A czy nic wam nie podszeptuje, bratanku, co tak lubicie oczerniać pamięć zmarłej, że moja Blanka została wzięta siłą? Można było w tymże więzieniu zadusić jej kuzynkę - mówi Mahaut, patrząc Robertowi prosto w oczy - można było zgwałcić i drugą! Nie, Sire; mój synu - ciągnie dalej znów zwracając się do króla - ponieważ wezwaliście mnie na Radę...

- Nikt was nie wzywał - mówi Robert - przyszłyście z własnej woli...

Lecz nie tak łatwo odebrać głos starej olbrzymce.

- ...radzę więc wam z matczynego serca, które nigdy dla was bić nie przestało, mimo to wszystko, co mogło mnie od was oddalić. Powiadam wam, Sire Karolu: wypędźcie siostrę waszą z Francji, bo za każdym razem, gdy tu powraca, Korona zaznaje nieszczęścia. W roku kiedy pasowano was na rycerza wraz z waszymi braćmi i z moim tu obecnym bratankiem, który musi o tym pamiętać, ogień zajął Maubuisson podczas pobytu Izabeli i mało brakowało, a bylibyśmy spłonęli! W następnym roku sprowadza ten skandal, który okrywa nas błotem i niesławą, a czyż zacna córka królewska, dobra dla braci siostra, choćby był cień w tym prawdy, czy nie powinna przemilczeć miast wszędzie rozgłaszać, przy pomocy Bóg wie kogo? A za panowania waszego brata Filipa, kiedy przyjechała do Amiens na hołd Edwarda, co się stało? Pastuszkowie spustoszyli królestwo! I teraz, odkąd wróciła, drzę cała! Bo oczekujecie dziecka i spodziewamy się chłopca,

ponieważ musicie obdarzyć Francję królem; więc szczerze wam radzę, Miłościwy Panie Synu, trzymajcie tę zwiastunkę nieszczęścia z dala od łona waszej małżonki!

Ha! Celnie napięła strzałę swej kuszy. Lecz Robert już się odcina:

- A kiedy umarł nasz kuzyn Kłótniwy, przezacna stryjno, gdzie była wówczas Izabela? Nie we Francji, o ile pamiętam. A kiedy syn jego, mały Jan Pogrobowiec, nagle skonał w waszych ramionach, w których go trzymałyście, przezacna stryjno, gdzie była Izabela? W komnacie Ludwika? Wśród zgromadzonych baronów? Może pamięć mnie zawodzi, ale jej nie widzę. Chyba, chyba że w waszej myśli nie zaliczacie obu tych zgonów do nieszczęść królestwa.

Łotrzyca ma do czynienia z wytrawniejszym łotrem. Niechże dwa słowa jeszcze wymienią, a oskarżą się wzajemnie o mordy!

Konetabl prawie od sześćdziesięciu lat zna tę rodzinę. Mruży żółtawe powieki i rzecze:

- Nie odbiegajmy od tematu i wróćmy do sprawy, która wymaga rozstrzygnięcia, Dostojni Panowie!

I coś brzmi w jego głosie, co przywodzi na myśl ton narad Króla z Żelaza.

Karol Piękny przesuwając dłoń po gładkim czole i mówi:

- A gdyby dla dania satysfakcji Edwardowi kazać panu Mortimerowi wyjechać z królestwa?

Joanna Kulawa zabiera głos. Mówi wyraźnie, nie nazbyt donośnie, ale słucha się jej chętnie po wielkich rykach, jakie wydawały oba byki z Artois.

- Byłby to czas i trud stracony - oświadcza. - Czy sądzicie, że nasza kuzynka rozstanie się z mężczyzną, który teraz jest jej panem? Jest mu zbyt oddana i duszą, i ciałem; tylko dlań oddycha. Albo nie zgodzi się na jego wyjazd, albo razem wyjadą.

Joanna Kulawa nie cierpi królowej Anglii, nie tylko ze względu na swą siostrę Małgorzatę, lecz i dlatego, że Izabela obnosi po Francji zbyt piękną miłość. Jednakże Joanna Burgundzka nie powinna się uskarżać, jej wielki Filip kocha ją naprawdę i na wszelkie sposoby, mimo że nie ma ona nóg równej długości. Ale wnuczka Ludwika Świętego chciałaby, aby ją jedyną na świecie miłowano. Nienawidzi cudzych miłości.

- Trzeba powziąć decyzję - powtarza konetabl.

Mówi to, ponieważ pora jest późna i, zaprawdę kobiety na tym zebraniu mówią nazbyt wiele.

Król Karol potakuje mu skinieniem głowy, a potem oświadcza:

- Jutro rano odwiezie się moją siostrę do portu Boulogne, aby tam wsiadła na statek i pod eskortą odstawi się do prawego małżonka. Tak postanawiam.

Powiedział: „tak postanawiam”, a zebrani patrzą po sobie; bo słowa te rzadko padają z ust Karola Słabego.

- Cherchemont - dorzuca - przygotujcie rozkaz dla eskorty, przypieczętuję moją małą pieczęcią.

Nic nie można dorzucić. Karol Piękny zaciął się; jest królem i czasem o tym pamięta.

Jedynie hrabina Mahaut pozwala sobie powiedzieć:

- To mądre postanowienie, Miłościwy Panie Synu.

Po czym rozstają się bez wylewnych życzeń dobrej nocy, z uczuciem, że uczestniczyli w niecej sprawie. Odsuwają krzesła, powstają, by ukłonem pożegnać odchodzącą parę królewską.

Hrabina de Beaumont jest rozczarowana. Sądziła, że Robert, jej małżonek, zwycięży. Patrzy na niego; on daje jej znak, aby odeszła do komnaty. Jeszcze słówko ma rzec Przewielebnemu Panu de Marigny.

Opuszczają salę: konetabl krokiem ciężkim, Joanna Burgundzka krokiem chromym, Ludwik de Bourbon również kulejąc. Wielki Filip de Valois z miną psa, który chybił zwierzynę, postępuje za żoną.

Przez chwilę Robert d'Artois szepce do ucha biskupa Beauvais, który splata i rozplata długie palce.

Po czym Robert wraca do swego apartamentu przez klasztorny wirydarz. Między dwoma kolumnkami siedzi jakaś postać; kobieta patrzy w noc.

- Słodkich marzeń, Dostojny Panie Robercie.

Głos ironiczny, a zarazem powolny należy do dwórki hrabiny Mahaut, Beatrycze d'Hirson; siedzi tu jakby zamyślona, czy na coś czeka? Na przejście Roberta; dobrze on o tym wie. Ona zaś powstaje, przeciąga się, sylwetka jej zarysowuje się w obramowaniu łuku, postępuje kołyszącym się ruchem jeden, dwa kroki, a szata jej ślizga się po kamieniu.

- Co tu robicie, gładyszko? - pyta ją Robert.

Nie odpowiada wprost, profilem wskazuje rozgwieżdżone niebo i mówi:

- Jaka piękna noc i żal samotnie zasypiać. Niełatwo sen przychodzi w tak gorącej porze...

Robert d'Artois zbliża się, aż niemal o nią ociera i spogląda z góry w podłużne oczy, które rzucają mu wezwanie i błyszczą w półmroku, po czym kładzie szeroką dłoń na zadku pannicy... a później nagle cofa się strzepując palce jakby się oparzył.

- Ejże, piękna Beatrycze - krzyczy ze śmiechem - szparko pędźcie ochłodzić w stawie poślądki, bo inaczej spłoniecie!

Brutalny gest, wulgarne słowa wstrząsnęły panną Beatrycze. Od dawna już czyha na okazję, by zdobyć olbrzyma; w tym dniu kiedy Dostojny Pan Robert będzie zdany na łaskę hrabiny Mahaut, ona, Beatrycze nareszcie zaspokoi swe pożądanie. Ale to jeszcze nie nastąpi dziś wieczorem.

Robert ważniejsze sprawy ma na głowie. Wraca do swego apartamentu, wchodzi do komnaty hrabiny, swojej żony, która podnosi się na łożu. Jest naga, sypia tak przez całe lato. Robert machinalnie głaszcze jej pierś - swoją małżeńską własność - jakby mówił: dobry wieczór. Pieszczota wcale nie podnieca hrabiny de Beaumont, lecz jest rozbawiona; zawsze się bawi widząc, że pojawia się mąż, i wyobrażając sobie, co za pomysły przychodzą mu do głowy. Robert d'Artois wali się na fotel; wyciąga olbrzymie nogi i złączywszy stopy od czasu do czasu podnosi je i opuszcza.

- Nie idziecie spać, Robercie?

- Nie, najmilsza, nie. Nawet was opuszczę, bo zaraz pędzę do Paryża, gdy tylko ci mnisi skończą śpiewać w kościele.

Hrabina uśmiecha się.

- Przyjacielu, czy nie sądzicie, że moja siostra de Hainaut mogłaby przez pewien czas gościć Izabelę i umożliwić jej przegrupowanie wojsk?

- Myślałem o tym, moja piękna hrabino, właśnie o tym myślałem.

W porządku. Pani de Beaumont pokrzepiła się, mąż jej jednak wygra.

Tej nocy nie tyle obrona Izabeli posadziła Roberta na konia, ile nienawiść do Mahaut. Łajdaczka chciała mu się przeciwstawić, zaszkodzić jego podopiecznym i odzyskać wpływ na króla? Zobaczymy, kto będzie miał ostatnie słowo.

Poszedł potrząsnąć pachołkiem Lormetem.

- Każ osiodłać trzy konie. Giermek, sierżant...

- A ja? - spytał Lormet.

- Nie, ty nie, ty wrócisz pospać.

Była to uprzejmość ze strony Roberta. Lata jeły ciążyć staremu współtowarzyszowi przestępstw, będącemu zarazem opiekunem, dusicielem i niańką. Lormet teraz miał oddech krótki i źle znosił mgłę o świcie. Zaklął. Jeżeli można się bez niego obejść, po co było go budzić? Lecz bardziej by zrzędził, gdyby musiał jechać.

Szybko osiodłano konie; giermek ziewał, uzbrojony sierżant dopinał pas.

- Na siodła - rzekł Robert - odbędziemy przechadzkę.

Wygodnie oparłszy się o łęk siodła czuwał, by jechać stępą, opuszczając opactwo przez podwórza gospodarze i warsztatowe. Po czym puścił się w cwał, gdy tylko dotarli do Morza Piasków, które rozciągało się między białymi brzoźkami, jasne, mieniące się, zjawiskowe, w sam raz krajobraz na złot wrózek. Dammartin, Mitry, Aulnay, Saint-Ouen: czterogodzinna przechadzka - zwalniali biegu od czasu do czasu, by odetchnąć, i zatrzymali się jedynie na krótki postój w oberży otwartej całą noc, gdzie popijali furmani wiozący warzywa.

Jeszcze nie świtało, a już przybyli do pałacu na Cite. Straż przepuściła pierwszego doradcę króla. Robert poszedł wprost do apartamentów królowej Izabeli wymijając śpiących w korytarzu pachołków, przeszedł przez pokój służebnic, które wrzasnęły, jak przestraszone ptactwo i zakrzyknęły: „Miłościwa Pani, Miłościwa Pani! Idą do was!”

Nocna lampka paliła się nad łóżem, gdzie Mortimer spał z królową.

„Więc po to, żeby mogli spać w swoich ramionach, pędziłem całą noc, odbijając sobie pośladki” - pomyślał Robert.

Gdy minęło zaskoczenie i zapalono świece, zapomnieli o skrępowaniu z racji pośpiechu.

Robert szybko wtajemniczył kochanków w postanowienia Rady w Chaâlis i wrogie im knowania. Przysłuchując się i pytając Mortimer przyodziewał się na oczach Roberta, całkiem zwyczajnie, jak zwykli czynić wojacy. Również nie zdawała się go krępować obecność kochanki, wyraźnie czuli się małżeństwem.

- Musicie zaraz wyjechać, zacni przyjaciele, oto moja rada - mówił Robert - i kierujcie się ku ziemiom Cesarstwa, aby się tam bezpiecznie schronić. Wy oboje z młodym Edwardem, i może Cromwellem, Alspayem i Maltraverssem - ale niewielu ludźmi, żeby nie zwalniać tempa - pędźcie do Hainaut, dokąd wyślę jeźdźca, który was wyprzedzi. Zacny hrabia Wilhelm

i brat jego, Jan, to dwaj wierni możni panowie, groźni dla wrogów, kochani przez przyjaciół. Hrabina, moja małżonka, ze swej strony poleci was swojej siostrze. Najlepsze to schronienie, jakie na razie możecie zdobyć. Nasz przyjaciel Kent, którego uprzedzę, dołączy się do was, zbaczając do Ponthieu, aby zebrać tam pozostawionych przez was rycerzy. A potem, wola Boska!... Będę czuwał, żeby Tolomei przysyłał wam nadal fundusze; zresztą nie może postępować inaczej, zanadto już z wami się związał. Pomnażajcie wasze zastępy, czyńcie wszystko, co się da, walczcie. Ach! chętnie bym z wami pojechał, gdyby Francja nie była tak łakomym kąsem, którego nie chciałbym wydawać na pastwę podłych zakusów mojej stryjny.

- Odwróćcie się, kuzynie, niech się odzieję - rzekła Izabela.

- To jakże, kuzyneczko, żałujecie nagrody? Ten łajdus Mortimer chce więc wszystko mieć dla siebie? - rzekł Robert spełniając jej życzenie. - Nie nudzi się on, ten chwata!

Tym razem te lubieżne aluzje nie zdawały się nikogo razić; a nawet tego rodzaju żarciki w tej dramatycznej chwili dodawały otuchy. Człowiek ów, uważany za nikkzemnika, był zdolny do dobrych odruchów, a jego bezwstydne słowa maskowały niekiedy pewną wstydlivość uczuć.

- Dziś zawdzięczam wam życie, Robercie - rzekła Izabela.

- Na warunkach wzajemności, na warunkach wzajemności! Nigdy nie wiadomo - odkrzyknął przez ramię.

Zobaczył na stole paterę z owocami przygotowaną dla kochanków na noc; wziął brzoskwinię i głęboko zanurzył zęby, aż złocisty sok oblał mu podbródek.

Rozgardiasz na korytarzach: giermkowie pędzili do stajni, posłańcy spieszyli do zamieszkałych w mieście angielskich panów, kobiety na gwałt domykały lekkie kufry, spakowawszy w nie najniezbędniejsze rzeczy; wielki ruch panował w tym skrzydle Pałacu.

- Nie jedźcie na Senlis - rzekł Robert z ustami zapchanymi dwunastą z kolei brzoskwinią - nasz zacny i Miłościwy Karol jest za blisko i mógłby wypuścić za wami pogoń. Jedźcie przez Beauvais i Amiens.

Krótko trwało pożegnanie; ledwie jutrzienka oświetliła smukłą wieżę Sainte-Chapelle, a już na podwórku stał poczet gotów. Izabela podeszła do okna; przez moment zatrzymało ją wzruszenie na widok tego ogrodu, rzeki i łoża, gdzie przeżyła najszcześniejsze chwile... Piętnaście miesięcy upłynęło od pierwszego ranka, gdy na tym samym miejscu oddychała cudownym zapachem wiosny, wiosny zakochanych. Ręka Rogera Mortimera spoczęła na jej ramieniu i usta królowej przesunęły się ku tej dłoni...

Wkrótce podkowy koni zadzwęczały na ulicach wyspy Cite, potem na moście Change i dalej, ku północy...

Dostojny Pan Robert poszedł do swej rezydencji. Gdy powiadomią króla o ucieczce siostry, upłynie tyle czasu, że już ona będzie poza zasięgiem; Mahaut zaś będzie musiała puścić sobie krew, żeby jej nie zalała... „Ach! Setna łajdaczka...” Robert mógł wreszcie pospać ciężkim snem wołu, aż do południowych dzwonów.





## CZĘŚĆ CZWARTA

# Okrutna kawalkada



### I

## Port Harwich

**M**ewy wrzaskliwym lotem okrążyły nawy zaopatrzone w maszty; czatowały na spadające w morze odpadki. Flota już dostrzegła szybko zbliżający się port Harwich, położony we wspólnym ujściu rzek Orwell i Stour, drewniane moło i szereg niskich domów.

Już dwa lekkie żaglowce przybiły do brzegu i kompania łuczników wysiadła z rozkazem zbadania, czy okolica jest spokojna; brzeg nie wyglądał na strzeżony. Na nabrzeżu panowało lekkie zamieszanie, ludność początkowo ściągnięta widokiem żaglowców, które nadciągały z pełnego morza, uciekła widząc lądujących żołnierzy, lecz niebawem uspokojona, znów się gromadziła.

Długa bandera, haftowana w lilie Francji i lwy Anglii, wieńcząca rogi masztu, płynęła ponad statkiem królowej. Za nim sunęło osiemnaście naw holenderskich. Na rozkaz kapitanów marynarze zwinęli żagle i długie wiosła, niby nagle rozwinięte pióra skrzydeł, wysunęły się z boków żaglowców, aby wspomóc manewr.

Na kasztelu przy rufie stała królowa angielska w towarzystwie syna, księcia Edwarda, hrabiego Kentu, lorda Mortimera, pana Jana de Hainaut oraz kilkunastu innych panów angielskich i holenderskich; patrzyła na manewry floty i spoglądała na rosnący brzeg swego królestwa.

Po raz pierwszy od czasu swej ucieczki Roger Mortimer nie nosił czarnych szat. Nie przywdział ciężkiej zbroi z zamkniętym hełmem, lecz zwykły lekki strój bojowy, hełm bez przyłbicy z przytwierdzoną doń stalową misiurką i kolczugą, na którą narzucił bojową czerwono-niebieską szatę zdobną w herby.

Królowa ubrała się podobnie; szczupłą, jasną twarz opinała stalowa siatka, spódnica opadała aż do ziemi, lecz pod nią, jak mężczyzna, włożyła nagolennice splecione z żelaznych kółek.

Młody książę Edward również wystąpił w bojowym stroju. W ostatnich miesiącach bardzo wyrósł i już po trosze przybierał męską postawę. Obserwował mewy, zdawało mu się te same - wydające te same chrypliwe



okrzyki, o chciwych dziobach - które otaczały flotę, gdy odpływała z ujścia Mozy.

Ptaki przypominały mu Holandię. Wszystko zresztą, szare morze, szare niebo zabarwione różowymi smużkami, ceglane domki na wybrzeżu, do którego wkrótce przybiją, zielony, falisty krajobraz popstrzony taflami wody, a rozciągający się za portem Harwich, to wszystko zgodnie nasuwało mu obraz pejzażu holenderskiego. Lecz gdyby nawet wpatrywał się w piaszczystą usianą kamieniami pustynię pod prażącym słońcem, siłą kontrastu wspominałby ziemie przynależne do Brabancji, Ostrevant i Hainaut, które niedawno opuścił. Bo goszcząc w Holandii Dostojny Pan Edward, diuk Akwitanii i dziedzic Anglii, w piętnastym, bez trzech miesięcy, roku życia już się zakochał.

A oto jak się to stało i jakie ważne wydarzenia wryły się w pamięć młodziutkiego księcia Edwarda.

Po opuszczeniu cichcem Paryża w ów wczesny ranek, gdy Dostojny Pan d'Artois tak nie w porę rozbudził Pałac, gnali na złamanie karku, by jak najspieszniej dotrzeć do ziem Cesarstwa, aż przybyli do pana Eustachego d'Aubercicourt, który wraz z żoną powitał gościnnie i uroczyście królową angielską oraz jej poczet. Ledwie nieoczekiwana kawalkada umieściła się i rozgościła jak najwygodniej w zamku, pan d'Aubercicourt skoczył na siodło, aby szybko uprzedzić zacnego hrabiego Wilhelma i jego żonę, stryjeczną siostrę królowej Izabeli, w ich stołecznym mieście Valenciennes. Tegoż jeszcze dnia nadjechał młodszy brat hrabiego, Jan de Hainaut.

Był to zabawny mężczyzna; nie z wyglądu, bo jak przystoi był zbudowany, twarz miał okrągłą, osadzoną na krzepkim cieple, oczy okrągłe, nad krótkim jasnym wąsikiem zaokrąglony nos; lecz zachowanie jego było osobliwe. Bo ledwie stanął przed królową, nawet nie zmieniwszy butów, przyklęknął na kamiennych płytach i z ręką na sercu zawołał:

- O Pani, otom wasz rycerz, gotów umrzeć za was, jeśli nawet wszyscy was zawiodą, i oddam wszystkie me siły, by z pomocą waszych przyjaciół odprowadzić was i Dostojnego Pana Waszego syna do Państwa Angielskiego. A wszyscy, których poproszę, oddadzą za to swe życie i będziemy mieli dostatek zbrojnych, jeśli Bóg pozwoli.

W podzięcie za tak niespodziewaną pomoc królowa wykonała ruch, jakby chciała przed nim uklęknąć; lecz pan Jan de Hainaut przeszkodził, schwytał ją w ramiona i wciąż ściskając i dysząc prosto w twarz mówił dalej:

- Oby Bóg nie dopuścił, żeby kiedykolwiek królowa Anglii miała przed kimkolwiek się kłonić. Pokrzepcie się wraz ze swym szlachetnym synem, Miłościwa Pani, bo mego przyrzeczenia dotrzymam.

Lord Mortimer trochę zaczął się krzywić, uważał bowiem, że pan Jan de Hainaut nieco zbyt skwapliwie służy damom swym mieczem. Zaprawdę, mąż ów miał się za prawdziwego Lancelota z Jeziora, bo nagle oświadczył, że nie ścierpi noclegu pod jednym dachem z królową, aby jej nie okryć niesławą, jakby nie dostrzegał wokół niej co najmniej sześciu baronów! Świątoszkowato udał się na spoczynek w sąsiednim opactwie, aby nazajutrz rankiem, po mszy i wypitce, przybyć po królową i odwieźć ją

wraz z całym orszakiem do Valenciennes.

Ach! Co za wspaniali ludzie ten hrabia Wilhelm Dobry, jego małżonka i cztery córki, zamieszkali w białym zamku! Hrabia i hrabina tworzyli szczęśliwe stadło; widziało się to po ich twarzach, słyszało w każdym słowie. Młody książę Edward cierpiał od dzieciństwa na widok niesnasek między rodzicami, patrzył przeto z uwielbieniem na parę tak zgodną we wszystkich sprawach i tak sobie życzliwą. Jakież szczęście miały cztery młode księżniczki z Hainaut, że się urodziły w takiej rodzinie!

Dobry hrabia Wilhelm oddał się na usługi królowej Izabeli, jednakże w mniej wymowny sposób niż brat, a także i roztropniej, aby nie ściągnąć gromów króla Francji czy papieża.

Natomiast nie szczędził się pan Jan de Hainaut. Pisał do wszystkich znajomych rycerzy, zaklinając ich na honor i przyjaźń, aby dołączyli się do wyprawy i ślubu, który złożył. Narobił tyle wrzawy w Hainaut, Brabancji, Zelandii i Holandii, że wprowadził w niepokój hrabiego Wilhelma; przecie pan Jan zwołuje wszystkie w państwie wojska, całe rycerstwo. Wzywał go więc do pomiarkowania, lecz ów o niczym nie chciał słyszeć.

- Panie bracie - mówił - jedną mi śmiercią umierać, zależy ona od woli Pana Naszego; przyrzekłem tej szlachetnej pani, że ją odprowadzę aż do jej królestwa. I tak uczynię, choćbym miał zginąć, bo każdy rycerz winien wiernie wspomagać wszystkie damy i dziewice wygnane i w potrzebie, skoro go o to proszą!

Wilhelm Dobry obawiał się również o swój Skarb, bo należało opłacić tych wszystkich rycerzy, którym polerowano zbroje, lecz w tej materii uspokoił go lord Mortimer, czerpał on - jak się zdawało - dość pieniędzy z banków lombardzkich, aby utrzymać tysiąc kopii.

Przez trzy miesiące przeto przebywali w Valenciennes, wiodąc dworne życie, podczas gdy Jan de Hainaut co dzień oznajmiał o dołączeniu się jakiegoś znacznego pocztu, to pana Michała de Ligne lub pana de Sarre, to rycerza Ulfarta de Ghistelles lub Parsifala de Semeris albo Sancha de Boussoy.

Jak wspólna rodzina odbyli pielgrzymkę do kościoła w Sebourg, gdzie spoczywały relikwie Świętego Druona, wielce czczzonego, odkąd dziadek hrabiego Wilhelma, Jan d'Avesnes, który cierpiał był na bolesną kamice, został tam uzdrowiony.

Druga z czterech córek hrabiego Wilhelma, Filipa, od razu spodobała się młodemu księciu Edwardowi. Była ruda, pulchna, piegowata z szeroką twarzą i już wypukłym brzuszkiem; prawdziwa, mała Valois, lecz zabarwiona Brabancją. Oboje młodzi byli doskonale dobrani wiekiem; i niespodziewanie ujrzano, że książę Edward, który był milczkiem, przebywał, ile mógł, przy grubiotkiej Filipie i rozmawiał z nią i coś opowiadał, całymi godzinami mówił... Owa skłonność nie uszła niczyjej uwadze; milczkowie nie potrafią udawać, gdy tylko porzucą milczenie.

Przeto królowa Izabela i hrabia de Hainaut doszli rychło do zgody, iż należy zaręczyć ich dzieci, które ukazują ku sobie tak wielką skłonność. Tym sposobem Izabela umacniała niezbędne przymierze, a hrabia de Hainaut z chwilą, gdy córka jego miała zostać w przyszłości królową Anglii, widział tylko korzyści w wypożyczaniu swych rycerzy. Mimo

stanowczych zakazów króla Edwarda II, który wzbroniał synowi zaręczać się lub zgadzać się na zaręczyny bez jego zgody,<sup>41</sup> już zwrócono się do Ojca Świętego z prośbą o dyspensę. Zaprawdę wydawało się, że zapisane zostało w losie, aby książe Edward ożenił się z Valois! Przed trzema laty ojciec jego odmówił dłoń ręki jednej z najmłodszych córek Dostojnego Pana Karola; błogosławiona odmowa, ponieważ obecnie młodzieniec mógł się połączyć z wnuczką owegoż Dostojnego Pana Karola i to z tą, która mu się podobała.

Natychmiast wyprawa przybrała w oczach księcia Edwarda nowe oblicze. Jeśli uda się lądowanie, jeśli stryj Kent i lord Mortimer z pomocą kuzyna de Hainaut zdołają wypędzić nikczemnych Despenserów i zamiast nich rządzić przy boku króla, ów będzie zmuszony zgodzić się na to małżeństwo.

Zresztą już się nie kryto, rozprawiając w obecności młodzika o zwyczajach jego ojca; przepelniały go one grozą i wstrętem. Jak mężczyzna, rycerz, król mógł w podobny sposób zachowywać się wobec pana ze swego dworu. Książe postanowił: kiedy z kolei on wstąpi na tron, nigdy nie zezwoli na podobną ohydę wśród baronów i wraz ze swą Filipą dadzą przykład prawdziwej, pięknej i wiernej miłości między mężczyzną a kobietą, królową a królem. Owa okrągła, ruda i tłusciutka osóbką, już bardzo kobieca, wydawała mu się najpiękniejszą na świecie panną i miała krzepiący wpływ na diuka Akwitanii.

Przeto młodzik miał walczyć o swe prawo do miłości i to usuwało wyrzuty sumienia, że idzie na wojnę przeciw własnemu ojcu.

Tak więc minęły trzy miesiące szczęścia, niewątpliwie najpiękniejsze, jakie dotąd książe Edward przeżył.

Zbiórka Henuńczyków, tak bowiem zwali się rycerze z Hainaut, odbyła się w Dordrechcie nad Mozą; było to ładne miasto dziwacznie pocięte kanałami o licznych basenach, gdzie każda ulica lądowa jakby przeskakiwała nad wodną ulicą, a statki ze wszystkich mórz oraz płaskie, nie ożaglowane barki, płynące każdą rzeką, przystawały tuż przed kościelnymi placzkami. Miasto kwitło handlem i bogactwem, feudałowie przechadzali się po nabrzeżu wśród pak z bawełną i skrzyń z korzeniami, gdzie zapach ryb świeżych i solonych unosił się wokół hal, gdzie na ulicy majtkowie i tragarze zajadali piękne, złociste sole gorące, tylko co wyciągnięte z wrzącego tłuszczu, zakupione na straganach, lud zaś wychodząc po mszy z potężnej ceglanej katedry gapił się na nigdy dotąd nie oglądane ogromne wojenne skupisko, które stało przed ich domami! Maszty statków kołysały się wyżej niż wznosiły dachy.

Ileż pochłonął czasu, wysiłków i krzyków załadunek na statki, okrągłe jak saboty, w które była obuta Holandia, całego sprzętu dla jazdy: skrzyń z bronią, kufrów ze zbrojami, żywności, kuchen, pieców i kuźni po jednej na chorągiew oraz setki ludzi, a także przynależnych do nich kowadeł, miechów i młotów! Następnie należało załadować wielkie konie flandryjskie, ciężkie kasztany o potężnych nogach, maści w słońcu niemal czerwonej i jaśniejszych, bardziej płowych, o rozwianych grzywach i ogromnych, muskularnych, jedwabistych zadach, prawdziwe rumaki dla rycerzy, takiego konia można okulbaczyć siodłem z wysokimi lękami,

osłonić żelaznym kropierzem, i wsadzić nań męża w zbroi - prawie czterysta funtów uniesie cwałem!

Liczono przeszło tysiąc tych koni, bo dotrzymując obietnicy pan Jan de Hainaut zwołał tysiąc rycerzy, którym towarzyszyli giermkowie, słudzy i ciury, czyli razem dwa tysiące siedemset pięćdziesięciu siedmiu ludzi na żołdzie wedle rejestrów Gerarda Alspaya.

Na każdym statku kasztel przy rufie służył za apartament dla możnych panów biorących udział w wyprawie.

Rozwinąwszy żagle rankiem 22 września, aby wykorzystać najsilniejsze prądy w porze zrównania dnia z nocą, cały dzień żeglowano Możą i wreszcie zarzucono kotwice przy holenderskich groblach. Wrzaskliwe mewy krążyły wokół naw. Nazajutrz flota śmigła ku pełnemu morzu. Pogoda wydawała się piękna; lecz oto pod wieczór zerwał się niepomyślny wiatr, z którym statki z trudem walczyły na morzu wzburzonym bałwanami; cała wyprawa cierpiała z powodu choroby i wielkiego strachu. Rycerze wymiotowali za burtę, jeśli tylko zdołali się do niej dowlec. Nawet załoga czuła się źle, a konie objijając się w stajniach między pokładami zionęły okropnym smrodem. Burza przeraża bardziej nocą niż dniem. Jałmużnicy jęli wznosić modły.

Pan Jan de Hainaut dokazywał cudów odwagi i pokrzepiał królową Izabelę, nawet nieco za gorliwie, bo w pewnych warunkach męska skwapliwość może damom nie dogadzać. Królowa doznała jakby ulgi, gdy z kolei zachorował i pan de Hainaut.

Jedynie lord Mortimer zdawał się niewrażliwy na burzliwą pogodę, bo zazdrośnicy ponoć nie cierpią na morską chorobę. Natomiast, skoro zaświtało, baron Maltravers przedstawiał sobą żaloszny widok. Z twarzą dłuższą i bardziej żółtą niż zazwyczaj, włosami opadającymi na uszy, w poplamionej bojowej szacie, siedział rozkraczony, oparty o zwój lin i jęczał przy każdej fali, jakby mu ona przynosiła zgon.

Wreszcie z łaski wielce szlachetnego świętego Jerzego morze się uspokoiło i wszyscy mogli się jako tako oporządzić. Później majtkowie w bocianich gniazdach rozpoznali brzegi Anglii ledwie o kilka mil na południe od miejsca, gdzie zamierzano lądować; marynarze skierowali się do portu Harwich, do którego teraz dobijano, i nawa królewska uniósłszy wiosła już ocierała się o drewniane molo.

Młody książę Edward Akwitański rozmarzony patrzył wokół poprzez długie jasne rzęsy, bo na cokolwiek padł jego wzrok, a było okrągłe, rude i różowe, a więc obłoki, pędzone wrześnieją bryzą, obniżone i wydęte żagle na ostatnich statkach, zady flandryjskich kasztanów, policzki pana Jana de Hainaut, wszystko nieuchronnie mu przypominało Holandię, krainę jego miłości.

Stawiając stopę na brzegu Harwich, Roger Mortimer czuł się całkiem podobny do swego praszczura, który przed dwustu sześćdziesięciu laty wylądował na ziemi angielskiej u boku Zdobywcy... Widać to było po jego twarzy, głosie i zachowaniu, gdy ujmował w garść dowództwo.

Dzielił kierownictwo wyprawą na równi z Janem de Hainaut; podział na pozór słuszny, Mortimer bowiem posiadał za sobą tylko swą zacną sprawę,

kilku panów angielskich i pieniądze Lombardów, natomiast ów wiódł na wojnę dwa tysiące siedmuset pięćdziesięciu siedmiu ludzi. Mortimer jednakże uważał, że władza Jana de Hainaut winna obejmować tylko organizację i zaopatrzenie oddziałów, podczas gdy on zamierzał zachować całkowitą odpowiedzialność za tok działań wojennych. Natomiast hrabia Kentu jakby mało się troskał o marsz naprzód; bo mimo otrzymanych pomyślnych wiadomości część rycerstwa trwała nadal wiernie przy królu Edwardzie, zaś oddziałami królewskimi dowodził marszałek Anglii, hrabia Norfolku, czyli rodzony brat Kenta. Co innego zaś buntować się przeciw przyrodniemu bratu, starszemu o dwadzieścia lat, a który okazał się na dobitkę złym królem, a zupełnie co innego dobywać miecza na ukochanego brata, tylko o rok starszego.

Mortimer szukając informacji posłał najpierw po lorda-burmistrza Harwicu. Czy wie on, gdzie się znajdują zastępy królewskie? Gdzie leży najbliższy zamek, gdzie można by zaofiarować gościnę królowej podczas lądowania ludzi i wyładowywania statków?

- Przybyliśmy tutaj - oświadczył Mortimer lordowi-burmistrzowi - aby wspomóc króla Edwarda w pozbyciu się niecnym doradców, pod rządami których jęczy królestwo oraz przywrócić należne królowej miejsce. Żywimy więc zamiary w pełni zgodne z wolą baronów i całego ludu Anglii.

Oto co na każdym postoju krótko i dobitnie powtarzał Roger Mortimer, aby wyjaśnić ludziom, których mógłby zaskoczyć najazd obcej armii.

Lord-burmistrz, starzec o siwych rozwianych włosach, drżał w swych szatach nie tyle z chłodu, ile ze strachu i zdawał się nie posiadać żadnych wiadomości. Król, król?... Powiadano, że jest w Londynie, chyba że byłby w Portsmouth... W każdym razie w Portsmouth miała się zgromadzić wielka flota, ponieważ w ubiegłym miesiącu wydano rozkaz wszystkim statkom, aby się tam kierowały, żeby zapobiec napaści Francuzów; to wyjaśnia, dlaczego tak mało statków przebywa w porcie.

W danej chwili lord Mortimer nie omieszkiał okazać pewnej dumy, zwłaszcza zaś wobec pana de Hainaut. Sprytnie bowiem rozgłaszał za pośrednictwem wysłanników, iż zamierza lądować na wybrzeżu południowym; fortel udał się w pełni. Lecz i Jan de Hainaut miał powód do dumy, bo holenderscy marynarze utrzymali kurs pomimo burzy.

Okolica nie była strzeżona; lord-burmistrz nie słyszał o jakichkolwiek ruchach wojsk w pobliżu ani też nie otrzymał żadnych poleceń prócz zwykłego nadzoru. Gdzie stacjonować? Lord-burmistrz zaproponował opactwo Walton, objeżdżając zalew, o trzy mile na południe. W głębi duszy bardzo pragnął przerzucić na mnichów troskę o pobyt gości.

Należało sformować ochronną eskortę dla królowej.

- Ja obejmę dowództwo! - wykrzyknął Jan de Hainaut.

- A lądowanie waszych Henuęczyków, panie - rzekł Mortimer - kto będzie nad nim czuwał? Ile czasu ono zajmie?

- Trzy pełne dni, by stanęli w ordynku do wymarszu. Pozostawię ich pod nadzorem Filipa de Chasteaux, przełożonego moich giermków.

Największa troska Mortimera wiązała się z tajnymi posłańcami, których wysłał był z Holandii do biskupa Orletona i hrabiego Lancastera. Czy

dotarli do nich, czy na czas uprzedzili? A gdzie ci dwaj obecnie się znajdują? Przez mnichów niewątpliwie można by się dowiedzieć i wysłać jeźdźców, którzy pędząc od klasztoru do klasztoru dotrą aż do obu wodzów wewnętrznego ruchu oporu.

Władczy, na pozór spokojny Mortimer kroczył po głównej ulicy Harwich obrzeżonej niskimi domami; wracał niecierpliwiąc się, czy szykuje się eskorta, schodził do portu, by przyspieszyć wyładunek koni, powracał do oberży „Pod Trzema Czarkami”, gdzie królowa i książę Edward czekali na wierzchowce. Na tej samej drodze, po której on stapał, w ciągu kilku wieków będzie się toczyła historia Anglii.<sup>42</sup>

Wreszcie eskorta stanęła w szyku; przybyli rycerze i ustawili się czwórkami na czele pochodu, zajmując całą szerokość High Street. Pachołkowie podbiegali do koni, by dopiąć ostatnie kółko u kropierza; przed wąskimi oknami kołysały się kopie; miecze pobrzękiwały o nakolanka.

Podsadzono królową na rumaka, a później kawalkada ruszyła przez pagórkowate wsie, gdzie widniały rzadko rozsiane drzewa, niziny zalewane morzem i nieliczne domy kryte strzechami. Za niskimi żywopłotami owce o gęstym runie szczypały trawę wokół słonawych kałuż. Kraj na ogół dość smutny, spowity w mgłę nad wybrzeżem. Lecz Kent, Cromwell, Alspaye, garść Anglików, a nawet Maltravers, mimo że jeszcze chory, patrzyli na krajobraz, patrzyli po sobie i łyzy im lśniły w oczach. Ta ziemia to wreszcie Anglia!

Nagle, z powodu wiejskiego konia, który wysunął łeb nad stajenną przegrodą i zarżał na widok kawalkady, Roger Mortimer uczuł, że ogarnia go wzruszenie, wywołane powrotem do kraju. Tak długo czekał na tę radość i jeszcze jej nie odczuwał, bo tyle miał w głowie poważnych trosk i decyzji do powzięcia, aż spotkała go ona tutaj, na szczerej wsi, ponieważ angielski koń zarżał do koni z Flandrii.

Trzy lata oddalenia, trzy lata tułaczki, oczekiwania i nadziei! Mortimer ujrzał się takim, jakim był w noc swej ucieczki z Tower: przemoczony płynął w barce środkiem Tamizy, by dotrzeć do konia na drugim brzegu. A teraz powracał ze swym herbem wyhaftowanym na piersi i z tysiącem kopii, które mają podtrzymać go w walce. Wracał jako kochanek królowej, o której tak gorąco marzył w więzieniu. Życie wydaje się niekiedy snem, jaki się ongiś wyśnił, i dopiero wtedy można rzec, że człowiek jest szczęśliwy.

W odruchu wdzięczności i chcąc się podzielić uczuciem zwrócił wzrok ku królowej Izabeli, ku ujętemu w stalową siatkę pięknemu profilowi z okiem błyszczącym jak szafir. Lecz Mortimer ujrzał, że pan Jan de Hainaut, który jechał po drugiej stronie królowej, również na nią patrzył, i radość jego raptem zgasła.

Wydało mu się, że ongiś już widział ten obraz, przeżył tę chwilę i głęboko go to poruszyło, bo zaprawdę mało wrażeń wzbudza większy niepokój niż rozpoznanie drogi, którą nigdy się nie szło. A później przypomniał sobie drogę do Paryża, dzień gdy wyjechał witać Izabelę po jej przybyciu i wspomniał Roberta d'Artois jadącego obok królowej jak teraz Jan de Hainaut.

Usłyszał słowa królowej:

- Panie Janie, tak wiele wam zawdzięczam, a przede wszystkim to, że jestem tutaj.

Mortimer zmarszczył czoło, stał się posepny, szorstki, wyniosły w ciągu reszty drogi, a nawet gdy dojechali do mnichów w Walton, gdzie się wszyscy rozgościli, jedni w budynku opactwa, inni w gospodzie, a większość zbrojnych w stodołach. Wreszcie królowa Izabela, odchodząc wieczorem z kochankiem, zapytała go:

- Lecz co z wami się stało pod koniec dnia, miły Mortimerze?

- Sądziłem, Miłościwa Pani, że uczciwie służę mojej królowej i przyjaciółce.

- A kto wam rzekł, piękny panie, że tego nie czynicie?

- Myślałem, Miłościwa Pani, że to mnie zawdzięczacie swój powrót do królestwa.

- Ale kto mniemał, że go wam nie zawdzięczam?

- Wy sama, Miłościwa Pani, wy sama, gdy przy mnie to oświadczyłyście panu de Hainaut, składając mu za wszystko podziękowanie.

- Och! Mortimerze, słodki mój przyjacielu - zawołała królowa - jak was obraża każde słowo! Zaprawdę cóż złego w podziękowaniu temu, komu się ono z grzeczności należy?

- Obrażam się za to, co istnieje - odparł Mortimer - obrażam się za słowa jak i za spojrzenie, które spodziewałem się, że winnyście wiernie kierować tylko ku mnie. Jesteście zalotnicą, Miłościwa Pani, a tego nie oczekiwałem. Zalecacie się!

Królowa była znużona. Trzy dni na wzburzonym morzu, niepokój o wielce przypadkowe lądowanie, a wreszcie ta czteromilowa jazda wystawiły ją na dostateczną próbę. Czy wiele istnieje kobiet, które by tyle zniosły nie utyskując, nie sprawiając nikomu kłopotu? Spodziewała się raczej pochwały za odwagę, a nie wyrzutów zazdrości.

- Pytam was, przyjacielu, jakaż to zalotność! - rzekła niecierpliwie. - Czysta miłość, jaką mi ślubował pan de Hainaut, może pobudzać do śmiechu, ale wypływa z dobrego serca; prócz tego nie zapominajcie, że zawdzięczamy jej zastępy, które nam towarzyszą. Ścierpcie więc, że nie zachęcając go cokolwiek mu się odwzajemnić, bo policzcie naszych Anglików i jego Henuęczyków. Również i za was uśmiecham się do tego męża, który was tak wielce drażni!

- Źle postępując zawsze się znajduje słuszne racje. Zgadzam się, że pan de Hainaut służy wam z wielkim oddaniem, lecz nie aż tak wielkim, by odmawiał złota, którym się go opłaca. Nie ma więc żadnej potrzeby, byście go obdarzały tak czułymi uśmiechami. Czuję się za was upokorzony widząc, że spadacie z piedestału czystości, na którym was umieściłem.

- Zdaje się, że nie zraniło was, przyjacielu Mortimerze, w dniu gdy spadłam z owego piedestału czystości w wasze ramiona.

Była to ich pierwsza kłótnia. Czy winna była wybuchnąć właśnie tego dnia, którego tak oczekiwali, łącząc wspólne wysiłki w ciągu tylu dni?

- Przyjacielu - łagodniej dorzuciła królowa - czy ten wielki gniew, który was ogarnia, nie wynika z tej przyczyny, że teraz będę bliżej mego małżonka i kochać się nam będzie trudniej?

Mortimer pochylił czoło przecięte linią gęstych brwi.

- W istocie, Miłościwa Pani, sądzę, że teraz, gdy już jesteście we własnym królestwie, winniśmy spać oddzielnie.

- Właśnie o to chciałam was prosić, słodki przyjacielu - odpowiedziała Izabela.

Przekroczył próg komnaty. Nie ujrzy płaczącej kochanki. Gdzie też uszły szczęśliwe francuskie noce?

W korytarzu opactwa Mortimer spotkał młodego księcia Edwarda; niósł on świecę, która oświetlała mu szczupłą białą twarz. Czy przyszedł na przeszeptki?

- Jeszcze więc nie śpicie, Milordzie? - spytał go Mortimer.

- Nie, szukałem was, Milordzie, by prosić o przysłanie waszego sekretarza... W wieczór mego powrotu do królestwa chciałbym przesłać list do Pani Filipy...







## II

### Godzina światła

„**D**o Wielce Zaczego i Wielce Moźnego Pana Wilhelma, hrabi na Hainaut, Holandii i Zelandii.

*Najdroższy i Umiłowany Bracie, polecam was opiece Boga i pozdrawiam.*

*Oto jeszcze ustawialiśmy w szyku nasze chorągwie w porcie morskim Harwich, a królowa gościła w opactwie Walton, gdy doszła nas dobra wiadomość, że Dostojny Pan Henryk Lancaster, kuzyn króla Edwarda, tutaj powszechnie zwany lordem Krzywoszyjkiem z powodu szyi w poprzek osadzonej, spieszy na nasze spotkanie z wojskami baronów i rycerzy oraz zacieężnych z ich włości, a z nim kroczą lordowie biskupi Herefordu, Norwichu i Lincolnu, aby się oddać na usługi królowej, mojej Damie Izabeli. Zaś Dostojny Pan Norfolk, marszałek Anglii, także się zapowiedział, również w takich zamiarach na czele swych walecznych zastępów.*

*Nasze chorągwie oraz lordów Lancastra i Norfolka spotkały się na placu zwanym Bury-Saint-Edmonds, gdzie owegoż dnia i na onychże ulicach odbywał się targ.*

*Nastąpiło szumne spotkanie, któregom nie w stanie odmalować. Rycerze zeskakiwali z rumaków i poznając się obejmowali w uściskach. Dostojni Panowie Kent i Norfolk z piersią na piersi wylewali łzy jak prawdziwi bracia, nadto długo ze sobą rozłączeni, pan Mortimer także się witał z biskupem Herefordu, Dostojny Pan Krzywoszyjek całował policzki księcia Edwarda i wszyscy podbiegli do konia królowej, aby ją uczcić i przycisnąć usta do frędzli jej szaty. Choćbym miał przybyć do królestwa Anglii, by jedynie zobaczyć tyle radości i wesela otaczających moją Damę Izabelę, czułbym się dość wynagrodzony za me trudy. Zwłaszcza że lud z Saint-Edmonds, porzucając drób i warzywa wystawione na stołach, złączył się z powszechną radością i ustawicznie napływali mieszkańcy z okolicznych wsi.*

*Królowa dwornie przedstawiła mnie angielskim panom i wielce chwaliła, a później wyróżniało mnie moich tysiąc kopijników z Holandii i byłem dumny, Umiłowany Bracie, z wspaniałej postawy naszych rycerzy wobec tych panów zza morza.*

*Królowa również nie omieszkała oświadczyć wszystkim swym krewniakom i stronnikom, że dzięki staraniom lorda Mortimera powróciła z tak mocnym wsparciem; wielce chwaliła zasługi Dostojnego Pana Mortimera i zalecała, aby we wszystkim stosować się do rad jego. Nadto moja Dama Izabela nie wydaje żadnego nakazu, wprzódy z nim się nie naradziwszy. Kocha go i z tym się nie kryje; aliści może to być jedynie czysta miłość, mimo tego, co poszeptują języki, zawsze gotowe szkalować, bo gdyby było inaczej, więcej by troski wkładała w symulację; wiem także*

*dobrze ze spojrzeń, jakimi mnie obdarza, że nie umiałyby na mnie tak patrzeć, gdyby swej czci nie zachowała. W Walton cokolwiek obawiałem się, że przyjaźń ich z niewiadomych mi przyczyn nieco ostygła, lecz wszystko wskazuje, że tak nie jest, z czego się raduję, bo przystoi, aby miłowano moją Damę Izabelę za jej piękne i szlachetne przymioty; pragnąłbym także, aby każdy okazywał jej miłość taką, jaką ja jej ślubowałem.*

*Wielebni Panowie biskupi przywieźli ze sobą dosyć funduszy i przyrzekli, że ponadto je otrzymają ze zbiórek w ich diecezjach, a to mnie pokrzepiło w materii żołdu naszych Henuęńczyków, bom się obawiał, by nie wyczerpała się za rychło lombardzka pomoc panu Mortimerowi. To, co wam opowiadam, działo się dnia dwudziestego ósmego września.*

*Po czym ruszyliśmy pochodem, a był to marsz triumfalny przez miasto Neuf-Market, obfitujące w liczne oberże i kwatery, oraz przez szlachetne miasto Cambridge, gdzie wszyscy prawią po łacinie - aż dziw bierze - a liczy ono więcej kleryków w jednym tylko kolegium, niż wy zdolalibyście zebrać w całym waszym Hainaut. Powitania ludu, a i możnych panów, wskazywały nam, że król zgoła nie jest miłowany, zaś jego niecni doradcy pograżyli go w nienawiść i pogardę; przeto witano nasze chorągwie okrzykiem „Wybawcy!”*

*Nie przykrzy się naszym Henuęńczykom - wedle tego, co powiada pan Henryk Krzywoszyjek, który, jak widzicie, posługuje się wdzięcznie językiem francuskim, a z owego powiedzenia, gdy dotarło ono do mych uszu, śmiałem się do rozpuku przez cały kwadrans i jeszcze się śmieję za każdym razem, gdy o nim myślę! Angielskie dziewczęta są przychylnie naszym rycerzom, co się przyczynia, by ich utrzymać w dziarskich humorach. Ja zaś, gdybym poswawolił, dałbym zły przykład i straciłbym należną powagę, którą winien posiadać wódz, by w razie potrzeby przywołać do porządku swe zastępy. A później wzbrania mi tego ślub złożony mej Damie Izabeli i, gdybym mu uchybił, mógłbym narazić na niepowodzenie los całej naszej wyprawy. Tak się przeto dzieje, że nocki mi nieco doskwierają, ale że jazdy trwają długo, sen ode mnie nie ucieka. Myślę jednak, że powróciwszy z tej przygody chyba się ożenię.*

*Wracając do materii małżeństwa winienem was zawiadomić, Drogi Bracie, a także moją Drogą Siostrę hrabinę, Waszą Małżonkę, że Dostojny Pan Edward Młody wciąż żywi te same uczucia względem Waszej córki Filipy i dzień nie mija, aby nie pytał o wiadomości o niej, a wszystkie jego serdeczne myśli nadal się ku niej kierują, zacne a pożyteczne zrekowiny zawarłicie, które - pewien jestem - przyniosą córce Waszej trwałe szczęście. Przyjacielskim uczuciem związałem się z młodym księciem Edwardem, który zdaje się mnie podziwiać, acz mówi mało; często zachowuje się jak milczek, podobnie jak - wedle waszych słów - wspaniały król Filip Piękny, jego dziadek.*

*Może się zdarzyć, że pewnego dnia zostanie on równie wielkim monarchą, jak był nim król Piękny, a może nawet i przed czasem, jaki winien odczekać, Bóg go obdarzy koroną, jeśli mam wierzyć w to, co się prawi na Radzie angielskich baronów. - Król Edward bowiem nędznie wygląda wobec tego, co mu się przydarzyło. Gdy wylądowaliśmy przebywał*

w Westmoustiers i wnet się schronił do swej londyńskiej wieży, by ustrzec swe ciało; i kazał ogłosić rozkaz szeryfom - rządzącym hrabstwami w jego królestwie - a także we wszystkich miejscach publicznych, na placach, jarmarkach i rynkach, który to rozkaz tu przepisuję:

»Zważywszy, że Roger Mortimer oraz inni zdrajcy i wrogowie króla i królestwa gwałtem wylądowali na czele obcych wojsk i chcą obalić władzę królewską, król nakazuje wszystkim swym poddanym, aby stawiali im opór wszystkimi sposobami oraz ich zniszczyli. Jedyne winni oszczędzić królową, syna jej i hrabiego Kentu. Wszyscy ci, którzy chwycą za broń przeciw najeźdźcy, otrzymają pokaźny żołd, ktokolwiek zaś przyniesie królowi trupa Mortimera albo jego głowę, temu przyrzekamy nagrodę w wysokości tysiąca funtów sterlingów...«

Nikt nie dał posłuchu rozkazom króla Edwarda; lecz bardzo się one przysłużyły Dostojnemu Panu Mortimerowi, bo pokazując cenę, na jaką szacuje się jego życie, wyznaczyły go naszym wodzem, bardziej niż jest nim w istocie. W odpowiedzi królowa przyrzekła dwa tysiące funtów sterlingów temu, kto jej przyniesie głowę Hugona Despensiera Młodszego, tą ceną oszacowując krzywdy, które jej ów pan wyrządził, zabierając jej miłość małżonka.

Londyńczycy pozostali nieczuli na obronę króla, który aż do końca upierał się przy swych błędach. Roztropność nakazywała mu wygnać jego Despensiera, który tak dobrze zasłużył na imię, jakie nosi<sup>43</sup>, lecz król Edward zaciął się, by go zachować; mówiąc, iż pouczyło go aż nazbyt niegdysiejsze doświadczenie, iż podobnie ongiś działo się z rycerzem de Gaveston, którego zgodził się od siebie oddalić, a co nie przeszkodziło w następstwie zabiciu owego rycerza i wymuszeniu na nim, królu, zgody na przywileje, radę rządzącą, której się pozbył z aż nazbyt wielkim trudem. Despensier utwierdzał go w tym postanowieniu i - jak się opowiada - wylali wiele łez sobie wzajem na piersi; tenże Despensier jakoby wykrzykiwał, iż wolałby umrzeć na piersi swego króla niż z dala odeń żyć cało. I na pewno miał on wiele przyczyn tak mówić, bo pierś ta to jego jedyna ostoja.

Wszyscy ich opuścili, przeto oddani swym bezecnym miłostkom, pozostali tylko w kompanii Despensiera Starszego, hrabi Arundela, krewniaka Despensiera, hrabi de Varenne, szwagra Arundela, wreszcie kanclerza Baldocka, który z musu jest wierny królowi, zważywszy, iż tak jest wszędzie znienawidzony, że gdziekolwiek by nie poszedł, rozszarpano by go w kawałki.

Niebawem przestał dogadzać królowi schron w Tower i uciekł z tą małą grupką, by udać się do Walii i tam zwołać wojska, nie zaniebawszy uprzednio ogłosić bulli z anatimą na jego wrogów, a wydanej mu przez naszego Ojca Świętego, papieża. Nie bierzcie do serca owego ogłoszenia, Najdroższy Bracie, jeśli dojdzie do was o tym nowina; bulla ta bowiem nas nie tyczy; król Edward prosił o nią przeciw Szkotom i nikogo on nie oszuka jej fałszywym użytkiem; przeto żaden duchowny, a biskupi w pierwszym rzędzie nie odmawiają nam komunii.

Uciekając tak żałośnie z Londynu król powierzył rządy arcybiskupowi Reynoldsowi, biskupom Janowi ze Stratfordu i Stapledonowi z diecezji Exeteru, będącemu również skarbnikiem koronnym. Lecz wobec naszego

*śpiesznego marszu biskup Stratford przybył - poddać się królowej Izabeli, podczas gdy arcybiskup Reynolds przysłał z Kentu, dokąd się schronił, suplikę o przebaczenie. W Londynie pozostał tylko biskup Stapledon, sądząc, iż swymi kradzieżami zjednał sobie dosyć obrońców. Ale miasto huczało gniewem przeciw niemu i gdy postanowił uciec, tłum rzucił się za nim w pogoń, przyłapał go, i na przedmieściu Cheapside zmasakrował jego ciało aż do niepoznania.*

*Działo się to dnia 15 października, gdy królowa przebywała w Wallingford, grodzie otoczonym ziemnymi wałami, a gdzie uwolniliśmy pana Tomasza Berkeleya, zięcia Dostojnego Pana Mortimera. Gdy wieść o zgonie Stapledona doszła do królowej, rzekła, iż nie przystoi oplakiwać śmierci tak niecnego człowieka, a raczej się raduje, bo wielce jej szkodził. Zaś Dostojny Pan Mortimer oświadczył, że tak się stanie ze wszystkimi, co chcieli ich zguby.*

*Przedwczoraj w mieście Oksford, jeszcze bardziej obfitującym w kleryków niż miasto Cambridge, w obecności mej Damy Izabeli, diuka Akwitanii, hrabiego Kentu oraz wszystkich zebranych panów, wielcebnny Orleton, biskup Herefordu, wszedł na ambonę i miał długie kazanie na temat „Caput meum doleo”,\* słowa te wyjęte są z Pisma świętego, Księgi Królów - w intencji wyjaśnienia, że choroba, na jaką cierpi ciało Anglii, gnieździ się w głowie rzezonego królestwa i tam należy stosować driakwie.*

*Kazanie owo głęboko poruszyło wszystkich zebranych, gdy usłyszeli odmalowane słowem i wyliczone rany i boleści królestwa. A zwłaszcza że każąc przez całą godzinę przewielebny Orleton nie zatracił ni razu o imię króla, każdy zaś miał go na myśli jako sprawcę tych nieszczęść. W końcu biskup wykrzyknął, że grom z Nieba jak miecz ludzki winien spaść na głowy pełnych pychy mącicieli pokoju i znieprawiaczów królewskich. Rzezony Przewielebny Orleton to mąż wielkiego ducha, poczytuję sobie za zaszczyt, gdy doń mówię, acz wygląda, iż spieszy się, gdy ze mną rozmawia; lecz zawsze jakąś mądrą sentencję słyszę z jego ust. Oto onegdaj rzekł mi: „W biegu współczesnych wydarzeń każdy z nas ma swoją godzinę światła. Raz to Dostojny Pan Kent, raz - Dostojny Pan Lancaster, i wprzódki jednemu, a później drugiemu zdarzenie oświecła, jak winien postąpić. Tak się tworzy historia świata. W danej nam chwili, panie de Hainaut, może nadeszła i wasza godzina światła...”*

*Nazajutrz po kazaniu i w następstwie poruszenia, jakie wywołało wśród wszystkich, królowa wydała w Wallingford manifest, oskarżając Despensierów, że łupili dobra kościelne i koronne, niesprawiedliwie skazali na śmierć wielu wiernych poddanych, wyzuli z włości, więzili i wypędzali najznamienitszych panów, uciskali wdowy i sieroty, gnębili lud podatkami i zdzierstwem.*

*W tymże czasie doszła wieść, że król, który wpierw uszedł do miasta Gloucester, własności Despensiera Młodszego, przejeżdżał przez Westbury i tam się rozłączył z eskortą. Despensier Starszy wycofał się do Bristolu, swego grodu i zamku, podczas gdy hrabiowie Arundel i Warenne dotarli do swych dóbr w Shropshire; tym manewrem dzierżąc Marchie Walijskie od północy i południa, zaś król z Despensierem Młodszym wyjechał do Walii,*

---

\* Boleję nad mą głową (łac.)

by zebrać wojska. Prawdę rzekłszy, nie wiadomo, gdzie obecnie przebywa i co się z nim stało. Krążą pogłoski, że wsiadł na statek do Irlandii.

Podczas gdy hrabia Charlton na czele kilku angielskich chorągwi ruszył ku Shropshire, aby tam wyzwać do walki hrabiego Arundela, wczoraj, dnia dwudziestego czwartego października, akurat w miesiąc po opuszczeniu przez nas Dordrechtu, weszliśmy bez przeszkód i wielce oklaskiwani do miasta Gloucester. Tegoż dnia ruszyliśmy na Bristol, gdzie się obwarował Despenser Starszy. Podjąłem się ataku na tę twierdzę i wreszcie będę miał sposobność - jeszcze mi dotąd nie daną, tak mało bowiem spotykaliśmy wrogów na drodze - stoczyć bitwę za moją Damę Izabelę i wykazać się męstwem w jej oczach. Zanim ruszę do ataku, ucałuję proporzec Hainaut, powiewający na mej kopii.

Przed odjazdem powierzyłem wam, Najdroższy i Umiłowany Bracie, moją ostatnią wolę i nic nie widzę, co bym chciał ująć lub dorzucić. Jeśli śmierć mi pisana, będziecie wiedzieć, że zginąłem bez przykrości i żalu, jak winien rycerz w szlachetnej obronie dam i nieszczęsnych uciśnionych, w imię honoru Waszego, Mej Drogiej Siostry, Waszej Małżonki i Moich Bratanic, Waszych kochanych córek; oby Bóg miał was wszystkich w opiece.

Dan w Gloucester dnia dwudziestego piątego października roku tysiąc trzysta dwudziestego piątego.”

Jan

Nazajutrz nie dane było panu Janowi de Hainaut wykazać się męstwem i próżne się okazało piękne przygotowanie jego duszy na śmierć.

Gdy rankiem na czele łopocących chorągwi i wojsk w dopiętych hełmach stanął przed Bristolem, miasto już postanowiło się poddać i można było je zdobyć gołymi rękoma. Notable pośpieszyli wysłać parlamentariuszy, a ci jedynie troskali się, gdzie rycerze chcą kwaterować, zapewniali o swej wierności wobec królowej i ofiarowywali się natychmiast wydać swego pana Hugona Despensera Starszego, bowiem jedynie on zawinił, że nie mogli wcześniej dowieść swych dobrych intencji.

Wnet otwarto bramy miasta i rycerze zajęli kwatery w pięknych pałacach Bristolu: Despenser Starszy został w zamku pojmany i znalazł się pod strażą czterech rycerzy, podczas gdy królowa, następcą tronu i najznamienitsi baronowie rozgościli się w komnatach. Królowa odnalazła tu troje swych pozostałych dzieci, które Edward II uciekając powierzył był opiece Despensera. Izabela zachwycała się, że tak bardzo podrosły w ciągu dwudziestu miesięcy, i nie mogła im się dość napatrzeć i dość ich naściskać. Nagle spojrzała na Mortimera i, jakby zawiniła wobec niego tym nadmiarem radości, powiedziała cicho:

- Chciałabym, przyjacielu, aby Bóg ongiś sprawił, żebyście wy byli ich ojcem.

Za namową hrabiego Lancastra wnet zebrała się przy królowej Rada, w skład jej weszli: biskupi Herefordu, Norwiche, Lincolnu, Ely i Winchesteru, arcybiskup Dublinu, hrabiowie Norfolk i Kentu, baron Roger Mortimer na Wigmore, panowie Tomasz Wake, William La Louche

na Ashley, Robert de Montalt, Robert de Merle, Robert de Waterville i sire Henryk de Beaumont.<sup>44</sup>

Opierając się na prawnym argumencie, że król Edward znajdował się za granicą - nie czyniło różnicy czy był w Walii czy Irlandii - Rada postanowiła wobec nieobecności monarchy ogłosić młodego księcia Edwarda opiekunem i rządcą królestwa. Natychmiast rozdano najważniejsze stanowiska w administracji i Adam Orleton, który był mózgiem rebelii, otrzymał urząd lorda-skarbnika.

Zaprawdę wielki był czas przystąpić do reorganizacji władzy centralnej. Prawdziwy cud, że - w ciągu miesiąca, gdy król uciekł, ministrowie rozproszyli się i Anglia była wydana na łup rycerzom królowej i Henuńczykom - komory celne nadal działały normalnie, poborcy było nie było ściągali podatki, straże czuwały w miastach i całe życie publiczne biegło zwykłym trybem jakby z nawyku społecznego organizmu.

Opiekunowi królestwa zaś i tymczasowemu depozytariuszowi władzy monarszej brakowało miesiąca do piętnastu lat. Pod zarządzeniami, które będzie ogłaszał publicznie, miał przykładać prywatną pieczęć, ponieważ król i kanclerz Baldock uwieźli pieczęcie państwowe. Pierwszym aktem działalności rządowej młodego księcia było przewodniczenie, tegoż dnia, w procesie Hugona Despensera Starszego.

Oskarżenie popierał sir Tomasz Wake, surowy rycerz i już leciwy, marszałek wojsk królewskich;<sup>45</sup> czynił on Despensera Starszego, hrabiego Winchesteru, odpowiedzialnym za ścięcie Tomasza Lancastra, odpowiedzialnym za zgon w londyńskiej wieży Rogera Mortimera starszego - bo stary lord na Chirk nie doczekał triumfalnego powrotu bratanka i przed kilku tygodniami zgasł w swej ciemnicy - odpowiedzialnym za uwięzienie, banicję lub śmierć wielu innych panów, o grabież dóbr królowej i hrabiego Kentu, nierząd w królestwie, klęski w Szkocji i Akwitanii, i za wszystkie inne sprawy, dokonane za jego namową i zgubną doradą. Te same zarzuty będą odtąd wysuwane przeciw wszystkim doradcom króla Edwarda.

Pomarszczony, przygarbiony, o wątlym głosie, Hugo Starszy, który przez tyle lat udawał drżącą pokorę wobec pragnień króla, okazał teraz energię, do jakiej był zdolny. Nie miał nic do stracenia i bronił się piędzą za piędzą.

Wojny przegrane? Tak się stało z winy marnych baronów. Kary główne, osadzenie w więzieniu? Nastąpiły z wyroku na zdrajców i buntowników wobec prawowitej władzy; bez poszanowania której królestwa się rozpadają. Postanowiono zasekwestrować lenna i dochody, aby nie zezwolić wrogom Korony zaopatrzyć się w zaciężnych i fundusze. A jeśli zarzuca się mu jakiś rozbój i łupiestwo, czy ma się za nic dwadzieścia trzy zamki stanowiące własność jego lub syna, a które Mortimer, Lancaster, Maltravers, Berkeley, wszyscy tu obecni, kazali grabić i palić w roku 1321, nim zostali pokonani, jedni pod Shrewsbury, inni pod Boroughbridge? Tylko wynagrodził sobie poniesione szkody, jakie wycenia na czterdzieści tysięcy liwrów, nie będąc w stanie oszacować różnego rodzaju gwałtów i mordów popełnionych na jego ludziach.

Zwracając się do królowej zakończył tymi słowy:

- Ach! Najjaśniejsza Pani, niech Bóg nam ześle sprawiedliwy wyrok i jeśli nie otrzymamy go teraz, wymierzy go nam na tamtym świecie!

Młody książę Edward uniósł długie rzęsy i z uwagą słuchał. Hugo Despenser Starszy został skazany na włóczenie, ścięcie i powieszenie, na co odrzekł z niejaką pogardą:

- Wyraźnie widzę, szlachetni lordowie, że ścięcie i powieszenie to dla was dwie rzeczy różne, ale dla mnie to śmierć jedna!

Postawa jego, zaskakująca wszystkich, co go znali w całkiem innych okolicznościach, nagle wyjaśniła wielki wpływ, jaki wywierał. Ten płaszczący się dworzanin nie był tchórzem, ów znenawidzony minister nie był głupcem.

Książę Edward wyraził zgodę na wyrok, ale rozważał i w milczeniu jął kształtować pogląd na zachowanie się ludzi wyznaczonych na wysokie urzędy. Słuchać, zanim się powie, dowiadywać się, nim osądzi, rozumieć, nim postanowi, i zawsze pamiętać, że w każdym tkwią równocześnie możliwości dla najlepszych i najgorszych czynów. Oto dla monarchy podstawa mądrości.

Rzadko się zdarza, by przed ukończeniem piętnastu lat kogoś z bliźnich skazać na śmierć. W pierwszym dniu swego panowania Edward Akwitański otrzymał niezłą zaprawę.

Stary Despenser został przywiązany za nogi do końskich postronków i włoczony po ulicach Bristolu; później z zerwanymi ścięgnowymi i połamanymi kośćmi przyciągnięto go na plac zamkowy i umieszczono na klęczkach przed pniakiem. Obcięto mu białe włosy, by odsłonić kark. Kat w czerwonym habicie szerokim mieczem ściał mu głowę. Ciało zbroczone krwią tryskającą z głównych tętnic przywiązano za ramiona do szubienicy. Pomarszczoną i umazaną głowę zatknęto obok na włóczni.

Wszyscy zaś ci rycerze, którzy przysięgali na szlachetnego patrona, świętego Jerzego, iż bronić będą dam, dziewic, uciśnionych i sierot, gromko śmiejąc się i czyniąc wesołe uwagi cieszyli się widowiskiem, jakie nastęczał rozpołowiony trup starca.





### III

## Hereford

Na Wszystkich Świętych nowy dwór rozgościł się w Hereford.

Jeśli - jak mawiał Adam Orleton, biskup tego miasta - każdy w dziejach ma zaznać swej godziny światła, owa godzina dlań właśnie nadeszła. Po zadziwiających przeciwnościach losu, po spowodowaniu ucieczki jednego z pierwszych w królestwie panów, został przekazany przed sąd Parlamentu i ocalony przez zjednoczone duchowieństwo; po ogłoszeniu i podsycaniu rebelii w triumfie powracał na swe biskupstwo, które otrzymał w 1317 roku wbrew woli króla Edwarda, a gdzie rządził się jak wielki prałat.

Z jakąż radością ów niski mąż, niepokąźny, lecz odważny ciałem i duchem, przebiegał ulice swego odzyskanego miasta, przyodziany w insygnia kapłańskie, z mitrą na głowie i pastorałem w ręku.

Ledwie eskorta królewska objęła w posiadanie zamek, położony w środku miasta w pętli rzeki Wye, a Orleton odtąd już nie zaprzestał pokazywać dzieł swego pomysłu; najpierw wysoką, kwadratową wieżę o dwóch piętrach prześwietlonych olbrzymimi łukami, każdy narożnik wieńczyły trzy sygnaturki zwane latarniami, dwie mniejsze umieszczone na krawędziach, a nad nimi jedna duża, razem dwanaście strzelistych wieżyczek wznosiło się ku niebu; kazał wybudować tę wieżę, by upiększyć katedrę i przydać jej okazałości. Listopadowe światło igrało na różowych ceglach, które na skutek wilgoci zachowały świeżą barwę. Wokół budowli rozciągał się wielki, ciemny trawnik starannie strzyżony.

- Prawda, Miłościwa Pani, że to najpiękniejsza wieża w waszym królestwie? - z naiwną dumą twórcy pytał Adam Orleton, stojąc przed kunsztownie rzeźbioną budowlą, zgoła nie przeładowaną, czystą w liniach, i nie przestawał się nią zachwycić. - Choćbym tylko ją wybudował, rad byłbym z życia.

Orleton nie dziedziczył rodowego klejnotu, a posiadał herb z Oksfordu - jak się wówczas mawiało. Świadom tego pragnął usprawiedliwić swe wysokie stanowiska, na które go zawiodła w równej mierze ambicja, jak i bystrość, i bardziej wiedza niż knowania. Czuł, że góruje nad całym swym otoczeniem.

Zreorganizował katedralną bibliotekę, księgozbiór, gdzie grube tomiska ustawione grzbietem do tyłu były przytwierdzone do desek łańcuchami o podłużnych ogniwach, aby nie można było ksiąg wykraść; prawie tysiąc rękopisów iluminowanych, zdobionych, przepięknych zawierało pięć wieków ludzkiej myśli, wiary i odkryć, począwszy od pierwszego przekładu Ewangelii na język saksoński, z częścią kart zdobnych jeszcze w znaki runiczne, po najświeższe słowniki łacińskie poprzez Hierarchię Niebiańską, dzieła świętego Hieronima, świętego Jana Chryzostoma, dwunastu proroków mniejszych...<sup>46</sup>

Królowa musiała podziwiać także roboty rozpoczęte w kapitularku oraz



słynną mapę świata Ryszarda z Bello, która mogła być tylko dziełem boskiego natchnienia, bo poczyniła czynić cuda.<sup>47</sup>

Hereford przeto na blisko miesiąc stał się przypadkową stolicą Anglii. Mortimer był tu nie mniej szczęśliwy niż Orleton, bo znów objął w posiadanie swój zamek Wigmore odległy o kilka mil.

W tymże czasie nadal poszukiwano króla.

Pewnego dnia niejaki Rhys ap Owell, rycerz walijski, przybył z wiadomością, że Edward II ukrywa się w opactwie na wybrzeżach hrabstwa Glamorgan, gdzie niepomyślne wiatry wyrzuciły statek, na którym spodziewał się dotrzeć do Irlandii.

Wnet Jan de Hainaut, przyklękawszy, ofiarował się włamać do walijskiej kryjówki niewiernego małżonka Damy Izabeli. Z trudem mu wyjaśniono, że byłoby niezbyt stosowne, aby cudzoziemiec pojmał króla, raczej przystoi, aby ktoś z rodziny królewskiej wykonał ten przykry obowiązek. Wybór padł na Henryka Krzywoszyjka, który bez nadmiernej radości musiał sięść na konia, aby przeszukiwać zachodnie wybrzeże, towarzyszyli mu hrabia de la Zouche i Rhys-ap Owell.

Niebawem przybył z Shropshire hrabia Charlton wiodąc w łańcuchach hrabiego Arundela. Był to dla lorda na Wigmore wspaniały odwet, bo Edmund Fitzalan, hrabia na Arundel, otrzymał od króla pokaźną część dóbr zabranych rodzinie Mortimerów i wpłynął, by mu przyznano tytuł Wielkiego Sędziego Walii, który nosił stary Mortimer z Chirk.

Roger zadowolił się rozkazem, by Arundel stał przed nim na baczność przez cały kwadrans, i nie odzywając się doń ani słowem przypatrywał się mu tylko od stóp do głów i rozkoszował niemym oglądaniem wroga żywego, który wkrótce się stanie wrogiem martwym.

Szybko odbył się sąd nad Arundelem oskarżonym o te same przestępstwa, co Despenser Starszy i hrabiego ścięto ku rozweseleniu miasta Hereford i stacjonujących tu zastępów.

Zauważono, iż podczas kaźni królowa i Roger Mortimer trzymają się za ręce.

Młody książę Edward właśnie przed trzema dniami skończył piętnaście lat.

Wreszcie 20 listopada nadeszła cenna wiadomość. Hrabia Lancaster pojmał króla Edwarda w opactwie cystersów w Neath, w kotlinie Towe.

Król, jego faworyt i kanclerz, przebrani za mnichów, mieszkali tu od kilku tygodni. Edward skracał czas oczekiwania na pomyślniejszy los pracując w klasztornej kuźni, zajęcie to odrywało jego umysł od przykrych myśli...

Stał tutaj z nagim torsem, habitem opuszczonym na biodra, brodą oświetloną ogniem z kuźni, a skry wirowały wokół rąk, podczas gdy kanclerz dął w miech, zaś Hugo Młodszy z żalną miną podawał mu narzędzia, kiedy naraz Henryk Krzywoszyjek, w hełmie pochylonym na ramię, stanął w odrzwiach i rzekł:

- Sire, mój kuzynie, oto nadszedł czas zapłaty za wasze winy.

Król wypuścił z rąk młot; wykuwany przezeń kawał metalu leżał czerwieniejąc na kowadle. Monarcha Anglii pobladł i drżąc na całym ciele, zapytał:

- Kuzynie, kuzynie, co się ze mną stanie?

- Co postanowią baronowie i dostojnicy królestwa - odparł Krzywoszyjek.

Obecnie Edward, nadal ze swym faworytem, nadal ze swym kanclerzem, oczekiwał w obronnym zameczku Monmouth o kilka mil od Herefordu, gdzie zawiódł go i zamknął Lancaster.

Adam Orleton wraz z archidiakonem Tomaszem Chandos i wielkim szambelanem Williamem Blount wnet znalazł się w Monmouth, by zażądać pieczęci królewskich, które Baldock nadal woził.

W chwili gdy Orleton wypowiedział swe żądanie, Edward wyrwał zza pasa Baldocka skórzany trzos zawierający pieczęcie, owinał napięstki rzemykami od trzосу, jakby chciał zeń uczynić maczugę, i zawołał:

- Panie zdrajco, niegodny biskupie, jeśli chcecie moich pieczęci, odbierzcie mi je siłą i pokażcie, że sługa Kościoła zadał gwałt swemu królowi!

Na pewno los przeznaczył Przewielebnego Adama Orletona do misji wyjątkowych. Nieczęsto się zdarza, by odbierano królowi atrybuty jego władzy. Przed tym rozwścieczonym siłaczem stał oto Adam Orleton o szczupłych ramionach, rękach słabowitych, a za jedyną broń miał kruchy pastorał z kości słoniowej. Biskup odpowiedział:

- Przekazanie winno nastąpić z waszej woli i w obecności świadków. Sire Edwardzie, czy zmusicie waszego syna, obecnie władcę królestwa, aby zamówił sobie własną pieczęć królewską, przedtem nim mu przypadnie? Siłą jednakże mogę pojmać lorda kanclerza i lorda Despensera, których mam rozkaz stawić przed królową.

Na te słowa Edward przestał się troszczyć o pieczęć i już myślał tylko o swym ukochanym faworycie. Zerwał z napięstka rzemienie od skózanego trzосу, rzucił go kanclerzowi Williamowi Blount jak bezużyteczny przedmiot i otwierając ramiona przed Hugonem zawołał:

- O nie! jego mi nie wyrwiecie!

Hugo Młodszy wychudły, drżący, rzucił się na pierś króla. Szczekał zębami, zdawał się bliski omdlenia i jęczał:

- Widzisz, to twoja żona tego chciała! To ona, ta francuska wilczyca wszystko sprawiła! Ach! Edwardzie, Edwardzie, po cóżes ją poślubił?

Henryk Krzywoszyjek, Orleton, archidiakon Chandos i William Blount patrzyli na tych dwóch ściskających się mężczyzn i, jakkolwiek niezrozumiały był dla nich obraz tej namiętności, nie mogli wyzbyć się podziwu dla jej strasznej wielkości.

W końcu zbliżył się Krzywoszyjek, wziął za ramię Despensera i rzekł:

- Chodźmy, czas się wam rozstać.

I odciągnął go.

- Żegnaj, Hugo, żegnaj - wołał Edward. - Już cię nie zobaczę, moje drogie życie, moja piękna duszo! Zabrano mi więc wszystko!

Łzy mu się toczyły po jasnej brodzie.

Hugona Despensera powierzono rycerzom z eskorty, którzy najpierw go przebrali w chłopską opończę ze zgrzebnej wełny i na pośmiewisko wymalowali na niej herby i emblematy hrabstw, którymi go król obdarzył. Potem związawszy mu ręce wsadzili na najmniejszą nędzną chabetę, jaką

znaleźli, karłowatą szkapę, chudą i pękata, jakie bywają na wsi. Hugo miał bardzo długie nogi musiał więc je podkurczać lub wlec po błocie. W taki sposób prowadzono go od miasta do miasta przez całe Monmouthshire i Herefordshire, pokazując na placach, aby się lud aż do przesyty weselił. Przed więźniem grały trąbki i herold krzyczał:

- Patrzcie, zacni ludzie, patrzcie na hrabiego Gloucesteru, lorda szambelana, patrzcie na łotra, który tak okrutnie szkodził królestwu!

Roberta Baldocka dyskretniej odstawiono do biskupstwa w Londynie, aby tam go zamknąć, godność archidiakona nie zezwalała żądać nań kary śmierci.

Cała więc nienawiść skupiła się na Hugonie Despenserze Młodszym. Sąd w Hereford odbył się nad nim szybko; wyrok skazujący nie podlegał dyskusji i nie budził w nikim wątpliwości. Ale ponieważ uważano go za pierwszego winnego za wszystkie błędy i nieszczęścia, jakie wycierpiała Anglia, kaźń jego stała się przedmiotem szczególnego wyrefinowania.

Dwudziestego czwartego listopada na rozległym placu zamkowym wzniesiono trybuny i szafot dość wysoki, aby wielki tłum mógł przyglądać się nie tracąc ani jednego szczegółu z egzekucji. Królowa Izabela zajęła miejsce w pierwszym rzędzie na największej trybunie, między Rogerem Mortimerem i księciem Edwardem. Mżyło.

Zagrały trąby i surmy. Katowscy pachołkowie przywiedli Hugona Młodszego i zdarli zeń odzienie. Gdy między czerwonymi katami i ponad włóczniami łuczników, którzy otaczali szafot, ukazało się jego długie ciało o sterczących kościach biodrowych i nieco zapadłej piersi, tłum wybuchnął gromkim, sprośnym śmiechem.

Królowa Izabela pochyliła się do Mortimera i szepnęła:

- Ubolewam, że nie ma Edwarda, aby go sobie obejrzał.

Z błyszczącym wzrokiem, rozchyliwszy krwiożercze ząbki i wpijając paznokcie w dłoń kochanka, bardzo uważała, aby nie uronić nic ze swej pomsty.

Książę Edward myślał: „A więc to taki spodobał się ojcu?” Już widział dwie kaźnie i wiedział, że bez wymiotów dotrwa do końca.

Zabrzmiały znów surmy. Rozpięto Hugona na krzyżu poziomo położonym, z dwoma poprzeczkami, i przywiązano za członki.

Kat wodził po osełce spiczastym nożem podobnym do rzeźniczego i wypróbowywał go kciukiem. Później podszedł oprawca uzbrojony w szczypce, którymi schwycił członek skazańca. Fala hysterii podniosła zebranych, tupanie wstrząsnęło trybunami; pomimo to przez zgiełk przebił się ryk Hugona, jeden przeraźliwy okrzyk, który nagle się urwał, gdy trysnęła zeń struga krwi. Tę samą operację powtórzono z jądrami, lecz ciało już postradało świadomość; smętne szczątki rzucono w piec pełen żaru, który pachołek rozdmuchiwał. Wydobył się ohydny swąd palonego ciała. Herold stojący przed trębaczami ogłosił, iż w ten sposób postąpiono, „ponieważ Despenser był samcołożnikiem, zachęcał króla do samcołóstwa i w tych celach wygnał królową z jej łoża”.

Po czym kat wybrawszy grubsze i szersze ostrze, rozpruł pierś w poprzek, a brzuch wzdłuż, jak się szlachtuje wieprza; szczypce sięgnęły po serce jeszcze niemal drżące, wyrwały je z klatki piersiowej, by również

wrzucić do żaru. Zabrzmiały surmy oddając głos heroldowi, który oświadczył, że „Despenser nosił fałsz i zdradę w sercu i zdradzieckimi rady zhańbił królestwo”.

Następnie wydobyto z brzucha jelita, rozwinięte, potrząsane, lśniły i opalizowały, pokazano je tłumowi, ponieważ „Despenser żywił się zarówno dobrem możnych jak i dobrem ubogich”. Z kolei wnętrzności zamieniły się w gęsty, gryzący dym, który mieszał się z listopadową mżawką.

Po czym odcięto głowę nie ciosem miecza, ponieważ leżała odwrócona między ramiona krzyża, lecz odkrojono ją nożem, ponieważ „Despenser kazał ścinać najznamienitszych w Anglii baronów i z jego czaszki wychodziły wszystkie nieczne rady”. Nie spalono głowy Hugona Despensera; kaci odłożyli ją na bok, aby wysłać do Londynu, gdzie zostanie osadzona na palu u wejścia na most.

Wreszcie resztki ciała podzielono na cztery części; rękę z ramieniem, drugą rękę z ramieniem i szyją, oraz nogi, każdą z połową brzucha, aby wysłać do czterech najzaciejszych po Londynie miast w królestwie.

Tłum zeszedł z trybun znużony, wyczerpany, wyzwolony. Wydawało się, że osiągnięto szczyty okrucieństwa.

Po każdej egzekucji na tej krwawej drodze Mortimer odczuwał, że królowa Izabela jest bardziej namiętna w rozkoszy. Ale tej nocy, która nastąpiła po śmierci Hugona Młodszego, wymagania jej, oszalała wdzięczność, jaką wyrażała, jęły nurtować niepokojem kochanka. Skoro tak bardzo nienawidziła mężczyzny, który jej odebrał Edwarda, musiała niegdyś kochać męża. I w posępnej duszy Mortimera wyklął się zamiar, który doprowadzi do końca za wszelką cenę.

Nazajutrz wyznaczony strażnikiem króla Henryk Krzywoszyjek został zobowiązany do przewiezienia go do zamku Kenilworth i trzymania króla w odosobnieniu tak, by królowa nie mogła się z nim zobaczyć.





## IV

### „Vox populi”

- **K**ogo chcecie za króla?

12 września 1327 roku, w olbrzymim hallu Westminsteru, Przewielebny Adam Orleton rzuca ten straszliwy okrzyk, od którego będzie zależała przyszłość królestwa; słowa odbijają się w górze o przeszła sklepienia.

- Kogo chcecie za króla?

Już od sześciu dni angielski Parlament naradza się, zawiesza obrady i znów się zbiera, zaś Adam Orleton pełniąc obowiązki kanclerza kieruje debatą.

W ubiegłym tygodniu na pierwszym posiedzeniu Parlament zawezwał króla, aby się przed nim stawiał. Adam Orleton i Jan Stratford, biskup Winchesteru udali się do Kenilworth przedłożyć pozew Edwardowi II. Król Edward odmówił.

Odmówił złożenia sprawozdania ze swej działalności lordom, biskupom, deputowanym z miast i hrabstw. Orleton przekazał zgromadzeniu odpowiedź podszeptaną nie wiadomo czy strachem, czy też pogardą. Ale Orleton z głębokim przekonaniem wyjaśnia Parlamentowi, że jeśli zmusi się królową do pogodzenia się z małżonkiem, to grozi jej niechybna śmierć.

Obecnie stanął wielki problem; Jego Wielebność Orleton kończy przemówienie doradzając Parlamentowi, aby się rozszedł i aby każdy rozważył wybór we własnym sumieniu i w nocnej ciszy. Jutro zgromadzenie powie, czy pragnie, by Edward II Plantagenet zachował koronę, czy też należy ją przekazać następcy, Edwardowi, księciu Akwitanii.

Zaiste piękna dla sumienia cisza ów zgiełk, jakim rozbrzmiewa Londyn tej nocy! W rezydencjach feudałów, opactwach, siedzibach wielkich mieszczan, karczmach rozlega się gwar namiętnych dyskusji. Wszyscy ci baronowie, biskupi, rycerze, squireowie są prawnie członkami Parlamentu tylko na mocy nominacji królewskiej, zaś rola ich w zasadzie winna być tylko doradcza. Lecz oto monarcha okazał się władcą słabym, nieudolnym; jest zbiegiem przyłapanym poza królestwem; i nie król zwołał Parlament, lecz Parlament chciał zawezwać króla, który nie raczył się stawić. Przeto najwyższa władza na przeciąg jednej chwili, na jedną noc rozpadła się między owych ludzi z różnych prowincji, rozmaitego pochodzenia, nierównych majątkiem.

„Kogo chcecie za króla?”

Zaiste wszyscy sobie zadają pytanie, nawet ci, którzy najgoręcej pragnęli szybkiego zgonu Edwarda II, co krzyczeli przy każdym skandalu, nowym podatku lub przegranej wojnie: „By zdechł, oby Bóg nas od niego wyzwolił!”

Bóg bowiem już nie ma się do czego mieszać; wszystko spoczywa na nich i nagle uświadamiają sobie wagę własnej decyzji. Spełniły się ich

zyczenia i przekleństwa tylko wzajemnie się sumując. Królowa, nawet przy poparciu Henuęńczyków, czy zdołałaby, jak to uczyniła, ować królestwem, gdyby lud poparł pobór z rozkazu Edwarda?

Ale sprawa jest wielkiej wagi; polega na złożeniu z tronu króla i wyrzuceniu go z osobistej władzy na zawsze. Wielu członków Parlamentu jest przerażonych boskim charakterem sakry i królewskiego majestatu. I jakież młodzieńcze jest ów książe, którego się im proponuje! Co o nim wiadomo, prócz tego, że jest całkiem w ręku matki, a ona w ręku lorda Mortimera? Chociaż lud szanuje, podziwia barona na Wigmore, byłego Wielkiego Sędziego Irlandii, chociaż jego ucieczka, tułaczka, powrót, a nawet miłość uczyniły zeń bohatera, choć dla wielu jest wybawcą, to jednak jego charakter, surowość, bezwzględność budzą lęk; już wielu zarzucałoby mu obecnie srogie kary, chociaż sam lud żądał egzekucji ostatnio wykonanych. Kto go dobrze znał, obawiał się przede wszystkim jego ambicji. Czyż w skrytości sam nie chce stać się królem? Jako kochanek królowej nadto blisko jest tronu. Ludzie wahają się, czy dać mu najwyższą władzę, jaką sprawowałby po usunięciu Edwarda; rozprawiają o tym przy świecach i oliwnych lampkach, przy cynowych dzbanach, napełnianych piwem, i nic nie postanowiwszy idą spać padając ze zmęczenia. Tej nocy monarchą jest lud angielski, ale wprawia go to w zakłopotanie i nie wie komu przekazać monarszą władzę.

Historia zrobiła nagły krok naprzód. Rozważa się sprawy, o których nawet dyskusja świadczy, że zostały przyjęte nowe zasady. Nie zapomni lud takiego precedensu ani zgromadzenie o władzy, która mu przypadła, nie zapomni naród, że pewnego dnia w osobie swego Parlamentu był panem własnego losu.

Przeto nazajutrz, kiedy Wielebny Pan Orleton wzięwszy za rękę młodego księcia Edwarda przedstawił go ponownie zebranym w Westminsterze, zrywa się żywiołowa owacja, hucząc wśród murów ponad głowami.

- Chcemy go, chcemy!

Czterech biskupów między innymi Londynu i Yorku protestuje dowodząc nieodwołalnego charakteru sakry i przysięgi hołdowniczej. Ale arcybiskup Canterbury, Reynolds - któremu przed ucieczką Edward II powierzył rządy - pragnąc okazać szczerą swego spóźnionego przyłączenia się do powstania, woła:

- Vox populi, vox Dei! (Głos ludu głosem Boga!).

I jakby stał na ambonie, przez dobry kwadrans przemawia na ten temat.

Jan Stratford, biskup Winchesteru, spisuje i czyta zgromadzeniu sześć artykułów sankcjonujących upadek Edwarda II Plantageneta.

*Primo, król niezdolny jest rządzić w czasie całego swego panowania ulegał wpływom złych ministrów.*

*Secundo, poświęcał czas na niegodne siebie zajęcia i zaniedbywał sprawy królestwa.*

*Tertio, utracił Szkocję, Irlandię i połowę Gujenny.*

*Quarto, ukrzywdził Kościół, więząc jego sługi.*

*Quinto, więził, wydziedziczał, skazywał na wygnanie lub na hańbiącą śmierć wielu swoich wielkich wasali.*

*Sexto, zrujnował królestwo; jest niepoprawny, niezdolny do skruchy.*

W tymże czasie londyńscy mieszczanie zaniepokojeni i podzieleni na odłamy - czyż ich biskup nie zaprotestował przeciw złożeniu z tronu? - zebraли się w Guild Hall. Trudniej kierować nimi aniżeli przedstawicielami hrabstw. Czy zbuntują się przeciw Parlamentowi? Roger Mortimer, który z tytułu jest nikim, a w istocie wszechwładny, biegnie do Guild Hall, dziękuje londyńczykom za ich wierną postawę i ręczy za utrzymanie zwyczajowych swobód miasta. W imieniu kogo, jakim prawem daje tę rękojmię? W imieniu młodzika, który jeszcze nie jest królem i zaledwie został wybrany przez aklamację. Urok Mortimera, osobisty autorytet działają na londyńskich mieszczan. Już go zwą Lordem-Protektorem. Czyim jest protektorem? Księżcia, królowej, królestwa? Jest Lordem-Protektorem i basta, mężem wysuniętym przez Historię i w jego ręce każdy składa swą część władzy i osądu.

Nagle staje się rzecz niespodziewana. Młody książę, uważany już za króla, blady młodzik o długich rzęsach, który w milczeniu śledził wszystkie te wydarzenia i zda się myślał wyłącznie o niebieskich oczach Pani Filipy de Hainaut, Edward Akwitański oświadcza matce, Lordowi-Protektorowi, Wielbnemu Panu Orletonowi, lordom biskupom i całemu otoczeniu, że nie włoży korony bez zgody ojca i zanim ów oficjalnie nie ogłosi, że ją składa.

Twarze kamienieją w osłupieniu, ręce opadają. Co? Po tylu zabiegach? Część podejrzeń kieruje się ku królowej. Czy to ona potajemnie nie podmówiła syna, na skutek nieprzewidzianego nawrotu uczucia, jaki się zdarza kobietom? Czy tej nocy, gdy wszyscy mieli radzić się swego sumienia, nie wybuchł spór między nią a Lordem-Protektorem?

Aliści nie; to ów piętnastoletni chłopiec samodzielnie rozmyślał nad wagą prawowitej władzy. Nie chce uchodzić za uzurpatora ani przyjmować berła z woli zgromadzenia, które może równie dobrze je odebrać, jak mu je dało. Wymaga zgody swego poprzednika. Nie dlatego, że żywi nader tkliwe uczucia do ojca; osądza go. Lecz osądza każdego.

Już od lat wiele podłości działo się na jego oczach i zmuszało go do osądu. Wie, że zbrodnia nie jest całkiem po jednej a niewinność po drugiej stronie. Oczywiście, ojciec sprawiał ból matce, zniesławiał ją, ograbiał, ale ta matka wraz z lordem Mortimerem, jaki obecnie dają przykład? Gdyby pewnego dnia na skutek jakiegoś błędu, który zdarzyłoby się mu popełnić, Pani Filipa postępowałyby w ten sam sposób? A ci baronowie, biskupi dzisiaj wszyscy tacy zawzięci na króla Edwarda, czy pospołu z nim nie rządzą? Norfolk, Kent, młodzi stryjowie, otrzymali, przyjęli urzędy; biskupi Winchesteru, Lincolnu prowadzili rokowania w imieniu króla Edwarda. Despenserowie nie byli wszędzie, a nawet jeśli rozkazywali, nie wykonywali osobiście własnych rozkazów. Kto ryzykował odmowy posłuchu? Kuzyn Krzywoszyjek, o tak, ten miał odwagę; a lord Mortimer także, płacąc za rebelię długotrwałym więzieniem. Ale na tych dwóch iluz płaszczących się dworzan teraz pełnych zapału, aby przerzucić na swego władcę skutki własnej służalczości?

Każdy inny książę w tym samym wieku łącno upoiłby się koroną podaną przez tyle rąk. On unosi długie rzęsy, uparcie patrzy, trochę

zaczerwieniony własną śmiałością, i zacina się w swym postanowieniu. Tedy Wielebny Pan Orleton wzywa do siebie biskupów oraz wielkiego szambelana Williama Blounta, rozkazuje wydobyć ze Skarbca w Tower koronę i berło, każe je zapakować do puzdra, objuczyć nim muła; a sam zabiera uroczysty strój i powraca do Kenilworth, aby uzyskać abdykację króla.







## V

# Zamek Kenilworth

Zewnętrzne wały opasują rozległe wzgórze, otaczają zamknięte ogrody, łąki, stajnie i obory, kuźnię, stodoły i piekarnie, młyn, studnie, mieszkania służby, żołnierskie koszary, całe miasteczko niemal większe od pobliskiego, gdzie widać skupione, omszałe dachy. Nie wydaje się prawdopodobne, że ta sama ludzka rasa mieszka w lepiankach poza murami i wewnątrz kolosalnej warowni, wznoszącej ku zimowemu niebu czerwone mury.

Kenilworth bowiem zbudowano z kamienia barwy zakrzepłej krwi. Był to jeden z tych bajecznych zamków z wieku następnego po Zdobyciu, kiedy garść Normanów, druhów Wilhelma lub ich bezpośrednich potomków, potrafiła utrzymać lud w ryzach dzięki olbrzymim obronnym zamkom osadzonym na wzgórzach.

Stołąp Kenilworth - donżon, jak mówili Francuzi w braku lepszej nazwy, bo tego rodzaju budowle nie istniały lub już nie istniały we Francji - stołąp miał kształt czworograniasty i zawrotną wysokość, która przypominała podróznym ze wschodu pylony egipskich świątyń.

Wymiary tej tytanicznej budowli były tak wielkie, że bardzo obszerne izby znajdowały się, mieściły w grubości samych murów. Lecz do wnętrza wieży prowadziły tylko czerwone schody, tak wąskie, iż para osób z trudem szła obok siebie; wiodły one do drzwi na pierwszym piętrze opatrzonych kratą. Wewnątrz stołąpu znajdował się ogród, a raczej trawnik o boku na sześćdziesiąt stóp, całkowicie zamknięty.<sup>48</sup>

Nie było budowli trafniej obmyślanej, by wytrzymać oblężenie. Napastnik mógł przerwać się przez pierwsze mury, wówczas chroniono się do właściwego zamku pod osłoną fosy; jeśli przerwano drugi mur, wówczas pozostawiając wrogom mieszkalne pokoje, wielki hal, kuchnie, pańskie komnaty, kaplicę, obwarowywano się w stołąpie we wnętrzu grubych murów wokół studni na zielonym podwórzu.

Mieszkał tutaj król-więzień. Dobrze znał Kenilworth, który ongiś należał do Tomasza Lancastera i służył za punkt zborny dla rebelianckich baronów. Po ścięciu Tomasza Edward zasekwestrował zamek i sam w nim mieszkał zimą 1323 roku, zanim oddał go w ręce Henryka Krzywoszyjka, jednocześnie przekazując mu włości i tytuły Lancasterów.

Henryk III, dziad Edwarda, chcąc odebrać zamek swemu szwagrowi Szymonowi de Montfort, oblegał ongiś Kenilworth w ciągu pół roku i nie wojska dały mu radę, lecz głód, mór i klątwa.

W początkach panowania Edwarda I Roger Mortimer z Chirk - ów który zmarł w lochu - rządził zamkiem w imieniu pierwszego hrabiego Lancastra i wydawał tu swe słynne turnieje. Jedna z wież w zewnętrznych murach ku rozpaczycy Edwarda nosiła imię Mortimera! Stała tu, tkwiła co dzień przed jego oczami niby wyzwanie i na szyderstwo.

Okolica dostarczała jeszcze innych pożywek pamięci Edwarda II. Ze szczytu czerwonego stołu Kenilworth mógł dojrzeć o cztery mile na południe biały stołp zamku Warwick, gdzie jego pierwszy kochanek Gaveston został zabity przez baronów; już, czy to bliskie sąsiedztwo zmieniło bieg myśli króla? Edward jakby zgoła zapomniał o Hugonie Despenserze; natomiast osaczały go wspomnienia o Piotrze de Gaveston i nieustannie o nim rozmawiał z Henrykiem Lancasterem, swym strażnikiem.

Nigdy Edward i kuzyn jego Krzywoszyjek nie mieszkali obok siebie tak długo i w takiej samotności. Nigdy Edward nie zwierzał się tak szczerze najstarszemu z rodu. Miewał chwile wielkiej jasności umysłu i bezwzględного sądu nad sobą, co naraz przygnębiało Lancastra i nawet wzruszało. Lancaster jął pojmować sprawy, które ludowi angielskiemu wydawały się niepojęte.

Edward przyznawał, że właśnie Gaveston był początkowo odpowiedzialny za jego pierwsze błędy i złą drogę, jaką potoczyło się jego życie.

- Tak bardzo mnie kochał - mówił król-więzień - a następnie w mych młodych latach gotów byłem wierzyć we wszystkie słowa i całkowicie oddać się tak pięknej miłości.

Teraz nawet nie mógł opanować tkliwości, gdy wspominał urok gaskońskiego rycerzyka, który nie wiedząc skąd wziął się - „grzyb, który wyrósł w ciągu nocy”, jak powiadali baronowie, i mianował go hrabią Kornwalii ku zgorszeniu wszystkich w królestwie feudałów.

- Tak bardzo miał na to ochotę! - mówił Edward.

I jak czarująco zuchwały był Piotr, zuchwałość ta urzekła Edwarda! Król nie mógł sobie pozwolić, aby tak pomiatać baronami, jak czynił to jego faworyt.

- Czy pamiętasz, Krzywoszyjku, jak nazwał bękartem hrabiego Gloucesteru? I jak krzyczał do hrabiego Warwicku „Leżeć czarny kundlu!”

- I jak lżył także mego brata nazywając go rogaczem, czego mu Tomasz nie wybaczył, bo to była prawda.

Nieustraszony Piotruś; rabował klejnoty królowej i wokół rozrzucał obelgi, jak inni rozdają jałmużnę, ponieważ był pewny miłości swego króla! Co więcej, miał twórcze pomysły w zabawach, kazał obnażać się paziom, ręce stroić im w perły, barwić usta, trzymać gałązkę z liśćmi na łonie i urządzał w ten sposób w lasach dworne łowy. A wyprawy do podejrzanych miejsc w londyńskim porcie, gdzie mocował się z tragarzami, bo ponadto był silny, ten zuch! Ach! jakież piękne lata młodości Edward jemu zawdzięczał!

- Myślałem, że to wszystko odnajdę w Hugonie, ale więcej grała tu wyobraźnia niż rzeczywistość. Widzisz, Krzywoszyjku, czym różnił się od Piotrusia Hugo, pochodził on z rodu prawdziwych wielkich baronów i nie mógł o tym zapomnieć. Lecz gdybym nie znał Piotrusia, jestem pewien, że byłbym innym królem.

W ciągu nieskończonej długich, zimowych wieczorów, między dwoma partiami szachów, Henryk Krzywoszyjek osłaniając włosami prawe ramię, słuchał wyznań króla, któremu przeciwności losu, upadek władzy i niewola

dodały lat; ciało atlety jakby wiotczało, twarz mu brzękła, zwłaszcza zaś powieki. Jednakże, taki jaki był, Edward zachował pewien urok. Jaka szkoda, że miał tak nieczne miłostki i szukał zaufania w tak niecznych sercach!

Krzywoszyjek doradzał Edwardowi, aby stawił się przed Parlamentem, ale na próżno. Słaby król tylko w odmowie okazywał siłę.

- Dobrze wiem, że utraciłem tron, Henryku - odpowiadał - ale abdykować nie będę.

Złożone na poduszce korona i berło Anglii wznosiły się powoli, stopień po stopniu, wąskimi schodami stołpu Kenilworth. Za nimi chwiały się mitry biskupie, w półmroku skrzyły się na pastorałach cenne kamienie. Unosząc nad kostką trzy haftowane szaty biskupi wspinali się w górę wieży.

W olbrzymim hallu między pilastrami wspierającymi owalne łuki podobne katedralnym, na krześle, które będąc jedynym sprzętem przypominało tron, czekał Edward, pochylił się, czoło ukrył w dłoni. Wszystko tutaj miało nieludzkie wymiary. Błade styczniowe światło sączące się przez wysokie i bardzo wąskie okna nawodziło na myśl zmierzch.

Hrabia Lancaster z głową pochyloną na ramię stał obok kuzyna wraz z trzema sługami, którzy nawet nie należeli do monarchy.

Czerwone mury, pilastry czerwone, łuki czerwone tworzyły wokół tej grupki tragiczną scenerię kończącej się potęgi.

Gdy Edward zobaczył w otwartych dwuskrzydłowych drzwiach zbliżające się ku niemu koronę i berło, które przed dwudziestu laty pod sklepieniami Westminsteru podobnie mu przyniesiono, wyprostował się na krześle, a podbródek jął mu nieco drżeć. Podniósł oczy na kuzyna Lancastra, jakby szukając oparcia, a ten odwrócił wzrok nie mogąc znieść tego niemego błagania.

Następnie przed monarchą stanął Orleton; Orleton, którego każde pojawienie się od kilku tygodni oznaczało dla Edwarda odebranie mu części władzy. Król spojrział na pozostałych biskupów i wielkiego szambelana; zdobył się na wysiłek, by zachować godność i zapytał:

- Co macie mi do powiedzenia, lordowie?

Lecz głos wydobywał się niewyraźny z pobladłych warg okolonych jasną brodą.

Biskup Winchesteru odczytał pismo, w którym Parlament wzywał monarchę, aby oświadczył, że zrzeka się tronu oraz hołdu wasali, by udzielił zgodę na wybór syna i przekazał wysłannikom atrybuty królewskiej władzy.

Gdy biskup Winchesteru zamilkł, Edward długą chwilę milczał. Cała jego uwaga jakby się skupiała na koronie. Cierpiał, a ból jego był tak wyraźnie fizyczny, tak głęboko wrył się na twarzy, że można było powątpiewać, czy jest w stanie myśleć. Jednakże powiedział:

- W waszych rękach spoczywa korona, lordowie, a ja jestem na waszej łasce. Czyńcie, co wam się podoba, lecz bez mojej zgody.

Wówczas Adam Orleton postąpił o krok i oświadczył:

- Sire Edwardzie, lud Anglii już nie chce was mieć za króla i Parlament

przysła nas, by wam to oświadczyć. Ale Parlament wybiera królem waszego najstarszego syna, diuka Akwitanii, którego mu zaprezentowałem; wasz syn zaś zgadza się przyjąć koronę li tylko za waszą wolą. Jeśli upieracie się przy odmowie, lud mając wolne ręce, będzie mógł wybrać na władcę księcia, takiego spośród dostojników w królestwie, jaki go najbardziej zadowoli, a król ten może zgoła nie pochodzić z waszego rodu. Zbyt wiele namąciliście w naszych państwach, po tylu czynach szkodliwych dla nich pozostał ten jedyny, jakiego możecie dokonać, aby zwrócić im pokój.

Edward ponownie wzniosł oczy na Lancastra. Mimo ogarniającej go słabości król w pełni pojął pogroźkę zawartą w słowach biskupa. Jeśli nie zgodzi się na abdykację, Parlament, zmuszony wyszukać sobie króla, nie omieszka wybrać wodza rebelii, Rogera Mortimera, który już owładnął sercem królowej. Oblicze króla przybrało niepokojąco woskową barwę; podbródek drżał nadal; ścisnęły się nozdrza.

- Wielebny Pan Orleton sprawiedliwie rzekł - powiedział Lancaster - musicie zrzec się, kuzynie, aby zwrócić Anglii pokój i żeby Plantageneci nadal tutaj panowali.

Edward, na pozór niezdolny wyrzec słowo, dał znak, by przybliżyć koronę i pochylił głowę, jakby chciał ją opasać po raz ostatni.

Biskupi naradzali się wzrokiem, nie wiedząc jak postąpić ani jaki gest wykonać w czasie tej nieprzewidzianej ceremonii, nie posiadającej precedensu w liturgii królewskiej. Ale głowa króla chyliła się nadal, stopniowo, ku kolanom.

- On kona! - nagle wykrzyknął archidiakon Chandos, który niósł poduszkę z insygniami.

Krzywoszyjek i Orleton rzucili się, by podtrzymać zemdlonego Edwarda w chwili, gdy już miał uderzyć czołem o kamienne płyty.

Usadowiono go na krześle, uderzono po twarzy, spieszenie posłano po ocet. Wreszcie głęboko odetchnął, otworzył oczy, rozglądając się wokół; po czym nagle jął szlochać. Opuściła go tajemnicza siła, jaką namaszczenie i sakra wlewają w królów, aby niekiedy służyć tylko zgubnym skłonnościom. Stał się jakby wyegzorcyzmowany z królewskiego majestatu.

Przez szloch usłyszano jego słowa:

- Wiem, lordowie, wiem, że z własnej winy popadłem w tak wielką nędzę i że muszę pogodzić się z cierpieniem. Ale nie mogę pozbyć się uczucia głębokiego smutku z powodu nienawiści mego ludu, którego ja nie nienawidziłem wcale. Obrażałem was, nie działałem dla waszego dobra. Zacni jesteście, lordowie, bardzo zacni, że zachowaliście przywiązanie do mego najstarszego syna, że nie przestaliście go miłować i pragniecie za króla. Przeto chcę was zadowolić. Zrzekam się wobec was wszystkich praw do królestwa, zwalniam wasali z hołdu, jaki mi złożyli, i proszę ich o przebaczenie. Zbliźcie się...

Znów uczynił gest, by mu podano insygnia. Ujął berło, a ramię mu się ugięło, jakby zapomniało ciężaru; wręczył je biskupowi Winchesteru i rzekł:

- Wybaczcie, Milordzie, wybaczcie moje wobec was zniewagi.

Wyciągnął długie, białe dłonie ku poduszce, podniósł koronę, przycisnął do niej usta, jakby całował patenę, po czym podając ją Adamowi Orletonowi wyrzekł:

- Weźcie ją, Milordzie, aby opasać nią głowę mego syna. I udzielcie mi przebaczenia za wszystkie męki i krzywdy jakie wam wyrządziłem. Niech mi lud wybaczy w moim nieszczęściu. Módlcie się za mnie, lordowie, bo jestem już niczym.

Wszystkich poruszyły jego szlachetne słowa. Edward okazywał się królem w chwili, gdy być nim przestawał.

Tedy sir William Blount, wielki szambelan, wynurzył się z mroku kolumnady, podszedł do Edwarda II oraz biskupów i złamał o kolano swe rzeźbione berło, jakby to uczynił przed trupem króla złożonym do grobowca, aby zaznaczyć, że nastąpił koniec panowania.





## VI

# Wojna przeciwko kociołkom

*„Zważywszy, że Sire Edward, ongiś król Anglii, z własnej woli i za wspólną radą i zgodą prałatów, hrabiów, baronów i pozostałej szlachty oraz całej wspólnoty królestwa, zrzekł się władzy państwowej i wyraził zgodę i wolę, aby rządy nad rzeczonym królestwem przeszły na Sire Edwarda, syna jego i dziedzica, aby ów panował i był koronowany na króla, dla której to przyczyny wszyscy możni złożyli mu hołd, czynimy wiadomym i ogłaszamy pokój w imieniu naszego rzeczonego suzerena, Sire Edwarda, syna i wszem nakazujemy, aby nikt nie naruszał pokoju naszego Miłościwego Króla, on bowiem w obronie sprawiedliwości gotów jest zadość uczynić wszystkim w rzeczonym królestwie, tak ubogim jak i możnym: A jeśli ktokolwiek będzie żądał czegokolwiek od innego, niech czyni to zgodnie z prawem bez użycia siły czy innego gwałtu...”*

24 stycznia 1327 roku odczytano powyższą proklamację przed Parlamentem i natychmiast ukonstytuowała się rada regencyjna, przewodziła jej królowa, a w skład rady weszło dwunastu członków, między innymi hrabiowie Kentu, Norfolku i Lancasteru; marszałek sir Tomasz Wake i najważniejszy ze wszystkich Roger Mortimer, baron na Wigmore.

W niedzielę 1 lutego odbyła się w Westminster koronacja Edwarda III. W przeddzień Henryk Krzywoszyjek pasował na rycerza młodego króla, a jednocześnie trzech najstarszych synów Rogera Mortimera.

Obecna była na uroczystości lady Joanna Mortimer. Odzyskała ona wolność i dobra, lecz utraciła miłość małżonka. Nie śmiała spojrzeć na królową, a królowa nie śmiała spojrzeć na nią. Lady Joanna bez ustanku cierpiała nad zdradą tych dwóch istot, które najbardziej kochała na świecie i najwierniej im służyła. Czy piętnaście lat obecności, oddania, wspólnie dzielonych niebezpieczeństw u boku królowej Izabeli taką miały otrzymać zapłatę? Czy w taki sposób miały się zakończyć dwadzieścia trzy lata związku z Mortimerem, któremu dała jedenaścioro dzieci? W wielkim wstrząsie, który zmienił losy królestwa i wyniósł jej małżonka na szczyty władzy, lady Joanna, zawsze tak wierna, znalazła się wśród zwyciężonych. Jednakże przebaczała, usuwała się z godnością, ponieważ chodziło właśnie o dwie istoty, które najbardziej podziwiała i rozumiała, że obie pokochały się nawzajem miłością nie do przewyciężenia, gdy je los ze sobą zetknął.

Po zakończeniu koronacji zezwolono tłumom wejść do londyńskiego biskupstwa, żeby zatłuc byłego kanclerza Roberta Baldocka. Pan Jan de Hainaut w tym tygodniu otrzymał rentę w wysokości tysiąca funtów sterlingów pobieraną z opłat celnych za wełnę i skóry w londyńskim porcie.

Pan Jan de Hainaut chętnie pozostałby dłużej na dworze angielskim. Ale obiecał przybyć na wielki turniej w Conde-sur-l'Escaut, gdzie przyrzekł

sobie spotkanie tłumów książąt, a wśród nich król Czech. Odbędą się zapasy, parady, spotkania z pięknymi damami, które przejechały całą Europę, żeby zobaczyć najpiękniejszych rycerzy; będą się wzajem uwodzić, tańczyć, zabawiać na uroczystościach i oglądać widowiska. Pan Jan de Hainaut nie mógł tego stracić i nie błyszczeć z piórami przy hełmie w piaszczystych szrankach. Zgodził się zabrać ze sobą piętnastkę angielskich rycerzy, którzy chcieli wziąć udział w turnieju.

W marcu nareszcie podpisano traktat z Francją, regulujący sprawę Akwitanii z wielką szkodą dla Anglii, Mortimer w imieniu Edwarda III nie mógł odrzucić klauzul, które niegdyś sam przeprowadził, by je narzucić Edwardowi II. W taki sposób płacono za złe rządy. Ponadto Mortimer niewiele interesował się Gujenną, gdzie nie miał posiadłości, a cała jego uwaga kierowała się obecnie, jak i przed jego uwięzieniem, na Walię i Marchie Walijskie.

Przybywszy do Paryża na ratyfikację traktatu posłowie spotkali Karola IV pogrążonego w smutku i przygnębieniu, bo dziecko, które w ubiegłym listopadzie powiła Joanna d'Evreux, okazało się dziewczynką, a tak bardzo spodziewano się chłopca; córeczka żyła niewiele ponad dwa miesiące.

Bądź co bądź w Anglii już wracał ład, gdy stary król Szkocji, Robert Bruce, mimo że bardzo podeszły wiekiem a ponadto dotknięty trędem; 1 kwietnia, dwanaście dni przed Wielkanocą, wypowiedział wojnę młodemu Edwardowi III i uprzedził go, że najedzie jego państwo.

Pierwszym odruchem Rogera Mortimera była zmiana rezydencji eks-króla Edwarda II. Działał powodowany przezornością. W istocie Henryk Lancaster wraz ze swymi chorągwiami był potrzebny armii; następnie zaś Lancaster - wedle raportów nadsyłanych z Kenilworth - zdawał się zbyt łagodnie traktować więźnia, popuszczał mu w nadzorze i pozwalał byłemu królowi porozumiewać się z ludźmi z zewnątrz. Nie ścięto zaś tylu zwolenników Despenserów, ilu należało. Hrabia de Warenne szczęśliwszy od swego szwagra, hrabiego Arundela, zdołał umknąć. Niektórzy pochowali się w swych zamkach czy też zaprzyjaźnionych rezydencjach, czekając aż burza minie; inni puciekali z królestwa. Rzecz nawet do zbadania, czy wyzwanie rzucone przez starego króla Szkocji nie wynikało z ich podszeptów.

Następnie jał przygasać wielki entuzjazm ludu towarzyszący uwolnieniu. Po półrocznych rządach już mniej miłowano Rogera Mortimera, mniej mu schlebiano; podatki wciąż istniały i więziono ludzi za to, że ich nie płacili. W kołach rządowych zarzucano Mortimerowi surową władczość, rosnącą z dnia na dzień oraz wielkie ambicje, jakie ujawniał. Do własnych dóbr odebranych hrabiemu Arundel dołączył hrabstwo Glamorgan oraz większość posiadłości Hugona Młodszego. Trzej jego zięciowie - bo Mortimer miał trzy córki już zamężne - lord Berkeley, hrabia Charlton i hrabia Warwich rozszerzali jego władzę na dalsze terytoria. Objąwszy urząd Wielkiego Sędziego Walii, ongiś sprawowany przez stryja Chirka, jak i odziedziczone po nim dobra, zamyślał stworzyć hrabstwo na Marchiach, a to stanowiłoby na zachodzie królestwa bajeczne jakby niezawisłe księstwo.

Poza tym już zdążył pokłócić się z Adamem Orletonem. Ów wysłany do

Awinionu, by przyspieszyć udzielenie dyspensy niezbędnej dla ślubu młodego króla, poprosił papieża o wielkiej wagi biskupstwo Worcesteru, wakujące w owym czasie. Mortimer sprzeciwił się, obrażony, że Orleton uprzednio nie spytał go o zgodę. Nie inaczej postąpił z Orletonem Edward II w sprawie biskupstwa Herefordu.

Siłą rzeczy zmniejszyła się również popularność królowej.

A oto rozpalala się wojna, raz jeszcze wojna ze Szkocją. Nic się więc nie zmieniło. Za wiele się spodziewano, aby się nie rozczarować. Wystarczyłby przewrót w armii, spisek, który by pomógł zbiec Edwardowi II, a Szkoci, chwilowo sprzymierzeni z dawnym stronnictwem Despenserów, mogliby króla gotowego znów osadzić na tronie, ów zaś chętnie oddałby im północne prowincje w zamian za wolność i odzyskanie korony.<sup>49</sup>

Nocą z 3 na 4 kwietnia wyrwano ze snu byłego króla i poproszono, by się szybko przyodział. Zobaczył, że wchodzi wielki jeździec, niezgrabny, kościsty o długich żółtych zębach i ciemnych sztywnych włosach opadających na uszy.

- Dokąd mnie prowadzisz, Maltravers? - zapytał z przerażeniem Edward rozpoznając w nim barona, którego niegdyś obrabował i wygnał, twarz bowiem jego tchnęła mordem.

- Prowadzę cię, Plantagenecie, tam, gdzie będzie ci bezpieczniej, i żeby to bezpieczeństwo było całkowite, nie powinienes wiedzieć, dokąd idziesz, aby nie kusilo twej głowy zwierzyć się ustom.

Maltravers otrzymał polecenie okrążyć miasta i nie zwłóczyć w drodze. 5 kwietnia przebywszy całą drogę wyciągniętym kłusem lub cwałem z jedynym tylko postojem w opactwie koło Gloucester, były król wkroczył do zamku Berkeley i tam został przekazany pod opiekę jednemu z zięciów Mortimera.

Wojska angielskie, najpierw zwołane na Wniebowstąpienie do Newcastle, zebrały się na Zielone Świąta w mieście York. Przeniósł się tam rząd królewski i odbyła się sesja Parlamentu jak podczas szkockich najazdów za panowania zdetronizowanego króla.

Niebawem na czele Henuęczyków przybył pan Jan de Hainaut, nie omieszkało bowiem wezwać go na pomoc. Ponownie więc ujrzano potężne rude konie, na nich rozgorączkowanych turniejami w Conde-sur-l'Escaut panów de Ligne, d'Enghien, de Mons i de Sarre i Wilhelma de Bailleul, Parsifala de Semeries, Jana Sancha de Boussoy i Ulfarta de Ghistelles, którzy triumfowali w zapasach pod sztandarami Hainaut, i panów Thierry de Wallecourt, Rasses'a de Grez, Jana Pilastre'a i trzech braci de Harlebeke w barwach Brabancji; a także panów z Flandrii, Cambresis i Artois oraz syna markiza de Juliers.

Jan de Hainaut musiał ich tylko zebrać w Conde. Jechało się z wojny na turniej, a z turnieju na wojnę! Ach! Ileż przyjemności i szlachetnych przygód!

Wydano uroczyste przyjęcie na cześć powrotu Henuęczyków. Przydzielono im najlepsze kwatery, zapraszano na festyny i uczyty z obfitością mięsiva i drobiu. Gaskońskie i reńskie wina toczyły się z



otwartych antałów.

Takie traktowanie cudzoziemców zrobiło złą krew wśród angielskich łuczników - było ich dobre sześć tysięcy, a wśród nich pokaźna ilość byłych żołnierzy świętego hrabi Arundela.

Pewnego wieczoru, jak często się zdarza wśród obozujących oddziałów, przy grze w kości wybuchła bójka między angielskimi łucznikami a zbrojnymi pacholkami jakiegoś brabanckiego rycerza. Anglicy li tylko czekali na okazję, wezwali na pomoc kamratów; powstali wszyscy łucznicy, żeby potłuc ciury z kontynentu. Henuęczycy pobiegli do swego obozu i tam się obwarowali. Dowódców chorągwi ściągniętych z uczty wrzawą wnet osaczają angielscy łucznicy. Owi chcą, lecz nie mogą schronić się do swych kwater, bo ich ludzie tam się zabarykadowali. I oto kwiat szlachty flandryjskiej bez broni i osłony! Lecz składał się on z tęgich zuchów. Panowie Parsifal de Semeries, Fastres de Rues i Sancho de Boussoy chwytają znalezione u kołodzieja ciężkie dębowe drągi, opierają się o mur i we trójkę obalają dobrą kopę łuczników, podwładnych biskupa Lincolnu.

Ten drobny spór między sojusznikami kosztował przeszło trzystu zabitych.

Zgoła zapomniawszy o wojnie ze Szkocją, sześć tysięcy łuczników jedynie przemyślało, jak by wykończyć Henuęczyków. Pan Jan de Hainaut, obrażony, wściekły, chciał wracać do siebie, żądając tylko przerwania oblężenia wokół jego obozu! Wreszcie powieszono kilku ludzi i wszystko się uspokoiło. Towarzyszące mężom w wyprawie angielskie damy obdarzały Henuęczyków tysiącami uśmiechów i wilgotnymi od łez oczyma zanosily tysięczne prośby, żeby zostali. Umieszczono Henuęczyków w obozie o pół mili od reszty armii i tak minął cały miesiąc na spozieraniu na siebie wilkiem.

Wreszcie postanowiono ruszyć na wyprawę. Młody król, Edward III, jechał na pierwszą wojnę na czele ośmiu tysięcy pancernych i trzydziestu tysięcy pieszych.

Na nieszczęście Szkotów ani widu, ani słyhu. Ci twardzi mężowie wojowali bez zaopatrzenia i furgonów. Lekkie oddziały jako jedyny bagaż woziły płaski kamień przytroczony do siodła i woreczek mąki; potrafili się tym żywić przez kilkanaście dni, rozrabiali mąkę wodą ze strumienia i piekli placki na kamieniu rozgrzanym w ognisku. Bawiła Szkotów olbrzymia angielska armia, doskakiwali do niej, ścierali się i wnet cofali, przekraczając rzeki tam i z powrotem, ściągali przeciwnika w bagna, gęste lasy, strome wąwozy. Na ślepo błakano się między rzeką Tyną a górami Cheviot.

Pewnego dnia posuwając się lasem Anglicy usłyszeli wielki rumor. Ogłoszono alarm. Spuściwszy przyłbicy i nie czekając ni brata, ni swata rzucili się wszyscy i oto po wielkich trudach spotkali stado jeleni, które oszalałe uciekało przed szczękiem broni.

Zaopatrzenie jęło szwankować; kraj nic nie rodził; kupcy z trudem dowozili skąpą żywność i sprzedawali ją po dziesięciokrotnej cenie. Koniom brakowało owsa i obroku. Ponadto przez dobry tydzień deszcz lał bez przerwy; poły siodła gniły pod udami, konie w błocie gubiły podkowy;

rdzewiało całe wojsko. Wieczorem rycerze stępiali ostrza mieczów ścinając gałęzie na szałas. A Szkoci byli nadal nieuchwytni.

Marszałek wojsk sir Tomasz Wake był zrozpaczony. Hrabia Kentu niemal żałował La Reole; tam przynajmniej była ładna pogoda. Henryk Krzywoszyjek dostał w karku kolki reumatycznej. Mortimer złościł się, męczyła go ciągła jazda od armii do Yorkshire, gdzie przebywała królowa i urzędy państwowe. Rozpacz, która rodzi kłótnie, jęła się zagnieżdzać w oddziałach pogadywano o zdradzie.

Pewnego dnia, gdy dowódcy chorągwi bardzo głośno rozprawiali o tym, co należało uczynić, a czego nie zrobiono, młody król, Edward III, zebrał kilku giermków mniej więcej w swoim wieku i przyrzekł rycerski pas oraz ziemię z dochodem stu funtów temu, kto odnajdzie szkockie wojska. Z dwudziestu chłopców od czternastu do osiemnastu lat jęło przeszukiwać wsie. Pierwszy przybiegł niejaki Tomasz Rokesby; zdyszany i wyczerpany zawołał:

- Sire Edwardzie, Szkoci znajdują się o cztery mile od nas, stoją tam już od tygodnia nie wiedząc, gdzie wy jesteście, jak i wy nie wiecie, gdzie oni!

Natychmiast młody Edward kazał zagrać w trąby, zebrać wojska na terenie zwanym „białą landą” i zarządził pościg za Szkotami. Wielcy turniejowcy byli oszołomieni. Ale hałas, jaki posuwając się w górach wydawało mnóstwo tego żelastwa, już z dala dotarł do ludzi Roberta Bruce’a. Rycerze angielscy i Hainaut, przybywszy na szczyt, gotowali się zjechać po przeciwległym stoku, gdy nagle spostrzegli całą szkocką armię pieszo i w pogotowiu ze strzałami napiętymi na cięciwach łuków. Armie patrzyły na siebie nie ważąc się zetrzeć, bo miejsce było niedogodne, by rzucić się konno; patrzyły na siebie dobre trzy tygodnie!

Ponieważ Szkoci nie zdawali się chętni do opuszczenia tak dogodnej dla nich pozycji, rycerze zaś nie chcieli stoczyć bitwy na terenie, gdzie nie mogli rozwinąć bojowego szyku, przeto oba wojska stały po obu stronach szczytu, czekając aż przeciwnik raczy się ruszyć. Zadawalano się harcami, zazwyczaj nocą... pozostawiając piechurom te drobne utarczki.

Na owej dziwnej wojnie, którą wydali sobie trędowaty osiemdziesięcioletni i piętnastoletni król, najgłośniejszego czynu dokonał Szkot Jakub Douglas; pewnej księżycowej nocy na czele dwustu jeźdźców ze swego klanu runął na obóz angielski zmiatając wszystko, co mu stało na drodze, i z okrzykiem: „Douglas, Douglas!” przeciął trzy sznury przy namiocie króla. Od tej nocy angielscy rycerze spali w zbrojach.

Potem, pewnego ranka przed świtem pojmano dwóch „trębaczy” ze szkockiej armii, dwóch zwiadowców, którzy naprawdę zdawali się pragnąć, aby ich ujęto; przyprowadzeni do króla Anglii oświadczyli:

- Sire, czego tu szukacie? Nasi Szkoci wrócili w góry, a Sire Robert, nasz król, kazał was o tym uprzedzić, a także powiedzieć, że w tym roku nie będzie z wami walczył, chyba że będziecie go ścigać.

Anglicy, obawiając się zasadzki, ostrożnie posuwali się i nagle stanęli przed czterystu garnkami i kotłami zawieszonymi rzędem; zostawili je Szkoci nie chcąc się obciążać i podczas odwrotu wywoływać hałasu. Również zobaczono ogromny stos skórzanych trzewików włosem na wierzch; przed odejściem Szkoci zmienili obuwie. Jedynie pięciu żywych

ludzi znaleziono w obozie, byli to angielscy jeńcy, całkiem nadzy, przywiązani do pali z połamanymi kijem nogami.

Ścigać Szkotów po ich górach, na trudnym, wrogim terenie, prowadzić wojnę podjazdową, do której już zmęczone wojsko nie było zaprawione, stanowiłoby czyste szaleństwo. Uznano wyprawę jako zakończoną; wróciwszy do Yorku rozpuszczono wojska.

Pan Jan de Hainaut policzył konie martwe i nie do użytku i przedstawił rachunek na czternaście tysięcy funtów. Młody król Edward nie rozporządzał w Skarbie aż taką gotówką, musiał także zapłacić żółd własnym zastępom. Wtedy Pan Jan de Hainaut, jak zawsze wspaniałomyślny, osobiście poręczył swym rycerzom sumy należne im od przyszłego bratanka.

Latem Roger Mortimer nie będąc zainteresowany północną częścią królestwa zawarł traktat pokojowy. Edward III zrzekał się wszelkiej zwierzchności nad Szkocją i uznawał Roberta Bruce'a królem tego kraju, na co Edward II nigdy się nie zgodził podczas całego okresu swych rządów; prócz tego Dawid Bruce, syn Roberta, poślubił Joannę Angielską, drugą córkę królowej Izabeli.

Czy warto było dla takich rezultatów wyzuć z władzy byłego króla, który żył uwięziony w zamku Berkeley?





## VII

### Słomiana korona

Niemal czerwona jutrzienka rozpała horyzont za wzgórzami Costwold.

- Słońce prędko wejdzie, panie Janie - rzekł Tomasz Gournay, jeden z dwóch jeźdźców jadących na czele eskorty.

- Tak, słońce prędko wejdzie, panie Tomaszu, a my jeszcze nie dojechaliśmy do naszego postoju - odparł Jan Maltravers, który jechał obok niego strzemień w strzemień.

- Kiedy dzień nastanie, ludzie mogliby rozpoznać, kogo wiemy - podjął pierwszy.

- Istotnie, tak mogliby się zdarzyć, mój drużynie, a właśnie tego powinniśmy uniknąć.

Rozmawiali umyślnie bardzo głośno, żeby więzień mógł wyraźnie ich słyszeć.

Przejechawszy pół Anglii sir Tomasz Gournay przybył wczoraj z Yorku do Berkeley, przywożąc nowe rozkazy Rogera Mortimera, związane ze stróżą nad obalonym królem.

Gournay był mężczyzną o niezbyt miłym wyglądzie, miał nos krótki i przypłaszczony, dolne kły dłuższe od reszty zębów, cerę różową, piegową, upstrzoną rudą szczecią niby świńska skóra; spod żelaznego kapelusza wylaniały się zmierzwiłe, wijące się włosy podobne miedzianym strużynom.

Mortimer przydał Tomaszowi Gournayowi jako towarzysza, a po trosze i dozorcę, Ogle'a, byłego balwierza z londyńskiej wieży.

Pod wieczór, w porze gdy chłopcy już zjedli zupę, oddziałek wyruszył z Berkeley i przez cichą wieś i uśpione gródki skierował się na południe. Maltravers i Gournay jechali na czele. Króla otaczała dziesiątka żołnierzy pod dowództwem niższego oficera, niejakiego Towurlee. Kolos o niskim czole i oszczędnie odmierzonej inteligencji, Towurlee był człowiekiem posłusznym i bardzo się nadawał do wypełniania zadań wymagających siły, a zarazem stawiania jak najmniejszej ilości pytań. Pochód zamykali Ogle oraz mnich Wilhelm, wybrany spośród nie najcnotliwszych w klasztorze. Ale mógł być potrzebny, gdyby należało udzielić ostatniego namaszczenia.

Przez całą noc król próżno usiłował odgadnąć, dokąd go wiodą. Teraz już dzień nastawał.

- Co robić, panie Tomaszu, żeby nie można było rozpoznać człowieka! - sentencjonalnie podjął Maltravers.

- Zmienić mu twarz, panie Janie, nie widzę innego sposobu - odparł Gournay.

- Trzeba by go wysmarować smołą czy też sadzą.

- Tym sposobem chłopcy pomyśleliby, że towarzyszymy Maurowi.

- Na nieszczęście, nie mamy smoły.

- Tedy można by go ogolić - rzekł Tomasz Gournay, podkreślając propozycję wyraźnym mrugnięciem oka.

- Ach! Świetny pomysł, druhu. Tym bardziej że mamy w poczcie balwierza. Niebo nam przychodzi z pomocą. Ogle, Ogle, chodźże!... Czy masz misę, brzytwy?

- Mam, panie Janie, do waszych usług - dołączając się do obu rycerzy odparł Ogle.

- Tedy przystańmy tutaj. Widzę trochę wody w tym strumyku.

Już wczoraj wszystko zostało uzgodnione. Oddziałek stanął. Gournay i Ogle zsiadli z koni. Gournay miał szerokie ramiona, nogi krótkie i pałakowate. Ogle rozścielił na trawie płótno, rozłożył narzędzia i patrząc na byłego króla począł wolno ostrzyć brzytwę.

- Czego ode mnie chcecie? Co mi zrobicie? - przerażonym głosem zapytał Edward.

- Chcemy, żebyś zsiadł ze swego rumaka, szlachetny panie, żebyśmy ci zmienili oblicze. Oto tron akurat dla ciebie - powiedział Tomasz Gournay wskazując mu kretowisko, które rozgniół obcasem. - Nuże! Siadaj!

Edward usłuchał. Ponieważ się trochę wahał, Gournay pchnął go do tyłu, a eskortujący żołnierze wybuchnęli śmiechem.

- Wszyscy w koło - rozkazał im Gournay.

Ustawili się kręgiem, a kolos Towurlee stanął za królem, by w razie potrzeby przycisnąć go za ramiona.

Woda zaczerpnięta przez Ogle'a była lodowata.

- Zwilż mu twarz - rzekł Gournay.

Balwierz chlusnął całą zawartością misy królowi w twarz. Później brutalnie jął wodzić brzytwą po policzkach. Jasne kępki włosów spadały na trawę.

Maltravers pozostał na koniu. Oparłszy ręce na łąku, z włosami opadającymi na uszy, śledził zabieg z widoczną uciechą.

Między dwoma pociągnięciami brzytwą Edward krzyknął:

- Sprawiacie mi za wiele bólu! Nie moglibyście chociaż zwilżyć gorącą wodą?

- Gorącą wodą? - zawołał Gournay. - Patrzyć, co za delikacik.

I Ogle, przesuwając krągłą, białawą twarz do oblicza króla, szepnął mu w nos:

- A zacny lord Mortimer, gdy siedział w londyńskiej wieży, to grzano mu wodę w jego misce?

Później znów wziął się do roboty szeroko pociągając ostrzem. Krew perliła się na skórze. Edward jął płakać z bólu.

- Ach! Widzicie, co za spryciarz - wykrzyknął Maltravers - znalazł jednak sposób, żeby mieć ciepłą wodę na policzkach.

- Czy mam zgolić także włosy, panie Tomaszu? - zapytał Ogle.

- Jasne, włosy także - odparł Gournay.

Brzytwa ścinała kosmyki od czoła aż po kark.

Po dziesięciu minutach Ogle podał swemu pacjentowi cynowe lustro i były monarcha Anglii z osłupieniem ujrzał swą prawdziwą twarz, zarazem dziecięcą i starczą pod nagą czaszką wąską i wydłużoną. Długi podbródek już nie ukrywał swej słabości. Edward poczuł się ogołocony, śmieszny jak

ostrzyżony pies.

- Nie poznają siebie - rzekł.

Otoczający go ludzie raz jeszcze się roześmieli.

- Ach! To wspaniale - z wysokiego siodła odezwał się Maltrawers. - Jeśli nawet ty siebie nie poznajesz, tym bardziej nie rozpoznają ciebie ci, co mogliby cię szukać. Oto, co się wygrywa chcąc uciekać.

To był bowiem powód podróży. Kilku parów walijskich pod przewodnictwem jednego ze swoich, Rhysa ap Gruffyd, uknuli spisek, aby uwolnić obalonego króla, o czym dowiedział się Mortimer. Jednocześnie pewnego ranka wykorzystując niedbalstwo Tomasza Berkeleya Edward uciekł z więzienia. Maltravers natychmiast rzucił się w pościg i przyłapał go w głębi lasu biegnącego do wody niby zgoniony jelen. Były król usiłował dotrzeć do ujścia Severn w nadziei, że tam znajdzie jakąś barkę. Teraz Maltravers mścił się, lecz w danym momencie zrobiło mu się gorąco.

- Powstań, panie królu, czas ci znów wsiąść na koń - rzekł. - Gdzie się zatrzymamy? - spytał Edward.

- Tam gdzie będziemy pewni, że nie zdołasz spotkać przyjaciół. I nic ci nie zakłóci snu. Ufaj nam, że czuwamy nad tobą.

Podróż trwała prawie tydzień. Jechali nocą, odpoczywali dniem bądź w jakimś zamku, którego byli pewni, bądź w jakimś zabudowaniu na polu, w stodole na uboczu. O piątym świcie Edward zobaczył sylwetkę olbrzymiej szarej warowni, wzniesionej na wzgórzu. Powiewy wiatru niosły morskie powietrze bardziej rześkie, wilgotniejsze, słonawe.

- Ależ to Corfe! - rzekł Edward. - Czy tam mnie prowadzicie?

- Oczywiście, że Corfe - odparł Tomasz Gournay. - Dobrze znasz zamki w swoim królestwie, jak się zdaje.

Okrzyk przerażenia wyrwał się z ust Edwarda. Niegdyś astrolog doradzał mu, aby nigdy nie zatrzymał się w Corfe, bo pobyt w tym zamku może się dlań okazać zgubny: Przeto w swych podróżach po Dorset i Devonshire, Edward II kilkakrotnie zbliżał się do Corfe, ale uparcie odmawiał wjazdu.

Zamek Corfe był starszy, większy, bardziej ponury niż Kenilworth. Olbrzymia baszta górowała nad okolicą, nad całym półwyspem Purbeck. Niektóre fortyfikacje sięgały czasów poprzedzających najazd Normanów. Często służył za więzienie, zwłaszcza Janowi bez Ziemi, który przed stu dwudziestu laty rozkazał tu zamorzyć głodem dwudziestu dwóch francuskich rycerzy. Corfe wydawał się budowlą przeznaczoną na zbrodnię. Otaczał ją tragiczny przesąd związany z zabójstwem piętnastoletniego chłopca, króla Edwarda II, przezwanego męczennikiem z dynastii saksońskiej sprzed roku tysięcznego.

W okolicy żyła nadal legenda o tym zabójstwie. Edward Saksoński, syn i następca króla Edgara, był zniechęcony przez macochę, królową Elfrydę, drugą żonę jego ojca. Pewnego dnia, gdy konno wrócił z łowów i mocno zgrzany niósł do ust róg z winem, królowa Elfryda wbiła mu sztylet w plecy. Oszałały z bólu spał konia, który ruszył prosto w las. Młody król brocząc krwią niebawem spadł z siodła, lecz stopa uwieźla mu w strzemieniu; wierzchowiec włókł go jeszcze pewien czas roztrzaskując mu

głowę o drzewa. Idąc śladami krwi pozostawionymi w lesie, chłopci odnaleźli ciało i po kryjomu je pogrzebali.

Wokół grobu jęły się dziać cuda, później Edwarda kanonizowano.

To samo imię, ta sama cyfra w innej dynastii, skojarzenie jeszcze bardziej niepokojące na skutek przepowiedni astrologa, mogły wprawić króla w drżenie. Czy Corfe ujrzy śmierć następnego Edwarda II?

- Na wjazd twój do tej pięknej cytadeli trzeba ci włożyć koronę, szlachetny panie - rzekł Maltravers. - Towurlee, idź no zebrać trochę słomy na tym polu!

Z wiązki zeschłej trawy przyniesionej przez kolosa, Maltravers splótł wieniec i wsadził go na ogoloną czaszkę króla. Sucha trawa wpiła się w skórę.

- Jedź teraz i wybacz nam, że nie mamy trąbek!

Głęboka fosa, mur, między dwoma wielkimi krągłymi wieżami zwodzony most, jeszcze zielone wzgórze, następna fosa, brama, krata; a dalej jeszcze porosłe trawą stoki; gdy się odwróciło, widoczne były wiejskie domki kryte płaskimi, szarymi kamieniami, ułożonymi jak dachówka.

- Nuże, naprzód! - krzyknął Maltravers wymierzając Edwardowi cios w krzyże.

Słomiana korona zachwiała się. Konie szły teraz przez wąskie, kręte korytarze wybrukowane krągłymi kamykami, wśród olbrzymich jak z baśni murów, na szczycie których usadowione rzędem kruki okalały czarnym fryzem szary kamień i patrzyły pięćdziesiąt stóp w dół na przejeżdżającą kolumnę.

Król Edward II był pewien, że go zabiją. Ale istnieje wiele sposobów, aby doprowadzić człowieka do śmierci.

Tomasz Gournay i Jan Maltravers nie mieli wyraźnego rozkazu, aby go zamordować, lecz raczej wykończyć. Wybrali sposób powolny. Dwa razy dziennie podawano byłemu monarsze ohydny żytnią polewkę, podczas gdy jego strażnicy opychali się różnymi smakołykami. Więzień jednakże dzielnie znosił ohydne jadło i szyderstwa oraz razy, jakimi go obdarzano. Miał osobliwie silne ciało i mocnego ducha. Inni na jego miejscu łąco postradaliby rozum; on zaledwie jęczał. Ale nawet jęki świadczyły o zdrowym rozsądkiem.

- Czy moje grzechy są aż tak ciężkie, że nie zasługują ani na litość, ani wyrozumiałość? Czy postradaliście wszelkie miłosierdzie chrześcijańskie, wszelką dobroć? - mówił swym dozorcóm. - Chociaż nie jestem już monarchą, pozostałem nadal mężem i ojcem, czy jeszcze mogę nabawić strachu żonę i dzieci? Czy zabrawszy mi wszystko, co do mnie należało, jeszcze nie są zadowoleni?

- Czemu uskarżasz się, panie królu, na żonę? Czy królowa nie przysłała ci pięknych szat i czy nie pisze słodkich listów, które ci odczytaliśmy?

- Oszustwo, szelmostwo - odpowiadał Edward - pokazywaliście mi odzież, ale mi jej nie daliście i każecie mi gnić w tej nędznej sukni. I po co ta złośliwa kobieta przesyła mi listy, chyba po to, żeby udawać, iż okazuje współczucie. To ona, właśnie ona i podły Mortimer wydali rozkazy, żeby mnie dręczyć! Gdyby nie ona i ten zdrajca, jestem przekonany, że moje

dzieci przybiegłyby, aby mnie uściskać.

- Królowa, twoja małżonka i dzieci, zbyt się boją twojej okrutnej natury  
- odpowiedział Maltravers. - Za długo znosili twoje przestępstwa i ataki wściekłości, żeby pragnąć do ciebie się zbliżyć!

- Gadaj, gadaj, niegodziwco - mówił król. - Przyjdzie czas, gdy pomszczone zostaną wymierzone mi męki.

I począł płakać kryjąc brodę w ramionach. Płakał, lecz nie umierał.

Gournay i Maltravers nudzili się w Corfe, bo wszystkie rozrywki powszednieją, nawet takie, jakich dostarcza torturowanie króla. Poza tym Maltravers pozostawił swą żonę Ewę u szwagra w Berkeley; prócz tego w okolicach Corfe jęły rozchodzić się pogłoski, że w tutejszym więzieniu przebywa zdetronizowany król. Tedy wymieniwszy z Mortimerem listy postanowiono odprowadzić Edwarda z powrotem do Berkeley.

Kiedy nieco tylko chudszy i bardziej przygarbiony, pod konwojem tej samej eskorty, król Edward II przekraczał potężne kraty, zwodzony most i grube mury, doznał on niezmiernej ulgi i jakby uczucia wolności. Astrolog skłamał.







## VIII

### „Bonum est”

Królowa Izabela już leżała w łóżku, dwa złote warkocze opadały na piersi. Roger Mortimer wszedł bez zapowiadania się, jak to było jego przywilejem. Z wyrazu jego twarzy królowa wyczuła, co powie, a raczej, co powtórzy.

- Otrzymałem wiadomości z Berkeley - powiedział siląc się na ton spokojny i obojętny.

Królowa nie odrzekła nic.

Wrześniowa noc zaglądała przez uchylone okno, Mortimer otworzył je na oścież i chwilę stał zapatrzony w miasto Lincoln, rozpostarte u stóp zamku, wielkie o skupionych domach, jeszcze popstrzone nielicznymi światełkami. Lincoln było co do wielkości czwartym w królestwie miastem po Londynie, Winchester i Yorku. Przed dziesięciu miesiącami wysłano tu jedną z części ciała Hugona Despensera Młodszeo. Dwór przybył z Yorkshire i już od tygodnia tu gościł.

Izabela patrzyła na wyniosłe barki i okryty lokami kark Mortimera - sylwetka zarysowana na tle nocnego nieba w obramowaniu okna. Nie kochała go w tej chwili.

- Wygląda, że wasz małżonek upiera się przy życiu - odwracając się podjął Mortimer - a to życie naraża na niebezpieczeństwo cały pokój w królestwie. W walijskich zamkach spiskują, by go uwolnić. Dominikanie mają czelność ujmować się za nim na ambonach i to nawet w Londynie, gdzie mogłyby się wznowić zamieszki, które niepokoiły nas w lipcu. Zgadzam się z wami. Edward sam przez się nie jest niebezpieczny, ale jest przyczyną ruchawki u naszych wrogów. Proszę was, raczcie wydać ten rozkaz, jaki wam doradzałem, bez niego nie jesteście bezpieczni ani wy, ani wasz syn.

Izabela westchnęła do cna wyczerpana. Dlaczego on sam nie wyda tego rozkazu? Dlaczego nie podejmie postanowienia na swój własny rachunek, on, wszechwładny w królestwie?

- Miły Mortimerze - spokojnie odparła - już wam powiedziałam, że ode mnie nie uzyskacie tego rozkazu.

Roger Mortimer zamknął okno; lękał się, że wybuchnie.

- Ale ostatecznie dlaczego - rzekł - po tylu przeżytych wypadkach, po narażaniu się na tak wielkie ryzyko, stawać się teraz wrogiem własnego bezpieczeństwa?

Potrząsnęła głową i odpowiedziała:

- Nie mogę, wolę narażać się na wszelkie niebezpieczeństwo niż uciekać się do takich sposobów. Proszę cię, Rogerze, nie brudźmy rąk tą krwią.

Mortimer parsknął krótkim śmiechem.

- Skąd wziął się u ciebie - odparł - ten nagły szacunek dla krwi nieprzyjaciół. Nie odwracałaś oczu od krwi hrabiego Arundela, krwi

Despenserów, krwi Baldocka, od całej tej krwi, która płynęła na miejskich placach. Podczas niektórych nocy nawet myślałem, że krew ci wcale odpowiada. A on, Najmiłociwszy Pan, czy nie ma rąk czerwiejszych, niż kiedykolwiek my będziemy mieli? Czy nie przelałby chętnie krwi mojej i twojej, gdybyśmy mu dali sposobność? Nie należy być królem, Izabelo, jeśli się lęka krwi, nie należy być królową, trzeba skryć się w jakimś klasztorze, pod zakonnym welonem i wyrzec się i miłości, i władzy!

Chwilę ścierali się wzrokiem. W blasku świecy oczy barwy krzemienia zbyt mocno błyszcząły pod gęstymi brwiami, biała blizna zbyt okrutną linią okalała wargę. Izabela pierwsza spuściła oczy.

- Przypomnij sobie Mortimerze, że niegdyś cię ułaskawił - rzekła. - Teraz musi myśleć, że gdyby nie ustąpił prośbom baronów, biskupów i moim własnym i kazał cię ściąć jak Tomasza Lancastra...

- Wcale nie, wcale nie, pamiętam i właśnie dlatego nie chciałbym doznawać podobnych jemu wyrzutów. Uważam twoje dla niego współczucie za bardzo dziwne i nadto długotrwałe.

Zamilkł na chwilę.

- Czy go jeszcze kochasz - dorzucił. - Nie widzę innego powodu.

Wzruszyła ramionami.

- A więc dlatego - rzekła - aby ci dać jeszcze jeden dowód! Czy nigdy w tobie nie wygaśnie ten szal zazdrości? Czy nie dość okazywałam przed całym królestwem Francji i tutaj w Anglii, i nawet przed własnym synem, że moje serce tylko do ciebie należy? Co mam jeszcze zrobić?

- To, o co cię proszę, i nic innego. Ale widzę, że nie chcesz na to się zdecydować. Widzę, że krzyż, który nakreśliłaś przede mną na sercu, a mający nas we wszystkich sprawach połączyć, zespolić, był dla ciebie czymś pozornym. Wyraźnie widzę, że los połączył mnie z istotą słabą!

Tak, oto kim był, zazdrośnikiem! Wszechwładny regent, który rozdawał urzędy, rządził młodym królem, żył z królową jak mąż, i to na oczach wszystkich baronów, Mortimer był nadal zazdrosny!... „Ale czy zupełnie nie ma racji?” nagle pomyślała Izabela. Niebezpieczna jest wszelka zazdrość, bo zmusza swą ofiarę, aby w sobie szukała przyczyny zarzutów. Tym sposobem ujawniają się niektóre uczucia, na jakie wpierw nie zwracało się uwagi... Jakie to dziwne! Izabela była pewna, że nienawidzi Edwarda, jak tylko kobietę na to stać; myślała o nim wyłącznie z pogardą, wstrętem a zarazem urazą. Jednakże... A jednak myśl o wymienionych obrączkach, koronacji, macierzyństwach, wspomnienie, jakie zachowała nie o nim, lecz o sobie, po prostu wspomnienie wiary, że go kochała, to wszystko razem teraz ją powstrzymywało. Niemożliwe wydawało się jej skazanie na śmierć ojca dzieci, które wydała na świat... „I zwą mnie wilczycą z Francji!” Święty nigdy nie jest tak święty, okrutnik nigdy tak okrutny, jak sądzą inni.

Poza tym Edward nawet zdetronizowany był królem. Mimo że go pozbawiono władzy, ogołococono, uwięziono, mimo to nie przestał być królem. Izabela również jest królową i na królową ją chowano. Przez całe swe dzieciństwo miała przed sobą wzór prawdziwego majestatu królewskiego w osobie człowieka, który krwią i sakrą czuł się wyniesiony ponad innych ludzi i jako taki występował. Nastawać na życie poddanego,

choćby był najmożniejszym w królestwie panem, jest tylko zbrodnią. Ale akt zgładzenia króla zawiera w sobie świętokradztwo i podeptanie charakteru kapłańskiego, boskiego, w jaki obleka on monarchów.

- Nie możesz tego zrozumieć, Mortimerze, bo nie jesteś królem i król cię nie spłodził.

Za późno spostrzegła się, iż głośno pomyślała.

Baron na Marchiach, potomek druha Wilhelma Zdobywcy, Wielki Sędzia Walii, cios ten odczuł głęboko. Cofnął się o dwa kroki i pokłonił.

- Nie myślałem, że król, Miłościwa Pani, zwrócił wam wasz tron, lecz zdaje się, że tracę czas, aby was o tym przekonywać. Podobnie jak przypominam wam, że pochodzę z rodu królów duńskich, którzy nie wzgardzili oddaniem jednej ze swych córek memu przodkowi, Rogerowi Mortimerowi pierwszemu. Moje wysiłki w waszych oczach nie uzyskały zbyt wielkiej estymy. Pozwólcie więc wrogom uwolnić waszego królewskiego małżonka, czy też nawet uwolnijcie go własnymi rękoma. Wasz potężny brat we Francji nie omieszka was chronić, jak już raz to uczynił; kiedy uciekłyście do Hainaut podtrzymywana przeze mnie na siodle. Mortimer, prawda, nie jest królem, życia jego nic nie chroni przed nieszczęśliwym obrotem losu, przeto odchodzi on, Miłościwa Pani, zanim będzie za późno, i poszuka przytułku poza królestwem, gdzie władczyni tak go mało miłuje, iż czuje, że nie ma tu co robić.

Po czym przestąpił próg. Panował nad swym gniewem; nie trzasnął dębowymi drzwiami, lecz zamknął je powoli i kroki jego ścichły.

Izabela dostatecznie знаła dumę Mortimera, aby wiedzieć, że nie powróci. Wyskoczyła z łóżka, w koszuli biegła zamkowymi korytarzami, dogoniła Mortimera, schwyciła go za szatę, uwiesiła się u jego ramienia.

- Zostań, zostań, miły Mortimerze, błagam cię! - wołała nie troszcząc się, czy ktokolwiek ją usłyszy. - Jestem tylko kobietą, potrzebuję twych rad i twojej pomocy! Zostań, zostań, łaski, postępuj jak uważasz.

Skąpana we łzach opierała się o niego, tuliła się do tej piersi, serca, bez których już nie mogła żyć.

- Pragnę tego, czego i ty chcesz! - dorzuciła.

Pojawili się słudzy ściągnięci hałasem i natychmiast się skryli zmieszani, że są świadkami kłótni kochanków.

- Naprawdę chcesz tego co i ja - zapytał ujmując twarz królowej w dłoń. - Tedy... Straż! - zawołał. - Natychmiast mi sprowadzić Jego Wielbność Orletona.

Od kilku miesięcy Mortimer i Adam Orleton okazywali sobie oziębłość. Głupia ich kłótnia wynikała z powodu biskupstwa Worcesteru, na które papież mianował Orletona, podczas gdy Mortimer przyrzekł je innemu kandydatowi. Gdyby Mortimer wiedział, że przyjaciel pragnie tego biskupstwa! Ale teraz, gdy już dał słowo, nie chciał go cofnąć. W Yorku Parlament rozpatrzył sprawę i nakazał konfiskatę dochodów z diecezji Worcester. Orleton nie był już biskupem Herefordu, nie objął biskupstwa w Worcester i uważał za niewdzięcznika człowieka, któremu pomógł uciec z Tower. Sprawa wciąż była przedmiotem dyskusji, a Orleton trzymał się nadal dworu.

- Któregoś dnia Mortimer będzie znów mnie potrzebował i wtedy ustąpi

- mówił sobie.

Ten dzień, a raczej ta noc nadeszła. Orleton wnet to pojął ledwie wszedł do komnaty królowej. Izabela znów położyła się do łóżka, na jej twarzy widniały ślady łez. Mortimer chodził wielkimi krokami wokół łoża. Skoro tak mało krępowano się obecnością prałata, sprawa musiała być poważna!

- Miłościwa Pani królowa - oświadczył Mortimer - z powodu znanych wam knowań, słusznie uważa, iż życie jej małżonka zagraża bezpieczeństwu królestwa i niepokoi się, że Bóg tak zwleka z powołaniem go do siebie.

Adam Orleton spojrział na Izabelę; Izabela spojrzała na Mortimera, po czym zwróciła wzrok na biskupa i dała znak zgody. Orleton uśmiechnął się przelotnie, nie z okrucieństwem ani nawet z ironią, raczej z wyrazem wstydliwego smutku.

- Miłościwa Pani królowa widzi się przed poważnym problemem, który staje przed każdym, kto ponosi odpowiedzialność za państwo - odpowiedział. - Czy należy oszczędzić jedno życie, by narażać na zgubę wiele innych?

Mortimer zwrócił się ku Izabeli i wyrzekł:

- Słyszaliście?

Bardzo był rad z poparcia biskupa i po prostu żałował, że sam nie znalazł tego argumentu.

- Chodzi tu o bezpieczeństwo ludów - podjął Orleton - i to właśnie nas, biskupów, trzeba pytać, o wyjaśnienie zamiarów Bożych. Oczywiście, święte przykazania zabraniają nam przyspieszać jakikolwiek zgon. Ale królowie nie są ludźmi zwykłymi, sami się wyłączają spod Przykazań, kiedy skazują na śmierć poddanych... Sądziłem jednakże, Milordzie, że mianowani przez was przy królu strażnicy oszczędzą wam podobnych pytań.

- Zdaje się, że strażnicy wyczerpali wszystkie swoje możliwości - odparł Mortimer. - A nic nie robią bez pisemnych poleceń.

Orleton kiwnął głową, lecz nie odrzekł nic.

- Zaś pisemny rozkaz - ciągnął dalej Mortimer - może wpaść w niepowołane ręce, może także posłużyć za broń wykonawcom przeciw tym, co go wydali. Czy mnie pojmujecie?

Orleton znów się uśmiechnął. Czy uważa się go za naiwnego?

- Innymi słowy, Milordzie - rzekł - chcecie posłać rozkaz i go nie wysłać.

- Chciałbym raczej wysłać rozkaz jasny dla tych, co mają go zrozumieć, a ciemny dla tych, co nie powinni go pojąć. Właśnie w tej sprawie chcę się was poradzić, o ile zgodzicie się udzielić mi pomocy, jesteście bowiem człowiekiem pomysłowym.

- I tego żądacie ode mnie, Milordzie, od biednego biskupa, który nawet nie ma swej siedziby ani diecezji, gdzie by zatknął swój pastorał?

Z kolei uśmiechnął się Mortimer.

- Dobrze, dobrze, Milordzie Orletonie, już o tym nie mówmy. Wiecie, że mnie bardzo rozgniewaliście. Gdybyście mi chociaż powiedzieli o waszych życzeniach! Ale skoro wam na tym tak zależy, nie będę się sprzeciwiał. Otrzymacie Worcester, słowo się rzekło... Sam załatwię sprawę z

Parlamentem... Dobrze wiecie, że zawsze jesteście moim przyjacielem.

Biskup skinął głową. Tak, o tym wiedział, również i on zachował przyjaźń dla Mortimera, a świeża ich kłótnia nic nie zmieniła. Wystarczyło, by stanęli twarzą w twarz i to sobie uświadomili. Za wiele łączyło ich wspomnień; za wiele konszachtów i wzajemnego podziwu. Kogo wezwał Mortimer, gdy zabrnął w kłopoty, wyrwawszy nareszcie królowej długo oczekiwaną zgodę? Biskupa o wątlých ramionach, kaczym chodzie i oczach zmęczonych ślęczeniem nad księgami. Byli nawet tak wielkimi przyjaciółmi, iż zapomnieli o królowej, która źle się czuła i patrzyła na nich wielkimi błękitnymi oczami.

- To Wasze piękne kazanie „Doleo caput meum”, które wszyscy pamiętamy, ono pozwoliło obalić niegodnego króla - rzekł Mortimer. - Również i wy uzyskaliście abdykację.

Tak powracała wdzięczność! Orleton skłonił się w podzięcie za uznanie.

- Więc chcecie, abym zadanie doprowadził do końca - rzekł.

W pokoju znajdowały się stół, pióra i papier. Orleton zażądał nożyka; mógł bowiem pisać tylko piórem własnoręcznie zaostrzonym. Ułatwiało mu to namysł. Mortimer uszanował jego zamyślenie.

- Rozkaz nie wymaga wielu słów - po chwili rzekł Orleton.

Patrzył w przestrzeń z rozbawioną miną. Wyraźnie zapomniał, że chodziło o ludzką śmierć; doznawał uczucia dumy, zadowolenia pisarza, który rozwiązał trudny problem stylistyczny. Pochyliwszy głowę tuż nad stołem, pismem pięknie ukształtowanym nakreślił tylko jedno zdanie, posypał piaskiem, by osuszyć, podał kartkę Mortimerowi i wyrzekł:

- Godzę się nawet przyłożyć własną pieczęć pod tym pismem, jeżeli wy, lub Miłościwa Pani królowa uważacie za niewskazane przyłożyć wasze.

Zaprawdę wydawał się rad z siebie.

Mortimer zbliżył się do świecy. List był napisany po łacinie. Powoli przeczytał:

- *Eduardum occidere nolite timere bonum est.*\*

Chwilę rozważał, po czym zwrócił się do biskupa.

- *Eduardum occidere* - to dobrze rozumiem, *nolite* - nie należy... *timere* - obawiać się... *bonum est* - jest dobrze...

Orleton uśmiechał się.

- Czy należy rozumieć: „Nie zabijajcie Edwarda, należy się obawiać... to uczynić” - ciągnął Mortimer - czy też „nie bójcie się zabić Edwarda, to rzecz dobra”? Gdzie jest przecinek?

- Nie ma - odpowiedział Orleton. - Wola Boża objawi się temu, kto otrzyma ten list. Ale sam list, co można mu zarzucić?

Mortimer nadal był zakłopotany.

- Otóż nie wiem - rzekł - czy Maltravers i Gournay znają dość dobrze łacinę.

- Brat Wilhelm, którego im przydaliście, zna ją dość dobrze. Potem zaś posłaniec może ustnie przekazać, ale tylko ustnie, że wszelki postępek wynikający z tego rozkazu, nie powinien pozostawić śladu.

- I naprawdę - rzekł Mortimer - jesteście gotowi przyłożyć tu własną pieczęć?

---

\* *Edwarda zabić nie należy obawiać się jest dobrze.*

- Zrobię to - rzekł Orleton.

Zaprawdę dobry to kompan. Mortimer odprowadził go aż w dół schodów, po czym wrócił do pokoju królowej.

- Miły Mortimerze - poprosiła go Izabela - nie zostawiajcie mnie samej tej nocy.

Wrześniowa noc nie była tak chłodna, aby królowa aż tak drżała.





## IX

### Czerwone żelazo

**B**erkeley można uważać za mały zamek w porównaniu z gigantycznymi warowniami Kenilworth czy Corfe. Różowej barwy mury i ludzkie proporcje nie wzbudzały lęku... Bezpośrednio łączył się z otaczającym kościół cmentarzem, gdzie po kilku latach pokrywa płyty niski, zielony mech, delikatny jak pęta.<sup>50</sup>

Tomasz Berkeley, dość dzielny młody człowiek, nie bywał srogi dla bliźnich, nie miał jednakże żadnego powodu, by okazywać nadmierną życzliwość względem byłego króla Edwarda II, który w ciągu czterech lat więził go w Wallingford wraz z ojcem Maurycym, zmarłym w tymże więzieniu. Natomiast wszystko skłaniało go do wierności wobec potężnego teścia Rogera Mortimera, którego córkę poślubił w 1320 roku i za nim poszedł podczas rewolty w 1322, w ubiegłym zaś roku zawdzięczał mu swe uwolnienie. Tomasz otrzymywał znaczną sumę stu szylingów dziennie za gościnę i opiekę nad obalonym królem. Ani żona Małgorzata, ani jej siostra Ewa, małżonka Jana Maltraversa, nie były złymi kobietami.

Gdyby Edward miał do czynienia tylko z rodziną Berkeleyów, uważałby pobyt za znośny. Niestety musiał znieść trzech oprawców: Maltraversa, Gournaya oraz ich golarza Ogle'a. Nie dawali oni spokoju byłemu królowi; umysł ich obfitował w okrucieństwa i oddawali się niby współzawodnictwu, prześcigając się w pomysłach i wyrafinowaniu w udrękach.

Maltravers postanowił umieścić Edwarda wewnątrz stołpu, w komórce o średnicy kilku stóp, w środku której ział otwór dawnej studni, obecnie już wyschłej. Wokół studni nie było oporęczowania. Wystarczył niezręczny ruch, by więzień wpadł do tej ciemnicy. Przeto Edward nieustannie musiał czuwać; ów czterdziestoczteroletni mężczyzna, lecz wyglądający teraz na przeszło sześćdziesiątkę, przebywał tu leżąc na wiązce słomy, przylgnąwszy ciałem do muru, a poruszał się jedynie pełzając, gdy zaś zadrzemał, natychmiast się budził spocony, z lęku, że się zbliżył do czeluści.

Do męki strachu Gournay dorzucił inną: smród. Kazał zbierać na wsi ścierwo cuchnących zwierząt, borsuków, schwytanych w norze lisów, śmierdzieli, a także martwe ptaki dobrze już nadgniłe; wrzucano je do studni, aby zatruć odrobinę powietrza, jakim oddychał więzień.

- Oto przednia dziczyzna dla durnia! - mawiali co rano trzej oprawcy widząc przybywający ładunek z padliną.

Nie mieli oni zbyt czułego powonienia, bo razem lub kolejno przesiadywali w stołpie, w izdebce u szczytu schodów, połączonej z komórką, gdzie król tracił siły. Wstrętne wyziewy dochodziły niekiedy aż do nich; ale i to nastęrczało sposobność do grubych żartów:

- Ależ cuchnie ten gnojek! - wykrzykiwali, wyrzucając z kubków kości

do gry i chlepcąc piwo z dzbanów.

W dniu, gdy otrzymali list Adama Orletona, długo się naradzali. Brat Wilhelm przetłumaczył im pismo, nie mając najmniejszych wątpliwości co do jego istotnej treści, lecz kazał im oceniać sprytny dwuznaczny styl. Trzech łotrów przez dobry kwadrans klepało się po udach powtarzając: „bonum est... bonum est!” i wili się ze śmiechu.

Wysłany do nich tępawy jeździec wiernie przekazał ustne polecenie: „Bez śladów”.

Właśnie o tym radzili.

- Dziwne naprawdę wymagania mają ci dworacy, biskupi i inni lordowie! - rzekł Maltravers. - Kazań nam zabić i żeby nie było nic widać.

- Jak to zrobić? Od trucizny ciało czernieje, a zresztą w truciznę trzeba się zaopatrzyć u ludzi, którzy mogą wygadać. Zadusić? Ślad sznura pozostanie na szyi i cała twarz zsinieje.

Wreszcie Ogle, były balwierz z londyńskiej wieży, wpadł na genialny pomysł. Tomasz Gournay trochę ulepszył proponowany plan, a Maltravers śmiał się do rozpuku odsłaniając dziąsła wraz z zębami.

- Będzie pokarany tam, gdzie grzeszył - wykrzyknął.

Pomysł wydał mu się naprawdę chytry.

- Ale musimy być co najmniej we czwórkę - rzekł Gournay - Berkeley mógłby nam pomóc.

- Ach! Znasz mego szwagra Tomasza - odparł Maltravers. - Pobiera pięć funtów dziennie, ale ma czułe serce. Przeszkadzałby nam, a nie pomagał.

- Wielki Towurlee za obiecanych parę szylingów chętnie nam pomoże - rzekł Ogle. - A poza tym jest tak głupi, że jeśli nawet coś powie, nikt mu nie uwierzy.

Zaczekali do wieczora. Gournay kazał przygotować w kuchni wyborny posiłek dla więźnia, mięciutki paszтет, pieczone na rożnie ptaszki, ogon wołu w sosie. Od czasu swego pobytu u kuzyna Krzywoszyjka w Kenilworth Edward nie jadł podobnej wieszery. Zdziwiło go to niezwykle jadło, wpięrw zaniepokoiło, a potem dodało mu otuchy. Zamiast rzucić mu miskę, którą musiał stawiać na krawędzi cuchnącego otworu, umieszczono go w przyległej izdebce na stołku, co już mu się wydało jakimś cudem; próbował potrawy, których smaku niemal zapomniał. Nie szczędzono mu również wina, dobrego młodego wina, sprowadzanego z Akwitanii przez Tomasza Berkeleya. Mrugając do siebie trzech strażnicy przyglądali się tej biesiadzie.

- Nawet nie będzie miał czasu strawić - szepnął do Gournaya Maltravers.

Olbrzym Towurlee stał w drzwiach, które zupełnie zatykał.

- Czujemy się teraz lepiej, prawda Milordzie? - rzekł Gournay, gdy były monarcha skończył jeść. - Teraz zaprowadzi się ciebie do wygodnego pokoju, gdzie znajdziesz puchowe łożę.

Więzień o czasce ogolonej i długim, drżącym podbródku spojrział ze zdziwieniem na swych strażników.

- Czy otrzymaliście nowe rozkazy? - zapytał.

Głos jego był pełen bojaźliwej pokory.

- A tak! Oczywiście, otrzymaliśmy nowe rozkazy i lepiej będzie się ciebie traktowało, Milordzie! - odparł Maltravers. - Tam, gdzie będziesz



spał, kazaliśmy rozpalić ogień, bo wieczory zaczynają być chłodne, prawda Gournay? No cóż, taka pora roku, mamy już koniec września.

Sprowadzili króla po wąskich schodach, przecięli trawnik wewnątrz stołpu i po drugiej stronie weszli w mury. Strażnicy rzekli prawdę; zaprowadzili go do pokoju, oczywiście nie do pałacowej komnaty, lecz wygodnej izby, czystej, pobielonej wapnem, z garem pełnym rozżarzonych głowni i grubym, puchowym materacem na łożu. Było niemal za gorąco.

Wino, ciepło... Zdetronizowany król czuł, że mu się trochę kręci w głowie. Wystarczał więc dobry posiłek, by odzyskać nadzieję? Jakież były te nowe rozkazy i dlaczego nagle okazywano mu takie względy? Może bunt wybuchł w królestwie; Mortimer popadł w niełaskę... Albo po prostu młody król w końcu zaniepokoił się losem ojca i zażądał, żeby się obchodzono z nim po ludzku... Ale jeżeli nawet wybuchł bunt, jeżeli nawet cały lud powstał w jego obronie, Edward nigdy nie zgodzi się znów zasiąść na tronie, przenigdy, ślubował to Bogu. Bo gdyby ponownie został królem, znów popadłby w błędy; nie był stworzony do panowania. Spokojny klasztor, oto czego pragnie; chciałby przechadzać się po pięknym ogrodzie; pragnie, by mu podawano ulubione potrawy... również modlić się. A później zapuści sobie brodę i włosy, chyba że nosiłby tonsurę... Co za duchowe niedbalstwo, jakąż niewdzięczność nie dziękować Stwórcy za zwykłe rzeczy, które wystarczają, by umilić życie... smaczne jedzenie, ciepły pokój... W rozpalonym garze z żarem tkwił pogrzebacz.

- Kładź się więc Milordzie! Posłanie jest wygodne, zobaczysz - rzekł Gournay.

W istocie materac był miękki. Co za dobrodziejstwo znaleźć się na prawdziwym łożu! Ale dlaczego tu pozostali ci trzej! Maltravers siedział na stołku, włosy zwisały mu na uszach, a ręce między kolanami, patrzył na króla. Gournay grzebał w ogniu. Balwierz Ogle trzymał w ręku róg wołu i małą piłę.

- Śpij, Sire Edwardzie, nie zajmuj się nami, musimy jeszcze popracować - nalegał Gournay.

- Co robisz, Ogle? - spytał król. - Piłujesz róg do picia?

- Nie, Milordzie, nie do picia. Piłuję róg, to wszystko.

Później balwierz odwrócił się do Gournaya i zaznaczając miejsce na rogu paznokciem kciuka, zapytał:

- Myślę, że dobra długość, a co wy myślicie?

Rudzielec o świńskiej twarzy spojrział przez ramię i odparł:

- Tak, powinien pasować. *Bonum est*.

Później jął rozdmuchiwać ogień.

Piła skrzypiała na wolim rogu. Gdy balwierz już go rozpiłował, spiczastą część podał Gournayowi, który ją wziął, oglądnięt i wsunął w nią rozpalony pogrzebacz. Ostra woń wydobyła się i nagle zapowietrzyła izbę. Przez koniec przepalonego rogu wyszedł pogrzebacz. Gournay znów go włożył do ognia. W jaki sposób król mógł zasnąć z tą całą krzątaniną naokoło? Czy zabrano go z celi ze ścierwem po to, żeby teraz uwędzić palonym rogiem? Nagle Maltravers wciąż siedząc i wciąż patrząc na Edwarda zapytał:

- Czy twój najdroższy Despenser miał krzepkie przyrodzenie?

Obaj pozostali parsknęli. Gdy padło to nazwisko, Edward uczył, jakby zasłona przedarła mu się w mózgu, pojął, że zamordują go za chwilę. Czy szykowali się wymierzyć mu tę samą straszliwą karę co Hugonowi Młodszemu?

- Nie, wy tego nie zrobicie! nie zabijecie mnie - zawołał, nagle prostując się na łożu.

- My mamy zabić ciebie, Sire Edwardzie? - odparł Gournay nawet się nie odwracając. - Kto by w to uwierzył? Mamy rozkazy. *Bonum est, bonum est...*

- Nuże. Kładnij się z powrotem - rzekł Maltravers.

Ale Edward nie położył się. W łysej wychudłej głowie wzrok jego, jak zwierza schwytanego w sidła, biegał od rudego karku Tomasza Gournaya do długiej, żółtej twarzy Maltraversa i puciołowatych policzków balwierza. Gournay wydobył z ognia pogrzebacz i oglądał do białości rozżarzony koniec.

- Towurlee! - krzyknął. - Stół!

Kolos, który czekał w sąsiedniej izbie, wszedł niosąc nad głową ciężki blat. Maltravers zamknął drzwi i przekręcił klucz w zamku. Po co ten blat, gruba dębowa deska, którą zwykle kładło się na krzyżakach. W izbie nie było krzyżaków. Wśród tylu dziwnych rzeczy, jakie się działy wokół króla, ten blat trzymany przez olbrzyma nad głową, stał się przedmiotem najbardziej niezwykłym i przerażającym. Jak można zabić blatem? Była to ostatnia przytomna myśl króla.

- Chodźmy! - rzekł Gournay skinąwszy na Ogle'a.

Podeszli z obu stron łoża, rzucili się na Edwarda i obrócili go, kładąc na brzuchu.

- Ach! Łajdaki, łajdaki! - krzyknął. - Nie, my mnie nie zabijecie.

Wyrywał się, szamotał i Maltravers przyszedł im na pomoc i we trzech nie dawali sobie rady; a olbrzym Towurlee nie ruszał się.

- Towurlee, stół! - wykrzyknął Ogle.

Towurlee przypomniał sobie, co mu rozkazano. Podeszedł i upuścił ogromną deskę w poprzek na ramiona króla. Gournay odchylił szatę więźnia, zsunął pludry, rozerwała się przetarta tkanina. Śmiesznie nędznie wyglądały tak wystawione na pokaz pośladki; lecz teraz zabójcy już stracili ochotę do śmiechu.

Król, w półogłuszony ciosem, dusząc się pod blatem, który przygniatał go do materaca, szamotał się, ciskał. Ileż jeszcze tkwiło w nim siły!

- Towurlee, trzymaj go za kostki! Ależ nie, nie tak, trzymaj rozsunięte! - rozkazał Gournay.

Król zdołał wysunąć spod deski obnażony kark i obrócił na bok głowę, by zaczerpnąć łyk powietrza. Maltravers obu rękami przycisnął mu głowę. Gournay chwycił pogrzebacz i rzekł:

- Ogle! teraz wsuwaj róg!

Z rozpaczliwą siłą podskoczył król Edward, gdy czerwone żelazo weszło mu do wnętrza; wrzask, jaki mu się wydarł, przeniknął mury, cały stołp, niosąc się nad cmentarnymi płytami, obudził ludzi aż w miasteczku. A ci, co usłyszeli ten długi, ponury, przerażający krzyk, nabrali przekonania, że króla w tejże chwili zamordowano.

Nazajutrz rano mieszkańcy Berkeley przyszedli do zamku po wiadomości. Odpowiedziano im, że istotnie tej nocy król skonał wydając głośny okrzyk.

- Chodźcie więc go zobaczyć, ależ tak, podejdźcie - zapraszali notablów i duchownych Maltravers i Gournay. - Właśnie przystąpiono do pogrzebowej toalety. Wchodźcie, wszyscy mogą wejść.

I ludzie z miasteczka stwierdzili, że nie było śladu uderzenia, żadnej rany, żadnego zadrapania na ciele, które właśnie obmywano i wcale nie starano się go przed nimi ukryć.

Tomasz Gournay i Jan Maltravers spojrzeli po sobie; zaprawdę wspaniały pomysł, aby przez woli róg wsunąć pogrzebacza. Prawdziwa śmierć bez śladów; w czasach tak pomysłowych w dziedzinie mordów, mogli się pysznić, że odkryli sposób najlepszy.

Zaniepokoił ich tylko nagły, przed świtem wyjazd Tomasza Berkeleya pod pozorem sprawy, która wzywała go do sąsiedniego zamku - tak im za pośrednictwem żony kazał powiedzieć. Potem zaś Towurlee, olbrzym o małej czaszce, schronił się do stajni i siedząc na ziemi płakał od kilku godzin.

Tegoż dnia Gournay wyjechał konno do Nottingham, gdzie przebywała królowa, aby ją zawiadomić o zgonie małżonka.

Tomasz Berkeley w ciągu całego tygodnia był nieobecny, natomiast pokazywał się w różnych pobliskich miejscach, starając się przekonać, że nie było go w zamku w chwili śmierci. Po powrocie spotkała go przykra niespodzianka; dowiedział się, że trup wciąż jest u niego. Żaden z sąsiednich klasztorów nie chciał się nim obarczać. Berkeley musiał gościć więźnia w trumnie przez cały miesiąc, w tymże czasie pobierał nadal swoje sto szylingów dziennie.

Obecnie całe królestwo wiedziało o śmierci byłego monarchy; krążyły dziwne opowieści, ale zgoła niedalekie od prawdy, i poszeptywano, że to zabójstwo nie przyniesie szczęścia ani tym, co go dokonali, ani rozkazodawcom, choćby stali jak najwyżej.

Wreszcie zgłosił się po ciało pewien opat z ramienia biskupa Gloucesteru, który zgadzał się przyjąć je do swej katedry. Zwłoki króla Edwarda II złożono na wózku przykrytym czarną płachtą. Towarzyszyli im Tomasz Berkeley wraz ze swą rodziną, a ludzie z okolicy szli za nimi pochodem. Kondukt zatrzymywał się co milę, na każdym postoju chłopcy zasadzali mały dąb.

Minęło sześćset lat, niektóre z tych dębów stoją nadal i znaczą drogę z Berkeley do Gloucester smugami czarnego cienia.





## Noty historyczne do tomu 5



<sup>1</sup> Londyńska wieża jeszcze w XIV wieku stanowiła wschodnią granicę miasta, a nawet od centrum miasta dzieliły ją klasztorne ogrody. Oczywiście most Tower Bridge jeszcze nie istniał, a brzegi Tamizy, w górę rzeki od Tower, łączył jedynie London Bridge.

Po dziewięciu wiekach wyraźnie pierwotny wygląd zachowała jedynie środkowa część warowni - White Tower [Biała Wieża], którą około 1078 r., na rozkaz Wilhelma Zdobywcy, rozpoczął budować mnich Gandolf, mało ją bowiem zmieniła - pomimo poszerzenia okien - przebudowa dokonana przez architekta Wrena [XVIII wiek], natomiast ogólny widok twierdzy za czasów Edwarda II znacznie się różnił od współczesnego.

Jeszcze nie istniały obecne mury zewnętrzne z wyjątkiem St. Thomas Tower [Wieży Św. Tomasza] i Middle Tower [Wieży Środkowej] zbudowanych za panowania Henryka III i Edwarda I. Z zewnątrz opasywał warownię dzisiejszy drugi mur w kształcie pięcioboku z dwunastu wieżami, wzniesiony przez Ryszarda Lwie Serce i stale przebudowywany za panowania jego następców.

Stwierdza się zadziwiający rozwój średniowiecznego stylu porównując White Tower (koniec XI w.) - która mimo kolosalnej wielkości przypomina w swym kształcie i proporcjach starożytne siedziby gallorzymskie - z otaczającymi ją fortyfikacjami: budowlą Ryszarda Lwie Serce (koniec XII wieku); owe umocnienia posiadają charakterystyczne cechy zamku obronnego w stylu Château-Gaillard we Francji, zresztą wzniesionego przez tegoż Ryszarda I, oraz cechy późniejszych budowli Andegawenów w Neapolu.

White Tower jest, praktycznie rzecz biorąc, zabytkiem nienaruszonym, ponieważ w ciągu wieków stale użytkowanym, i świadczącym o stylu roku tysięcznego.



<sup>2</sup> Tytuł konstabl - nazwa pochodząca od konetabla - oznacza dzisiaj oficera policji, ale w XIV wieku był on oficjalnym tytułem komendanta Tower. Konstablowi przydzielony był podwładny mu namiestnik, inaczej porucznik. Oba te stanowiska istnieją nadal, są jednak wyłącznie honorowe i nadawane wybitnym wojskowym pod koniec służby zawodowej. Właściwym komendantem Tower jest dzisiaj major, oficer również w stopniu generała. Widzimy więc, że tytuły te są uszeregowane odwrotnie niż stopnie w wojsku.

Major mieszka w Tower - rezydencji króla lub królowej, obok Bell Tower - budowli z okresu Tudorów. Rezydencja króla, zbudowana za panowania Henryka I, została zburzona za Cromwella. W okresie gdy toczy się nasza powieść (1323 r.), istniała tylko część romańska dzisiejszej kaplicy Św. Piotra.



<sup>3</sup> W 1054 r. Roger I Mortimer pokonał Henryka I, króla Francji. Ów Roger I, wnuk Herfasta Duńskiego, był siostrzeńcem Ryszarda I Nieustraszonego, trzeciego diuka Normandii, dziadka Bękartu Zdobywcy.



<sup>4</sup> Szyling w owym okresie był jednostką monetarną nominalną, ale nie monetą obiegową, podobnie jak funt czy marka. Najwyższą monetą obiegową był penny (pens). Dopiero za panowania Edwarda III pojawiły się złote monety: floren i nobel. Srebrnego szylinga poczęto bić w XVI wieku.



<sup>5</sup> Okienko prawdopodobnie znajdowało się w wieży Beauchamp, lecz w owym czasie jeszcze nie nosiła ona tej nazwy. Dopiero w 1397 r. tak ją nazwano z powodu uwięzienia w niej Tomasza de Beauchamp, hrabiego Warwick, który ciekawym

zbiegiem okoliczności był wnukiem Rogera Mortimera. Budowla ta została wzniesiona za panowania Edwarda II, a więc akurat za czasów Mortimera.

Okienka w latrynach stanowiły słaby punkt warowni. W czasie oblężenia zagrożonego niepowodzeniem żołnierze Filipa Augusta wdarli się nocą przez takie okienko do Zamku Gaillard, wielkiej twierdzy francuskiej, również wzniesionej przez Ryszarda Lwie Serce.



<sup>6</sup> Nazwa Parlament ściśle oznacza zgromadzenie; zwały się tak instytucje we Francji, jak i w Anglii, wywodzące się z tego samego źródła, to znaczy rozszerzonej *curia regis* [rady królewskiej], lecz obie te instytucje szybko ukształtowały się całkiem inaczej i miały zgoła inne uprawnienia.

Parlament francuski, początkowo objazdowy, osiadł na stałe w Paryżu, wpierw nim się ukonstytuowały parlamenty prowincjonalne; był on zgromadzeniem o charakterze prawnym i na rozkaz w imieniu monarchy sprawował władzę sądową. Pierwotnie król wyznaczał członków Parlamentu na okres sesji sądowej; począwszy od końca XIII wieku i na początku XIV, a więc za panowania Filipa Pięknego, rajcy w Parlamencie byli mianowani dożywotnio.

Parlament francuski rozpatrywał: wielkie spory z zakresu prawa prywatnego, tak np. sądził w procesach, w których stronami były osoby prywatne i Korona, sprawy stanu, spory wynikające z interpretacji prawa zwyczajowego oraz w sumie wszystkie sprawy dotyczące ogólnie obowiązującego w królestwie prawodawstwa, łącznie z prawem następstwa tronu, jak to widzimy w początkach panowania Filipa V. Lecz raz jeszcze powtarzamy: rola Parlamentu i jego uprawnienia miały wyłącznie charakter sądowy lub prawny.

Jedyna polityczna siła Parlamentu wynikała z zasady, że żaden dokument królewski, zarządzenie, edykt, ułaskawienie itp. nie posiadały mocy prawnej, nim nie zostały przezeń zarejestrowane i prawnie zatwierdzone, ale Parlament począł istotnie korzystać z prawa odmowy dopiero pod koniec XIV i w początkach XV wieku, kiedy monarchia osłabła.

Parlament angielski pełnił władzę sądową, ponieważ przed nim toczyły się wielkie procesy stanu, a równocześnie był zgromadzeniem politycznym. Nikt w nim nie zasiadał z tytułu prawa; zawsze był jakby rozszerzoną Wielką Radą, do której monarcha powoływał, kogo chciał, to znaczy członków Rady Ścisłej, wielkich w królestwie panów, tak świeckich, jak duchownych, oraz przedstawicieli hrabstw i miast, których zazwyczaj wysuwali szeryfowie.

Początkowo rola polityczna Parlamentu angielskiego ograniczała się do podwójnej działalności informacyjnej: król informował wybranych przez siebie przedstawicieli swego ludu o zasadniczych postanowieniach, jakie zamierza podjąć, a przedstawiciele informowali monarchę drogą petycji, względnie w ustnym przemówieniu, o potrzebach klas lub okręgów administracyjnych, do których należeli.

Teoretycznie król Anglii był jedynym przełożonym swego Parlamentu, będącego w sumie uprzywilejowanym audytorium, od którego żądał wyłącznie symbolicznego i biernego poparcia prowadzonej przez siebie polityki. Lecz gdy angielscy królowie znaleźli się w poważnych kłopotach lub gdy przypadkowo okazali się słabi lub nieudolni, mianowane przez nich Parlamente stały się bardziej wymagające, wszczyły dyskusje na temat celowości aktów politycznych, narzucały monarsze własną wolę; a co najmniej monarcha musiał się liczyć z wyrażoną przez nich wolą.

Precedens Wielkiej Karty z 1215 r. [*Magna Charta Libertatum*], narzuconej przez baronów Janowi bez Ziemi - która w swej osnowie stanowiła uporządkowanie swobód angielskich - pozostał zawsze żywy w pamięci Parlamentów. W 1311 roku Parlament zmusił Edwarda II do wyrażenia zgody na Kartę, na mocy której ukonstytuowała się przy królu rada rządząca, złożona z wielkich baronów wybranych przez Parlament; owa rada istotnie sprawowała rządy w imieniu króla.

Edward II przez całe życie walczył z owymi rozporządzeniami; początkowo je odrzucił, następnie w 1314 r., pokonany przez Szkotów, musiał ulec. Uwolnił się rzeczywiście i na własne nieszczęście dopiero w 1322 r., gdy walka o wpływy roz-

dzieliła „rządzących” i mógł zdruzgotać w bitwach pod Shrewsbury i pod Boroughbridge stronnictwo Lancaster-Mortimer, które chwyciło za broń.

W końcu przypomnijmy sobie, że Parlament angielski nie miał stałej siedziby, lecz był parlamentem zwoływanym przez króla albo mógł sam żądać zwołania w każdym mieście królestwa, gdzie król przebywał.



<sup>7</sup> Przed pięciu laty, w 1318 roku, Roger Mortimer na Wigmore, mianowany Wielkim Sędzią i namiestnikiem króla w Irlandii, na czele wojsk baronów z Marchii pokonał Edwarda Bruce, króla Irlandii, brata Roberta Bruce, króla Szkocji. Pojmanie w niewolę i ścięcie Edwarda Bruce oznaczają kres królestwa Irlandii. Długo jednak panowanie Anglii było jeszcze zagrożone.



<sup>8</sup> Sprawa hrabstwa Gloucesteru, bardzo ciemna i zawila, zrodziła się z fantazyjnych pretensji Hugona Despensera Młodszego do owego hrabstwa; pretensje te nie miałyby żadnych szans powodzenia, gdyby nie był on faworytem króla.

Niezadowolony, że otrzymał tylko cały Glamorgan jako spadek swej żony, Hugo Młodszy żądał od szwagrów, zwłaszcza od Maurycego Berkeleya, całości dóbr po zmarłym hrabi, swym teściu. Cała szlachta na południu i zachodzie Anglii wzburzyła się, a na jej czele stanął Tomasz Lancaster, i to z tym większym zapalem, że we wrogim obozie znajdował się najgorszy jego wróg, hrabia de Warenne, który porwał mu żonę, piękną Alicję.

Despenserowie, chwilowo wygnani wyrokiem Parlamentu, wydanym pod naciskiem uzbrojonych stronników Lancastra, zostali szybko z powrotem przywołani, Edward bowiem nie mógł żyć bez swego kochanka ani pod kuratelą Tomasza, swego kuzyna.

Powrót Despenserów do władzy spowodował powtórna rebelię, lecz Tomasz Lancaster, równie nieszczęśliwy w walce, jak i w małżeństwie, bardzo nieudolnie pokierował sprzysiężeniem. Na czas nie pośpieszył z pomocą baronom z Marchii Walijskich, dopuścił do ich klęski w 1322 r. na zachód od Shrewsbury, gdzie wzięto do niewoli obu Mortimerów, sam zaś próżno czekał w Yorkshire na szkockie posiłki i po dwóch miesiącach został pokonany pod Boroughbridge i niezwłocznie skazany na śmierć.



<sup>9</sup> *Calendar of Close Rolls* [rejestr akt tajnych] podaje, że 6 sierpnia 1323 r. zostało wystawione upoważnienie dla biskupa Exeteru. Inne rozkazy dotyczące sprawy Mortimera, a mianowicie wysłane do szeryfów w hrabstwie Kentu, noszą datę 10 sierpnia, osobisty zaś rozkaz do hrabiego Kentu - 26 sierpnia. Nie wydaje się, aby przed 1 października król Edward wiedział, w jakim kraju Mortimer przebywa.



<sup>10</sup> Maria z Francji, pierwsza francuska poetka, w drugiej połowie XII wieku przebywała na dworze Henryka II Plantageneta, dokąd przywiozła ją, czy też wezwała, Eleonora Akwitańska, księżniczka niewierna wobec swego pierwszego małżonka, króla Francji [Ludwika VII], lecz słynąca urodą i wykształceniem; stworzyła ona w Anglii ośrodek sztuki i poezji. Eleonora była wnuczką sławnego poety, diuka Guillaume'a IX.

Utwory Marii z Francji cieszyły się ogromnym powodzeniem nie tylko za życia autorki, lecz także w ciągu całego wieku XIII i w początkach XIV. [Strofy cytowanego przez autora fragmentu poematu brzmią w oryginale, jak następuje:

*En Lorraine ni en Bourgogne,  
Ni en Anjou ni en Gascogne,  
En ce temps ne pouvait trouver  
Si bon ni si grand chevalier.  
Sous ciel n'était dame ou pucelle,  
Qui tant fut noble et tant fut belle  
Qui n'en voulut amour avoir...]*



<sup>11</sup> Kompania Tolomeiów - jeden z największych obok Buonsignorich banków sienieńskich - była sławna i można od początku XIII wieku. Głównym jej klientem było

papiestwo; założyciel kompanii, Tolomeo Tolomei, uczestniczył w poselstwie do papieża Aleksandra III. Za pontyfikatu Aleksandra IV Tolomeiowie byli jedynymi bankierami Stolicy Apostolskiej. Urban IV wyłączył ich ród spod ogólnej klątwy rzuconej na Sienę w 1260 i 1273 roku. Mniej więcej w tym okresie (koniec panowania Ludwika Świętego i początek rządów Filipa III) Tolomeiowie pojawili się na wielkich jarmarkach w Szampanii, Spinello zaś założył francuską filię kompanii. Jeszcze dziś istnieje w Sienie plac i pałac Tolomeiów.



<sup>12</sup> [Dublon - podwójny dukat]



<sup>13</sup> Zarządzenie Karola IV, dotyczące zakazu wywozu francuskich monet, na pewno spowodowało przemyt obcej waluty, ponieważ wydane po czterech miesiącach nowe zarządzenie wzbraniało zakupu złota i srebra po wyższym kursie niż zawartość kruszcu w monetach obiegowych w królestwie. Po roku odebrano włoskim kupcom prawa mieszczan, co nie oznaczało, że winni opuścić Francję, lecz że muszą po prostu raz jeszcze wykupić zezwolenie na prowadzenie handlu.



<sup>14</sup> Jan de Cherchemont, pan na Venours w Poitou, kanonik przy katedrze Notre-Dame w Paryżu, skarbnik przy katedrze w Laon, już był kanclerzem pod koniec panowania Filipa V. Wstępując na tron Karol IV zastąpił go Piotrem de Rodier. Lecz Cherchemont potrafił wkraść się w łaski Karola de Valois, który zwrócił mu stanowisko 19 listopada 1323 r.



<sup>15</sup> [Małą Armenią zwano królestwo założone w okresie wypraw krzyżowych przez Ormian, którzy wywędrowali do Cylicji (okolice gór Taurus)].



<sup>16</sup> W lipcu 1323 roku obradowała w Gisors Rada Królewska; po czym zaproponowany został papieżowi układ, który przewidywał, że z 400.000 liwrów, przeznaczonych na dodatkowe koszty krucjaty, król otrzyma 300.000. Lecz również zostało zaznaczone - i tu Valois grubo się zdradził - że gdyby król Francji z jakiegokolwiek powodu nie stanął na czele wyprawy, dowództwo obejmie Karol de Valois i wówczas on osobiście przejmie fundusze przydzielone przez papieża.



<sup>17</sup> Zazwyczaj nie pamięta się, że Francja i Anglia prowadziły ze sobą dwie wojny stuletnie.

Pierwsza wojna trwała od 1152 do 1259 r.; powszechnie uważa się, że kres jej położył traktat paryski zawarty między Ludwikiem Świętym i Henrykiem III Plantagenetem. W istocie między 1259 a 1338 r. oba kraje dwukrotnie weszły ze sobą w zbrojny konflikt: w roku 1294 i, jak wkrótce zobaczymy, w 1324, i wciąż z powodu Akwitania. W drugiej wojnie stuletniej, wypowiedzianej w 1328 r., przedmiotem sporu już nie była Akwitania, lecz tron Francji.



<sup>18</sup> Przykład Saint-Sardos dowodzi, jak niesłuchanie powikłany stał się system feudalny, który zazwyczaj opisuje się jako bardzo nieskomplikowany. I takim istotnie był początkowo, lecz z biegiem czasu uwikłał się w komplikacjach powstałych z jego stosowania.

Należy dokładnie zdać sobie sprawę, że problem Saint-Sardos czy Akwitania nie należał do wyjątków; podobnie miała się sprawa z hrabstwem Artois, Flandrią, Marchiami Walijskimi, królestwem Hiszpanii, a także Sycylii; podobnie działo się w niemieckich księstwach, na Węgrzech i w całej Europie.



<sup>19</sup> Cyfry dotyczące gęstości zaludnienia zostały obliczone przez historyków na podstawie dokumentów z XIV wieku, w oparciu o spisy parafii i „dymów” przypadających na każdą parafię, przy przeciętnej czterech mieszkańców na jeden „dym”. Liczby te dotyczą okresu około roku 1328.

W czasie drugiej wojny stuletniej bitwy, głód i epidemie zmniejszyły o jedną trzecią liczbę ludności; dopiero po czterech wiekach Francja odzyskała poziom demograficzny i stopę życiową z okresu panowania Filipa Pięknego i jego synów. Można uważać, że w początkach XIX wieku w pięciu departamentach Francji przeciętna gęstość zaludnienia jeszcze nie osiągnęła stanu z 1328 roku. Niektóre miasta, bogate w średniowieczu, a zrujnowane wojną stuletnią, nawet we współczesnych nam czasach nie osiągnęły dawnej świetności. Na podstawie tych danych można oszacować, jak wojna ta wyniszczyła naród.



<sup>20</sup> Surmy - francuskie *business*, rzymskie *buccinae*, były to trąby długie i proste lub lekko zakrzywione; służyły do zwoływania wojsk do bitwy. Krótka trąbka, która wchodzi w użycie w XIII wieku, zastąpiła surmy dopiero w wieku XV.



<sup>21</sup> „Trémerel” jest to gra w kostki i żetony; należy przypuszczać, iż poprzedziła ona tryktraka i jego uproszczoną formę „jacquet”.

[Tryktrak - rodzaj gry w kostki i żetony; gra na warcabnicy, na którą prócz warcabów rzuca się dwie kostki. Karłowicz *Słownik języka polskiego*, t. VII, s. 136].



<sup>22</sup> Czytelnika może zaskoczyć owo zastosowanie „ognistych paszcz” przy oblężeniu La Reole w 1324 roku. Istotnie, tradycja umiejscawia pojawienie się artylerii w roku 1346 podczas bitwy pod Crécy.

W rzeczywistości w bitwie pod Crécy użyto po raz pierwszy artylerii na otwartym polu i w wojnie ruchomej. Zresztą, była to broń stosunkowo małego kalibru i nie czyniła wielkich szkód ani też wielkiego wrażenia. Niektórzy francuscy historycy wyolbrzymiają jej skutki, aby wyjaśnić klęskę, która wynikła o wiele bardziej z głupiej zapalczywości Filipa VI oraz baronów niż z użycia przez wroga tej nowej broni.

„Pociski wyrzucane prochem” użyte pod Crécy były jedynie zastosowaniem wielkiej, ognistej artylerii używanej przy oblężeniu już od dwudziestu lat, równoległe do artylerii klasycznej. Można by niemal rzec - artylerii antycznej. Mało się ona bowiem zmieniła od czasów Cezara, a nawet Aleksandra Wielkiego i polegała na całym systemie dźwigów, wahadeł, przeciwwag lub sprężyn, rzucała na oblegane miasto kamienie i płonące pochodnie. Pierwsze bombardy również rzucały tylko kamienne pociski, podobnie jak beluardy, balisty czy inne katapulty. Nowy był jedynie sposób wyrzucania. Zdaje się, że Italia pierwsza zastosowała proch do dział, bo metal, którym opasywano bombardy, zwano „lombardzkim żelazem”. Pizańczycy używali tych machin już w opisywanym tu czasie.

Karol de Valois był prawdopodobnie pierwszym we Francji strategiem, który się posłużył nową artylerią. Zamówił ją już w kwietniu 1324 r. i porozumiał się z seneszałem Langwedocji, aby dostarczono ją do Castelsarrasin. Przeto syn jego Filip VI nie powinien był aż tak się dziwić, gdy w Crécy strzelano doń małymi pociskami.

[Warto tu wspomnieć, że w pierwszych wiekach naszej ery Chińczycy używali prochu do sporządzania rac i sztucznych ogni, lecz nie stosowali go przy wyrzucaniu pocisków. Z użyciem prochu do armat wiążą się nazwiska Rogera Bacona (1214-1294), Alberta Wielkiego (1193-1280) i Bertolda Schwartza (1318-1384)].




<sup>23</sup> Przypomnijmy sobie, że w owym czasie król Francji nie był suzerenem Awinionu. W samej rzeczy Filip Piękny przezornie zadbał, by uczynić króla Neapolu współwładcą Awinionu, nie chciał bowiem w oczach świata stwarzać pozorów, że bezpośrednio dyktuje rozkazy papieżowi. Ale dzięki załodze umieszczonej w Villeneuve i samej sytuacji geograficznej siedziby papieskiej sprawował ścisły nadzór nad Stolicą Apostolską i całym Kościołem.




<sup>24</sup> Groźba wyboru nowego papieża urzeczywistniła się po siedmiu latach, w roku 1330, gdy rzymscy kardynałowie wybrali antypapieża Mikołaja V.






<sup>25</sup> [Machikuły - w średniowiecznych fortyfikacjach - są to ganki wysunięte przed lico muru, wsparte na kroksztynach z otworami w podłodze do zrzucania pocisków].



<sup>26</sup> Pałac papieski taki, jakim go dziś znamy, bardzo się różni od zamku Jana XXII; po zamku tym pozostało ledwie kilka elementów w części zwanej „starym pałacem”. Olbrzymia budowla, która rozslawiła Awinion, jest przede wszystkim dziełem papieży: Benedykta XII, Klemensa VI, Innocentego IV i Urbana V. Zamek Jana XXII został całkowicie przebudowany i jakby znikł - wtopiony w nowy zespół architektoniczny. Jednakże papież Jan XXII pozostał prawdziwym twórcą pałacu papieskiego.




<sup>27</sup> [Braciszkami - francuska nazwa „spirituels”, włoska „fratricelli” - zwano w owym okresie franciszkanów, zwolenników bezwzględnego ubóstwa, pojętego w najściślejszym tego słowa znaczeniu. Odłam ów zawzięcie walczył z franciszkanami - zwolennikami współczesnego im modelu życia zakonnego. Walka ta trwała od śmierci św. Franciszka przez półtora wieku. Braciszkanie, nie godząc się z nadmiernym w ich mniemaniu dostatkami własnych przełożonych, zbuntowali się przeciw władzy papieskiej. Jan XXII potępił ich jako heretyków bullą *Sancta Romana*, wydaną 30 grudnia 1317 r.].




<sup>28</sup> Syn piekarza z Foix w Ariège, Jakub Fournier, powiernik papieża Jana XXII, po dziesięciu latach sam został papieżem i przyjął imię Benedykta XII.


[W roku 1336 papież Benedykt XII, na koncylium we Florencji, w encyklice *Benedictus Deus*, sformułował pogląd w sprawie istnienia piekła, w postaci do dziś obowiązującej w Kościele].



<sup>29</sup> Jan XXII lubił egzotyczne zwierzęta; w jego pałacowej menażerii znajdowały się dwa strusie, lew i wielbłąd.




<sup>30</sup> Proces o unieważnienie małżeństwa Karola IV istotnie musiał rozpatrzyć sprawę jego chrztu, w średniowieczu bowiem książęta miewali po sześć, a nawet osiem par rodziców chrzestnych. Lecz prawo kanoniczne uznawało tylko tę parę, która trzymała dziecko nad chrzcielnicą. Proces o unieważnienie małżeństwa Karola IV z Blanką Burgundzką zachował się w dziale rękopisów Biblioteki Narodowej w Paryżu i stanowi jeden z dokumentów najbardziej obfitujących w wiadomości o ceremoniach religijnych w rodzinach królewskich. Widzów bywało wielu i z bardzo różnych kręgów społeczeństwa; pospólstwo cisnęło się jak na widowisko, a uczestnicy obrzędu bywali niemal zduszeni przez tłum. Natłok i zaciekawienie były tak wielkie, jak obecnie na ślubach gwiazd filmowych, i równie brakowało nabożnego skupienia.



<sup>31</sup> Pobratanie się drogą zmieszania i wymiany krwi, praktykowane od niepamiętnych czasów i wśród społeczeństw zwanych prymitywnymi, było w zwyczaju jeszcze w średniowieczu. Istniało w islamie; praktykowała je również szlachta akwitańska, może na skutek tradycji odziedziczonej po Maurach. Spotyka się jego ślady w niektórych zeznaniach podczas procesu templariuszy. Zdaje się, że uprawia się je nadal wśród niektórych plemion cygańskich jako zabieg antymagiczny. Pobratanie mogło pieczętować pakt przyjaźni, wspólnoty cechowej, a także więź miłosną duchową czy cielesną. Najślynniejsze zbratania przytaczane przez literaturę rycerską zawarli Girart de Roussillon i córka cesarza Bizancjum (w obecności swych małżonków), rycerz Gauvain, hrabina de Die, słynny Parsifal.



<sup>32</sup> W 1313 r. Klemens V udzielił Karolowi de Valois dyspensy na pośmiertny podział jego zwłok. Valois miał wówczas czterdzieści trzy lata.



<sup>33</sup> [Jan II d’Harcourt, zwany Cnotliwym (zm. 1302), marszałek (1285) i admirał Francji (1295), brał udział w wyprawie na Tunis pod wodzą Ludwika Świętego oraz

Karola I, króla Andegawenii i Sycylii. Udało mu się wymknąć z rzezi podczas „nieszpórów sycylijskich” (zamieszki, które wybuchły na Sycylii 30 marca 1282 r. w poniedziałek wielkanocny, gdy dzwoniło na nieszpory).

Za czasów Filipa Śmiałego walczył w Hiszpanii, a za panowania Filipa Pięknego splądrował Dover].



<sup>34</sup> Wautier (albo Wauter lub Vautier - zależnie od różnych kronik) oznacza Waltera. Chodzi tu o lorda-skarbnika Stapledona o imieniu Walter. Oryginał tego listu, jak również następnych, pisany był po francusku.



<sup>35</sup> Przypominamy, że rok tradycyjny rozpoczynał się wówczas 1 stycznia, natomiast rok budżetowy - na Wielkanoc.



<sup>36</sup> [Lord Szachownicy jest średniowiecznym tytułem angielskiego ministra skarbu; liczyła bowiem w owych czasach miały kształt szachownicy, na której układano monety].



<sup>37</sup> Powszechnie był przyjęty, choć bardzo niewygodny, zwyczaj podróżowania z dzieckiem na koniu. Pod koniec XIII i w początkach XIV wieku siodła miały bardzo wysoki obłak, czyli łęk tylny w kształcie oparcia dla jeźdźcy, natomiast nie posiadały przedniego łęku i płasko leżały na końskim grzbiecie.

Jedynie siodła używane w czasie bitwy miały łęk przedni bardzo wysoki, aby rycerz w ciężkiej zbroi i narażony na gwałtowne ciosy był jakby osadzony między obu łękami.



<sup>38</sup> Wymiana zamków między Filipem V a Klemencją nastąpiła w sierpniu 1317 r.



<sup>39</sup> Po 467 latach przez te same drzwi w zamku Temple wyprowadzono na szafot Ludwika XVI. Trudno oprzeć się wrażeniu, jakie wywiera ten szczególny zbieg okoliczności: losowa więź między zakonem templariuszy a dynastią Kapetyngów.



<sup>40</sup> Opactwo Chaâlis położone w lasach Ermenonville stanowi jeden z najważniejszych zabytków gotyckich w prowincji Ile-de-France. Ludwik Gruby, rok przed śmiercią, w 1136 r. ufundował wielki klasztor w dawnym opactwie należącym do zakonników w Vézelay; po zniszczeniach w czasie Wielkiej Rewolucji pozostały tylko imponujące ruiny. W Chaâlis często przebywał Ludwik Święty. Karol IV gościł tam dwukrotnie: w maju i czerwcu 1322 roku oraz podczas omawianej narady w czerwcu 1326 r. W początkach marca 1329 r. w Chaâlis zamieszkiwał Filip VI, następnie zaś Karol V. W epoce Odrodzenia, gdy opactwo podlegało Hipolitowi d'Este, kardynałowi Ferrary, spędził tam dwa miesiące Torquato Tasso.

Częste pobyty królów w opactwach i klasztorach, tak we Francji jak i w Anglii, nie tyle należy przypisywać pobożnym skłonnościom monarchów, ile temu, że w średniowieczu zakonnicy posiadali rodzaj monopolu w zakresie hotelarstwa. Nie było znaczącego klasztoru, który by nie posiadał gościnnych pokoi, wygodniejszych niż w większości sąsiadujących z nimi zamków. Podróżujący monarcha gościł więc tam ze swym dworskim poczem, podobnie jak dziś każe rezerwować dla siebie i swej świty całe piętro w pierwszorzędnym stołecznym hotelu lub w miejscowości nadmorskiej czy też uzdrowskiej.



<sup>41</sup> List z 19 czerwca 1326 r. Edwarda II do syna: „A także piękny synu, rozkazujemy wam, abyście nigdzie się nie żenili, póki do nas nie powrócicie, ani bez naszej zgody i polecenia... I nie wierzcie żadnym radom sprzecznym z wolą waszego ojca, zgodnie z tym, o czym was poucza król Salomon...”



<sup>42</sup> Harwich otrzymał prawa miejskie nadane mu przez Edwarda II przywilejem z 1318 r. Port ten szybko wysunął się na czoło handlu z Holandią, a w czasie wojny stuletniej służył jako miejsce załadunku wojsk wysyłanych na kontynent. Czternaście

lat po wylądowaniu tu z matką Edward III - jak opowiadamy - miał stąd wyruszyć, by stoczyć bitwę pod Ecluse [obecnie Sluis], pierwszą z drugiego szeregu klęsk zadanych przez Anglię flocie francuskiej. W XVI wieku, po zniszczeniu armady Filipa, spotkali się tu Francis Drake z podróżnikiem sir Martinem Frobisherem. Również w Harwich słynni pasażerowie wsiedli na statek *Mayflower*, prowadzony przez kapitana Christophera Jonesa, gdy udawali się do Ameryki. Przebywał tam również Nelson.



<sup>43</sup> [Jan de Hainaut, pisząc list po francusku podaje nazwisko Despenser w wersji francuskiej: Despenser, co oznacza rozrzutnika, marnotrawcę; podobnie inne imiona własne podane są w pisowni francuskiej, np. Neuf-Market zamiast New-Market, Westmoustiers zamiast Westminster.

W XIV wieku językiem dworskim i feudałów był francuski; ponieważ zaś większość szlachty wywodziła się z Francji, część nazwisk w owym okresie jeszcze zachowała brzmienie francuskie, względnie nosiła francuskie nazwiska obok angielskich].



<sup>44</sup> Jan de Hainaut jako cudzoziemiec nie brał udziału w naradzie; lecz zastanawia uczestnictwo w niej wnuka Jana de Brienne - króla Jerozolimy i cesarza Konstantynopola - Henryka de Beaumont, usuniętego przez Edwarda II z Parlamentu angielskiego pod pozorem francuskiego pochodzenia, co spowodowało, że Beaumont przyłączył się do stronnictwa Mortimera.



<sup>45</sup> Nie należy łączyć funkcji marszałka Anglii, sprawowanych przez hrabiego Norfolku, z funkcjami marszałka wojsk królewskich.

Urząd marszałka Anglii odpowiadał urzędowi konetabla we Francji (powiedzielibyśmy dzisiaj: generalissimusa)

Marszałkowie wojsk królewskich (we francuskiej armii było ich dwóch, w Anglii tylko jeden) mniej więcej odpowiadają współczesnym szefom sztabów.



<sup>46</sup> [Od czasów króla Dawida rozróżnia się dwie kategorie proroków. Izajasza, Jeremiasza, Ezechiela i Daniela zalicza się do wielkich proroków; innych, w liczbie dwunastu, którzy pozostawili po sobie pisma nie tak wielkiej wagi - do proroków mniejszych].



<sup>47</sup> Mapa Ryszarda z Bello, zachowana w katedrze Herfordu znalazła się tam na kilka lat przed nominacją Adama Orletona na biskupa diecezji. W każdym razie, w czasie rządów Orletona mapa okazała się cudotwórczym zjawiskiem.

Jest to jeden z najciekawszych zachowanych dokumentów dotyczących średniowiecznego pojmowania świata i graficzna synteza nauki owego okresu. Mapa jest wyrysowana na cienkim pergaminie pokaźnych rozmiarów; ziemia jest wpisana w koło, którego środek stanowi Jerozolima; Azja znajduje się u góry, Afryka - u dołu; zaznaczone są również raj ziemski i rzeka Ganges. Cały świat wydaje się układać wokół Morza Śródziemnego; ilustrują mapę różnego rodzaju rysunki oraz uwagi z zakresu wiadomości o faunie, etnologii i historii wedle wniosków wyprowadzonych z Biblii, dzieł przyrodnika Pliniusza, ojców Kościoła, pogańskich filozofów, średniowiecznych legend o zwierzętach i opowieści rycerskich.

Wokół mapy biegnie napis: „Ziemia jest okrągła, rozpoczął ją mierzyć Juliusz Cezar”.

Nie brak i magii w owym dokumencie, przynajmniej w zakresie inspiracji w jego wykonaniu.

Biblioteka katedralna w Hereford, licząca 1140 tomów, wedle naszych wiadomości, jest największym z księgozbiorów posiadających dotąd księgi na łańcuchach.

Zadziwia i oburza fakt, że tak rzadko spotyka się wzmianki o Adamie Orletonie w pracach związanych z Herefordem, skoro ów prałat kazał wybudować główny zabytek miasta - wielką i piękną wieżę katedralną, wzniesioną za jego rządów.



<sup>48</sup> Zamki normandzkie wznoszone od początków XI wieku, a których plan architektoniczny przetrwał aż do początków XVI wieku, w pierwszym okresie posiadały stoły kwadratowe, następnie, od XII wieku, okrągłe, zwane „muszlą”. Zamki te były nie do zdobycia, wytrzymały oblężenie, opierały się działaniu czasu. O ile poddawały się, czyniły to ze względów raczej politycznych niż militarnych i przetrwałyby w stanie niemal nienaruszonym aż do dziś, gdyby Cromwell nie nakazał ich zrównać z ziemią, z wyjątkiem trzech czy czterech. Kenilworth znajduje się o dwanaście mil na północ od Stratford-on-Avon.



<sup>49</sup> Kronikarze, a w ślad za nimi wielu historyków, widzą w przesiedleniach Edwarda II - pod koniec jego życia - wyłącznie wyraz nadmiernego okrucieństwa; zdają się nie łączyć owych zmian miejsca pobytu z wojną ze Szkocją. Tegoż dnia, gdy Robert Bruce wypowiedział wojnę, wydano rozkaz, aby przewieźć Edwarda II z Kenilworth; gdy wojna zakończyła się - znów musiał zmienić swą siedzibę.



<sup>50</sup> Jedynie Berkeley Castle oraz trzy inne normandzkie warownie ocalały z ogólnej rozbiórki nakazanej przez Cromwella. Zamek ten, stale zamieszkały, jest dzisiaj niewątpliwie najstarszą w Anglii rezydencją. Nadal należy do Berkeleyów, potomków Tomasza Berkeleya i Małgorzaty Mortimer.





## Noty biograficzne do tomu 5



### **ALENÇON Karol de Valois (1294-1346)**

Drugi syn Karola de Valois i Małgorzaty z Andegawenów Sycylijskich. Zabity pod Crécy.



### **ANDEGAWENKA SYCYLIJSKA Małgorzata, hrabina de Valois (ok.1270-1299)**

Córka Karola Andegawena, króla Neapolu i Sycylii. Pierwsza żona Karola de Valois. Matka Filipa VI, króla Francji.



### **ARTOIS Mahaut d', hrabina Burgundii, później Artois (?-27 XI 1329)**

Córka Roberta II d'Artois. Poślubiła w 1291 hrabiego-palatyna Burgundii, Ottona IV (zm.1303). Po arbitrażu królewskim w 1309 – par na Artois. Matka Joanny Burgundzkiej, małżonki Filipa de Poitiers, przyszłego Filipa V, oraz Blanki Burgundzkiej, małżonki Karola Francuskiego, przyszłego Karola IV.



### **ARTOIS Robert III d' (1287-1342)**

Syn Filipa d'Artois i wnuk Roberta II d'Artois, hrabia na Beaumont-le-Roger i pan na Conches od 1309. W 1318 poślubił Joannę de Valois, córkę Karola de Valois i Katarzyny de Courtenay. Od 1328, z tytułu nadania mu hrabstwa Beaumont-le-Roger, par Francji. Wygnany z Francji w 1332 schronił się na dworze króla Anglii Edwarda III. Śmiertelnie ranny pod Vannes. Pochowany w katedrze Św. Pawła w Londynie.



### **ARUNDEL Edmund Fitzalan, hrabia (1285-1326)**

Syn Ryszarda I, hrabiego Arundel. Poślubił Alicję, siostrę Jana, hrabiego de Warenne, i miał z nią syna Ryszarda, który ożenił się z córką Hugona Despensera Młodszego. Wielki Sędzia Walii (1323-1326). Ściety w Hereford.



### **BAGLIONI Guccio (ok.1295-1340)**

Bankier sienieński, syn Mina Baglioni, spokrewniony z rodziną Tolomei. W 1315 kierował filią banku w Neauphle-le-Vieux. Poślubił potajemnie Marię de Cressay i w 1316 miał z nią syna Giannina, zamienionego w kołysce z Janem Pogrobowcem. Zmarł w Kampanii.



### **BALDOCK Robert (?-1327)**

Archidiakon w Middlesex (1314). Lord Prywatnej Pieczęci (1320). Zmarł w Londynie.



### **BERKELEY Tomasz, baron (1292-1361)**

W 1322 pasowany na rycerza. Wzięty do niewoli pod Shrewsbury I uwolniony w 1326. W 1327 w zamku Berkeley strażnik króla Edwarda II. W 1340 marszałek wojsk królewskich, dowodził armią angielską pod Crécy. Żonaty z Małgorzatą, córką Rogera Mortimera.



### **BERTRAND Robert de (?-1348)**

Baron na Briquebec, wicehrabia na Roncheville. Namiestnik króla w Gujennie, Saintonge, Normandii i Flandrii. Marszałek Francji (1325). Poślubił Marię de Sully, córkę Henryka, wielkiego podczaszego Francji.



### **BOCCACCIO da Chellino**

Bankier florencki. Przedstawiciel kompanii Bardich. Miał z kochanką, Francuzką, nieślubnego syna (1313); był nim znakomity poeta Boccaccio, autor *Dekameronu*.



### **BOURBON Ludwik, sire, następnie diuk de (1280- 1342)**

Najstarszy syn Roberta, hrabiego de Clermont (1256-1318), i Beatrycze Burgundzkiej,

córki Jana, pana de Bourbon. Wnuk Ludwika Świętego. Od 1312 roku wielki pokojowiec Francji. Diuk i par Francji od roku 1327.

✱

**BOUVILLE Hugo III de, hrabia (?-1331)**

Syn Hugona II de Bouville i Marii de Chambly, szambelan Filipa Pięknego. W 1393 poślubił Małgorzatę des Barres, z którą miał syna Karola. Ten z kolei był szambelanem Karola V i zarządzał Delfinatem.

✱

**BRETOŃSKI Jan III zwany Dobrym, diuk (1286- 1341)**

Syn Artura II, diuka Bretanii, po którym w 1312 objął tron. Trzykrotnie żonaty, zmarł bezpotomnie

✱

**BURGUNDZKA Blanka (ok.1296-1326)**

Młodsza córka Ottona IV, hrabiego-palatyna Burgundii, i Mahaut d'Artois. W 1307 wydana za męża za Karola Francuskiego, trzeciego syna Filipa Pięknego. Po skazaniu jej za cudzołóstwo w 1314 jednocześnie z Małgorzatą Burgundzką uwięziona w twierdzy Château-Gaillard, później w zamku Gournay, koło Coutances. Po unieważnieniu jej małżeństwa w 1322 roku złożyła śluby zakonne w opactwie Maubuisson.

✱

**BURGUNDZKI Eudoksjusz IV, diuk de (ok.1294-1350)**

Syn Roberta II, diuka Burgundii, i Agnieszki Francuskiej, córki Ludwika Świętego. Wstąpił na tron burgundzki w maju 1315 roku po śmierci swego brata Hugona V. Brat Małgorzaty, żony Ludwika X Kłótliwego, Joanny, żony Filipa de Valois, przyszłego króla Filipa VI, Marii, żony hrabiego de Bar, i Blanki, żony hrabiego Edwarda Sabaudzkiego. Poślubił 18 czerwca 1318 roku najstarszą córkę Filipa V, Joannę (zm.1347).

✱

**CHATILLON Gaucher V de, hrabia de Porcien (ok.1250-1329)**

Konetabl Szampanii (1284), a następnie Francji (1302), po bitwie pod Courtrai. Syn Gauchera IV i Izabeli de Villehardouin, zwanej Izabelą z Lizines. Odniósł zwycięstwo pod Mons-en-Pève. Kazał ukoronować Ludwika Kłótliwego na króla Nawarry w Pampelunie (1307). Kolejno wykonawca testamentu Ludwika X, Filipa V i Karola IV. Odniósł zwycięstwo pod Cassel (1328) i umarł w roku następnym. Zajmował stanowisko konetabla Francji za panowania pięciu królów. Poślubił Izabelę de Dreux, następnie Melizandę de Vergy, następnie Izabelę de Rumigny.

✱

**CHATILLON-SAINT-POL Mahaut de, hrabina de Valois (1293-1358)**

Najmłodszy syn Ludwika Świętego i Małgorzaty Prowansalskiej. Ok. 1279 poślubił Beatrycze, jedyną córkę i spadkobierczynię Jana, sire de Bourbon. W 1283 przyznano mu tytuł sire de Bourbon.

✱

**CHERCHEMONT Jan de (?-1328)**

Pan na Venours w Poitou. Pisarz królewski (1318). Kanonik przy katedrze Notre-Dame w Paryżu. Od 1320 do końca panowania Filipa V – kanclerz Francji; powrócił na swe stanowisko w listopadzie 1323.

✱

**COURTENAY Katarzyna de, hrabina de Valois, tytularna cesarzowa Konstantynopola (?-1307)**

Druga żona Karola de Valois. Wnuczka i spadkobierczyni Baldwina, ostatniego łatyńskiego cesarza Konstantynopola (zm.1261). Po śmierci Katarzyny prawa jej odziedziczyła najstarsza córka, również Katarzyna, żona Filipa Andegaweńskiego, księcia Achai i Tarentu.

✱

**CRESSAY Maria de (ok.1298-1345)**

Córka damy Eliabel i rycerza Jana de Cressay. W 1316 potajemnie poślubiła Guccia Baglioni; urodziła dziecko zamienione w kołysce z Janem I Pogrobowcem, którego była mamką. Pochowana w klasztorze augustianów koło Cressay.

✱

**CRESSAY Jan i Piotr**

Bracia wyżej wymienionej. Obaj pasowani na rycerzy przez Filipa VI po bitwie pod Crécy w 1346.

✱

**DESPENSER Hugo Le, zw. Starszym (1262-27 X 1326)**

Syn Hugona Le Despensera. Wielki Sędzia Anglii. Baron, od 1295 członek Parlamentu. Począwszy od 1312 główny doradca Edwarda II. W 1322 mianowany hrabią Winchesteru. W 1326 usunięty ze stanowiska przez zbuntowanych baronów, został powieszony w Bristolu.

**DESPENSER Hugo Le, zw. Młodszym (ok.1290-24 XI 1326)**

Syn poprzedniego. W 1306 pasowany na rycerza. Poślubił Eleonorę de Clare (ok.1309). Szambelan i od 1312 faworyt Edwarda II. Popelnione przez niego nadużycia władzy wywołały w 1326 rewoltę baronów. Stracony w Hereford.

**DESPENSER Eleonora Le, lady (?-1337)**

Córka hrabiego Gloucester i siostrzenica Edwarda II. W 1309 poślubiła Hugona Le Despensera Młodszego.

✱

**DUEZE Gaucelin (?-1348)**

Bratanek papieża Jana XXII. W grudniu 1316 mianowany przezeń kardynałem. Biskup Albano, następnie Wielki Penitencjariusz.

✱

**EDWARD II Plantagenet, król Anglii (1284-21 IX 1327)**

Urodzony w Caernarvon, syn Edwarda i Eleonory Kastylijskiej. Pierwszy książę Walii, diuk Akwitanii i hrabia na Ponthieu (1303). Pasowany na rycerza w Westminsterze w 1306. Wstąpił na tron w 1307, poślubił Izabelę Francuską 22 stycznia 1308 w Boulogne-sur-Mer. Koronowany w Westminsterze 25 lutego 1308. Zdetronizowany w 1326 przez zbuntowanych baronów, na których czele stała jego żona. Uwięziony i zamordowany w zamku Berkeley.

✱

**EDWARD Windsor, późniejszy Edward III Plantagenet, król Anglii (13 XI 1312-1377)**

Syn poprzedniego. Hrabia Chester (1320). Diuk Akwitanii i hrabia na Ponthieu (1325). Po złożeniu z tronu jego ojca ogłoszony królem (styczeń 1327). W 1328 poślubił Filipę, córkę Wilhelma, hrabiego na Hainaut, Holandii i Zelandii, oraz Joanny de Valois. Jego pretensje do tronu francuskiego były przyczyną wojny stuletniej.

✱

**EVREUX Filip d'**

Syn Ludwika d'Evreux, przyrodniego brata Filipa Pięknego, i Małgorzaty d'Artois. Poślubił (1318) Joannę Francuską, córkę Ludwika X Kłótliwego i Małgorzaty Burgundzkiej, dziedziczkę tronu Nawarry, zmarłą w 1349. Ojciec Karola Złego, króla Nawarry, oraz Blanki, drugiej żony Filipa VI de Valois, króla Francji.

✱

**FERIENNES Izabela de (?-1317)**

Czarownica. Świadek oskarżenia w procesie wytoczonym Mahaut po śmierci Ludwika X. Żywcem spalona razem z synem po uniewinnieniu Mahaut 9 X 1317 r.

✱

**FIENNES Jan de**

Baron na Ringry, pan na Ruminghen, kasztelan na Bourbourg. Wybrany wodzem przez zbuntowaną szlachtę z Artois, był jednym z ostatnich, którzy się poddali. Poślubił Izabelę, szóstą z kolei córkę Guy de Dampierre'a, hrabiego Flandrii.

✱

**FILIP IV, zwany Pięknym, król Francji (1268-29 XI 1314)**

Syn Filipa III Śmiałego i Izabeli Aragońskiej, urodzony w Fontainebleau. W 1284 poślubił Joannę z Szampanii, królową Nawarry. Ojciec królów: Ludwika X, Filipa V i Karola IV oraz Izabeli Francuskiej, królowej Anglii. Ogłoszony królem w Perpignan w 1285, koronowany w Reims 6 lutego 1286 roku, zmarł w Fontainebleau. Pochowany w

opactwie Saint-Denis.

✳

**FILIP (V), hrabia de Poitiers, później król Francji, zwany Długim (1291-3 I 1322)**

Syn Filipa IV Pięknego i Joanny z Szampanii. Brat królów: Ludwika X i Karola IV oraz Izabeli, królowej Anglii. W 1307 jako małżonek Joanny Burgundzkiej hrabia-palatyn Burgundii i pan na Salins. W 1311 hrabia-apanażysta na Poitiers. W 1315 par Francji. Regent po śmierci Ludwika X, zaś po śmierci bratanka, Jana I Pogrobowca, w listopadzie 1316, król Francji. Zmarł w Longchamp. Pochowany w opactwie Saint-Denis.

✳

**FILIP, hrabia de Valois, później Filip VI, król Francji (1293-22 VIII 1350)**

Najstarszy syn Karola de Valois i jego pierwszej żony Małgorzaty z Andegawenów Sycylijskich. Bratanek Filipa IV Pięknego i brat stryjeczny Ludwika X, Filipa V i Karola IV. Po śmierci Karola IV Pięknego regent królestwa, a następnie król Francji (IV 1328) po urodzeniu się córki pogrobowej poprzedniego monarchy. Koronowany w Reims 29 maja 1328 r. Jego wstąpienie na tron spotkało się ze sprzeciwem Anglii i było przyczyną drugiej wojny stuletniej. W 1313 poślubił Joannę Burgundzką, zwana Kulawą, siostrę Małgorzaty, a po jej śmierci w 1348 r. Blankę z Nawarry (1349), wnuczkę Ludwika X i Małgorzaty.

✳

**FILIPA de Hainaut, królowa Anglii (1314?-1369)**

Córka Wilhelma de Hainaut i Joanny de Valois. 30 stycznia 1328 poślubiła Edwarda III Angielskiego i miała z nim dwanaścioro dzieci.

✳

**FOURNIER Jakub Nouvel (ok.1285-IV 1342)**

Cysters, opat klasztoru w Fontfroide. Biskup Pamiers (1317), następnie Mirepoix (1326). W grudniu 1327 mianowany kardynałem przez Jana XXII, objął po nim tron papieski w 1334 i przyjął imię Benedykta XII.

✳

**GOURNAY Tomasz (?-1333)**

Jeden ze strażników Edwarda II w zamku Berkeley. W 1330 oskarżony o zabójstwo króla, pojmany w Hiszpanii, a następnie w Neapolu, dokąd uciekł, został zabity przez tych, co go aresztowali.

✳

**HAINAUT Jan, Sire de Beaumont (?-1356)**

Brat Wilhelma, hrabiego Holandii, Zelandii i Hainaut. Brał udział w wojnach na Terenia Anglii i Flandrii.

✳

**HAINAUT Wilhelm d'Avesnes, zwany Dobrym, hrabia Holandii, Zelandii i Hainaut (?-1337)**

Brat wyżej wymienionego, syn Jana II d'Avesnes, hrabiego de Hainaut i Filipiny Luksemburskiej. Objął rządy w hrabstwach po śmierci ojca w 1304. W 1305 poślubił Joannę de Valois, córkę Karola de Valois i Małgorzaty z Andegawenów Sycylijskich. Ojciec Filipy, królowej Anglii.

✳

**HIRSON albo HIREÇON Thierry Larchier d' (ok.1270-17 XI 1328)**

Początkowo skryba u Roberta II d'Artois. Towarzyszył Nogaretowi podczas wyprawy do Anagni. Kilkakrotnie pełnił różne misje na zlecenie Filipa Pięknego. Od 1299 kanonik w Arras. Od 1303 kanclerz Mahaut d'Artois. Od kwietnia 1328 biskup Arras.

✳

**HIRSON albo HIREÇON Beatrycze d'**

Bratanica wyżej wymienionych. Panna dworu hrabiny Mahaut d'Artois

✳

**IZABELA Francuska, królowa Anglii (1292-23 VIII 1358)**

Córka Filipa IV Pięknego i Joanny z Szampanii. Siostra królów: Ludwika X, Filipa V i Karola IV. W 1308 poślubiła Edwarda II, króla Anglii. W 1325 razem z Rogerem Mortimerem stanęła na czele rewolty baronów, która doprowadziła do detronizacji jej



męża. Zwana „wilczycą z Francji”. W latach 1326-1328 rządziła Anglią w imieniu syna Edwarda III. W 1330 wygnana z dworu królewskiego. Zmarła w zamku Hertford.

✱

#### **JAN XXII (Jakub Duèze), papież (1244-XII 1334)**

Syn mieszczanina z Cahors. Ukończył studia w Cahors i Montpellier. Proboszcz w kościele Św. Andrzeja w Cahors. Kanonik przy kościele Saint-Front w Périgueux i w Albi. Proboszcz w Sarlat. W 1289 r. wyjechał do Neapolu, gdzie niebawem pozyskał zaufanie Karola II Andegaweńskiego, który mianował go sekretarzem tajnych narad, a następnie kanclerzem. Od 1300 r. biskup we Frejus; następnie od 1310 r. w Awinionie. Sekretarz koncylium w Vienne (1311). Od 1312 r. kardynał-biskup Porto. Wybrany na papieża w sierpniu 1316 r. przybrał imię Jana XXII. Koronowany w Lyonie we wrześniu 1316. Zmarł w Awinionie.

✱

#### **JOANNA Burgundzka, hrabina de Poitiers, później królowa Francji (ok.1293-21 I 1330)**

Starsza córka Ottona IV, hrabiego-palatyna Burgundii, i Mahaut d'Artois. Siostra Blanki, żony Karola Francuskiego. W 1307 wydana za mąż za Filipa de Poitiers, drugiego syna Filipa Pięknego. W 1314 skazana za ułatwienie cudzołóstwa siostrze i szwagierce, uwięziona w Dourdan i w 1315 uwolniona. Miał trzy córki: Joannę, późniejszą żonę diuka Burgundii, Małgorzatę, wydaną za hrabiego Flandrii, oraz Izabelę, żonę delfina we Vienne. [Delfin – od 1130 tytuł oficjalny hrabiów na Vienne, od 1394 – tytuł następcy tronu francuskiego].

✱

#### **JOANNA Burgundzka, hrabina de Valois, później królowa Francji (ok.1296-1348)**

Córka Roberta II, diuka Burgundii, i Agnieszki Francuskiej. Siostra Eudoksusza IV, diuka Burgundii, i Małgorzaty, żony Ludwika X Kłótliwego. W 1313 poślubiła Filipa de Valois, przyszłego Filipa VI. Matka Jana II, króla Francji. Zmarła na dżumę.

✱

#### **JOANNA d'Evreux, królowa Francji (?-III 1370)**

Córka Ludwika Francuskiego, hrabiego d'Evreux, i Małgorzaty d'Artois. Siostra Filipa d'Evreux, późniejszego króla Nawarry. W 1325 poślubiła Karola IV Pięknego i miała z nim trzy córki.

✱

#### **JOANNA Francuska, królowa Nawarry (ok.1311-8 X 1349)**

Córka Ludwika, króla Nawarry, późniejszego Ludwika X Kłótliwego, i Małgorzaty Burgundzkiej; podejrzana o nieślubne pochodzenie. Wydana za mąż za Filipa hrabiego d'Evreux. Matka Karola Złego, króla Nawarry, i Blanki, drugiej żony Filipa VI de Valois.

✱

#### **KAROL Francuski, później KAROL IV, król Francji (1294-1 II 1328)**

Trzeci syn Filipa IV Pięknego i Joanny z Szampanii. Od 1315 hrabia-apanażysta Marchii. W 1322 wstąpił na tron po Filipie V jako Karol IV. Poślubił kolejno: w 1307 – Blankę Burgundzką, w 1322 - Marię z Luksemburga, w 1325 - Joannę d'Evreux. Zmarł w Vincennes nie pozostawiając męskiego potomka. Ostatni król w linii prostej dynastii Kapetyngów.

✱

#### **KENT Edmund Woodstock, hrabia (1301-1329)**

Syn Edwarda I, króla Anglii, i jego drugiej żony Małgorzaty, siostry Filipa Pięknego. Przyrodni brat Edwarda II, króla Anglii. W 1321 mianowany gubernatorem twierdzy Dover, Strażnikiem Pięciu Portów i hrabia Kentu. Namiestnik króla w Akwitanii (1324). Ścięty w Londynie.

✱

#### **KLEMENCJA Węgierska, królowa Francji (ok.1293-12 X 1328)**

Córka Karola Martela Andegaweńskiego, tytularnego króla Węgier, i Klemencji z Habsburgów. Bratanica Karola de Valois z linii jego pierwszej żony Małgorzaty z Andegawenów Sycylijskich. Siostra Karola Roberta lub Karoberta, króla Węgier, i Beatrycze, żony delfina Jana II. Poślubiła Ludwika X Kłótliwego, króla Francji i

Nawarry (13 VIII 1315), koronowana wraz z nim w Reims. Owdowiała w czerwcu 1316 r., w listopadzie 1316 r. urodziła Jana I. Zmarła w Temple.

✱

**LANCASTER Henryk, hrabia Leicester oraz Lancaster, zwany Krzywoszyjkiem (ok.1281-1345)**

Syn Edmunda, hrabiego Lancastra, wnuk Henryka III, króla Anglii. uczestniczył w buncie przeciw Edwardowi II. W dzień koronacji Edwarda III pasował go na rycerza i przewodniczył radzie regencyjnej. Następnie przeszedł do stronnictwa wrogiego Mortimerowi.

✱

**LE ROUX Rajmund (?-1325)**

Siostrzeniec papieża Jana XXII, w grudniu 1325 mianowany przezeń kardynałem.

✱

**LUDWIK X zwany Kłótliwym, król Francji i Nawarry (X 1289-5 VI 1316)**

Syn Filipa Pięknego i Joanny z Szampanii. Brat królów: Filipa V i Karola IV, oraz Izabeli, królowej Anglii. Od 1307 król Nawarry, od 1314 król Francji. W 1305 poślubił Małgorzatę Burgundzką, z którą miał córkę Joannę, urodzoną około 1311. Po „skandalu wieży Nesle” i śmierci Małgorzaty ożenił się po raz drugi, z Klemencją Węgierską, i koronował w Reims w sierpniu 1315. Zmarł w Vincennes. Syn jego, Jan I Pogrobowiec, urodził się w pięć miesięcy później w listopadzie 1316.

✱

**MALTRAVERS Jan, baron (1290-1365)**

W 1306 pasowany na rycerza. Strażnik w Berkeley króla Edwarda II (1327). W 1329 mianowany seneszalem, w 1330 – majordomem królewskiego dworu. Po upadku Mortimera skazany na śmierć jako odpowiedzialny za zgon Edwarda II, uciekł na kontynent. W 1345 otrzymał zezwolenie na powrót do Anglii. W 1353 rehabilitowany.

✱

**MAŁGORZATA Burgundzka, królowa Nawarry (ok.1293-1315)**

Córka Roberta II, diuka Burgundii, i Agnieszki Francuskiej. W 1305 poślubiła Ludwika, króla Nawarry, najstarszego syna Filipa Pięknego, późniejszego Ludwika X, z którym miała córkę Joannę. W 1314 skazana za cudzołóstwo (sprawa wieży Nesle), więziona w twierdzy Château-Gaillard, gdzie została zamordowana.

✱

**MARIA Luksemburska, królowa Francji (ok.1306-III 1324)**

Córka Henryka VII, cesarza Niemiec, i Małgorzaty Brabanckiej. Siostra Jana Luksemburskiego, króla Czech. Druga żona Karola IV (1322). Koronowana w maju 1323.

✱

**MARIGNY Jan de (?-1350)**

Najmłodszy z trzech braci Marigny, kanonik w katedrze Notre-Dame, później biskup Beauvais (1312), kanclerz (1329). Namiestnik króla w Gaskonii (1342). Arcybiskup Rouen (1347).

✱

**MORTIMER Joanna, lady (1286-1356)**

Córka Piotra de Joinville i Joanny z Luzynianów; stryjeczna wnuczka seneszala, druha Ludwika Świętego. Około 1305 poślubiła sir Rogera Mortimera barona na Wigmore, i miała z nim jedenaścioro dzieci.

✱

**MORTIMER Roger, baron na Chirk (ok.1256-1326)**

Namiestnik króla Edwarda II i Wielki Sędzia Walii (1307-1321). Wzięty do niewoli pod Shrewsbury (1322). Zmarł w londyńskiej wieży.

✱

**MORTIMER Roger IV, ósmy baron na Wigmore (1287-29 XI 1330)**

Najstarszy syn Edmunda Mortimera i Małgorzaty de Fiennes. Namiestnik króla Edwarda II i Wielki Sędzia Irlandii (1316-1321). Przywódca rebelii, która doprowadziła do detronizacji Edwarda II. Razem z królową Izabelą faktycznie rządził Anglią podczas małoletności Edwarda III. Pierwszy hrabia na Marchiach (1328). Aresztowany przez

Edwarda III i skazany przez Parlament zawisł na szubienicy Tyburn w Londynie.

✱

**NORFOLK Tomasz Brotherton, hrabia (1300-1338)**

Starszy syn Edwarda I z małżeństwa z Małgorzatą Francuską. Przyrodni brat Edwarda II i rodzony – Edmunda Kenta. W grudniu 1312 mianowany diukiem Norfolku, a w lutym 1316 – marszałkiem Anglii. Dołączył się do stronnictwa Mortimera, którego syn poślubił jedną z jego córek.

✱

**NOYERS Miles de, pan na Vandoeuvre (?-1350)**

Marszałek Francji (1303-1315). Doradca kolejno: Filipa V, Karola IV i Filipa VI. Odegrał wyjątkowej wagi rolę za panowania tych trzech królów. Wielki podczaszy Francji (1336).

✱

**ORLETON Adam (?-1345)**

Kolejno biskup: od 1317 – Herefordu, od 1328 – Worcesteru i od 1334 – Winchesteru. Jeden z przywódców spisku przeciw Edwardowi II. Skarbnik Anglii (1327). Pełnił rozliczne misje jako poseł na dworze francuskim oraz w Awinionie.

✱

**POUGET albo POYET Bertrand de (?-1352)**

Siostrzeniec papieża Jana XXII, w grudniu 1316 mianowany przezeń kardynałem.

✱

**REYNOLDS Walter (?-1327)**

Skarbnik (1307). Biskup Worcesteru (od 1307). Strażnik Pieczęci (1310-1314). Jeden z głównych doradców Edwarda II, w 1326 stanął po stronie Izabeli. Był chrzestnym ojcem Edwarda III i koronował go na króla.

✱

**SEAGRAVE Stefan (?-1325)**

Konstabl Tower. Po ucieczce Mortimera uwięziony i zwolniony w czerwcu 1324.

✱

**STAPLEDON Walter (1261-1326)**

Profesor prawa kanonicznego w Oksfordzie. Od 1307 biskup Exeteru. Od 1320 – Skarbnik Anglii. Zamordowany w Londynie.

✱

**TOLOMEI Spinello**

Stał na czele kompanii sienneńskiej, którą założył we Francji w XIII wieku Tolomeo Tolomei. Kompania ta szybko wzbogaciła się prowadząc handel międzynarodowy i kontrolując kopalnie srebra w Toskanii. Do dziś istnieje w Sienie pałac Tolomei.

✱

**TRYE Mateusz de (?-1344)**

Bratanek szambelana Ludwika X Kłótliwego. Pan na Araines i Vaumain. Około 1320 marszałek Francji. Generalny namiestnik króla we Flandrii.

✱

**VALOIS Joanna de, hrabina de Beaumont (ok.1304-1363)**

Córka Karola de Valois z drugiego małżeństwa z Katarzyną de Courtenay. Przyrodnia siostra króla Francji Filipa VI. W 1318 poślubiła Roberta d'Artois, hrabiego na Beaumont-le-Roger. Po banicji Roberta więziona wraz z trzema synami w twierdzy Château-Gaillard, następnie wróciła do łask.

✱

**VALOIS Joanna, hrabina de Hainaut (ok.1295-1352)**

Córka Karola de Valois z pierwszego małżeństwa z Małgorzatą z Andegawenów Sycylijskich. Siostra króla Francji Filipa VI. W 1305 wydana za mąż za Wilhelma hrabiego na Hainaut, Holandii i Zelandii; matka Filipy, królowej Anglii.

✱

**VALOIS Karol de (12 III 1270-XII 1325)**

Syn Filip III Śmiałego i jego pierwszej żony Izabeli Aragońskiej. Brat Filipa IV Pięknego. Pasowany na rycerza w czternastym roku życia. W tymże roku legat papieski nadał mu prawa do korony aragońskiej, lecz Karol de Valois nigdy nie zdołał objąć tronu i w 1295 zrzekł się tytułu. Od 1285 hrabia-apanażysta na Valois i Alençon. Po

ślubie z Małgorzatą z Andegawenów sycylijskich w marcu 1290 - hrabia na Andegawenii, Maine i Perche. Po zawarciu drugiego małżeństwa, w styczniu 1301, z Katarzyną de Courtenay – tytularny cesarz Konstantynopola. Bonifacy VIII nadał mu tytuł hrabiego Romanii. Po raz trzeci ożenił się z Mahaut de Châtillon-Saint-Pol. Z tych trzech małżeństw miał wiele dzieci. Jego najstarszy syn panował we Francji jako Filip VI i był pierwszym królem z dynastii Walezjuszów. W 1301 Karol de Valois dowodził wojskami w Italii jako stronnik papieża. Stał na czele dwóch wypraw do Akwitanii (1297 i 1324). Ubiegał się o cesarską koronę niemiecką. Zmarł w Nogent-le-Roi. Pochowany w kościele Jakobitów w Paryżu. [Jakobitami zwano w średniowieczu dominikanów, bowiem ich klasztor znajdował się w Paryżu przy ul. Św. Jakuba].

✱

**VIA Arnold de (?-1335)**

Biskup Awinionu (1317). W czerwcu 1317 mianowany kardynałem przez Jana XXII.

✱

**WARENNE Jan de (1286-1344)**

Hrabia na Surrey i Sussex. Szwagier Jana Fitzalana hrabiego Arundel. W 1306 pasowany na rycerza i mianowany członkiem Parlamentu. Mimo, że zachował wierność dla króla Edwarda II, należał do rady regencyjnej podczas małoletniości Edwarda III.



**KONIEC tomu 5**

**Księgozbiór DiGG**



**2010**